

BEATA MAJEWSKA

CZY MOŻNA ZAPOMNIEĆ O DAWNYCH NIESZCZĘCIACH
I SPOJRZEĆ W PRZYSZŁOŚĆ Z UFNOŚCIĄ?

Cataja



A dense, monochromatic pattern of tropical foliage and flowers, including hibiscus, monstera leaves, and palm fronds, in shades of gray.

BEATA MAJEWSKA

Cataja

MIRAZ

Redakcja: Dorota Pacyńska, Beata Majewska
Skład DTP: Tomasz Chojecki | [Od Słowa do Słowa](#)
Korekta: Sylwia Chojecka | [Od Słowa do Słowa](#)
Projekt okładki: Justyna Knapik | fb.com/justyna.es.grafik
Zdjęcie na skrzydełku: Samuel Kubarek, Samuel & Ewelina Fotografia
Grafika: © JoyCrew – shutterstock.com; © 13smok, Socialissue – pixabay.com

Zamówienia hurtowe: biuro@infobis.pl

Dystrybutorzy:

L&L Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza – <https://ll.com.pl>

Platon Sp. z o.o. – <https://www.platon.com.pl>

Ateneum – <https://www.ateneum.net.pl>

Księgarnia: www.dobrarada.com.pl

Copyright © Beata Majewska

Copyright © INFOBIS Rafał Głab / Wydawnictwo Miraż, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Wydanie I

ISBN EPUB 978-83-67657-40-2

ISBN Mobi 978-83-67657-41-9

PAUL



Stan polskich dróg jest podobny do stanu mojego ducha. Jedna wielka pieprzona beznadzieja. Zjechałem z autostrady i się zaczęło. Kilometry beznadziei. Ale to skończona beznadzieja. Po sześciu godzinach od przekroczenia granicy mijam wreszcie tablicę z napisem Grabówek. Nawet ona jest straszna. Pokrzywiona i brudna, zapaskudzona, że nie widać liter.

Na rondzie drugi zjazd.

„Jakie rondo? Tu przecież nie ma żadnego ronda!”

Jedź prosto trzysta metrów.

Potem łagodnym łukiem skreć w prawo.

„To jest łagodny łuk?”

Na rozwidleniu w lewo.

Jedź prosto.

Pięćdziesiąt metrów do celu.

Na prawo.

Ostatnią prostą pokonuję z prędkością, która jest zabójcza nie tylko dla mojego samochodu. Biedna dziewczyna, miała pecha lub inaczej – nie miała fartu. Ta ulica to jedna wielka dziura. Na dodatek pogoda jest obrzydliwa. To ma być styczeń? Od Nowego Roku jest na plusie. Zwały śniegu spłynęły na jezdnię i utworzyły pulpę do złudzenia przypominającą zblendowany ludzki mózg. Właśnie tym oberwała laska w białym palcie. Gdybym nie był taki wściekły na świat, pewnie wrzuciłbym wsteczny,

wysiadł, przeprosił, zaproponował kasę na pralnię, a może nawet zaprosił dziewczynę na kawę. Ale jestem wściekły. Bezmiernie wkurzony.

Ledwie wyprowadzam auto na zakręcie. Co za debil wymyślił progi zwalniające w tym miejscu? Jeszcze tylko nieszczęsny wąski mostek prowadzący do posesji i już.

Przybywasz do celu.

Na prawo.

Wysiadam z auta. Moje buty w sekundę stają się mokre, bo jak okiem sięgnąć, wszędzie kałuże. Ewentualnie mózdzek. Szaro, buro i beznadziejnie. Na gałęziach огоłoconych z liści siedzą wielkie czarne ptaszyska. Siedzą i głośno kraczą. Klaszczę kilka razy, ale mają to w nosie, więc wyciągam ręce nad głowę i robię kilka wymachów. Bołą mnie plecy.

– Dzień dobry! – wykrzykuje tęgi koleś. Biegnie w moją stronę. Z daleka widać, że jest zdyszany, a jego twarz ma barwę sosu tabasco. Zawsze to jakaś odmiana kolorystyczna w krainie ponurych barw i wielkich jezior na jezdni. – Dzień dobry! – drze się i macha.

W końcu on też „przybywa do celu”. Ledwie żywy. Po co tak biegł? Przecież mu nie ucieknę.

– Dzień dobry! – Wyciąga rękę. – Od rana czekamy – dyszy.

– Dzień dobry – odpowiadam, na moment zadzierając głowę ku niebu. – Paskudna pogoda.

– Pan Hans dzwonił. Mówił, że...

– Mogę wejść? – przerywam i wskazuję brodą drzwi. – Zimno.

– Oczywiście, zapraszam! – Niewiele brakuje, a zgiąłby się wpół niczym szwajcarski scyzoryk.

Omijam go i idę w stronę głównego wejścia do budynku. Już prawie wchodzę do środka, gdy przypominam sobie o bagażu. Odwracam się na pięcie. Jednoosobowy komitet powitalny nadal stoi przy moim samochodzie i zagląda do wnętrza przez boczną szybę. Jak on ma na imię? Marcus? Marszczę czoło. Nie przypomnę sobie.

– Marcus!

– Słucham! – Odskakuje od auta. – A w ogóle to na imię mam Marek!

– Okej. Weź, proszę, moją torbę, jest w bagażniku. – Rzucam mu pilota. Leci, leci, przelatuje nad głową tej ofermi i plusk! Trafia w sam środek małej kałuży. Nie wierzę. – A jak przyniesiesz torbę, możesz pojechać do myjni.

– Dobrze! – wykrzykuje radośnie jak dziecko.

Przybyłem do celu.

Przybyłem?

MILENA



Stoimy tu już godzinę. Listopadowy wiatr smaga nasze twarze, siecze drobnymi deszczem i powoli wypiera wszystkie uczucia i refleksje na rzecz jednej myśli: „zimno”. Zakładam kaptur i zerkam na mamę. Nie chcę jej popędzać, tym bardziej że rzadko tu przychodzimy, zwłaszcza ja. Od śmierci taty odwiedziłam jego grób zaledwie cztery razy, dzisiejsza wizyta jest piąta. Pół roku i tylko pięć spotkań, ale ja naprawdę nie lubię cmentarzy. Nie znoszę tego miejsca i zupełnie nie pojmuję, jak można codziennie przychodzić na czyjś grób, nawet gdy się kogoś bardzo kochało. Przecież to jak rozdrapywanie strupa. Ciągle i ciągle. Patrzę na napis: „Cezary Kowalik”. Widzę też dwie daty, ta urodzinowa to ósmy listopada, jak dzisiaj. Właśnie dlatego tu jesteśmy i mniej lub bardziej cierpliwie znosimy kaprysy pogody. Prócz imienia i nazwiska taty kamieniarz zamieścił sentencję *Memento mori*, pewnie uznał, że idealnie pasuje do eleganckiego czarnego marmuru, ale dla mnie to tylko litery i cyfry, bo dla serca nie liczą się napisy, lecz człowiek.

Tata uśmiecha się ze zdjęcia. Jest na nim taki przystojny i młody, że aż ściska mnie w dołku. Żył za krótko. Co to jest czterdzieści pięć lat? Nic. Mama mówi, że tata żył za krótko i za intensywnie. Trochę się z nią zgadzam, a trochę nie. Może czuł, że nie ma przed sobą zbyt wiele czasu, stąd jego pęd do czerpania życia pełnymi garściami? Nie mam do niego żadnych pretensji, może tylko tę jedną jedyną, że wtedy za szybko jechał.

Lubił szybką jazdę. Kiedyś zabrał mnie na przejażdżkę swoją corvetta. To było zaraz po tym, kiedy ją kupił. Nie zapomnę, co wtedy czułam. Jechaliśmy najszybciej, jak się dało. „Gaz do dechy!” Wiatr szarpał włosami, drażnił oczy do łez, prawie tak samo jak dzisiaj, ale wtedy było lato. Nigdy nie powiedziałam mamie, że tata wycisnął z corvetty maksimum osiągow. Dopiero zmyłaby mu głowę. Narzekała, że jeździ niebezpiecznie, ale jakoś to tolerowała, za to gdy jechaliśmy gdzieś we trójkę, nie pozwalała mu na żadne szaleństwa. Ze względu na mnie.

– Szkoda, że nie jestem taka jak tata – mówię cicho. Mój głos tłumi puszysty szal, więc mama prosi, żebym powtórzyła. – Chodzi mi o wygląd. Chciałabym mieć jego urodę. – Wpatruję się w zdjęcie.

Uwielbiałam jego czarne włosy, oliwkową cerę i ciemną oprawę oczu.

– Tata był prawdziwym przystojniakiem. Wiesz, jak na niego mówili? – Mama patrzy w moją stronę.

– Jak?

– Gdy go poznałam, miał ksywkę „Hiszpan”.

– Hiszpan? – parskam śmiechem, a po krótkim namyśle stwierdzam, że całkiem trafny ten przydomek. – Nigdy mi tego nie mówiłaś. Tata też.

– W domu coś ci pokażę.

– Wracamy już? – pytam nieśmiało, bo nie chcę wyjść na bezduszną gówniarę, której w głowie tylko internet i znajomi.

– Wracamy. Okropnie przemarzłam. – Mama pociera ramiona.

Obie dosyć ciepło się ubrałyśmy, ale i tak nie uchroniło nas to przed przenikliwym zimnem. Idziemy w stronę bramy cmentarza, po drodze mijamy monumentalne grobowce „sąsiadów” taty. W tym rejonie nekropolii wszystkie wyglądają podobnie, są duże i wykonane z najdroższych marmurów i kamieni, można rzec – pokazowe miejsca spoczynku, ale jakie to ma znaczenie? Może ma dla tych, którzy jeszcze żyją? Mój tata też ma taki grobowiec, małe mauzoleum z miejscem dla kilku osób. Okropne. Nie podoba mi się to, ale mama uznała, że tak będzie właściwie.

– Ta pani chyba codziennie tu przychodzi – szepczę cicho, gdy mijamy jeden z nich. – Za każdym razem ją widzę.

– Uhm – potwierdza mama. – Ja też. Pochowała córkę, młodą dziewczynę, w twoim wieku – dodaje i chwyta mnie za rękę, jakby chciała się upewnić, że jestem tu, obok niej, żywa, z krwi i kości. – Straszne. Najgorsze, co może przeżyć matka.

– Kiedy to było?

– Parę tygodni przed śmiercią twojego taty.

– Aha.

– Nie mówmy o tym. – Mamą wstrząsa nagle dreszcz.

Obie przyspieszamy, a gdy widzimy nasz samochód, jeszcze szybciej pokonujemy kilkanaście metrów dzielących nas od wyjścia z cmentarza.

– Panie Józefie, proszę podkręcić ogrzewanie, okropnie zmarzłyśmy – prosi mama, ledwie obie zajęłyśmy miejsca na tylnej kanapie.

– Już się robi – mruży nasz kierowca.

Ruszamy. Zdejmuję rękawiczki i rozcieram zgrabiące dłonie, mama robi tak samo i gdy to zauważa, parska pod nosem.

– Niestety, ale nie jesteś podobna do taty. To po mnie masz wszystko. – Na jej twarzy błąka się delikatny uśmiech. – Mam nadzieję, że aż tak cię to nie martwi. Niektórzy twierdzą, że jestem... byłam – poprawia się szybko – dosyć ładną kobietą.

– Nadal jesteś ładna. Masz śliczne oczy, prawdziwie niebieskie, nie jakieś tam szarobure, i włosy masz piękne. Naturalny blond to pragnienie wielu kobiet. I twarz masz piękną. – Nie wiem czemu obsypuję mamę tyloma komplementami. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby mówić jej wprost, że jest śliczna. Dziwne. – I usta masz ładne. Pełne i symetryczne. – Mrużę oczy, by lepiej skupić wzrok.

– Dziękuję. A teraz pomyśl to samo o sobie. – Mama kładzie dłoń na mojej ręce i lekko ją ściska. – Jesteś prawie taka sama, tylko młodsza. I ładniejsza.

– Ja? – pryham, gdy słyszę te słowa. – Nie jestem.

– Masz piękne włosy. – Przenosi na nie spojrzenie. – Długie, gęste, zdrowe i z takim samym skrętem.

– Nie lubię ich, wolałabym proste. Nie loczki i fale. – Odruchowo przyglądam fryzurę.

– Jeszcze docenisz to, że się kręcą. – Mruga do mnie.

– Nie mam twojej figury – stwierdzam cicho, bo nie chcę, żeby pan Józek mnie usłyszał. Moja tusza to źródło nieustannych kompleksów i problemów i chociaż wszyscy wokół mówią, że przesadzam, wiem swoje. – Ważyłam się dzisiaj rano – mówię, jakbym nie robiła tego codziennie i to dwa razy: rano i wieczór.

– I jak?

– Szóstka z przodu.

– Ech... – Mama kręci głową. – Poczekaj, jeszcze rok, dwa i pojawi się piątka. Gdy miałam szesnaście lat, ważyłam prawie siedemdziesiąt kilo. To dopiero wynik. – Znow ścisza moją dłoń. – A teraz przestań już o tym myśleć, bo nie zjesz kolacji, a pani Basia na pewno przygotowała nam coś pysznego. Prosiłam o placki z jabłkami i cynamonem.

– Ech... – Teraz to ja wzdycham ciężko, bo co jak co, ale placki naszej gosposi są najlepsze na świecie i już wiem, że nie skończy się na dwóch czy trzech, tylko co najmniej sześciu.

Dzieje się tak, jak przewidziałam. Wracamy do domu, a tam już na nas czekają. Magda rozpałała we wszystkich kominkach, nawet w głównym salonie, z którego ostatnio nikt nie korzysta, i w bibliotece. Zjadamy kolację, zaliczam aż siedem pachnących puszystych placuszków, oprószonych cukrem pudrem i cynamonem, a mama rozmawia z panią Basią o tym, co ma przygotować na niedzielne popołudnie, bo spodziewa się kilku przyjaciółek. Potem czas na relaks. Myślałam, że pójdę do siebie i dokończę książkę, jutro sobota i nie idę do szkoły, ale mama przypomina, że miała mi coś pokazać. Sadowimy się u niej. Sypialnia mamy, tak samo jak moja, prócz dużej garderoby ma jeszcze przylegający do niej salonik, a raczej buduar – tak właśnie mama określa ten pokój. Uwielbiam go. To

najładniejszy pokój w całej rezydencji, zaprojektowany według wskazówek mamy przez architektów, którzy urządzali cały nasz wielki dom.

– Siadaj. – Mama klepie miejsce na szezlongu, tuż przed kominkiem. – Zaraz coś zobaczysz. – Wraca szybko z drewnianą kasetką oklejoną muszelkami. – To prezent od twojego taty – informuje i siada przy mnie. – Dostałam ją, gdy Czarek pierwszy raz zabrał mnie nad morze.

– Jeszcze nie było mnie na świecie.

– Jeszcze długo nie.

Mama powoli podnosi wieko i pokazuje zawartość kasetki. Domyśliłam się, że to będą zdjęcia, bo cóż innego, ale od razu spostrzegam, że nigdy ich nie widziałam, i trochę mnie to dziwi. Dlaczego nie pokazała mi wcześniej tych fotografii? Nawet nie wspomniała, że je ma. Tata też nigdy nie mówił o tej pamiętce. Pytam, czemu ukrywała je przede mną.

– Nie ukrywałam ich. – Mama bezwiednie zagryza wargę. – Tak się złożyło.

– Raczej nie złożyło – mówię z lekkim wyrzutem. – Szkoda, że wcześniej nie mogłam ich pooglądać, kiedy żył tata. – Precyzuję. Biorę pierwsze z góry i przez chwilę patrzę na moich rodziców. Siedzą przy ognisku, ich radosne twarze rozświetla blask płomieni. Tata obejmuje mamę, a ona trzyma w ręku patyk z nabitą kiełbaską. Oboje mają na sobie wzorzyste swetry, mama w czarno-białą pepitkę, a tata w kolorowe romby.

– Śmieszne ciuchy. – Siłę się na wesoły ton, ale na widok taty wzruszenie ściska mi gardło.

– Taka była wtedy moda. To swetry z Turcji, Czarek je importował, jeśli można tak powiedzieć. Swetry i dżinsy. I katany, czyli kurtki dżinsowe – dodaje, jakbym nie wiedziała, co to katana.

– Wraca moda na romby – mówię, żeby nie było jej przykro.

– Gdyby nie te tureckie ciuchy, nie byłoby tego wszystkiego. – Przez chwilę rozgląda się wokół. – To pozwoliło chłopakom zgromadzić kapitał na start. Przecież obaj zaczynali od zera.

– Wiem.

Odkładam zdjęcie i biorę kolejne. Na większości są tata z mamą, czasami tylko mama albo oboje z jakimiś znajomymi.

– A gdzie Jacek? – pytam, bo wydaje mi się to dziwne, że na żadnym ze zdjęć nie ma jedyne go przyjaciela i współnika ojca. Odkąd pamiętam Jacek, choć niespokrewniony z nami, był dla nas kimś bliskim, prawie stale obecnym w życiu naszej rodziny. – Robił zdjęcia? – żartuję i spoglądam to na fotki, to na mamę.

– Jacek był na zdjęciach, ale...

– Ale co?

– Zabrał wszystkie. Kiedyś nie robiło się tylu zdjęć, co teraz. Film miał trzydzieści parę klatek, a odbitki dużo kosztowały. Jacek zabrał swoje fotografie, a ja i tata swoje.

– Aha – mruczę bez przekonania.

Przekrzywiam głowę. Patrzę na mamę i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że mnie okłamała. Już mam spytać: „Było was stać na wyjazd nad morze, a na odbitki nie?”, ale ostatecznie gryzę się w język. Nie chcę naciskać, równie dobrze mogła nie pokazywać mi tych zdjęć. Zwłaszcza dzisiaj, w dniu urodzin taty, a przecież doskonale pamiętam, jak hucznie obchodziliśmy je co roku.

– Coś ci powiem. – Mama poprawia się na siedzisku. Chrząka kilka razy i bezwiednie przeczesuje włosy. Ten gest też jest „mój”, odziedziczony właśnie po mamie. – Kiedyś, dawno temu, byłam z Jackiem. Chodziliśmy ze sobą.

– Co? – Otwieram szeroko oczy. – W sensie, że byliście parą?

– Tak. Jacek to mój pierwszy chłopak. Byliśmy razem prawie trzy lata.

– O! – Aż się odsuwam, żeby z odpowiednim dystansem przetrwać tę wiadomość.

Cokolwiek by mówić, Jacek jest naprawdę super, bardzo go lubię i w pewnym sensie jest mi prawie tak samo bliski jak mama czy tata, ale przecież jest taki... Aż mnie wzdryga, gdy pomyślę, że mama i on mogli być kiedyś razem. Nie wiem, dlaczego tak się czuję, chyba nie znam siebie

do końca, za to mama zna mnie doskonale i zauważyła, że mną trzepnęła ta wiadomość.

– Czemu cię to dziwi?

– On jest... – Odruchowo dotykam policzka, żeby upewnić się, że moja skóra jest gładka i bez skazy.

– W młodości cierpiał na trądzik. – Mama natychmiast się domyśla, co mam w głowie. – Bardzo mu dokuczał, ale wyszedł z tego, choć trochę śladów zostało. Kiedyś mi to przeszkadzało, ale teraz? Teraz nawet mi się podoba. Dodaje mu charakteru. Poza tym Jacek jest zadbanym facetem, nie możesz powiedzieć, że to brudas czy niechluj. Zawsze elegancko ubrany, wysportowany. Może się podobać.

– Może, pewnie, że tak, ale tata jest... był... – poprawiam się z niechęcią, lecz tak trzeba. Muszę wreszcie uświadomić sobie, że już go nie ma. – Tata był...

– Przystojny. Masz rację. Czarek był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego znałam. – Mama bierze do rąk jedno ze zdjęć i przez dłuższą chwilę zatrzymuje na nim wzrok. – Był nieziemsko przystojny, miał doskonałą sylwetkę, cudowny głos, nie zapominaj o głosie – podkreśla. – Niski, męski, dźwięczny. A jak śpiewał? – Rozmarza się. – Przecież słyszałaś, jak twój ojciec potrafił śpiewać. Siedział przy ognisku, grał na gitarze *Stairway to Heaven*, śpiewał i patrzył na mnie. Jak on na mnie patrzył. – Przełyka ślinę. – Wszystkie dziewczyny zazdrościły mi Czarka. Zawsze. Najpierw dziewczyny, potem kobiety.

– Ale kiedyś byłaś z Jackiem.

– Tak.

– Zostawiłaś go dla taty? Bo się w nim zakochałaś?

– Poznałam tatę po dwóch latach znajomości z Jackiem. Najpierw nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogę odejść, ale tak się nie dało. W końcu Jacek poprosił mnie o rozmowę, a ja nie mogłam kryć prawdziwych uczuć. Rozstaliśmy się, a kilka tygodni później zaczęłam oficjalnie spotykać się z Czarkiem.

– Jacek cię kochał?

- Bardzo.
- Ale on i tata... – Nie mogę pojąć, jak mogli się przyjaźnić, skoro jeden odebrał miłość drugiemu. – On nigdy się nie ożenił.
- Nie.
- Przez ciebie?
- Nie wiem.
- Ale ja wiem. Jacek nie mógł się zakochać w innej, dlatego nigdy się nie ożenił, a ty udajesz, że tego nie widzisz.
- Myślę, że sobie dopowiadasz.
- A co z tymi zdjęciami? – Wskazuję brodą na kasetkę. – Już wiem, czemu nie ma zdjęć Jacka. Pewnie je zabrał, gdy go rzuciłaś. Powiedz prawdę. – Jestem wkurzona, bo mama coś kryje przede mną. Ucieka wzrokiem, a jej dłonie lekko drżą.
- Masz rację. To on zabrał swoje zdjęcia i zerwał kontakt z nami na ponad rok.
- Ale potem mu przeszło?
- Minęło kilkanaście miesięcy i spotkaliśmy się znowu. To było w Turcji. Pojechałam z tatą po towar i ktoś nas okradł. Zabrał wszystkie pieniądze, które mieliśmy w hotelu. Nie zostało nawet na paliwo na powrót. Czarek dzwonił do Polski, do znajomych, ale nikt nie mógł nam pomóc, więc zadzwonił do Jacka, a ten, jak się okazało, też był wtedy w Turcji. Kilka godzin później przyjechał do nas, do hotelu, pożyczył nam pieniądze i tak jakoś... – Jej twarz rozjaśnia blady uśmiech. – Nawet nie wiesz, jaka byłam szczęśliwa, że się pogodzili. Gryzło mnie strasznie, że to ja rozwalłam ich przyjaźń.
- Dziękuję, że opowiedziałaś mi tę historię, choć prawdę mówiąc... – milknę na moment. – Jestem zaskoczona. Nigdy nie sądziłam, że ty i Jacek byliście razem.
- Ale dlaczego tak cię to dziwi?
- Nie wiem, może dlatego, że od zawsze byłaś z tatą – mówię niezbyt rozsądnie.
- Tak, to jest argument. – Mama przyciąga mnie do siebie i mocno tuli.

– Mamo... – zagajam, bo właśnie coś mi przyszło do głowy. Czemu wcześniej tego nie zauważyłam? – Jacek w ogóle nas nie odwiedza.

– Wiem.

– Bo? – Spoglądam na nią.

– Chyba uznał, że powinien dać nam trochę czasu, a może sam też go potrzebuje?

– Musimy go zaprosić. Kiedyś prawie z nami mieszkał, był tu codziennie.

– Prawie codziennie – precyzuje mama.

– Częściej niż tata – mówię i przelkam gulę, która nagle pojawiła się w gardle.

Żałuję, że tak było. To tata wziął na siebie niezliczone wyjazdy i podróże służbowe po całym świecie, a jego współnik siedział w Warszawie. Teraz myślę, że to głupie. Tata miał nas, mamę i mnie, a Jacek jest sam, nikogo nie zostawiał w domu, nikt na niego nie czekał, chyba mógł poświęcić się dla przyjaciela? Czuję złość. Narasta we mnie gniew, bo przez niego straciłam cenne chwile, które mogłam spędzić z tatą. I wtedy mama dolewa oliwy do ognia, pytając, czy możemy zaprosić Jacka na święta.

– Nie. Po co? – obruszam się od razu. – Nigdy nie był u nas w czasie świąt. Przecież zawsze jeździ do swojej rodziny, do Kielc – przypominam jej.

– W tym roku zostaje w mieście.

– To niech sobie zostaje, co mnie to obchodzi. – Wzruszam ramionami. Biorę zdjęcie, to pierwsze, na którym są moi rodzice, i patrzę na nie. – Niepotrzebny nam ktoś trzeci.

– Dobrze. Powiem Jackowi, że nie jest tu mile widziany.

Najpierw uderza mnie ton głosu mamy. Jest taki dziwny, nie pasuje do niej. Obraziła się? Nie wierzę. Patrzę na nią i nie wierzę, że mogła się obrazić z takiego powodu. I nagle uświadamiam sobie coś jeszcze. Musieli już o tym rozmawiać. O świętach. Które z nich zaproponowało wspólne święta? Oby Jacek, bo nie wybaczyłabym tego mamie. Przecież jest wdową! Tata zmarł pół roku temu, a ona już chce się pocieszyć? Wrócić do starego chłopaka?!

- Powiedz. Na razie nie chcę, żeby tu przychodził.
 - W porządku. Myślałam, że chcesz, sama mówiłaś, że ci go brakuje.
 - Nie mówiłam tak. Mówiłam, że kiedyś był tu codziennie.
 - I że musimy go zaprosić.
 - Zmieniłam zdanie. Chyba mogę?
 - Możesz. Milenko, to wszystko jest dla ciebie trudne. – Zauważam łzy w kącikach oczu mamy. – Dla mnie też. Chciałam... – Spuszcza wzrok na kasetkę trzymaną na kolanach. – Może to nie był dobry pomysł.
 - Jaki?
 - Pokazać ci te zdjęcia.
 - To był bardzo dobry pomysł.
 - A może chcesz je zachować, zabrać do siebie, do pokoju?
 - Nie. Mogą zostać u ciebie. Powinny. To twój mąż – oznajmiam twardo.
- Mama bez słowa wkłada zdjęcia do kasetki, opuszcza wieko i patrzy na mnie pytająco.
- Dziękuję, że mogłam je zobaczyć. – Próbuję nieco ocieplić nastrój.
 - To ja dziękuję – odpowiada po chwili. Wynosi kasetkę do sypialni, a gdy wraca, staje przy kominku i bez słowa wpatruje się w płonące szczapy.
 - Czarek był jak ogień. Gorący, nieokiełznany... Powinnam była bardziej uważać.
 - Na co?
 - Żeby się nie sparzyć. – Mama odwraca się, żeby móc spojrzeć mi w oczy. – Ale dawał ciepło. Bardzo mi tego brakuje – mówi cicho, niemalże szepcze.
- Wstaję i podchodzę do niej, żeby się przytulić.
- Mnie też, mamusiu.

PAULA



Tu się nie da po ludzku wyglądać. W sklepach same najtańsze farby, takie po dyszce za pudełko. Strach położyć to na głowę. Kosmetyczki brak, zbankrutowała przez covid. Fryzjerka przetrwała pandemię, ale boję się tam pójść, zważywszy na fryzury, które dumnie prezentują mieszkanki Grabówka. Ociepliło się, więc berety oraz czapki poszły w kąć i zaczął się festiwal dziwnych pomysłów. Moja faworytka to „polska pantera”. Krótko obcięte włosy, kilka centymetrów, nie więcej niż pięć, a na nich blond pasemka. Z daleka wypisz wymaluj ciapki jak u pantery.

Wiem, jestem wredna. Wredna, wyobcowana, chamska – zwłaszcza dla inkasenta, który uparcie przynosi mi wydrukowane faktury mimo ciągłych próśb, żeby wysyłać je pocztą na firmowy adres, nietowarzyska, bo nikomu nie mówię „dzień dobry”, nadęta i niemiła, ponieważ nigdy się nie uśmiecham, i jeszcze raz wredna, bo nie korzystam z karty płatniczej, płacę gotówką i zawsze czekam na resztę. Nawet jeśli to marne grosze. „Pieniądze trzeba szanować” – tak zawsze mówił tata. Więc szanuję.

A teraz zamierzam jakieś zarobić.

Właśnie dlatego jadę do pobliskiego miasteczka, żeby zaopatrzyć się w dobre kosmetyki. Kupuję kilka opakowań porządnej czarnej farby do włosów oraz hennę. Mieli nawet tę profesjonalną, pudrową. Jestem uratowana. Znów będę wyglądać jak człowiek. Wracam, obładowana

zakupami. Maszeruję po lewej stronie jezdni, mimo że chodnik jest wyłącznie po drugiej.

Ledwie zamieszkałam w Grabówku, a dostałam nauczkę, jak kończy się paradowanie po chodniku. Coś poszło nie tak z poziomem jezdni i wzdłuż krawężnika zbiera się woda. Kiedy jakiś debil za szybko jedzie, urządza kąpiel przechodniom. Taką od stóp do głów, a dokładnie od majtek po włosy. Dwa razy czyścili mój piękny biały kożuszek w pralni chemicznej w Bielsku. Niestety, plamy nie zeszły i kożuch, ozdobiony ręcznym haftem, nadaje się do wyrzucenia lub „do pola” – jak mówią tutaj o odzieży, w której można pracować na zewnątrz.

Często podsłuchuję tubylców. Staję przy regale, biorę pierwszy lepszy makaron albo słoik dżemu i udaję, że czytam etykietę, a tak naprawdę podsłuchuję, o czym gadają. Z reguły moimi ofiarami są kobiety. Ich rozmowy nie różnią się prawie niczym. Dom, dzieci, czasami praca, jakieś kłopoty i oczywiście ploty! O tak, specjalizują się w plotkach. Zastępują im Facebook, Twitter i Instagram razem wzięte. Właśnie tak dowiedziałam się o pracy. I właśnie dlatego musiałam kupić farbę, bo mam prawie czterocentymetrowe odrosty i okropnie to wygląda. Jakbym położyła sporą mysz na przedziałku.

Z ulgą wchodzę do domu, zamykam drzwi, zzuwam przemoczone kozaki, zdejmuję kurtkę i czapkę, z obrzydzeniem patrzę na swoją białą gębę i to coś, co mam na głowie, biorę głęboki wdech, bo naprawdę nie ma na co patrzeć, idę do kuchni, nastawiam czajnik, żeby zagotować wodę, wydaję z reklamówki zupkę vifon, kruszę makaron do miski, bezmyślnie czekam na pstryknięcie czajnika, zalewam makaron, wydaję czystą łyżkę ze zmywarki, idę do salonu, siadam, włączam telewizor i od razu ściszam głos, bo wystarczy sam obraz, dmucham na zupę, ale i tak parzy, jem, patrzę na jakiś film, jem, dmucham, parzę się w język.

Myślę. Nie mam żadnego szczególnego powodu, żeby tu być, nikogo nie znam, z nikim się nie umówiłam. Będę tu siedzieć, jak długo zechcę. Sama decyduję o tym, co i jak zrobię. Znów mogę zapanować nad swoim życiem. Mogę? Nie wyłączyłam telefonu, bo nikt nie zadzwoni. Mija godzina.

Siedzę z pustą miską w dłoniach i gapię się w ekran. Śpię z otwartymi oczami. Dopiero jakieś krzyki za oknem budzą mnie ze snu. Co teraz? Miałam zafarbować włosy. No tak. Czy umiem? To się okaże.

Odnoszę miskę do kuchni, zabieram z pokoju laptop, wchodzę na YouTube'a i szukam filmu z odpowiednim instruktazem. Zabieg wydaje się dosyć łatwy. Przygotowuję wszystkie potrzebne akcesoria, no prawie wszystkie, bo nie mogę znaleźć grzebienia, a zamiast specjalnego pędzelka do mieszania i nakładania farby muszę użyć szczoteczki do zębów, ale to mnie nie zraża. Nakładam śmierdzącą paćkę na włosy, ustawiam stoper, żeby nie przegapić odpowiedniego czasu, i zabieram się do odpisywania na maile. Nie jest ich dużo, zaledwie osiem, więc szybko załatwiam sprawę. Potem czas na pocztę tradycyjną. Otwieram wielkie pudło, które rano przywiózł kurier. Skądinąd nie mogę oprzeć się wrażeniu, że z tygodnia na tydzień dostaję coraz więcej dokumentów do podpisu. Gdy kończę, nie czuję prawej dłoni. Obiecuję sobie od dawna, że zacznę to czytać, choćby nagłówki, a kończy się jak zwykle. Nie mam pojęcia na czym złożyłam pięćdziesiąt, a może i więcej, autografów i parafek.

Stoper przypomina, że czas zmyć farbę. Idę do łazienki, ciekawa efektów. Staję przed lustrem i zauważam, że mam brudny policzek. Co najgorsze, to cholerstwo nie chce się zmyć. Trudno, pomyślę o tym później. Spłukuję włosy, farba dostaje się do oka, szczypie okropnie, po omacku biorę szampon, okazuje się, że to balsam do ciała. Ech... Kwadrans później mogę podziwiać swoje dzieło. Mysz zniknęła. Znow jestem brunetką od cebulek po koniuszki włosów. Jestem brunetką również na czole i obojgu uszach. Płyn micelarny jest bez szans. Podobnie mydło, szampon, a nawet ocet – szukałam ratunku u wujka Google. Mleczko do szorowania sanitariatów? Strzał w dziesiątkę! Cif z wybielaczem daje radę, teraz tylko modlić się, żeby skóra nie zlazła. Suszę włosy, modeluję, nakładam krem na spierzchniętą skórę na czole i cienką warstwę podkładu BB. Może być. Od biedy. Zresztą nikt nie będzie się przyglądał kandydatce na pracownika fizycznego. Mam być zdrowa, silna i pełna zapału. Wystarczy.

Boję się, że gdy będę dalej zwlekać, ktoś mnie ubiegnie. Dlatego nazajutrz wstaję o siódmej, znów myję włosy i układam, robię makijaż i wychodzę z domu. Na razie z zapachu nici. Nadziei i wiary, że mi się spodoba, też nie mam. Zresztą po co nadzieja i wiara, skoro nie mam pewności, że dostanę tę pracę? Co najgorsze, nie wiem, gdzie na mnie czeka (lub nie czeka), bo moje mimowolne informatorki wspomniały jedynie o pałacu. Staję na chodniku przed domem i się rozglądam. Ależ jestem głupia. Liczę, że pałac nadjedzie drogą i zaprosi mnie do środka? A może poszukać w necie? To jest pomysł. Wyjmuję z torebki telefon i wstukuję w wyszukiwarkę „pałac w Grabówku”. Zero wyników. Pięknie.

Już mam wrócić do domu, gdy u szczytu uliczki widzę jakąś starszą panią. Powoli jedzie na rowerze, a ja myślę, jak ją zaczepić. Chwilę później maszeruję dziarsko w stronę słońca. Miałam szczęście. Starsza pani wiedziała, gdzie jest pałac, wskazała drogę i nawet spytała, po co tam idę, a gdy odpowiedziałam, że złożyć podanie o pracę, dziwnie się uśmiechnęła i życzyła powodzenia.

Co najlepsze, pałac jest bardzo blisko. Dziesięć minut spacerkiem. Cóż. Jedyne okolice, jakie eksplorowałam przez pierwsze dwa miesiące, to centrum Grabówka i ulica, przy której stoi mój dom. Nie zapuszczałam się dalej, bo na zewnątrz było paskudnie. Tak właściwie teraz też jest paskudnie. Nie lubię marca. Kwietnia też. Czy ja w ogóle lubię jakąś porę roku? Kiedyś lubiłam wszystkie. Każda miała swój urok. Wiosna, bo wtedy wszystko jest nowe i świeże, lato – wiadomo – wakacje, jesień też lubiłam, wracało się do szkoły, a popołudniami chodziłyśmy z mamą na spacer. A zima? Uwielbiałam zimę, najbardziej grudzień. Teraz nie liczę czasu, nie patrzę na dni. Równie dobrze ktoś może wymyślić trzynasty miesiąc, pechowy. I piątą porę roku.

Dla mnie bez różnicy.

MILENA



Bałam się świąt. To taki czas, gdy wszystko staje się intensywniejsze, zwłaszcza uczucia, również smutek, żal, tęsknota, pustka, a tych miałyśmy z mamą o wiele za dużo, nawet bez świąt.

Dwa dni przed Wigilią przyjeżdża babcia Bernadetta. Mama taty jest specyficznym człowiekiem, potrafi wkurzyć, ale rozbawić też umie. Babcia mówi o sobie „Moherowa Beretka” albo w skrócie Berka. „Berka, ty niezdaro...” – strofuje się, gdy coś jej nie wyjdzie. Na szczęście pochwalić samą siebie też potrafi, w przeciwnym wypadku byłaby nie do zniesienia.

Więc bałam się świąt, a mama jeszcze bardziej. Pierwsze święta bez bliskiej osoby są koszmarne. Nasze były okropne, ale nie przez brak taty, ale chorobę, i muszę powiedzieć, że ten koszmar okazał się znacznie łatwiejszy do przetrwania. Zaczęło się nazajutrz po przyjeździe babci niewinnym katarem i pokasływaniem. Mama rozchorowała się dzień po mnie. Obie przeleżałyśmy całe święta, trawione wysoką gorączką, która nie poddawała się nawet po pyralginie. Mama wezwała lekarza, ale nasza domowa pani doktor – babcia Berka – też chciała się wykazać. Pojechała z panem Józefem do miasta, nakupiła specyfików i z lubością katowała nas wytworami w rodzaju syropu z cebuli. Ja leżałam w swojej sypialni, a mama w swojej. Babcia biegała między nami, serwując cytrynowe krople i nacierając nasze dygoczące ciała cuchnącymi maściami.

– Czarus zadbał, żebym nie miała czasu o nim myśleć – sapie, masując moje plecy. – Dobry dzieciak z niego, nawet po śmierci troszczy się o starą matkę i daje jej zajęcie. Co byście beze mnie zrobiły? No powiedz, Milka.

– Nie mów tak do mnie. Mam na imię Milena.

– Czemu się obrażasz?

– Nie obrażam. Nie lubię tego zdrobnienia.

– Kiedyś lubiłaś, Czarus zawsze tak do ciebie mówił.

– Właśnie dlatego nie lubię.

Okłamałam babcie. Nie dlatego go nie lubię, nie przez tatę, ale przez fioletową krowę. Nie chcę być taka jak ona: wielka, potężna, zwalista – prawdziwa krowa. Nie. Dawniej mi to nie przeszkadzało, wydawało się ładne i słodkie, gdy tata mówił: „moja ukochana córeczka Milka”, i często wyciągał z kieszeni marynarki czekoladkę albo batona. Teraz przeszkadza. Szóstka na początku? Śmiechu warte. Owszem, jest szóstka, ale za nią nie ma zera czy jedyńki, ale dziewiątka.

Jestem gruba.

– Już nie będę do ciebie mówić Milka.

– Dziękuję.

– No i powiedz, jak byście sobie poradziły? Święta są, wasza kucharka ma wolne, a te dwie młode siksy to nawet ziemniaków nie ugotują. – Babcia nie ma dobrego zdania o naszej służbie.

Ledwie znosi pana Józka, za panią Basią nie przepada, Kingi nie znosi, bo się wymądrza, a Magdę i Joasię traktuje jak zło konieczne, więc gdy wszyscy wracają zaraz po świętach, nadyma się i oświadcza, że już nie jest potrzebna i czas na nią. „Niech babcia da spokój...” – tylko na to stać moją mamę, gdy słyszy jej słowa. Babcia zostaje aż do Sylwestra, tak właśnie postanawia. W przeddzień Nowego Roku czujemy się już znacznie lepiej, więc urządzamy małe przyjęcie. Tylko my trzy, reprezentantki trzech pokoleń. Idziemy spać zaraz po północy, a nazajutrz wstajemy bardzo późno, na tyle późno, by zjeść śniadanie przy akompaniamencie wiedeńskich filharmoników.

– A co z Jankiem? – pyta mama. – Nie pamiętam, kiedy tu był ostatnio.

– Pojechał z rodzicami na wczasy. Jak wróca, ma do mnie wpaść.

– A kto to Janek? – Babcia spogląda na nas zza grubych szkieł.

– Chłopak Milenki.

– O, masz chłopca? Czemu ja o tym nie wiem?

– Już wiesz – kwituję, sięgając po cukierniczkę.

Słodzę herbatę i długo mieszam bez słowa. Bo co tu mówić? Spotykam się z Jaśkiem od września, to bardzo luźna znajomość. Gdyby taka nie była, mój chłopak odwiedziłby mnie choć raz w czasie świąt, a nie wyjechał z rodzicami na Seszele czy inne Malediwy.

– Co to za jeden? – Babcia nie odpuszcza i wlepia we mnie uważne spojrzenie. – Ma jakieś nazwisko?

– Potocki.

– Potocki? To jakaś arystokracja?

– Można tak powiedzieć – odzywa się mama. – Bardzo miły chłopak. Rok starszy od Milenki, jest na pierwszym roku studiów. Grzeczny, ułożony, rodzice nieźle sytuowani – informuje.

– Cudownie! – Babcia klaszcze w dłonie. Jej pełna twarz aż lśni szczęściem. – Czemu wcześniej nie powiedziałyście?

– Nie pytałaś.

– Teraz pytam. Zdam go poznać?

– Raczej nie. Wyjechał z rodzicami i rodzeństwem na wczasy. Wraca dopiero po święcie Trzech Króli.

– Co ma wisieć, nie utonie. Kiedyś go poznam osobiście, a na razie pokaż mi zdjęcie tego młodzieńca. Na pewno masz jakieś.

– Jakież mam.

Z ociąganiem wstaję od stołu i idę po smartfon. Tylko na nim mam kilka zdjęć z Jaśkiem. Nie lubię się afiszować, więc jest ich niewiele. Jasiek podobnie, też nie przepada, kiedy ktoś wsadza nos w jego prywatne życie, choć ma to szczęście, że brukowce w ogóle nie interesują się jego rodziną. Nie powinien narzekać, bo nikt za nim nie łązi, nie robi mu zdjęć w najmniej odpowiednim momencie i nie próbuje wspinać się na ogrodzenie,

żeby cyknać fotę jak jedyna córka znanego miliardera wałęsa się po ogrodzie w wymiętych szortach i biustonoszu. Zazdroszczę mu tego.

A tak w ogóle to może się boi związku ze mną? Gdy wyjdzie na jaw, że się spotykamy, fotoreporterzy uprzykrzą mu życie, jak mnie i mamie. Tak sędzę. Jasiak ma poważne podstawy, żeby się bać. Notka o tym, że jedna z najbogatszych Polek ma chłopaka, na pewno wzbudziłyby sensację. Już widzę te urocze artykuły na Pudelku i podobnych stronach. I komentarze. Obrzydliwe, straszne, pełne nienawiści i jadu. Co złego zrobiłam tym wszystkim ludziom, że tak mnie nienawidzą? Nie potrafię zrozumieć. Nie uszanowali nawet żałoby. Ech, nie chcę o tym myśleć. Nie. Dość.

Przysiadam obok babci i podaję jej telefon. Przez dłuższą chwilę badawczo się przygląda.

– Przystojniak. Chudy trochę, chyba za chudy dla ciebie? – Na moment odwraca wzrok od zdjęć, żeby mnie otaksować. Czuję, że jeszcze chwila i wyrwę jej telefon z rąk. – Ale nie martw się, każdy kawaler po ślubie przybywa. Na wadze – dodaje, jakbym była idiotką i nie zrozumiała dowcipu. – Opierzy się.

– Mamo...

– No co? – Babcia przenosi wzrok na mamę.

– Dałaby mama spokój.

– Przewrażliwione jesteście. Obie – fuka pod nosem i wraca do podziwiania potencjalnego kandydata na mojego męża. – Czarny taki, ładnie. Podobny trochę do Czarusia. Też ma kędzierzawe włosy, ale oczy niebiesciutkie jak niezapominajki. No ładny ten twój chłopak. Nie masz się czego wstydzić. I nazwisko porządne, nie jakiś tam Bauer czy Słonina, tylko polskie i szlacheckie. Ładnie.

Trochę mi przechodzi, gdy babcia z niekłamanym zachwytem wyraża się o Jaśku. Nie wiem, czy coś nam wyjdzie, bo na razie spotykamy się rzadko, a nasze randki są krótkie i drętwe, ale są. Czasami dostaję wiadomość na Messengerze, Jasiak dzwoni co parę dni, przez kilka minut referuje, co robił, opowiada, jak nurkował lub się wspinał. Ot, niezobowiązujące opowiadki, nic bliskiego, intymnego. Może jest taki? Powściągliwy?

Mówi, że jego rodzice są strasznie religijni. Kto w dzisiejszych czasach modli się przed każdym posiłkiem i po nim? Nawet w restauracji. A jego rodzina się modli. Spytałam, jak to robią, czy klęczą, a może stoją wokół stołu i głośno odmawiają dziękczynienie? Powiedział, że nie. Siedzą i trzymają się za ręce, a głowa rodziny, czyli tata Jaśka, odmawia krótką modlitwę. Dla mnie to dziwne. Chyba nie chciałabym w tym uczestniczyć, a już na pewno nie w restauracji.

– Ile ma lat?

– Jest rok starszy od Mileny – mówi mama. – Studiuje.

Potwierdzam.

– Co studiuje?

– Architekturę. Jego rodzina ma kilka biur architektonicznych, rozsianych po całym świecie. W Szwajcarii i Kanadzie, a ostatnio otworzyli kolejne, w Dubaju.

– Dobra partia, ale nie tak dobra jak Milka – oznajmia babcia. W jej głosie brzmi wielkie zadowolenie i satysfakcja. – Nie słyszałam nigdy w telewizji o tej rodzinie, więc daleko im do nas. To się chłopakowi udało, że nasza Milka zwróciła na niego uwagę! Jak wygrana na loterii! – Błyska zębami.

Miło popatrzeć na jej uśmiech. Ma nowe, porządne i trwałe zęby, a co ważne – białe, nie złote, jak jeszcze kilka lat temu. Tata długo namawiał babcie do zmiany. Dopiero argument, że złote zęby kojarzą się z „Ruskimi”, podziałał. Wybaczam jej nawet tę nieszczęsną Milkę, gdy widzę, jaka jest ze mnie dumna, a raczej z taty, bo przecież to on doszedł do wielkich pieniędzy, którymi teraz możemy się cieszyć. To tata i Jacek zbudowali naszą fortunę. „Od zera do miliardera” – tak zawsze mówił.

Za pół roku, na początku lipca, gdy stanę się pełnoletnia, połowa tej fortuny będzie w moich rękach. Tata wskazał mnie w testamencie jako jedyną spadkobierczynię. Ufał mi, skoro uznał, że osiemnastolatka będzie w stanie go zastąpić. Na razie wszystkim zawiaduje mama, ale tymczasowo. Za każdym razem, kiedy o tym myślę, chce mi się płakać. Wspaniale, gdy rodzice doceniają dziecko i nie mają go za kogoś głupszego

od siebie tylko dlatego, że jest młodsze i nie ma doświadczenia. Wiem, jakie mam obowiązki. Mam się dobrze uczyć, zdobyć wyższe wykształcenie, ale nie ograniczać się tylko do nauki. Tata chciał, żebym po skończeniu liceum zaczęła pracować w firmie. Miałam zostać jego asystentką. Los zdecydował inaczej, mimo to próbuję uwierzyć, że go nie zawiodę.

– A skąd się znacie? – Babcia oddaje mi telefon.

– Ze szkoły – odpowiada mama. – Chodzili razem do liceum.

– I dopiero teraz się spiknęli? Przecież on już się tam nie uczy.

– Co roku we wrześniu władze szkoły organizują bal dla wszystkich. Dla aktualnych uczniów i dla absolwentów – wyjaśnia oględnie mama.

– Och, to chyba dużo was bywa na tych balach?

– Niedużo. W klasie jest nas ośmioro, w całej szkole dwadzieścia dwie osoby. – Przypominam babci, że moje liceum to najbardziej elitarna szkoła w całej Warszawie.

W zasadzie nasza szkoła znajduje się w Aninie, całkiem blisko, jakieś pięć minut jazdy samochodem. Mieści się w przepięknej przedwojennej willi, oczywiście odnowionej i pilnie strzeżonej przez kilkunastu ochroniarzy. To bardzo droga szkoła, wysokość czesnego przyprawia o zawrót głowy, ale warto się tam znaleźć. Tak myślę.

Jeszcze chwilę obgadujemy Jaśka, a potem mama prosi nas o pomoc. Jak zwykle dostaliśmy mnóstwo kartek, życzeń i zaproszeń na niezliczone rauty i przyjęcia, choć trzeba przyznać, że i tak mniej niż w ubiegłym roku. Pewnie ze względu na wdowieństwo mamy. Odpisujemy obie, ale podpisy składa tylko mama. Schodzi nam do popołudnia, potem zjadamy obiad i idziemy na krótki spacer po parku. Babcia uznała, że odrobina świeżego powietrza nam nie zaszkodzi. Mamy ten luksus, że nie musimy jechać gdzieś daleko, żeby w spokoju przechadzać się zaśnieżonymi ścieżkami, patrzeć na gałązki świerków i jodeł uginające się pod ciężarem białego puchu i podziwiać, jak śnieg skrzy się niczym brokat w słonecznym świetle. Tata prócz działki, na której stoi rezydencja, dokupił kilka hektarów pól uprawnych oraz niewielki las. Te grunty przylegały bezpośrednio do

posesji, więc wystarczyło je ogrodzić i zagospodarować. Zdecydował, że będziemy mieli swój własny park. Wprawdzie większość z niedawno posadzonych drzew i krzewów nie zdążyła jeszcze urosnąć, ale kilkanaście z nich prezentuje się całkiem okazale, bo zostały przeniesione z zagajnika lub kupione w firmie ogrodniczej specjalizującej się w sprzedaży wyrosniętych okazów. Mama pokazuje je babci, a ta wygłasza, że gdy ma się pieniądze, można kupić wszystko. Nawet trzydziestoletnie drzewa.

– Cudownie tu, prawie jak u nas, na wsi – mówi. Z naszych ust przy każdym oddechu buchają kłęby pary, więc zarządza odwrót. – Nie można przesadzać, jesteście świeżo po chorobie.

Spędzamy miły leniwy wieczór, urozmaicony oglądaniem prezentów. Podobnie mijają kolejne dni i w końcu babcia wraca do domu, a my zostajemy same. Mama stwierdza: „Tym razem nasza Beretka tak długo się zasiedziała, że aż mi jej brakuje”. Czuję podobnie. Pusto bez babci i choć czasami potrafi powiedzieć coś zupełnie bez sensu, a jej ciągła gadanina i dyrygowanie wszystkimi, włącznie z panią Basią i panem Józkiem, może wkurzać, ale i tak wołałabym, żeby posiedziała u nas jeszcze trochę. To zaskakujące, bo pierwszy raz tak myślę. Może w jakimś stopniu zapełnia pustkę po tacie? Przecież to jego mama, ktoś bardzo bliski. Trochę szkoda, że nie chce się przeprowadzić do Anina. Woli swoją małą wioskę pod Kielcami i chociaż tata nie raz i nie dwa zagadywał, czy babcia nie wołałaby mieszkać z nami, zawsze odmawiała. „Nie przesadza się starych drzew” – to jedno z jej ulubionych powiedzonek.

Żałuję, że nie przypomniałam sobie o nim, gdy spacerowałyśmy po parku. Powiedziałabym babci, że nie ma racji – można przesadzić stare drzewo, tylko trzeba wiedzieć jak.

PAULA



Dostałam pracę w pałacu, choć nie od razu. Najpierw musiałam zmierzyć się z Markiem Wąsikiem. To tutejszy kierownik. Człowiek od wszystkiego, jak sam się określił. Wszystko było dobrze, póki nie powiedziałam, że nie chcę żadnej umowy...

Siedzimy u niego w biurze, on w fotelu, ja na niewygodnym krześle. Już zdążyłam się przedstawić, powiedzieć, ile mam lat i gdzie mieszkam, pochwalić kwalifikacjami i doświadczeniem, czyli wyznać prawdę, że skończyłam liceum ogólnokształcące i to całe moje wykształcenie, oraz napomknąć, że nie boję się żadnej pracy, również fizycznej.

– Jak to bez umowy?

– Normalnie. Na czarno.

– Chcesz pracować na czarno?

– Tak.

– A dlaczego, jeśli wolno spytać? – Świdruje mnie swoimi małymi oczkami. Są małe i ledwie je widać, ponieważ mister Wąsik jest dosyć pulchny. I to tak brzydko pulchny. Kształtem przypomina kulę.

– Mam swoje powody.

Poprawiam się na krześle. Jest okropnie niewygodne. Zresztą ogólnie czuję się tu bardzo niekomfortowo. Raz, że boję się reakcji Wąsika, a dwa – przeszkadza mi zapach. Ten człowiek musiał wylać na siebie wiaderko perfum. Aż szczypie w oczy.

– Czyżby sprawa komornicza? – Serwuje mi lisi uśmiezek.

– Nie. Żadna sprawa komornicza.

– Więc co?

– Dostaję rentę i nie chcę jej stracić.

Trudno, musiałam coś wymyślić, a renta wydała mi się najmniej podejrzana.

– A po kim?

– Nie chcę o tym rozmawiać. To dla mnie bardzo przykra sytuacja i świeża. – Pociągam nosem. A nuż ma miękkie serce i nie będzie dopytywał.

– No dobrze. Skoro tak... – chrząka. – Niech będzie na czarno, ale... – Podnosi wskazujący palec. – Proszę się jeszcze nie cieszyć. Muszę zapytać przełożonego.

– Dobrze, poczekam.

– Napisz tutaj numer do siebie. – Przesuwa w moją stronę blok z karteczkami. – Od razu mówię, że „na czarno” nie znaczy więcej kasy, bo bez podatków i zusów.

– To zrozumiałe. – Zapisuję numer telefonu i imię. – Będę wdzięczna, gdy da mi pan tę pracę.

– Na wdzięczność przyjdzie czas. – Tym razem mam okazję podziwiać całe uzębienie Wąsika i nie wzbudza to we mnie zachwyty. Oj, nie.

Pobieżnie przedstawia, co mogłabym robić, wymienia stawkę, czyli ustawową minimalną za godzinę, burczy, że to dużo za dużo, ale „co począć”, i oznajmia, że w zeszły poniedziałek dał ogłoszenie o wakacie i jeszcze zgłaszają się kandydatki, bo tutaj, na wsi, roboty „ni ma i nie będzie”. Dlatego muszę cierpliwie poczekać, aż zakończy rozmowy kwalifikacyjne z wszystkimi chętnymi.

Co za idiota, aż mi słabo. Przysięgam.

Mijają dwa tygodnie, już straciłam nadzieję, że ktoś do mnie zadzwoni i proszę, jaka niespodzianka? Jednak mam tę pracę! Czuję dumę, bo zrealizowałam część planu. I to jedną z trudniejszych. Zgłaszam się w poniedziałek. Pięć minut przed ósmą wkraczam do budynku, gdzie już czeka na mnie Dorota. Wychodzimy na zewnątrz, bo dzisiaj mam pracować

w ogrodzie. Dorota to moja bezpośrednia przełożona, szefowa takich jak ja, czyli zwykłych pracowników fizycznych, bez „specjalistycznych kwalifikacji”. Rzeczywiście nie mam żadnego przygotowania do pracy w ogrodzie czy przy sprzątaniu, więc ją ostrzegam, żeby nie oczekiwała po mnie zbyt wiele, a ona parska śmiechem, po czym zapewnia, że to, co potrzebne, czyli młodość i zdrowie, mam na pewno.

– Powiedz mi dokładnie, co mam robić. Nie chciałabym zawalić pierwszego dnia.

– Mówiłam. Liście trzeba zebrać, spakować i zanieść do kompostowników – tłumaczy, gdy zmierzamy żwirowaną ścieżką do oddalonej części parku, gdzie mam porządkować trawnik po zimie.

Podpytuję ją o detale, a ona ciągle powtarza, że wyjaśni mi wszystko na miejscu. Na szczęście właśnie tam docieramy i Dorota może wreszcie pokazać mi dokładnie, co mam robić dzisiaj, jutro i pojutrze. Uznała, że trzy dni powinny wystarczyć na zebranie przegniłych liści z trawników. Podchodzimy do małej komórki, gdzie są narzędzia, dostaję grabie, worki, sznurek i poradę, że przy transporcie liści mogę skorzystać z wózka.

Zostaję sama. Dorota ma przyjść w połowie dniówki, sprawdzić, jak mi idzie. Trochę żałuję, że nie wzięłam słuchawek. Włączyłabym jakąś stację radiową, a tak muszę pracować w ciszy. Jutro się przygotowuję. Na pewno założę wygodniejsze spodnie, bo te ciągle zsuwają się z tyłka. I zepnę włosy albo obwiążę chustką. Pracuję, schylona, a długa grzywka przeszkadza, co chwilę zakładam ją za ucho, ale siedzi tam kilka sekund i znów łaskocze w twarz i wchodzi w oczy.

Po godzinie jest mi gorąco jak na plaży. Spociłam się, więc zrzucam kurtkę. Ale jest plus. Mam mokre włosy i już nie łaskoczą. Tkwią grzecznie za uchem. Dobrze i to. Po kolejnej godzinie zaczyna mnie boleć kręgosłup. Na to raczej nie ma rady i będzie coraz gorzej, ale się nie poddaję. Grabię liście, pakuję do worków i starannie ugniatam, żeby zmieściło się jak najwięcej. Co pewien czas spoglądam z zadowoleniem na oczyszczony trawnik. Przed dwunastą odwiedza mnie Dorota. Kiwa głową, gdy widzi efekty. Nie wiem, czy z politowaniem, czy z podziwem.

– Ładnie. Jesteś bardzo dokładna. Dobrze. – Zagadka się rozwiązuje. – Teraz tylko popracuj nad tempem i będzie doskonale.

„Nad tempem? Ech...” – myślę. Wyciskam z siebie siódme poty, a ta mówi, że mam szybciej zasuwać?

– Tak się nie da. Albo dokładnie, albo szybko – oponuję, trochę urażona jej krytyką.

– Da się. Wszystko się da, zobaczysz. Masz piętnaście minut przerwy. Zjedz coś, a jak chcesz ciepłą herbatę, w komórce jest czajnik elektryczny.

– Wskazuje brodą na budynek. – Woda też jest, w butelkach. Powinna tam być jeszcze jedna pełna.

– Aha. – Cóż. Nie wzięłam nic z domu, nawet batonika. Gdy powiedziała o jedzeniu, od razu zaburczało mi w brzuchu. – A herbata i cukier są?

– Ee... – Z rozbawieniem unosi brwi. – Tak dobrze nie ma. To nie kawiarnia, tylko schowek na narzędzia. Dobrze, że prąd jest.

– Moim zdaniem pracownikom należą się ciepłe napoje. Zwłaszcza jak jest zimno, a pracuje się na zewnątrz – mówię. – A w lecie chłodne. Oczywiście za darmo. Przecież do powinności pracodawcy należy zapewnienie personelowi takich napojów.

– Powinności pracodawcy? – Dorota wybałusza oczy.

Nagle dociera do mnie, że popełniłam straszny błąd. I nie chodzi o moje wymagania czy stawianie żądań, tylko o sposób przekazu.

– Uważam, że powinnam dostać za darmo picie. – Próbuję nieco zatrzeć wrażenie, jakie wywarły moje słowa.

– Nie wiem, skąd cię przywiało i co ukrywasz, bo w plotki się nie bawię, ale jedzie mi tu czołg – naciąga dolną powiekę oka – jak ty ze wsi jesteś. Nikomu do życia nie zaglądam, ale swoje wiem. – Wyciąga rękę, żeby chwycić moją prawą dłoń. Odwraca ją i patrzy na cztery czerwone pęcherze. – Załóż jutro rękawiczki. Dobrze ci radzę.

– Wezmę jakieś. Dziękuję.

Czuję panikę, że jeszcze chwila i Dorota odkryje mój sekret, bo wpatruje się we mnie z uwagą. Na szczęście odpuszcza. Mówi, że zajrzy przed czwartą, i zostawia mnie samą. Zapamiętuję, co mam przygotować na jutro:

kilka saszetek z herbatą, cukier, rękawiczki i coś do jedzenia! Jestem pewna, że wieczorem będę płakać, bo pęcherze na dłoniach są coraz większe. Trudno. Mam w domu specjalny sztyft do stóp. Nowe buty potrafią solidnie dokuczyć, dlatego kupiłam ten preparat. Na skórze dłoni również powinien się sprawdzić.

Zerkam na zegarek. Trzecia. Zawożę sześć worków pod wiatę i szybko wracam, bo czas mnie goni. Ledwie chwytam za grabie, gdy do moich uszu dobiega dziwny odgłos. Odwracam się, czujna, i skupiam uwagę na kępie niskich iglaków rosnących nieopodal. „Pies?” – myślę, próbując wypatrzeć, kto lub co tam szeleści i szura. Aż podskakuję, widząc, że zza cisów wyłania się jakiś mężczyzna. Nie zauważył mnie, ma schyloną głowę i mamrocze coś do siebie. Nagle się prostuje i dopiero teraz dostrzega, że stoję kilka metrów przed nim.

– Hi! – wita się po angielsku. A przynajmniej tak to brzmi.

– Hi – odpowiadam.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Szybko skanuję postać mężczyzny, a raczej chłopaka. Nie wygląda groźnie, lecz na wszelki wypadek dotykam tylnej kieszeni džinsów, żeby sprawdzić, czy mam pod ręką telefon. „Blondyn, krótko obcięty, nordycki typ urody” – oceniam błyskawicznie. Na oko ma jakieś dwadzieścia, może dwadzieścia parę lat. Jest dosyć wysoki, szczupły, ale solidnie umięśniony. Powiedziałabym, że trochę za żyłasty. Zwłaszcza jego uda, odsłonięte, bo założył krótkie i obcisłe szorty. Prócz nich ma na sobie czarną przylegającą koszulkę z długimi rękawami, skarpety i buty do biegania. „Do biegania? Co on tu robi?” – myślę, potrząsając z niedowierzaniem głową. Przede wszystkim jak się tu dostał? Przecież cała posesja nie dość, że jest ogrodzona wysokim dwumetrowym murem, to jeszcze chroniona przez strażników i wyposażona w kamery rozmieszczone na ogrodzeniu.

– Co pan tu robi? – przerywam milczenie, bo nie będziemy stać jak dwie woskowe figury i gapić się na siebie. Tym bardziej że mam robotę.

– Eee... – bąka i lekko się uśmiecha. – Biegałem.

– Widzę.

– Wystraszyłem cię? – Jego głos brzmi dziwnie. Może nawet nie głos, ale akcent.

– Nie.

– Trochę wystraszyłem. – Wyszczерza zęby.

Od razu zauważam, że nosi aparat ortodontyczny z jaskrawozielonymi gumkami. Widać je z kilometra. Żenada.

– Nie boję się ciebie. Mam grabie. – Unoszę moje narzędzie pracy. – W razie czego nie zawaham się ich użyć.

– Jesteś groźna.

– Chyba groźna? – poprawiam go.

– To przez aparat. Czasami mówię źle – artykułuje starannie ostatnie słowo. – Przepraszam.

– Ja się nie gniewam. Nie mam czasu – kwituję, wzruszając przy tym ramionami.

Intruz robi kilka kroków i staje przede mną. Dopiero teraz mogę dokładnie go pooglądać. Trzeba przyznać, że przystojniak z niego. Ma bardzo męską twarz, z mocno zarysowaną linią żuchwy, a jego niebieskie oczy, piękne i duże, otaczają wachlarze gęstych i długich rzęs. Co rzadko spotykane u naturalnych blondynów, nie są jasne, czarne też nie, ale wystarczająco ciemne, by podkreślić urodę i podbić kolor tęczy. Brwi podobnie. „Ależ z ciebie ciacho, chłopaku...” – wzdycham bezgłośnie i z wrażenia przetykam ślinę, bo to chyba najprzystojniejszy facet, jakiego widzę na własne oczy.

– Jak masz na imię?

– A ty? – odpowiadam pytaniem.

Też coś, że bym ja pierwsza miała się przedstawić?! Co za maniery? Może i prezentuje się niczym Mister Uniwersum, ale kultury za grosz. Poza tym nadal nie wiem, co on tu robi i jak dostał się na posesję. Na złodzieja raczej nie wygląda.

– Ty pierwsza. – Znow błyska zębami i fluorescencyjną zielenią gumek. – Damy przodem. – Wysuwa przed siebie prawą dłoń.

– Jesteś damą? – Na sekundę spuszczam wzrok, żeby spojrzeć na jego rękę.

– Nie rozumiem.

– To kobieta pierwsza wyciąga rękę. Nie facet.

– Aha. – Natychmiast kryje ją za siebie. – To jak masz na imię?

– Nie mam czasu – fukam.

– Dziwne imię. Nie pasuje ci.

– To nie imię! – Przewracam oczami.

– To jak? – Przechyliła głowę i bezczelnie się uśmiecha.

Chcę już skończyć tę bzdurną pogawędkę. Za chwilę przyjdzie Dorota i dopiero będę mieć problem, gdy na jutro i pojutrze zostanie mi tyle pracy, że umrę tu ze zmęczenia.

– Paula – mówię.

– Paula? O! – Jego szerokie i gęste brwi unoszą się ku górze. Zauważam kolejny detal: są lekko zrosnięte na środku. To chyba jedyny defekt urody Pana Ciekawskiego. – Paula. Nie znam takiego imienia. To polskie?

– Nie. Ruskie! – odwarkuję. – Paula, czyli Paulina. Skrót, zdrobnienie, Paula i już.

– Nie złość się.

– Nie złoścę się. Nie mam czasu na rozmowy, muszę to uprzątnąć. – Macham grabiami w bliżej nieokreślonym kierunku. – A ty zawracasz mi głowę. A tak w ogóle skąd się tu wzięłaś?

– Nie spytasz, jak mam na imię?

– Nie jestem ciekawa.

– Tam, za mną, jest furтка. – Na moment spogląda przez lewe ramię. – Wystarczy mieć klucz.

– A ty masz?

– Umiem się wspinać.

– Wiesz, że to nielegalne? Tu nie wolno wchodzić bez zezwolenia. Po to jest ochrona, żeby intruzi tacy jak ty nie wchodzili bezprawnie na posesję.

– Widocznie słaba ta ochrona – parska śmiechem.

– Po co ja w ogóle z tobą gadam? – Z niedowierzaniem potrząsam głową.

– Bo ci się podobam.

– Co?! – Gdyby nie grabie, wzięłabym się pod boki i go wyśmiała. – Wiesz co, nadęty i zbyt pewny siebie dupku? Nie mam czasu na pogawędki.

Odwracam się na pięcie, energicznie przemierzam trawnik, żeby być jak najdalej od tego błazna, i zaczynam grabić liście. Może się znudzi i sobie pójdzie tam, skąd wylazł. Niestety. Mija kilka, może kilkanaście sekund i Mister Dupek staje tuż obok. Przez chwilę patrzy, jak pracuję, i nagle zabiera mi grabie. To znaczy próbuje zabrać, ale ja nie puszczam. Na czas zdążyłam się zorientować co do jego zamiarów i trzymam drewniany trzonek niczym coś najcenniejszego, ewentualnie ostatnią deskę ratunku.

– Ej! Co robisz?! – pytam, wzburzona do granic.

– Chcę ci pomóc.

– Chyba kpisz?

– Nie – odpowiada, nadal nie zwalniając chwytu dłoni. – Pomogę ci.

– Idź stąd. Zaraz ktoś cię zauważy i będziesz miał kłopoty. Zobaczysz.

– Nie boję się kłopotów.

– Masz coś z głową? – wypalam, bo koleś z minuty na minutę denerwuje mnie coraz bardziej. Szkoda, że wraz z rosnącą irytacją wzrasta mój zachwyty urodą Pana Dupka Natrętnego.

– Z głową? Chyba nie. Za to ty masz coś z twarzą. Z buzią – dodaje szybko.

– Niby co?

– Mnie to wygląda na błoto. Albo psią kupę.

– Sam masz psią kupę na twarzy! – wypalam, oczywiście wzbudzając tym kolejny wybuch śmiechu. Chryste, jeszcze sekunda i coś mu zrobię. Kopnę w krocze albo walnę grabiami, choć to drugie jest utrudnione, bo Pan Psia Kupa trzyma je teraz oburącz i nie zamierza puścić. – Zaraz przyjdzie tu moja brygadzistka. Kiedy cię zobaczy, na pewno da znać ochronie. Na twoim miejscu rozważyłabym szybką ewakuację.

– Powiedz, jak to możliwe, że taka ładna dziewczyna, inteligentna i dowcipna, jest sprzątaczką.

– Nie jestem sprzątaczką. – Wzgardliwie wydymam usta.

- To ponocniczką ogrodnika.
- Czym? – Odchylam głowę, z trudem panując nad sobą. – Wiesz, co to nocniczek?
- Tam się siusia.
- Otóż to.
- To jak jest poprawnie?
- Pomocnicą.
- Aha, dziękuję. Czasami mylę litery.
- Cały jesteś pomyłony, a teraz serio, zostaw te grabie i odczep się.
- Okej. – Nagle chłopak odpuszcza.

Nie mogę powiedzieć, że to przewidziałam. Zaskoczył mnie. I chyba nawet trochę rozczarował. Znów grabię liście, a on stoi gdzieś za mną i pewnie się gapi. Trudno. Jak chce, niech się gapi. Ukradkiem zerkam na zegarek. Najpóźniej za pół godziny przyjdzie tu Dorota, a wtedy niech się dzieje, co chce. Słyszę szuranie kroków, więc ostrożnie spoglądam za siebie. Niespodziewany przybysz najwyraźniej uznał, że nie jestem zainteresowana dalszą pogawędką, bo oddała się w stronę cisowego zagajnika. Gdy minutę później zza pleców znów dobiega ten sam odgłos, nawet się nie odwracam. Trochę mnie to złości, ale uczciwie muszę powiedzieć, że prócz irytacji czuję coś na kształt radości. Zawsze to jakieś urozmaicenie mojej arcynudnej pracy. Poza tym liczę na Dorotę i małą aferę, gdy stwierdzi, że ktoś niepowołany wlaźł na teren posesji.

Nie przerywam, grabię liście, udając, że nie zauważam pięknisia, ale jak oprzeć się ciekawości? Tym bardziej że chłopak szura i szura. W końcu się odwracam i opada mi szczęka. Uparciuch znalazł drugie grabie i ostro nimi zasuwa. Na pewno idzie mu znacznie szybciej niż mnie, choć dokładny to on nie jest. Zostawia za sobą dużo liści, a gdy zabiera na grabie sporą kupkę i ładuje ją do worka, gubi przy okazji dziesiątki kolejnych.

- Skoro uparłeś się, żeby mi pomóc, rób to staranniej, dobrze?
- Na razie pobieżnie je sprzątnę – odpowiada, nie patrząc na mnie.
- Jak chcesz.

Po kilku minutach spędzonych wyłącznie na pracy postanawiam trochę zmienić jej tryb. Mój pomocnik odwała główną robotę, a ja idę za nim i zbieram pozostałości. To znacznie lżejsza praca, grabie nie są obciążone, w zasadzie sunę nimi powoli lub ciągnę za sobą. Schylać się też nie muszę, bo na razie liści jest zbyt mało, by uformować kopkę.

– Chyba wystarczy na dzisiaj – oznajmia. – Już czwarta.

– Serio?

Odsuwam rękaw bluzy i faktycznie. Minęła czwarta, jest nawet pięć po. A Dorota? Czemu nie przysłała? Pewnie coś jej wyskoczyło albo o mnie zapomniała.

– Jutro też tu będziesz?

– A co? Chcesz mi znów pomagać?

– Jutro nie mogę.

– Szkoda – mówię bez namysłu. Ledwie to powiedziałam, a na jego twarzy pojawia się triumfalny uśmiech.

– Moja pomoc się przydała.

– Trochę tak. – Rzucam grabie na trawnik i ostrożnie rozcieram dłonie. „Będę płakać. Na pewno” – myślę, czując, że szczypią mnie ich wnętrza. Kontrolnie rzucam okiem. Niektóre pęcherze zdążyły już pęknąć i cieknie z nich bezbarwny płyn. „Auć...”

– Pokaż, co się stało.

– Nic, mam odciski od grabi.

– Czemu nie nosisz rękawic roboczych?

– A ty czemu nie nosisz?

– Noszę. – Podnosi obie dłonie i pokazuje, że ma na nich rękawiczki. Wprawdzie to specjalne rękawiczki dla biegaczy, takie bez palców, ale na pewno w jakimś stopniu chronią.

– No widzisz. Przewidziałeś, że będą potrzebne.

– Mam na imię tak samo jak ty – oznajmia nagle.

– Paulina? – Żartuję, bo powiedział to zupełnie bez związku.

– Masz na imię Paula.

– A ty Paul?

– Paweł.

– Bardzo mi miło – mówię. – Nie podam ci ręki, bo mam brudną.

– Poczekaj. – Szpera w małej saszetce, którą ma przypiętą do pasa, i po chwili wyciąga jednorazową antybakteryjną chusteczkę. Podaje mi ją bez słowa. Czyszcze dłonie, czując, że alkohol szczypie w ranki. Kilka razy nie mogę powstrzymać się przed syknięciem z bólu, pewnie dlatego Paweł oznajmia: – Nie powinnaś jutro grabić. Niech ta pani, która miała tu przyjść, da ci inną pracę. Lżejszą.

– Przekażę, na pewno cię posłucha – stwierdzam z przekąsem. Zwijam chusteczkę w kulkę i rzucam na kupkę liści.

– To nie obóz pracy.

– Uhm.

– Muszę już iść.

– Tak? – Zauważam, że patrzy gdzieś za mnie. Odwracam się, żeby dostrzec, co go tak zafrapowało. Nic nie widzę, bo teren opada, a ścieżka, którą tu przyszłam z Dorotą, jest skryta w dolince, za to słyszę coraz wyraźniej dobiegający stamtąd odgłos rozmowy i kobiece chichotanie.

– Trzymaj się.

Paweł znika jak kamfora. O tym, że był tu przed chwilą, świadczy jedynie druga para grabi i papierowa kulka na szczycie małej górki z liści. Nie mówię Dorocie, bo to ona i jeszcze inna współpracownica – Iza, o Pawle. Po co jej ta wiedza, zresztą pod koniec było fajnie, zawsze to jakieś urozmaicenie. Dorota chwali, że całkiem sprawnie się uwinęłam, oczywiście pyta, czemu używałam dwóch par grabi, a ja mętnie tłumaczę, że sprawdzałam, czy nie da się ich używać razem. Zamykam narzędzia w komórce i z Dorotą oraz Izą wracam do naszej służbówki.

Przed piątą jestem w domu. Zmęczona do granic. Nie mam na nic siły, a już na pewno nie na przygotowanie czegoś do jedzenia, o wycieczce do sklepu też nie myślę. Znajduję chińską zupkę i zjadam ją ze smakiem, jakby została przyrządzona przez najlepszego kucharza. Biorę długą leniwą kąpiel w wannie, prawie w niej zasypiam. A moje pęcherze? Smaruję maścią z witaminą A i zakładam na noc rękawiczki. Padam jak kawka. Rano ze

z dumieniem stwierdzam, że nic mi się nie śniło. Cudowne uczucie wstać z głową czystą od sennych koszmarów. Nawet gdybym znów miała grabić liście i doczekać się jeszcze większych pęcherzy, i tak warto.

MILENA



– Cześć! – mówi Jasiak, więc podaję mu rękę.

Przez chwilę mam wrażenie, że posunie się choć odrobinę dalej i cmoknie mnie w policzek, ale to złudna nadzieja. Ścisną lekko moją dłoń i uśmiecha się od ucha do ucha.

– Ale jesteś opalony... – wzdycham z prawdziwym zachwytem.

Mój chłopak wygląda świetnie. Dzięki opaleniznie jego oczy zdają się błyszczeć jak szlachetne kamienie, są nienaturalnie błękitne.

– Zazdroszczę. Też pojechałabym gdzieś daleko, byle dalej od tej zimnicy.

– Mam coś dla ciebie. – Pokazuje pakunek, który trzyma pod lewą pachą. Wręcza mi go z lisim uśmieszkiem. Ciekawe, co jest w środku, pewnie jakiś mało romantyczny prezent. Już trochę zdążyłam poznać Jaśka i na zestaw seksownej bielizny nie liczę.

– Wejź – zapraszam. – U mnie się rozbierzesz.

Idziemy razem na piętro, a potem długim korytarzem do lewego skrzydła domu, bo tam są moje pokoje. Jasiak zdejmuję kurtkę, rzuca ją niedbale na oparcie sofy i patrzy pytająco na mnie. Chyba czeka, aż rozpakuję prezent, więc szybko proszę przez interkom, żeby ktoś przyniósł nam herbatę i coś słodkiego, i zabieram się do rozrywania papieru.

– Kapelusz? – Nie mogę uwierzyć, że dostałam od niego słomkowy kapelusz. – Przecież jest zima. – Pokazuję mu język.

– To nie byle jaki kapelusz, tylko prawdziwa panama. – Zabiera mi go z rąk i odwraca, żebym mogła zajrzeć od spodu. – Widzisz? – Pokazuje małą metkę. – Z Ekwadoru. Oryginalny, ręcznie robiony.

– Byłeś w Ekwadorze? – Udaję zdziwienie. Wiem, że na Malediwach prócz słońca, oceanu i luksusowych kwater nic nie ma. A już na pewno żadnego rzemiosła, którym mogłaby się poszczycić miejscowa ludność. – Cóż, poczekam na lato. – Odbieram swój prezent, zakładam i podchodzę do lustra. – To na pewno damski kapelusz?

– A jaki? Przecież nie męski. Te mają węższe rondo.

– Niby tak. – Obracam głowę, żeby spojrzeć na siebie z boku. – Ładny. Dziękuję.

– Podoba ci się? – Podchodzi bliżej, staje za mną i razem patrzymy na moje odbicie.

– Yhy. Bardzo. Będę go nosić całe lato.

– Uff... – Przykłada dłoń do serca. – Co za ulga.

– Sugerujesz, że jestem rozkapryszoną księżniczką? – Odwracam się, by stanąć z nim twarzą w twarz.

– Nic nie sugeruję. – Podnosi obie ręce w obronnym geście.

– Masz szczęście – pryham.

– A! Jeszcze coś mam. Poczekaj. – Idzie, żeby poszukać czegoś w wewnętrznej kieszeni kurtki i po chwili z tryumfem wręcza mi małą czerwoną grudkę i takiż patyczek. Oba skarby bez problemu mieszczą się w dłoni. – To też prawdziwa pamiątka. Korale. Sporo nurkowałem – wyjaśnia.

– To bardzo cenna rzecz – oznajmiam z udawanym podziwem. – Korale. Król Jan zdobył dla królowej Mileny korale koloru koralowego.

– Ciężko cię zadowolić. I nie jesteś królową, tylko księżniczką.

– Nie bałeś się? – Piję do tego, że nie wolno przemycać takich skarbów. Gdy ktoś na lotnisku złapałby Jaśka na przewożeniu tej małej koralowej nóżki, ten mógłby mieć poważne kłopoty.

– Jak widzisz, nie. Czego się nie robi dla wybranki serca.

– Błazen – fukam, ale jestem zadowolona.

Bardziej przypadł mi do serca drugi prezent, bo zdobyty osobiście, a przewóz grozi poważnymi konsekwencjami. Widocznie Jasiek uznał, że warto dla mnie zaryzykować. Chowam oba korale do kasetki z biżuterią, kapelusz ląduje na komodzie, a my siadamy przy kominku. Ledwie zamieniam słowo z moim gościem, gdy ktoś puka. To Magda. Przyniosła herbatę i sernik. Pałaszujemy, aż się nam uszy trzęsą, a Jasiek co chwilę stęka, że powie ojcu, by ten podkupił naszą kucharkę.

– Piecze świetne ciasta. Za każdym razem, jak jestem u ciebie, dochodzę do wniosku, że mógłbym tu zamieszkać choćby z tego powodu.

– Tylko z tego? – Przechylam głowę. – Jesteś beznadziejnym chłopakiem, wiesz?

– Wiem – potakuje skwapliwie. – Mało tego, jestem beznadziejnym kandydatem na męża. Zważ na to. – Podnosi wskazujący palec. – Żeby nie było, że cię nie ostrzegałem, gdy będziemy stać na ślubnym kobiercu. Wtedy będzie za późno.

Nic nie mówię. Kręcę głową, bo tak wypada, i głośno wzdycham, okazując niezadowolenie, ale tak naprawdę nie wiem, czy jego słowa to zwykłe żarty i przekomarzania. Czasami jest dziwny, zawsze bardzo miły, ale ta jego grzeczność i uprzejmość jest plastikowa, nieprawdziwa. Jakby ciągle grał jakąś rolę. Nagle zbieram się na odwagę, bo ileż można udawać, że jest okej?

– Janku... – zagajam i prawie od razu zagryzam dolną wargę, ale już za późno. Muszę dokończyć, bo będę żałować i wściekać się na siebie. – Mam pytanie. Nie pomyśl, że to nachalność z mojej strony, ale...

– Ale? – Odstawia pusty talerzyk i zwraca się w moją stronę. Jego prawa ręka leży na oparciu kanapy i brakuje może pięciu centymetrów, żeby mógł sięgnąć palcami do moich włosów.

– Czemu nigdy mnie nie dotykasz?

– Nie dotykam? – Jasiek kilka razy szybko mruga. Wygląda to, jakby coś wpadło mu do oka. Potrząsa głową, cofa ją lekko, może chce spojrzeć na mnie z dystansu i w końcu wypala: – Jak to? Przecież cię dotykam. Uścisnąłem ci dłoń? Czy mi się zdawało?

– Głupek – fukam. Widzę, że kpi ze mnie. Marszczy czoło i pociera brodę, udając, że się nad czymś poważnie zastanawia. Nie mogę tego wytrzymać, sięgam za siebie po małą poduszkę i rzucam w niego. – Jesteś beznadziejny.

– Mówiłem – kwituje. Zabiera poduszkę, podkłada ją pod głowę i przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu. – Chcesz, żebym cię dotykał? – pyta poważnie. Tym razem na pewno.

– Nie czuję się fajnie ze świadomością, że ani trochę cię nie pociągam – wykrztuszam z trudem. Odwracam na moment wzrok, bo to wyznanie kosztowało mnie sporo wysiłku. – Może to moja wina, ale jestem, jaka jestem, i jeśli cię nie pociągam, powiedz mi i już. Możemy się przyjaźnić. Tak normalnie, jak chłopak i dziewczyna.

– Miluś, co ty? – Jasiak natychmiast się przysuwa i pierwszy raz w życiu czuję za plecami jego ramię. Zastygam w bezruchu, czując, że wreszcie nastąpił przełom w naszych relacjach. I jeszcze to zdrobnienie: „Miluś”. To było naprawdę słodkie. – Chyba nie płaczesz? – Słyszę lekką panikę w jego głosie.

– Nie, no skąd. – Biorę głęboki wdech, zanim podniosę wzrok na Jaśka. – Nie płaczę i nie zamierzam. Już się wystarczająco napłakałam przez ostatnie kilka miesięcy.

– Przepraszam. – Jego twarz jest napięta, czoło pokrywają delikatne fałdki, a kącik ust lekko drga. – Nie gniewaj się.

– Ale ja się nie gniewam, tylko chciałam wiedzieć... – szepczę.

– To nie przez ciebie.

– A przez kogo?

Mam wrażenie, że na chwilę czas się zatrzymał. Zupełnie jakbyśmy utknęli w kadrze filmu. Oboje z oczami wlepionymi w tę drugą osobę, z lekko rozchylonymi ustami, które już za sekundę coś powiedzą, z płucami pełnymi powietrza i sercem, którego wykres bicia to ciągła linia. Nic się nie dzieje. Czas stanął, wszystko się zatrzymało. Czekam. On czeka. Oboje czekamy. Ale na co? Na jaką prawdę? Każde z nas ma jakąś swoją prawdę. Pytanie, czy chcemy się nią podzielić.

– Przeze mnie – mówi Jasiek. – To, że cię nie dotykam.

– Aha. – Czuję, że uchodzi ze mnie powietrze. Nie powie mi prawdy. Widzę to w jego oczach. Okłamię mnie, tak właśnie myślę. – Czy to ma mi wystarczyć? – Jestem na niego zła.

– Nie, no oczywiście, że ci wytłumaczę.

„Wytłumaczysz, dlaczego cię nie pociągam. Zaraz zwymiotuję”.

Przełykam ślinę, widząc, że zbiera się w sobie.

– Chyba nie chcę tego wiedzieć – mówię.

Wstaję i podchodzę do kominka, zupełnie jak mama, gdy rozmawiałyśmy niedawno o tacie i Jacku. Może i ja potrzebuję czasami popatrzeć w ogień?

– To przez zasady – pada zza moich pleców. – Gdy skończyłem osiemnaście lat, coś sobie przyrzekłem i chcę dotrzymać przyrzeczenia.

– Niby co? – Odwracam się, zakładam ręce na piersiach i patrzę na niego jak na insekta.

– Że zachowam czystość. Do ślubu.

– Żartujesz? – wypalam bez zastanowienia.

– Nie.

– Ale jak... – Nie potrafię dokończyć. Nie mieści mi się w głowie, że Jaśka też opętał ten religijny obłąd, który dotyczy jego rodzinki. – To jest... to jest... – jąkam się. – To jest...

– Śmieszne? Głupie? Nie krępuj się. – Wstaje, żeby do mnie podejść. – Masz prawo tak oceniać moje zachowanie czy postanowienia, a ja mam prawo je mieć. – Wzrusza ramionami.

– I co? Jak ty to sobie wyobrażasz? – Nie poznaję własnego głosu, brzmi okropnie, piskliwie jak u myszy. – Nasz jedyny kontakt będzie ograniczał się do uścisku dłoni? Aż do ślubu? A co, jeśli tego ślubu nie będzie? Przecież możemy się rozstać. Ludzie się rozchodzą. Spotykają parę miesięcy, czasami rok lub dwa i rozchodzą, bo coś im nie wyszło. I mam czekać? Nie mając żadnej gwarancji, że... – Nagle ucinam, bo uświadamiam sobie, że wyszłam na jakąś nimfomankę. – To przez twoich rodziców – orzekam, a przecież nie jestem pewna, czy mam rację. Jego rodzinę znam głównie z opowiadań i to dosyć skąpych.

– To moja decyzja. Moja – podkreśla. – Rodzice nie mają nic do gadania.
– Czemu w to nie wierzę?
– To uwierz. Moja najstarsza siostra, Kalina, urodziła się pięć miesięcy po ich ślubie.

– I to ma być argument? Że kiedyś nie byli równie ortodoksyjni jak teraz?
– Nie masz pojęcia, jacy są moi rodzice. Nie znasz ich. Nie są ortodoksyjni, cokolwiek to znaczy. Ja też nie jestem. Mam swoje zasady, czy to źle? Wolisz koleś bez zasad?

– Wolę normalnych koleś. – Odwracam się, żeby na niego nie patrzeć.
Przez moją głowę przelatuje milion myśli, a każda z nich jest sprzeczna z pozostałymi. Nie wiem. Nic nie wiem. Chyba potrzebuję czasu na przetrwanie słów Jaśka. Nie sędzę, żeby kłamał i tworzył dziwne teorie służące usprawiedliwieniu jego... Jak nazwać taką postawę? Powściągliwość? To najwłaściwsze określenie, które przychodzi mi na myśl. Czy to dobre, czy złe?

– Coś ci powiem. Posłuchaj. Kalina ma dwadzieścia sześć lat, spotykała się z chłopakami już jako nastolatka. Moi rodzice nigdy nie robili jej z tego powodu żadnych awantur. Z kolei Łucja, dwa lata od niej młodsza, jeszcze nigdy nie miała chłopaka. Nie myśl, że moi starzy to jacyś terroryści. Każde z nas idzie własną ścieżką, żyje po swojemu. Nawet Łukasz, najmłodszy. A ja chcę zachować czystość do ślubu, to moja wola i decyzja. Nie musisz jej szanować, nawet nie powinnaś, jeśli twoje zapatrywania na seks przed ślubem są inne. Szanuję to i proszę tylko o szacunek dla moich zasad. – Patrzy na mnie z czymś w rodzaju współczucia, ale jego usta zaciśnięte w wąską kreskę świadczą, że nie zamierza ustąpić.

Muszę się czegoś napić, bo z wrażenia zaschło mi w gardle. Odchodzę od kominka, po drodze omijając Jaśka szerokim łukiem. Napelniam filiżankę herbatą i upijam kilka łyków. To niełatwe zmierzyć się z takim wyzwaniem jak chłopak deklarujący przedślubną czystość. Czemu mnie to spotkało? No właśnie, dlaczego ja? Podnoszę wzrok na niego i zadaję mu właśnie to pytanie.

– Czemu ty? Bo mi się podobasz, bo cię lubię, cenię. Uważam, że jesteś bardzo wartościowym człowiekiem.

– A moje koleżanki? Gaba, Julka, Zuzka? – Wymieniłam trzy klasowe gwiazdy. Jasiek na pewno je zna, również z tej towarzyskiej strony. Każda z nich miała po kilku chłopaków, a seks nie stanowi dla żadnej z nich tajemnicy. – Wybrałeś mnie, bo stwierdziłeś, że na pewno jestem dziewczicą?

– To nie tak. – Jasiek podnosi ręce, żeby przez chwilę pomasować skronie. – To nie tak. Zupełnie nie tak. – Podchodzi do mnie i przysiada tuż obok. – Cieszę się, że jesteś dziewczicą, ale...

– A jestem? – przerywam mu.

– A nie jesteś? – Lekko przymruża oczy.

– Boże, czy to ważne?! – Wkurza mnie nasza rozmowa.

– Dla mnie bardzo, dla ciebie też. I nie mów, że jest inaczej. Wprawdzie spotykamy się dosyć krótko, ale jestem dobrym obserwatorem. Właśnie dlatego chciałem i chcę się z tobą spotykać. – Nieśmiało wyciąga rękę, żeby ująć moją dłoń. Nachyla się i całuje ją delikatnie. – Ponieważ pewne sprawy, czyny, decyzje są dla ciebie równie ważne jak dla mnie. Prawda? – Spogląda wymownie w moje oczy.

Niewiele brakuje, żebym wybuchnęła płaczem. Jan Potocki właśnie zabił mnie romantyzmem. To jest takie... Brak mi słów. Czuję, że oblewam się potem. Nadal trzyma moją dłoń, oczywiście spoconą, aż dziw, że go to nie brzydzi. Cała się trzęsę, wewnątrz i na zewnątrz też. Kontrolnie zerkam na drugą rękę, by stwierdzić, że opuszki palców podskakują na moim udzie, okrytym nogawką džinsów. „Trzymaj się, Milena, dobrze ci radzę!” – próbuję zapanować nad emocjami. Ale jak to zrobić?

– Przepraszam – wykrztuszam w końcu. – Nie sądziłam, że...

– Sprawy przybiorą taki obrót.

– Raczej nie przybiorą żadnego. – Siłę się na niezbyt mądry żart.

– Przybiorą, ale we właściwym czasie. Chyba nie myślisz, że jesteś mi obojętna?

– A co, jeśli tak myślałam? – Zagryzam kącik ust.

– Nie myśl, bo tak nie jest. Coś ci powiem, tylko się nie śmiej. – Jasiek podnosi moją dłoń i składa ciepły i czuły pocałunek w jej wnętrzu. – Znasz film o wampirach? – Wymienia tytuł.

– Słyszałam, ale jakoś mnie nie ciągnie do takich historii.

– Mnie też, za to moje siostrzyczki uwielbiały sagę *Zmierzch*. Obie. Przeczytały wszystkie książki z tej serii i obejrzały wszystkie ekranizacje. Kiedyś namówiły mnie, żebym razem z nimi obejrzał pierwszą część. Poważne wyzwanie – chichocze. – Straszne głupoty, ale jest tam pewna scena. Wampir i dziewczyna spotykają się u niej w sypialni.

Unoszę lekko brwi, żeby zapanować nad parsknięciem śmiechem.

– Dziewczyna chce, żeby wampir ją pocałował. Nalega, okazuje mu to i tak dalej.

– A on nie chce?

– Nie.

– Ma zasady? – pytam kpiarsko.

– Uhm. Ma bardzo mocne zasady. – Jasiek znów podnosi moją dłoń, ale tym razem nie całuje jej, a lekko zaciska na niej zęby. Aż mnie zatyka z wrażenia.

– I co dalej? – popędzam go. Niewiele brakuje, żebym zachowała się jak ta dziewczyna wampira i rzuciła na Jaśka.

– Wampir nie chce jej pocałować, bo się boi, że gdy zacznie, nie będzie mógł skończyć i wszystkie jego zasady wezmą w łeb. Rozumiesz?

– Nie.

– Boi się, że ją zje.

– Dziewczyne?

– Tak.

Jasiek obniża głowę i cały czas patrząc mi prosto w oczy, znów zatapia zęby w mojej dłoni. Robi to delikatnie i bardzo namiętnie. Zaraz oszaleję! Najchętniej wyrwałabym rękę, lecz z drugiej strony to najbardziej fascynująca pieszczota, jaką mogłabym sobie wyobrazić. Tym bardziej mnie rozpala, że czuję na skórze ciepło i wilgoć języka Jaśka. Czemu tak

znęca się nade mną? Potwór! Prawdziwy potwór, gorszy niż stado wygłodniałych wampirów!

– Powiedz coś – chrypię.

– Ty mi powiedz. – Przerywa kąsanie i zerka na mnie spod współprzymkniętych powiek.

– Nie boję się ciebie.

– A powinnaś – chrząka znacząco.

– Możesz mnie zjeść. – Ze wszystkich sił staram się go sprowokować do dalszych działań.

– I zjem. Kiedyś. Ale jeszcze nie teraz. Poczekasz?

– Poczekam, ale...

– Domyślam się. – Jasiak kładzie palec na moich ustach. – Czasami mam skosztować? – A gdy natychmiast i bez wahania kiwam głową, dodaje: – Jesteś okrutna.

Odciągam jego rękę, żeby móc powiedzieć:

– Ukarz mnie.

– Dobrze. Za karę obejrzysz ten film.

– W porządku. A powiedz, pocałował ją w końcu?

– Niestety. – Rozkłada rękę.

– Tym chętniej poniosę taką karę. Może się czegoś nauczę? – Zaczynam nerwowo chichotać. Najwyraźniej nasza bardzo emocjonująca rozmowa trwała za długo i już nie wytrzymuję ciśnienia. Śmieję się coraz głośniejsze, żeby to opanować, biorę wolną ręką poduszkę i dociskam do ust, ale nie pomaga.

– I po co ci powiedziałem o tym filmie? – Jasiak też szczyrzy zęby.

– A kiedy ten ślub? Pytam, żeby wiedzieć, jak długo mam czekać. – Pokazuję mu język.

– Zaraz po oświadczeniach.

– Czy w twojej rodzinie kultywuje się tradycję oświadczenia z kapeluszem zamiast pierścienia?

Jasiak wybuchają śmiechem, ledwie to powiedziałam. Teraz śmiejemy się oboje, a mój nastrój i myśli są całkowicie inne niż piętnaście minut temu.

Jestem szczęśliwa. Wprost mnie rozsadza ze szczęścia, bo będzie dobrze. Cudownie! Tak właśnie czuję. Ależ byłam głupia. Niepotrzebnie się zamartwiałam. Mam wspaniałego chłopaka, najlepszego. I warto poczekać! Choćby to trwało pięć lat. Na Jaśka warto czekać nawet dziesięć.

Jasiek siedzi u mnie aż do kolacji. Nie chcę go wypuścić, tak dobrze się nam rozmawia. Obiecuje, że wpadnie nazajutrz, dopiero wtedy pozwalam mu wyjść z domu. Co najlepsze, wreszcie doczekałam się czułego pocałunku na pożegnanie. Wprawdzie w policzek, ale to już pierwszy krok. Cała w skowronkach wracam do siebie. Wiem, co muszę zrobić! I to natychmiast! Znajduję w necie wampirski romans i zaczynam oglądać. Nie jest to spełnienie moich potrzeb, jeśli mowa o filmach, ale da się znieść, choćby ze względu na niezłą muzykę i wspaniałe krajobrazy. W połowie filmu stwierdzam ze zdumieniem, że nawet trochę mnie wciągnęło, a gdy wreszcie mogę zobaczyć scenę, o której wspominał Jasiek, w moim brzuchu zaczynają szaleć motyle. Oglądam ją kilka razy, za każdym wyobrażając sobie, że główna bohaterka to ja, a przystojny wampir to on.

Jestem głupia?

Tak!

I cudownie się z tym czuję!

PAULA



We wtorek znów grabię liście, za to w środę pogoda się psuje, od rana prószy drobny śnieg i Dorota rzuca mnie na „inny front robót”. Sprzątam piwniczkę z winami. Cały długi dzień spędzony w podziemiach pałacyku. Czuję się jak więzień. Piwniczka jest schludna i względnie czysta, nie ma tu myszy, pajaków i innych niemile widzianych stworzeń, niestety nie ma też okien, słonecznego światła i szumu drzew. Za to są niezliczone butelki, które należy wyjąć ostrożnie ze stojaków, przetrzeć wilgotną szmatką i odłożyć na miejsce. Przy dwusetnej przestaję liczyć. Pogłaśniam muzykę i wykonuję moją prostą robotę, czasami cicho podśpiewując pod nosem lub tanecznym krokiem idąc wymienić wodę w wiaderku.

Przez słuchawki nie słyszę, że ktoś zszedł do piwnicy sprawdzić, jak mi idzie. Podskakuję nerwowo, gdy zauważam mojego pryncypała. Marek Wąsik przystaje w progu, nonszalancko opiera ramię o futrynę i patrzy na mnie z uśmiechem. Ciekawe, o co mu chodzi. Zdejmuję słuchawki i uśmiecham się głupio, bo sytuacja jest co najmniej dziwna. Po co tu przylazł? Sprawdzić, czy nie popijam? Nie lubię wina, żadnego, nawet z najlepszych francuskich winnic. Nie musi się obawiać. Zresztą nigdy nie poważylałabym się na zabranie czegoś, co nie moje.

- Coś się stało? – pytam.
- Przyszedłem zobaczyć, jak sobie radzisz.

– Dobrze. Sobie radzę – dodaję. – Te wszystkie już umyte. – Wskazuję na ścianę z regałami po mojej lewej stronie. – Dzisiaj na pewno skończę.

– Kaletowa mówiła, że jesteś dokładna, ale bardzo powolna.

– Kaletowa? – Marszczę czoło.

– Dorota.

– Aha. – Trochę mi przykro, bo uznałam, że jest zadowolona z mojej pracy. A tu niespodzianka.

– Nie przejmuj się nią.

– Nie przejmuję – odpowiadam, bo co powiedzieć? Swoją drogą, spostrzegawczy z niego człowiek. Musiał zauważyć moją zwarzoną minę. – Robię swoje najlepiej, jak potrafię.

– Słusznie. Kaletowa jest złośliwa i fałszywa, uważaj na nią. Zazdrości każdej ładnej dziewczynie, bo sama nie grzeszy urodą. – Wąsik obdarza mnie szerokim uśmiechem.

„Ty też nie grzeszysz” – myślę. Facet nie jest stary, na moje oko przed czterdziestką, ale wygląda bardzo poważnie. Przez brzuszyczo. I naprawdę powinien coś zrobić z zębami. Brakuje mu górnej lewej czwórki i gdy się szczerzy, widać to jak na dłoni. Błę... Włosy też ma błę... Brudne i zaczesane na bok. Aż błyszczą, takie są tłuste. Już przy pierwszym spotkaniu zauważyłam, że z tylnej kieszeni spodni Wąsika wystaje pomarańczowy plastikowy grzebień. Nie chciałabym go zobaczyć w całości. Aż ciśnie się na usta, że garniturowe spodnie, biała koszula i krawat nie uczynią z mężczyzny arbitra elegancji, gdy włosy są brudne, a zęby zaniedbane. Podobnie jak wylewanie na siebie całej butelki jakiejś wody kolońskiej. Ten zapach utrzyma się tutaj do końca mojej dniówki.

– Mogę? – Podnoszę rękę ze szmatką, by dać Wąsikowi znak, że chcę wrócić do pracy.

– A pewnie, pracuj, pracuj.

– Uhm.

– Chociaż nie, poczekaj.

– Tak? – Zastygam w bezruchu, podświadomie czując, że dopiero teraz poznam prawdziwy powód tych odwiedzin.

– Tak sobie myślę, czy dałabyś się zaprosić na kawę?
– Na kawę? – wykrztuszam. – Eee... ja... ale kiedy? – pytam bezmyślnie.
– Choćby dzisiaj.
– Bardzo przepraszam, ale gdy wracam do domu, jestem strasznie zmęczona, a tam też czekają na mnie obowiązki. Muszę posprzątać, zrobić pranie, ugotować coś.

Uff... Odblokowałam się. Biorę głęboki wdech, czując, że ten typ tak łatwo mi nie odpuści. Jestem tego pewna.

– Nie przesadzaj. Mieszkasz sama. Jakie możesz mieć obowiązki? – Wąsik odrywa ramię od ościeżnicy i wolnym krokiem podchodzi bliżej. – Pewnie ci smutno, taka piękna dziewczyna powinna żyć towarzysko.

Zaraz zwymiotuję. Co za obrzydliwy typ...

– Bardzo lubię moje nietowarzystkie życie. – Zamaszyście zanurzam szmatkę w wodzie z płynem, energicznie ją płuczę, wyciągam i wykręcam, patrząc Wąsikowi prosto w oczy. „Nie okazuj strachu, napastnik na to liczy!” – pamiętam doskonale, czego uczyła mnie i moje koleżanki trenerka samoobrony. – Od października chcę iść na studia. Każdą wolną chwilę przeznaczam na naukę. Proszę mi wybaczyć, ale naprawdę nie mam czasu na wizyty w kawiarniach.

– A kto mówi o kawiarni? – Uśmiecha się z przekąsem. – Nie ty jedyna mieszkasz sama. Ja też. W zeszłym roku zmarła moja mamusia – na moment jego obleśna gęba przybiera wyraz tandetnego smutku – i zostałem sam. Chętnie cię ugoszczę.

– Bardzo dziękuję, ale muszę odmówić, a teraz zająć się myciem butelek.
– Wykrzywiam twarz w czymś, co ma wyglądać na uprzejmy uśmiech.

„Spieprzaj! Odczep się ode mnie!” – krzyczę bezgłośnie. „Boże, niech on sobie pójdzie, błagam!” Nie kieruje mną strach, raczej obrzydzenie. Pamiętam techniki samoobrony i raczej sobie poradzę. Wąsik na pewno nie ma przy sobie nic niebezpiecznego: noża, kastetu czy innej broni. Na groźnego nie wygląda. Nie grzeszy zwinnością, jeśli brać pod uwagę jego mało sportową sylwetkę. Byłabym w stanie go obezwładnić, może nie na długo, ale wystarczająco, żeby uciec.

– Sprawiałaś mi zawód – cedzi.

W kpiącym uśmiechu wydyma swoje pulchne wargi, tak samo ohydne jak on cały, ale w końcu mi odpuszcza. Stoi, gapi się na mnie może pół minuty i wychodzi. Dopiero wtedy spostrzegam, że jestem mokra od potu. Leje się po plecach, a pod pachami mam placki wielkości małej pizzy.

– Co za obrzydliwy gnojek... – mamroczę do siebie. – Stary oblech.

Wracam do mycia butelek, ale cała dygoczę. Idę do małej łazienki. Muszę się ochlapać zimną wodą, przy okazji wymieniam tę w wiaderku. Usilnie próbuję zapomnieć o krótkiej wizycie Wąsika. Nie żebym miała skłonność do czarnowidztwa, lecz głupia też nie jestem. Zastanawiam się, co zrobić. Poskarżyć Dorocie? A jaką mam gwarancję, że nie pobiegnie do niego i nie przekaże? Nikomu nie mogę zaufać. Straszne uczucie. W swojej młodzieńczej naiwności nie przewidziałam takiego obrotu zdarzeń. Sądziłam, że moim jedynym problemem będą odciski i ból kręgosłupa, plus fizyczne zmęczenie, ewentualnie narzekania pracodawcy, że kiepsko pracuję. Na podryw nie liczyłam.

To w zasadzie zwykły mobbing, nie podryw. Dlatego jestem taka wstrząśnięta. Kiedyś myślałam, że to marginalne zjawisko, ale jak widać, wcale nie takie rzadkie. Układam ostatnie czyste butelki wina i zastanawiam się poważnie, czy nie podziękować już dziś za współpracę. Wytrzymałam trzy dni. Słaby wynik. Mogłabym się zwolnić, ale mój wrodzony upór nie pozwala na kapitulację. Kończę porządki w piwniczce i przyczajona, zmierzam do budynku administracji, bo tam mamy szatnię i kącik socjalny. Na szczęście u Wąsika ktoś jest, wyraźnie słyszę tubalny śmiech tego palanta i odgłos rozmowy z innym facetem. O tej porze tylko ja kończę pracę, więc nikt do mnie nie zagaduje. Szybko się przebieram i wychodzę na zewnątrz, szczęśliwa, że na tym się skończyło.

„Nie zniechęcaj się” – mówię do siebie, maszerując żwawo w stronę domu. Wyszło słońce, choć trochę niemrawe i skryte za chmurką, ale świeci. Delikatna poranna posypka ze śniegu zdążyła się już całkiem rozpuścić. Jestem blisko domu, zaledwie dwadzieścia metrów, gdy mijają mnie jakiś biegacz. Od razu poznaję Pawła. To na pewno on. Szkoda, że

mnie nie zauważył. Nasunęłam głęboko kaptur, pewnie dlatego nawet nie pomyślał, że przebiegł obok „dziewczyny z grabiami”. Może to i dobrze, nie mam ochoty na żadne pogawędki. Chcę jak najszybciej dotrzeć do domu i zająć czymś myśli.

Nazajutrz wracam do ogrodu, muszę dokończyć porządkowanie trawnika. Z wielką ulgą dowiaduję się, że Wąsik ma urlop. Niestety tylko jeden dzień. Od razu swobodniej się czuję. Mogłabym nawet pogawędzić z Pawłem, oczywiście gdyby znów się pojawił. Intryguje mnie ten chłopak, wyskoczył jak diabeł z pudełka, pogadał, dał do zrozumienia, że go zainteresowałam, i zniknął. Ciekawe, kim jest. Chyba nie pracuje, skoro ma czas na uprawianie sportu do południa. Z drugiej strony może pracować na zmiany. Przecież do Bielska jest piętnaście minut jazdy samochodem i sporo osób z Grabówką dojeżdża tam do pracy. Podśledzałam ostatnio w sklepie, że jedna z klientek mówiła o kolejnym naborze do jakiejś fabryki. Coś związanego z motoryzacją. Warto zapamiętać, a nuż będę znów potrzebować zatrudnienia.

I nadchodzi piątek. Dopiero teraz rozumiem, dlaczego większość ludzi uwielbia piątki. Chyba do nich dołączę. Jestem zmęczona. I żeby tylko fizycznie. Psychiczenie też. Boję się tego idioty Wąsika, unikam go, jak mogę, rano wchodzę do szatni i czaję się gdzieś za szafkami, czekając na Dorotę. Zjawia się kilka minut po ósmej, mówi, że dziś dostąpię zaszczytu i trafię „na pokoje”. Mam sprzątać w osobistym gabinecie pana domu. Mój szef, którego jeszcze nie miałam okazji poznać, Hans Edel van Warmerdam, jak głosi napis na wizytówkach leżących na biurku, lubi zapalić dobre cygaro, sporo czyta, a jego hobby to kolekcjonowanie ryngrafów. Bardzo niszowe hobby.

Dorota przynosi kosz z preparatami do czyszczenia i spory stosik szmatek. Potem pokazuje, jak otworzyć szklaną gablotę, w której są wyeksponowane ryngrafy, i tłumaczy, czym je czyścić, żeby nie uszkodzić. Najlepsza jest bawełniana flanela i mikrofaza. Niektóre ryngrafy są sporo warte, bo stare i rzadkie, dlatego wymagana jest najwyższa ostrożność.

– Uważaj, bo jak zniszczysz, to się w życiu nie wypłacisz – ostrzega.

– Myślę, że sobie poradzę. – Przebiegam wzrokiem treść etykiety na jednym ze specyfików, którym mam czyścić zbiory pana Hansa. Akurat ten przeznaczony jest wyłącznie do starego srebra, a sposób użycia opisano w kilku językach, lecz nie w polskim.

– Wiesz, jak to stosować? – pyta Dorota.

– Uhm. Napisali. – Stukam palcem w butelkę pianki w sprayu. – Nanieść na przedmiot, odczekać minutę i zetrzeć suchą ściereczką. Polerować do połysku. Nie zostawiać resztek preparatu na precjozach, bo może uszkodzić trwale ich powierzchnię. Muszę mieć gumowe rękawiczki, bo to silny specyfik. – Pokrótce referuję, co wyczytałam z etykiety. – Nie wolno wdychać oparów. Ważne – dodaję, wyciągając wskazujący palec. – Będę potrzebować waty i jakichś patyczków, najlepiej wykałaczek z miękkiego drewna.

– Znasz angielski? – domyśla się Dorota.

– Tak. – Nie wspominam, że znam równie biegle francuski oraz niemiecki. Właśnie w tym języku czytałam, jak stosować preparat.

– A możesz powiedzieć, do czego jest to? – Podaje mi kolejną butelkę. Potem słoiczki z jasnobrązową mazią i kilka słoików z równie tajemniczą zawartością. Mówi, że wszystko przywiózł kiedyś pan Warmerdam. Niestety nie wytłumaczył nikomu, co jest do czego. – Jeszcze tu nie sprzątałam. – Dorota z nabożnym strachem patrzy na gablotę. – Nikt tego nie czyścił i okropnie się zakurzyło po zimie.

– Postaram się dzisiaj to zrobić, ale tutaj chyba wszystko trzeba odkurzyć, bo... – nie kończę. Rozglądam się wokół i widzę, że ten piękny pokój nie był sprzątny od dawna, a jeśli nawet, to pobieżnie. W kącie przy kominku zauważam kłęb kurzu, a z kasetonów na suficie zwisa kilka długich pajęcznych nitek.

– Ja to zrobię – zapewnia Dorota, widząc, gdzie błądzi mój wzrok. – Ty zajmij się tym cholernym żelastwem, bo wszyscy się boją tego dotknąć. Takie rzeczy to do muzeum, a nie w domu trzymać. – Z irytacją macha ręką. – Dobrze, że jesteś wykształcona, to mi pomożesz. Już nie będzie liści i ogrodu. Przydasz się do ważniejszych rzeczy.

Zabieram się do pracy, ucieszona, że awansowałam w oczach Doroty. Mogę być specjalistką od ważnych rzeczy, czymkolwiek się okażą. Przynoszę kilka gazet i rozkładam na biurku, na nich układam folię, a potem dwie duże kuchenne ścierki. Nie chcę uszkodzić biurka, bo jest wyjątkowo piękne i zapewne cenne, jak wszystkie meble w gabinecie. Zanim zdejmę pierwszy ryngraf, robię zdjęcia całości. Nie zapamiętam ułożenia, a fotki mi pomogą umieścić wszystko na swoim pierwotnym miejscu. Część kolekcji stanowią wielkie ryngrafy, można powiedzieć, że to napierśniki, ale część z nich to maleństwa, pewnie przeznaczone do wpięcia w klapę munduru. Zaczynam właśnie od nich. Po czterech godzinach wiem, że dzisiaj się nie wyrobię. Nie ma szans. Schodzę na parter, do głównej kuchni, bo tam pracuje dziś Dorota, i mówię jej, że zdołam dziś skończyć tylko jedną gablotę.

– Nie spiesz się. Ma być ładnie i dokładnie. To jubilerska robota, nie koszenie trawnika czy mycie schodów.

Jest wyjątkowo miła, pewnie jej ulżyło, że znalazł się ktoś, kto zdejmie z jej barków chociaż część odpowiedzialności za utrzymanie wyposażenia pałacyku w idealnym porządku. Robi mi herbatę i nawet częstuje ciastem przyniesionym z domu. Wracam do gabinetu, zadowolona i pełna nadziei, że wszystko się jakoś ułoży. Niestety, nie może być zbyt pięknie. O trzeciej znów nawiedza mnie ten burak Wąsik. Szczerzy się już od wejścia, chrząka i co chwilę bezwiednie poprawia krawat. „Idiota” – myślę, gdy mówi, że nie miał pojęcia, jaki skarb pod nim pracuje. „Pod tobą? – myślę. – Chciałbyś”.

– Może zmieniłaś zdanie? – zagaja.

Wiem, o co mu chodzi. I nie, nie zmieniłam. Jest odwrotnie, jeszcze bardziej się w nim utwierdziłam. Nie chcę mieć nic wspólnego z tym człowiekiem.

– Bardzo mi przykro, ale w tygodniu jestem zmęczona, a weekendy przeznaczam na naukę. Dziękuję za zaproszenie, jednak nie skorzystam. – Posyłam mu uprzejmy uśmiech, ale to tylko poza. Moje oczy na pewno się nie uśmiechają, jedynie usta.

– Ważna jesteś. Zadzierasz nosa, bo znasz angielski? – prycha z pogardą.
– Nie takie mądre w życiu widziałem.

– Nie zadzieraam nosa – oponuję. – Po prostu nie mam czasu i ochoty na towarzyskie spotkania.

– Z kimś takim jak ja – dopowiada przez zaciśnięte zęby.

– Z nikim, panie Marku. Proszę nie odbierać osobiście mojej odmowy – dodaję trochę łagodniej. Chcę go udobruchać, ale nadał się niczym balon. Spurpurowiał na twarzy, a jego dłonie co rusz poprawiają krawat albo przeczesują włosy. – Taki mam charakter, lubię samotność. Lubię pracować sama, w ciszy i skupieniu – tłumaczę, choć to trochę niespójne z tym, że na blacie leży mój telefon, który przed chwilą nadawał stację Zet Classic.

– Jeszcze będziesz żałować – syczy, odwraca się na pięcie i znika.

Opada ze mnie napięcie, ale ręce ciągle się trzęsą. Czyli jednak... Nie odpuści. Muszę stąd odejść. Nie mam innego wyjścia. Dokończę porządkować gablotę, a drugą będzie musiał zrobić ktoś inny. Nie lubię przegrywać, ustępować pola, ale czasami tak właśnie trzeba. Znajdę inną pracę, już się trochę rozglądałam i zauważyłam, że jakaś firma ogrodnicza dała ogłoszenie w sklepowej witrynie. Potrzebują niewykwalifikowanych pracowników. To będzie dobre, oczywiście pod warunkiem, że znów nie trafię na kolejnego Wąsika. Oby nie.

Jest wpół do czwartej, gdy przychodzi Dorota. Z podziwem ocenia efekty mojej pracy i mówi, że mam pilnie iść do Marka. Zabieram telefon, czując, że już tu nie wrócę, i razem z Dorotą wychodzę z gabinetu. Po drodze pytam ją, czego chce Wąsik, ale zbywa mnie machnięciem ręki i uwagą, że nie ma pojęcia. Cała się trzęsę, wchodząc do biura Thustowłosego. Co tym razem wymyślił?

– Umyj podłogę – wydaje polecenie. – Miałem zebranie z ochroną i strasznie nadeptali. – Zauważa, że zerknęłam na zegarek, i dodaje, że zdążę przed końcem dniówki, a jeśli nie, w poniedziałek wyjdę wcześniej.

„Kretyn” – myślę. To na pewno jego pomysł, żeby mnie upokorzyć. Bez słowa idę do kantorka, gdzie są mopy i wiaderka, i po minucie wracam do biura. Nie zamierzam pucować podłogi na klęczkach i dawać mu okazji do

triumfu. Hardo unoszę brodę i mówię, że najlepiej będzie, gdy wyjdzie. „Chcę umyć również pod biurkiem”.

– Już wychodzę. Nie znoszę zapachu płynów do podłóg – oświadcza tonem ważniaka. – Otwórz okno i wywietrz tutaj, bo śmierdzi potem. – Pewnie pije do tego, że na mojej bluzce pod pachami widać zakola.

Mam ochotę parsknąć śmiechem, taki jest żaloszny. „Jeszcze maksymalnie godzina i pożegnasz tego idiotę na zawsze” – pocieszam się, gdy wychodzi. Już postanowiłam. Umyję podłogę, która zresztą jest całkiem czysta, odniosę mop i wiaderko, przebiorę się i wrócę tu, żeby powiedzieć Wąsikowi, że dziękuję za współpracę. Ciekawe, czy dostanę wynagrodzenie. Coś mi się zdaje, że ten tydzień spędziłam jako wolontariuszka. Nie spodziewam się z jego strony niczego dobrego, a już na pewno nie pieniędzy, lecz nie dbam o to. Wystarczy mi satysfakcja i poczucie wolności. Niepotrzebne mi te nędzne grosze.

Uwijam się, żeby jak najszybciej móc iść do szatni, dwadzieścia minut później tam jestem. Zostawiłam otwarte biuro, ale mam to gdzieś. To nie moje biuro, ja miałam tylko umyć podłogę. Zmieniam buty, narzucam na siebie kurtkę i sprawdzam, czy nic mojego nie zostało w szafkach, w których pracownice trzymają prywatne rzeczy. Staję przed biurkiem Wąsika i biorę kilka głębokich wdechów. Słyszę, że już wrócił, chodzi po biurze i prawdopodobnie z kimś gada przez telefon. Czekam, aż skończy. Minutę później zapada cisza. Pukam i wchodzę bez czekania na pozwolenie.

– O, Paulina. Dobrze, że wpadłaś. Mam sprawę do ciebie. – Staje przede mną z rękami założonymi na piersiach.

– Ja też mam sprawę do pana – odpieram, próbując nie stracić odrobiny rezonu, którą jeszcze mam. – Rezygnuję z pracy. Już więcej tu nie przyjdę.

– Popatrzcie no, państwo, jaka cwana! – wypala bez zastanowienia, choć zauważyłam, że trochę go zaskoczyłam tą informacją.

– Nie wiem, co tu cwanego. Po prostu rezygnuję z pracy.

– I pewnie chcesz pieniądze? – Przymruża oczy.

– A czemu nie? Pracowałam, więc chyba mi się należą?

– Bezczelna dziewczucha. Złodziejka pieprzona i jeszcze ma tupet, żeby domagać się pieniędzy!

– Słucham?! – Czuję, jak krew we mnie buzuje. Moja twarz płonie, a ciało drży. Cała się trzęsę z wściekłości i strachu.

– Pokaż, co masz w torebce!

– Chyba pan żartuje? – Od razu zaciskam rękę na pasku.

– Nie żartuję. Pokaż, co masz w torebce. Rewizja, nie słyszałaś o tym? Jako pracodawca mogę tego zażądać. Nie zmuszaj mnie do przemocy.

– Ależ z pana cham. I prostak – wypalam. – Proszę bardzo, nie mam nic do ukrycia.

Dziękuję Bogu, że akurat tę torebkę pierwszy raz wzięłam do pracy. Kupiłam ją za niecałe trzydzieści złotych w tutejszym sklepie wielobranżowym. Jest nowa, tania i brzydka, a co najważniejsze: prawie pusta. Mam w niej tylko telefon, paczkę chusteczek higienicznych, niedojedzoną kanapkę i lichego portfeli z jeszcze lichtsą zawartością. Podchodzę do biurka, stawiam torebkę na blacie i ostentacyjnie wyjmuję te kilka drobiazgów.

– Coś jeszcze? Opróżnić kieszenie? – pytam z ironią.

– Tak. Kieszenie torebki, a jak to nie wystarczy, będziemy szukać dalej. – Wąsik przechodzi w stronę drzwi i opiera się o nie, jakby dawał mi do zrozumienia, że wyjdę stąd dopiero wtedy, gdy on na to pozwoli.

– A czego szukamy?

– Dobrze wiesz, złodziejko.

Boję się. To mi wygląda na obłąd. „Może on jest chory umysłowo?” – rozważam naprędce. Nachylam się nad torebką, a lewą ręką ukradkiem przesuwam na bok telefon. W razie czego zadzwonię na alarmowy. Poza tym umiem, chyba umiem, poradzić sobie z napastnikiem, ale i tak mrozi mi krew w żyłach, gdy pomyślę, że prawdopodobnie będę miała pierwszą w życiu okazję to sprawdzić.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – mówię, ale posłusznie odsuwam zamek jedynej kieszonki, jaką ma ta torebka.

– Zaraz zrozumiesz.

– Ech... – mruczę pod nosem. Wkładam do środka rękę i nagle czuję coś pod palcami. Zupełnie odruchowo wyjmuję ten przedmiot i oblewa mnie kolejna fala potu. To jedna z najmniejszych przypinek, które czyściłam. – Ale jak... – wykrztuszam, patrząc to na przypinkę, to na Wąsika.

– Proszę, znalazła się zguba. Przy okazji, umiesz świetnie kłamać i udawać. Złodziejko – dodaje dobitnym tonem.

– Nie jestem żadną złodziejką – protestuję natychmiast. – To pan podłożył przypinkę do mojej torebki, prawda?! – Ależ jestem wściekła. I dobrze, bo już wcale a wcale się nie boję tego gnoja. Rozsadza mnie gniew, a to najlepszy pomocnik, gdy trzeba kogoś zaatakować albo skutecznie się obronić. – Co za prostacki i tępy numer, ale fakt, tylko na taki pana stać.

Widzę, że odrywa plecy od drzwi, więc szybko wrzucam do torebki portfel i telefon, bo ten ostatni i tak do niczego mi się nie przyda, a obeschniętą kanapkę i chusteczki ten gnój może sobie zachować na pamiątkę.

– Ciekawe, co powie policja. Na przypince są twoje odciski palców. – Wąsik nie zamierza się poddać.

– Niech sobie są. Mam to gdzieś. – Zakładam torebkę na ramię. – Chcę wyjść.

– Nie ma mowy, ślicznotko. – Podchodzi blisko i staje ze mną twarzą w twarz. – Jeszcze możemy to załatwić polubownie. Uklęknieš i przeprosisz. – Uśmiecha się lubieżnie, a potem chwyta moją lewą dłoń i błyskawicznie dociska do rozporka spodni.

To, co się dzieje, jest instynktowne, ale jednak ze wsparciem mojego rozumu. Prawa pięść ląduje na nosie Wąsika, a ułamek sekundy później kolano z impetem wymierza silny cios w jego krocze. Wąsik zgina się wpół jak cyrkiel, wtedy uderzam z góry w jego kark, starając się włożyć w uderzenie maksymalnie dużo siły, ale dbając o precyzję i celując w odpowiednie miejsce. Pada na podłogę, a ja przeskakuję przez niego i wybiegam z biura. Pędzę jak szalona, już jestem przy bramie, gdy z budki wyskakuje ochroniarz i zderzamy się ze sobą niczym zapaśnicy sumo. Nie znam tego kolesia, pierwszy raz go widzę, pewnie dotychczas nasze zmiany

się nie zbiegły, ale jedno wiem na pewno – z nim nie poradzę sobie tak łatwo, o ile w ogóle. Wykorzystał zaskoczenie i zdobył przewagę.

– Puszczaj! – wrzeszczę, bo złapał mnie, obrócił tyłem i trzyma mocno w objęciach silnych ramion. – Puszczaj, gnoju!

– Uspokój się!

– Puszczaj! – Próbuję się wyswobodzić, ale wielkolud zna się na rzeczy i nie mogę w żaden sposób go zaatakować. Trzyma mnie jak w imadle.

– Masz ją?! – Nagle słyszę głos Wąsika.

Patrzę w stronę budynków, w których mieszczą się biura, i widzę, że mój prześladowca powoli zmierza w naszą stronę. Schylony, z ręką przytkniętą do krwawiącego nosa i rozjuszony niczym byk. Moje szanse na szczęśliwe zakończenie, o ile w ogóle można mówić o szczęściu w takiej sytuacji, spadają do zera. „Co robić?!” – próbuję gorączkowo przypomnieć sobie wszystkie znane i wyćwiczone techniki samoobrony, ale jak walczyć ze skałą? Ochroniarz to rostry chłop, na dodatek na pewno odpowiednio wyszkolony, nie mam z nim większych szans, mimo to nie zamierzam składać broni. Unoszę nogę i z całej siły walę obcasem w kość goleniową jego prawej nogi. Musiało go zabość, bo na moment trochę zmniejsza siłę chwytu, wyszarpuję się, ale łapie mnie za rękaw kurtki niemal ją ze mnie zrywając.

– Trzymaj tę sukę! – wrzeszczy Wąsik. – Nie pozwól jej uciec!

– Trzymam!

Wąsik już prawie do nas dociera, gdy do ich pokrzykiwań, moich wrzasków, żeby dali mi spokój, i odgłosów szamotaniny dołącza jeszcze jeden.

– Co tu się dzieje?!

Myślałam, że to jedna z najgorszych chwil w moim życiu i że zamiast krwi w moich żyłach płynie jedynie czysta adrenalina, lecz gdy widzę dopadającego nas Pawła, moje serce niemalże wyskakuje z piersi. Nie mam pojęcia, jak się tu znalazł i co będzie dalej, ale jednego jestem pewna, jeszcze chwila i umrę ze wstydu. Nie dbam o to, co myśli o mnie Wąsik i ten idiota, który zapewne miał mnie zatrzymać na jego polecenie, ale gdy

widzę minę Pawła i pomyślę o jego reakcji i o tym, że ktoś może wezwać policję, mam ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię i umrzeć. Że też władowałam się w takie kłopoty! Nie do wiary! To jak najgorszy senny koszmar.

– Co tu się dzieje?! – Paweł patrzy na tępego osiłka, który znów mnie obłąpił i trzyma w żelaznym uścisku swoich silnych rąk.

– Zaraz wytłumaczę! – wykrzykuje Wąsik.

Nareszcie udało mu się do nas podejść, stoi i ciężko dyszy. Trzyma się za nos, a jego biała koszula jest zachlapana krwią. Nie mogę powiedzieć, że nie czuję dzikiej satysfakcji na ten widok. Najchętniej walnęłabym mu jeszcze raz.

– Puść ją – mówi Paweł bardzo spokojnym, lecz i stanowczym tonem.

– Ale ja... – jąka się ochroniarz zza mojej głowy.

– Powiedziałem coś! – Paweł podnosi głos.

Dopiero teraz zauważam, że ma na sobie inny strój niż zwykle. Założył sportową i dosyć elegancką, bo sztruksową, marynarkę oraz czarne dżinsy. Wygląda naprawdę świetnie, uznaję w jakimś zabłąkanym błysku świadomości. A tak w ogóle to nie rozumiem, co się właściwie dzieje, i gdy ochroniarz wreszcie mnie puszcza, niewiele brakuje, a upadłabym na ziemię, bo moje nogi przypominają watę, ewentualnie galaretkę.

– Paweł, posłuchaj, to... – zaczyna Wąsik, ale mój nieoczekiwany wybawca dosyć ostrym tonem przekazuje mu, żeby natychmiast się zamknął. Mimo to nie odpuszcza. – Ukradła ryngraf z kolekcji twojego ojca, złapałam ją na tym, miała go w torebce! – wyrzuca na bezdechu.

– Ojca? – wyłapałam tylko to jedno słowo i musiałam bezwiednie je powtórzyć po Wąsiku. Od razu patrzę na Pawła i pewnie mam strasznie głupią minę, bo ten prawie od razu lekko potakuje głową.

– Nic ci się nie stało? – pyta mnie z troską.

– Nie. Wszystko w porządku – wykrztuszam, choć przecież NIC nie jest w porządku. Przed chwilą zostałam oskarżona o kradzież, Wąsik próbował mnie molestować, a potem ta szarpanina. Gdyby nie Paweł... Nawet nie

chcę myśleć o tym, co by się ze mną stało. – Niczego nie ukradłam. To oszczerstwo!

– Co za tupet! – wtrąca Wąsik.

– Mogę iść do domu? – Próbuję zapanować nad głosem i za wszelką cenę nie dopuścić do rozsypki. Nie dam mu satysfakcji i nie rozplaczę się tutaj, choćbym miała przegryźć na wylot swój język.

– Odwiozę cię – proponuje Paweł, ale od razu kręcę głową.

– Nie, sama wrócę. To niedaleko.

– Chwila! Chłopcze, chyba nie chcesz pozwolić, żeby ta złodziejka... – zaczyna Wąsik.

– Zamknij się – przerywa mu Paweł.

– Buchnęła ryngraf pana Hansa! Miała go w torebce!

– Nie rozumiesz po polsku?!

Z satysfakcją zauważam, że Wąsik aż się kuli pod jego spojrzeniem.

– A ty nie waż się wspomnieć komuś o tym incydencie, zrozumiałeś? – zwraca się do ochroniarza. – Wracaj na stanowisko. – Wskazuje brodą na mały budynek przy głównej bramie.

– Już się robi – odpowiada troglodyta. Niewiele brakuje, a zsalutowałby do swojego pustego łba. Odwraca się na pięcie i żwawym krokiem odchodzi, pewnie szczęśliwy, że nie musi dalej uczestniczyć w tej farsie.

– To ja też już pójdę – mówię cicho.

– Uważam, że najpierw... – próbuje Wąsik, ale kolejny raz milknie pod naporem groźnego spojrzenia Pawła.

– Do widzenia.

Odchodzę jeszcze energiczniej niż mięśniak pilnujący bramy. Do ostatniej chwili drzę ze strachu, że ktoś mnie zatrzyma, nawet Paweł, który stanął w mojej obronie, zwłaszcza on, bo będzie chciał wysłuchać, co mam na wytłumaczenie tej kompromitującej sytuacji, ale nic takiego się nie wydarza. Niecałą minutę później jestem już za posesją. Chciałabym pobiec i jak najszybciej znaleźć się w domu, lecz nie mam sił. Ledwie wyszłam na uliczkę, a opadło na mnie zmęczenie. Nagle straciłam prawie całą moc.

Wlokę się noga za nogą, a po moich policzkach płyną łzy. Pewnie nigdy tego nie zapomnę, bo trudno zapomnieć takie zdarzenie, ale bywało gorzej i dałam radę, tym razem też tak będzie. Na razie moim jedynym celem jest wrócić do domu, o zemście pomyślę później. Jak nigdy dotąd, zamykam na klucz bramkę, podobnie drzwi do domu: wszystkie zamki i zasuwki. Opuszczam zewnętrzne rolety we wszystkich oknach i dopiero wtedy siadam wyczerpana na miękkim podłokietniku sofy. Tkwię tam dobry kwadrans, nie mogąc uwierzyć, że tak się skończyła moja koszmarna przygoda. „Co nas nie zabije, to nas wzmocni” – przywołuję w myślach kiedyś usłyszane powiedzenie, ale to marna pociecha. Płacę i płacę. Setki łez spływają po mojej twarzy, kapią na kurtkę, zatykają nos, odbierają oddech.

Potrzebuję pociechy. Nie wytrzymam. Wyjmuję telefon i wynajduję w kontaktach numer jednej jedynej osoby, która jest w stanie mi pomóc, tak myślę. I nagle przychodzi wiadomość. Zastygam, sparaliżowana strachem, bo nie znam numeru nadawcy. W końcu się otrząsam, bo przecież co może mi zrobić ten ktoś? Nic. Naciskam właściwą ikonkę.

*Bardzo mi przykro, że spotkały Cię nieprzyjemności.
Chciałbym to naprawić. Możemy się spotkać? Paul Edel van
Warmerdam*

MILENA



Od kiedy Jasiek wytłumaczył, w czym rzecz, układa się nam idealnie. Nadal łaknę każdego pocałunku i przytulasków, lecz na poważniejsze pieszczoty muszę poczekać i wcale mnie to nie martwi. Odwiedzamy się dosyć często, czasami idziemy do kina albo na ślizgawkę, ale najchętniej przesiadujemy w domu, rozmawiamy o wszystkim i o niczym, słuchamy muzyki, a raz zdarzyło się nam piec wspólnie babeczki.

Pewnie dlatego łaskawszym okiem spoglądam na świat i nie przeszkadza mi to, że Jacek znów zaczął nas odwiedzać, gdzie „nas” to lekka nadinterpretacja, bo spędza czas głównie z mamą. Jasiek siedzi u mnie, a Jacek u mamy. Nie wiem, co tam robią, bo nie zaglądam do mamy, gdy ma gościa. Staram się ją zrozumieć, pewnie jej ciężko, owdowiała tak wcześnie, a wspólnik taty to najbliższy mężczyzna, jakiego znamy. Oczywiście nie licząc Jaśka, ale on jest tylko mój.

Dzisiaj wielki dzień. Dałam się namówić na domówkę u Dawida. To najlepszy przyjaciel mojego Janka. Znam go trochę: miły, przystojny, wesoły. Mieszka w Łomiankach. Tam ma być domówka. Nie chciałam iść ze względu na żałobę, ale mama i Jacek przekonali mnie do zmiany decyzji. „Idź, zabaw się trochę, przecież nikt nie każe ci tańczyć. Zresztą jakie to tańce na prywatkach? Pamiętam dobrze takie spotkania. Kto miał głowę do tańców? Wszyscy się opili, a potem miętosili po kątach” – stwierdził.

Mama przewróciła oczami, bo chyba jej nie uspokoił, zwłaszcza ostatnią uwagą.

Nie wiem, co założyć, więc zapraszam ich do siebie i robię mały pokaz mody. Nieco monotematyczny, bo jaki mam wybór? Między czarną sukienką bez rękawów a czarną sukienką z krótkimi rękawami, ewentualnie czarną sukienką z rękawami trzy czwarte. Jacek, jak to każdy facet, zapewnia, że nie widzi żadnej różnicy i w każdej wyglądam świetnie. Dobrze, że mogę liczyć na mamę. Obu nam najbardziej podoba się ostatnia przymierzona sukienka. Ma kopertowy fason, więc trochę mnie wyszczupła, długość też jest odpowiednia, przed kolano, a dekolt ładnie podkreśla moje kształty. Pozwalam sobie na odrobinę luksusu i zakładam piękną francuską bieliznę. Nie lubię chodzić w pończochach, ale rajstopy nie pasują do tak eleganckiej sukienki, też przywieziona z Paryża. Mając świadomość, że pod sukienką kryje się wyrafinowany koronkowy komplet, będę mocniej emanować seksapilem i może Jasiek to wyczuje? „Miętoszenie” brzmi obiecująco, choć nie nastawiam się na zbyt wiele, bo nie piję alkoholu, mój chłopak z tego, co mi wiadomo, też nie przepada za napojami wyskokowymi, a jeśli już, to w symbolicznych ilościach.

O piątej przyjeżdża Sandra. To moja fryzjerka i makijażystka. Lubię ją, bo jest młoda, wesola i zawsze namówi mnie na coś szalonego, a to wymyśli jakąś nową fryzurę, a to doklei sztuczne rzęsy. Potrafi doskonale konturować twarz. Skacze wokół mnie, czesze, maluje i po niecałych dwóch godzinach prezentuję się całkiem inaczej. Mam podkreślone kości policzkowe, moja cera jest gładka i promienna, a fryzura dodaje kilka centymetrów wzrostu, podobnie jak wysokie szpilki.

– Pięknie. – Mama przyszła zobaczyć efekty. Stoi i patrzy na mnie ze szczerym podziwem.

– Nie wyglądam grubo? – Obracam się przodem do wielkiego lustra i jeszcze raz kontrolnie przelatuję wzrokiem po całej sylwetce. Dzisiejszy wynik na łazienkowej wadze nie napawa optymizmem. Sześćdziesiąt dziewięć i PÓŁ kilograma! To pół zepsuło mi humor. Jeszcze tylko trochę i

będzie siedemdziesiąt, a miałam schudnąć! Tu po bokach. – Szczypię się w biodra.

– Nie wyglądasz grubo, bo nie jesteś gruba. Dobrze, że wzrost odziedziczyłaś po tacie. – Mama pije do tego, że jestem od niej wyższa o prawie piętnaście centymetrów.

– Ślicznie wyglądasz, nie marudź – zapewnia Sandra. – Jak milion dolarów albo dwa.

– Cóż, zrobiłyśmy wszystko co w naszej mocy – orzekam.

Jeszcze miesiąc temu nie byłam równie pewna siebie, ale ostatnio Jasiak obsypuje mnie komplementami, więc wskaźnik samozadowolenia drgnął lekko i z poziomu zero przesunął się o dobre trzy kreski. Dlaczego o trzy? Ze względu na włosy – ponoć mam przepiękne, oczy – podobnie i... paznokcie. Jasiak uważa, że mam śliczny kształt płytki paznokcia, a co przedziwne i bardzo mnie rozbawiło, kilka dni temu poprosił, żebym pozwoliła je umalować na czerwono. Całkiem dobrze sobie radził z lakierem. Na pewno lepiej niż ja sama. Niestety lakier się złuszczył i musiałam go zmyć, ale Sandra pomalowała paznokcie na nowo i mam piękne i czerwone.

– Szkoda, że Jacek nie może cię zobaczyć. Jesteś taka śliczna. – Mama podchodzi i ostrożnie całuje mój policzek.

– Czemu już uciekł?

– Pojechał do siebie. Ktoś przychodzi do niego na brydża. Zresztą za chwilę ja też się zbieram. Jadę do Izy. – Przypomina, że umówiła się z przyjaciółkami na małe piżamowe party, jak określają wspólne pogaduchy przy winku.

– Wyleciało mi z głowy.

– Miało prawo. – Mama mruga porozumiewawczo. Widzi, że jestem przejęta.

Sandra nas opuszcza, czekam jeszcze kwadrans, może trochę dłużej, i przyjeżdża po mnie Jasiak. Czekam na niego z rozpalonymi policzkami, dobrze, że mam podkład i nie muszę się wstydzić. Robi wielkie oczy, gdy

mnie widzi, ale nie mówi ani słowa. Dopiero w samochodzie tłumaczy, że na początku zatkało go z wrażenia.

– Kusicielka. Moja śliczna kusicielka – mruczy z zadowoleniem i dumą.
– O której masz wrócić? – pyta po chwili.

– O żadnej. Mogę balować do rana.

– Super.

– Ktoś mnie odwiezie? – upewniam się. Jedziemy samochodem ojca Jaśka. I z jego pracownikiem w roli kierowcy, ale nie wiem, co będzie później, a na pana Józka nie mogę liczyć. Ma trzy dni urlopu.

– Tak. Dawid zamówi Ubera. Wrócę z tobą. – Ściska moją dłoń. – Odstawię cię pod drzwi, bo jeszcze ktoś mi ciebie ukradnie.

– Bez obaw. Tak łatwo nie dam się ukraść.

Patrzę na niego i nie mogę się napatrzeć. Jasiak wygląda świetnie. Dotychczas widywałam go w dżinsach i koszulkach polo, lecz dzisiaj to się zmieniło. Ma na sobie krótki wełniany płaszcz w grafitowym kolorze i jedwabny szalik. Widzę, że założył elegancką czarną koszulę i takie same spodnie. Nie ma krawatu, ale nie jest potrzebny, wystarczy przecież szal. No i ten zapach... Korzenny, męski, intensywny. Uderza w mój nos przy każdym jego ruchu. „Ech, gapo, a ty? Zapomniałaś spryskać się perfumami” – uświadamiam sobie z żalem. Teraz już za późno. Nie mam żadnych perfum w torebce, a wracać nie będziemy, bo już jesteśmy na miejscu.

Dawno nie byłam na żadnej domówce, a na takiej organizowanej przez znajomego Jaśka jestem pierwszy raz, więc prawie godzina mija mi na przedstawianiu się i poznawaniu nowych osób. Dawid nie chodził do naszego liceum, dlatego nikogo nie znam prócz Jaśka oczywiście. I gospodarza. Mili ludzie, stwierdzam szybko. Niektórzy dosyć znacząco reagują, gdy się przedstawiam. „Cezary Kowalik to twoja rodzina?” – pytają. „Tak, to mój tata”. „Zmarł niedawno, prawda? Strasznie mi przykro”. Cóż, taka moja dola. Nazwisko ojca jest powszechnie znane. Tata lubił brylować w towarzystwie, często bywał na rautach i przyjęciach, a co

za tym idzie, jego twarz widać było wszędzie. I w telewizji, i na plotkarskich portalach.

Domówka jak domówka, gadamy, Jasiek opowiada o nurkowaniu, ja wtrącam swoje trzy grosze, bo też byłam na Malediwach, mówimy o szkole i maturach, Jowita, siostra Dawida, bardzo fajna dziewczyna, podziwia moją kieckę, choć sama jest w džinsach i kusym topie. Oczywiście prawie wszyscy piją alkohol, nawet Jasiek, co trochę mnie dziwi, bo zarzekał się, że nie przepada. Może to kwestia towarzystwa? Na szczęście nie pije dużo, jest raczej lekko wstawiony niż pijany. Nie zamierzam mu tego wytykać, przecież jest pełnoletni, a póki zachowuje się jak człowiek, nie będę interweniować. Jeszcze nie ma dziesiątej, a towarzystwo jest już mocno rozbawione. Jeden z kumpli Dawida prosi mnie do tańca. Tłumaczę, że jestem w żałobie, ale Patryk nie odpuszcza. W końcu dla świętego spokoju idę z nim podreptać. Chyba tata nie obrazi się za ten jeden kawałek, na dodatek to żadna przyjemność, bo mój partner nie ma pojęcia o tańcu, a stopy coraz bardziej mnie bolą. To przez nowe szpilki. Są wysokie i wąskie, jutro będę mieć same odciski, już czuję, że pieką mnie palce.

Wracam na miejsce i stwierdzam, że Jasiek gdzieś się ulotnił. Szukam go w jadalni, w której ustawiono stoły ze szwedzkim bufetem, i w kuchni. Tam też trwa zabawa. Kilka osób stoi przy stole i rozmawia, bo tu przynajmniej nie jest tak głośno jak w głównym salonie. Muzyka dociera, lecz da się normalnie pogadać. Dom Dawida nie jest duży, daleko mu do naszej rezydencji. W poszukiwaniu Jaśka zwiedziłam już cały parter domu, włącznie z biblioteką i małym gabinetem. Rozważam, czy iść na górę, bo stamtąd dochodzą mnie głosy rozmów i śmiechy, staję przy balustradzie, gdy mija mnie Jowita. Ależ się upiła. Jeszcze pół godziny i zaliczy zgon, tak sędzę.

– Nie wiesz, gdzie jest Janek?

– Janek? – Powtarza trochę bełkotliwie. – Nie wiem. A! Wiem! – Plaska się w czoło. – Poszedł z Dawidem pooglądać nową furę naszej matki. Są w garażu, a teraz sorry, ale... – Przykłada dłoń do ust.

„Oho, ktoś pilnie musi skorzystać z toalety”. Rozbawiona, odprowadzam ją wzrokiem. Nie mam pojęcia, jak znaleźć wejście do garażu, więc pytam jakąś dziewczynę. Za nic nie przypomnę sobie jej imienia. Marcela? Chyba tak. Niestety, ona też jest tu po raz pierwszy i nie wie. W końcu postanawiam wyjść z budynku i dotrzeć do garażu od zewnątrz.

Jest okropnie zimno. Cieniutka sukienka oraz pończochy to niezbyt trafiony strój na spacer w lutym. Oddalam się od głównych drzwi i rozglądam. Bingo! Po lewej stronie zauważam dwie garażowe bramy. Jedna jest uchylona w połowie, a spod skrzydła przenika światło reflektorów. Idę tam. Moje szpilki zapadają się w żwirku, którym wysypano podjazd, i bardzo szybko wypełniają się lodowatą wodą z roztopionego śniegu. Całą noc prósz, ale nie jakoś mocno. Nic nie widzę, bo gdy zapuszczam żurawia pod bramą, reflektory samochodu na moment mnie oślepiają. Widocznie Dawid włączył halogeny.

– Halo, jest tu ktoś? – Podnoszę głos, ale nie mam szans w starciu z silnikiem samochodu. – Ależ oni są głupi – mamroczę do siebie.

To niebezpieczne siedzieć w garażu w samochodzie z włączonym silnikiem. Można się zatruć spalinami. Wprawdzie brama jest podniesiona, ale do połowy. Schylam się i przechodzę pod nią. Staję, próbując cokolwiek dostrzec we wnętrzu auta, lecz światła mi nie pozwalają. W końcu podchodzę bliżej. Zauważam ich, to chyba Dawid i Jasiek. Co dziwne, obaj siedzą z tyłu. Okna samochodu są zamknięte, pewnie dlatego mnie nie usłyszeli. Rozmawiają, już mam ich zaskoczyć i otworzyć drzwi od strony kierowcy, gdy cały mój świat staje w miejscu.

– Nie... – skrzeczę. – Boże... – Nie poznaję własnego głosu. Brzmi jak nie mój.

Zatykam usta i zastygam w bezruchu. Już nie jest mi zimno. Przeciwnie, oblewa mnie fala potu, płonę żywym ogniem, gdy widzę, co się dzieje. Dawid całuje Jaśka, a ten nie oponuje. Obejmują się. Dłonie Dawida migają w mroku, odcinają się na tle czarnej koszuli Jaśka jasnymi plamami, gdy gładzą go po plecach. Nie mogę się ruszyć, jakbym zmieniła się w posąg, ale cała wewnątrz krzyczę. Jasiek odrywa usta od ust Dawida i już w mojej

głowie błyska promień nadziei, że da mu w gębę, uderzy go albo wyskoczy z samochodu, wywlecze go ze środka i spuści łomot, ale to tylko nędzny promyk, który właśnie zgasł. Jasiek sięga do guzików koszuli Dawida i zaczyna je gorączkowo rozpinać. Trwa to chwilę, bardzo krótko, i Dawid jest półnagi. Sam zdjął koszulę i rzucił gdzieś za siebie. Mój chłopak przykłada twarz do jego torsu i zaczyna go całować, gryźć i kąsać, pieścić tak, jak miał pieścić mnie!

Może ta myśl sprawiła, że odzyskuję władzę w ciele. Odwracam się na pięcie i uciekam, w ostatniej chwili unikając uderzenia głową w bramę. Biegnę przed siebie, wiatr smaga moje policzki, zamraża płynące łzy i przynosi mi ulgę. Gdybym mogła wskoczyć do basenu, do lodowatej wody, zrobiłabym to. Pokonuję kolejne metry, uparcie wypatrując bramy wjazdowej. Gdy ją widzę, przyspieszam. Chwilę później jestem na ulicy. To uliczka typowa dla Łomianek, wąska i długa. Na jej końcu jest wyjazd na główną drogę. Pobiegnę tam i złapię taksówkę. To nic, że nie mam płaszczka. Jest mi gorąco. To nic! Wystarczy torebka. I telefon.

Nagle słyszę za sobą krzyk. I odgłos kroków. To Jasiek. Poznałam. Nie będę z nim rozmawiać! O nie! Odnajduję w sobie nowe pokłady energii. Będzie mu trudno mnie dogonić. Sekunda i nie mam jednego buta, druga i jestem boso. Pędzę, nie zważając na zimno i kamyczki, które ranią mi stopy, ale on i tak mnie dogania.

– Poczekaj! Milena, poczekaj! – Dopada do mnie, łapie za rękę i mocno ściska.

– Puść! – krzyczę.

– Poczekaj! – Zgina się w pół, wspiera lewą dłoń na kolanie i głośno dyszy. Niestety drugą, prawą, trzyma mnie zbyt mocno. Za mocno, żebym mogła wyszarpać nadgarstek. – Zaraz ci wytłumaczę – sapie.

– Zostaw! – Próbuję wyswobodzić dłoń. Nadaremnie. Tkwi jak w kleszczach.

– Porozmawiamy, a potem cię puszcze.

– Nie mamy o czym.

– Mamy.

Okej, niech mu będzie. Stoję i patrzę na niego. W mojej głowie szaleje milion myśli. Wszystko jasne. Jasiak jest gejem. Już rozumiem, skąd jego śmieszne zasady i oziębłość w stosunku do mnie.

– Powinam się cieszyć i być dumna. Nawet gejowi się podobam – mówię z ironią. – Kusicielka? Dobrze sobie. – Parskam śmiechem. – I o czym ty chcesz ze mną gadać?! Co?! – Podnoszę głos.

– Przepraszam. – Prostuje plecy. Nadal ściska moją dłoń, teraz już oburącz. – Milena, posłuchaj, porozmawiajmy spokojnie, ale najpierw... – Spuszcza wzrok na moje białe stopy. – Zaniósę cię do domu.

– Do domu twojego kochasia? Moja noga tam więcej nie postanie. Zapomnij.

– Dobrze. – Szybko pojął, że nie żartuję. – Zostań tu, zaraz przyniosę ci buty i płaszcz, a na razie weź marynarkę. – Wreszcie puszcza moją rękę. Musi tak zrobić, żeby zdjąć okrycie. – Proszę.

– Dziękuję. – Biorę marynarkę, rzucam na asfalt i staję na niej. – No co? Chyba nie sądziłeś, że ją założę.

– Milena... – Wykonuje taki ruch, jakby chciał dotknąć mojego ramienia. Natychmiast się odsuwam.

– Pospiesz się. Marznę.

Patrzy na mnie z wahaniem, w końcu odwraca się i biegnie z powrotem. Nie mam zbyt wiele czasu do namysłu, poza tym jest naprawdę zimno i powoli zaczynam to odczuwać. Wyjmuję telefon i już mam zadzwonić do pana Józka, gdy przypominam sobie, że wziął wolne.

– Cholera, cholera, cholera!!! – klnę bezsilnie, bo nie mam zapisanego ani jednego numeru do żadnej korporacji taksówkarskiej, ale od czego internet? Znajduję jakąś i wtedy uświadamiam sobie, że nie mam sił na kolejną konfrontację z Jaśkiem. „Tato, czemu cię tu nie ma? Czemu mnie zostawiłeś?” – moja dusza skowyczy z żalu. Wybieram numer Jacka i czekam na jego głos. Chcę usłyszeć kogoś, kto się mną zaopiekuje, a co najważniejsze, przyjedzie tutaj po mnie.

– Halo? Milenko? – Odbiera prawie natychmiast. – Halo?

Głos grzęźnie mi w gardle, z trudem wykrztuszam, że potrzebuję jego pomocy.

– Przyjedź, proszę, po mnie. Jestem w Łomiankach.

– Co się stało?!

– Nic. Przyjedź.

– Podaj mi adres.

– Chwilę.

Rozglądam się na bok, żeby wypatrzeć jakąkolwiek tabliczkę. Na szczęście jest taka, na ogrodzeniu tuż za mną. Z nazwą ulicy i numerem domu. Podaję mu go.

– Będę do pół godziny.

– Pospiesz się.

– Okej.

Pół godziny? To strasznie długo, ale już nie będę mieszać i go odwoływać. Chowam telefon i obejmuję się ramionami. Jeszcze chwila i zamarznię na kość. Pocieram je energicznie, drepczę w miejscu, żeby nie dopuścić do odmrożeń stóp, i czekam na Jaśka, choć jest ostatnią osobą, której gębę mam ochotę oglądać. „A może jednak zadzwonić do Jacka i powiedzieć, że zmieniłam plan i wrócę taksówką? A co, jeśli wygada wszystko mamie?” Dociera do mnie kolejna prawda. Nawet nie przyszło mi na myśl, żeby do niej zadzwonić. Nie mam pojęcia dlaczego. Może wstyd mi nie pozwala?

Stoję i modłę się, żeby nikt nie jechał tędy o tej porze. Z pewnością wzbudziłabym zainteresowanie, głównie tym, że nie mam butów. Widzę je w świetle ulicznej latarni, leżą jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie. Zarzucam na plecy marynarkę Jaśka i podbiegam. Gdy zakładam szpilki, nie czuję stóp. Są jak dwa lodowe sople.

– Gdzie jesteś? – mamroczę. Nagle dostrzegam Jaśka, biegnie w moją stronę. Czekam z drżeniem serca. Chcę odzyskać mój płaszcz i to wszystko. Żadnych rozmów, tłumaczeń i przeprosin, co to, to nie.

– Jestem, przepraszam, ale nie mogłem go znaleźć. – Chce podać mi okrycie, lecz zmienia zdanie. – Możesz najpierw ją zdjąć? – Wskazuje

brodą na swoją marynarkę.

– Proszę bardzo. – Otrząsam się i marynarka Jaśka, zabrudzona tu i ówdzie błotem pośniegowym, upada na asfalt. – Daj. – Zabieram mu płaszcz, opatulam się pod szyję i odchodzę.

Oczywiście, nawet się nie łudzę, że mój ekschłopak gej mi odpuści. Dogania mnie po chwili, zdyszany jak parowóz. Idzie obok, a z jego ust płynie słowotok:

– Bardzo cię przepraszam, musisz mnie zrozumieć, to jest silniejsze ode mnie, wypłem o kilka drinków za dużo i stało się, to silniejsze ode mnie, bo taki jestem, taką mam naturę, wybacz, nie powinienem był kryć przed tobą prawdy, ale naprawdę cię lubię, bardzo, bardziej niż brata czy siostry, podobasz mi się, czasami myślę, że jestem biseksualny, zagubiłem się w tym wszystkim, wybacz mi, proszę, czemu nic nie mówisz, powiedz choć jedno słowo...

Zatrzymuję się i patrzę na niego z politowaniem.

– Spierdalaj – wygłaszam dobitnie.

– Milena... – stęka Jasiek. Chwyta mnie za ramię, ale wystarczy, że spojrzę na jego dłoń, i zabiera ją z powrotem.

– Okłamałeś mnie.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć ci wcześniej, ale brakło mi odwagi.

– Pogięło cię? – Wytrzeszczam oczy. – Co mi chciałeś powiedzieć? Że jesteś gejem? A co mnie to obchodzi? Jesteś to jesteś, twoja dupa, twoja sprawa! – wyrzucam z siebie, zszokowana, że potrafię być tak wulgarna i chamska. – Nie rozumiem jednego: po co zawracałeś mi głowę? Myślałeś, że nie odkryję twojej tajemnicy? – Biorę się pod boki. – Brzydzę się tobą. Nie dlatego, że lubisz chłopców – łzę w żywe oczy, bo ciągle czuję gorzki posmak na języku, gdy przypominam sobie obrazki z garażu – tylko twoim ohydny kłamstwem! Zostaw mnie i nigdy, przenigdy, nie pokazuj mi się na oczy, rozumiesz?!

– Okej – wykrztusza. – Nie będę cię nachodził, ale mam prośbę.

– Bez obaw. Nie powiem nikomu, co wyprawiałeś z Dawidkiem. A właśnie, wracaj do niego, gotów uschnąć z tęsknoty – prychem z pogardą.

– Nie chodzi o to, pozwól się odwieźć do domu. Zamówiłem już Ubera, zaraz tu będzie.

– Mam w dupie twojego Ubera. Sam sobie nim jedź. Cześć! – rzucam i odchodzę energicznym krokiem.

– Obiecałem twojej mamie, że... – Lezie za mną.

– Daruj sobie wszelkie zobowiązania wobec mnie i mojej rodziny.

– Milena... – Jasiek znów zrównuje się ze mną. Idzie ramię w ramię, nawet kroki robi tej samej długości, co moje, a nasze buty wybijają głośny rytm na zmrożonym asfalcie, niosąc się echem między uliczkami Łomianek. – Posłuchaj, daj sobie coś powiedzieć.

– Moja oferta jest krótka i jednorazowa. Jeśli natychmiast nie znikniesz z mojego życia, nasi znajomi jeszcze dzisiaj dowiedzą się o wspaniałym związku między tobą a Dawidem. Jego siostra się dowie z SMS-a, bo dała mi swój numer, a twoje siostronie z wiadomości na fejsie. Wybieraj, decyzja należy do ciebie – mówię twardo.

– Milena, proszę...

– Liczę do trzech. Raz!

– Przepraszam, nie skreślaj mnie, chcę być...

– Dwa!

– Przepraszam – mówi, zrezygnowany, i staje w miejscu.

Odchodzę, z każdym kolejnym metrem łyzy coraz obficiej zlewają moją twarz.

Czuję, że pęka mi serce...

PAULA



*Bardzo mi przykro, że spotkały Cię nieprzyjemności.
Chciałbym to naprawić. Możemy się spotkać? Paul Edel van
Warmerdam*

Aż chciałoby się odpisać: „Czemu tak oficjalnie. Już nie Paweł?”. Przez chwilę mnie kusi, żeby właśnie tak odpowiedzieć, ale tylko przez chwilę. Wiem, teoretycznie powinnam być mu wdzięczna, przecież mnie ocalił, wyrwał z łap Wąsika i jego pomagiera, a nawet zaproponował, że odwiezie do domu, dlaczego więc zamiast wdzięczności czuję rozczarowanie? Okłamał mnie, oszukał co do swojej tożsamości. To jego jedyny grzech. A precyzyjniej rzecz ujmując, nie powiedział całej prawdy. Jestem pewna, że prawie każda dziewczyna na moim miejscu nie robiłaby większego problemu. Lecz ja robię. Nie lubię być wpuszczana w maliny. Nikt nie lubi. A może problem tkwi we mnie? Mocno zabołało. A kiedy boli najbardziej? Wtedy, gdy w zachowaniach innych widzimy samych siebie.

– I co mu odpisać? – mamroczę pod nosem.

Najchętniej zapomniałabym o sprawie. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi ludźmi, nawet z Pawłem. Zawsze będzie mi się kojarzył z Wąsikiem, a na samą myśl o tym obleśnym typie mój żołądek podjeżdża do gardła. Nagle przypominam sobie, że dotknął mojej ręki. Rzucam telefon na siedzisko sofy i biegnę do łazienki. Zdejmuję kurtkę i od razu wkładam ją

do pralki, a resztę ciuchów wrzucam do kosza na brudy. Zaraz zrobię pranie, ale najpierw sama muszę się umyć. Zmyć z siebie wszystko, najmniejszy pyłek kurzu, który osiadł na moich włosach, gdy siedziałam w gabinecie i czyściłam ryngrafy.

Wchodzę pod gorący prysznic. Parzy, ale dobrze mi to robi. Szoruję ciało szorstką myjką, trzykrotnie nakładam szampon i spłukuję, myję się tak gorliwie i energicznie, jakbym chciała zetrzeć z siebie brud i ohydę ostatnich wydarzeń. Dopiero kiedy wychodzę z kabiny, uświadamiam sobie, że moja pięść walnęła nie tylko w nos Wąsika, ale i w zęby. Mam zdarte do krwi knykcie przy małym i serdecznym palcu. Naprędce szukam w szafce pod umywalką czegoś, czym mogłabym to zdezynfekować. Nie mam wody utlenionej, za to jest płyn do płukania jamy ustnej, oczywiście na bazie spirytusu, i kilkanaście flakonów rozmaitych perfum i wód toaletowych.

Szczypie nieziemsko. Zaciskam zęby, gdy alkohol wpływa do ranek. Nie są bardzo poważne, ot, zwykłe otarcia, jedynie na serdecznym palcu mam nieco głębsze uszkodzenie, bo noszę na nim pierścionek od mamy. Wbił się ostrą krawędzią w skórę i ją przeciął. Zdejmuję go, żeby zakleić ranek małym plastrem. Te na knykciach zostawiam, bo każdy plaster i tak się odklei z tego miejsca. Od razu mi trochę lepiej. Zakładam czyste ciuchy i nastawiam pralkę, a potem wracam do saloniku. Od razu zauważam, że Paweł czy też Paul wysłał drugą wiadomość.

Siadam na kanapie, biorę telefon i stwierdzam, że tym razem napisał do mnie Paweł, nie Paul. Czyżby czytał w moich myślach?

Odpisz, proszę. Chciałbym porozmawiać, wyjaśnić sytuację, przeprosić i zapłacić za Twoją pracę. Pozdrawiam, Paweł

„Uparty jesteś. Nie chcę twoich pieniędzy, przeprosin, wyjaśnień. Nic od ciebie nie chcę – mówię do siebie. – Nic”.

Przez chwilę rozmyślam, co będzie lepsze: dalsze ignorowanie jego wiadomości czy krótka informacja, że nie mam najmniejszej ochoty ani

potrzeby się spotykać. Zrobię tak: zignoruję, a jeśli nadal będzie mnie nękał SMS-ami, zablokuję jego numer. Oczywiście, może wysłać wiadomość z innego, ale chyba aż tak nachalny i bez klasy nie jest. Na wszelki wypadek wyłączam dźwięk przychodzących wiadomości i zanoszę telefon do łazienki. Niech sobie tam leży. Dzisiaj nie mam siły na dalsze rozważania, co powinnam zrobić. Nic nie będę robić, ewentualnie naszykuję skromną kolację, ale to później. Na razie mój żołądek przybrał rozmiar orzeszka i skrył się gdzieś głęboko. Półożę na kanapie, zakryta kocem, i bezmyślnie przełączam kanały w telewizji. Szukam czegoś, co by mnie chociaż trochę zainteresowało, ale moją głowę wypełnia milion myśli. Ciągłe widzę i słyszę sceny rozgrywające się w biurze Wąsika i późniejsze: szarpaninę z ochroniarzem, interwencję Pawła, pamiętam, jak się wtedy czułam. Wszystko mnie boli. Chciałabym natychmiast zapomnieć, ale zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe.

Czy uda mi się zasnąć? Co będzie jutro? Pojutrze? Oszaleję. Było ciężko, a teraz jest tysiąc razy gorzej. Znow podaję w wątpliwość słusność moich decyzji. Moje życie jest beznadziejne. Jestem jak w szklanej klatce. Gdziekolwiek próbuję znaleźć wyjście, tam trafiam na szklaną ścianę. Odbijam się od niej i to wszystko, co osiągam. Siedzę przed telewizorem do późna w nocy, w końcu zasypiam. Znużenie wzięło górę. Gdy się budzę, dopiero świta. Mam za sobą kilka godzin snu i czuję się tak okropnie zmęczona, jakbym miała sto lat.

Nie myślę. A przynajmniej staram się nie myśleć o wczorajszym dniu. Na takie „niemyślenie” najlepiej czymś się zająć. Ostatnie zakupy zrobiłam równy tydzień temu, w sobotę. W lodówce prócz światła mam jeszcze przeterminowany jogurt light z wieczkiem wydętym niczym balon, i zwiędłego ogórka. Nie żebym była głodna, co to, to nie. Przeciwnie. Nadal nie czuję potrzeby zjedzenia czegokolwiek, wystarczy kawa. Bez mleka, bo nie mam, za to z trzema łyżeczkami cukru. Zrobię zakupy, bo tak trzeba. Zawsze to godzina lub dwie spędzone na jakiejś aktywności.

Wrzucam na siebie przypadkowo dobrane ciuchy, byle czyste, zakładam płaszcz, bo kurtka od wczoraj siedzi w pralce, i wychodzę z domu. Jest po

ósmej. Jeszcze nigdy tak wcześnie nie robiłam zakupów. Z reguły robię je w największym sklepie, można powiedzieć, że to taki tutejszy supermarket, nawet niezłe zaopatrzone. Ledwie zamykam za sobą furtkę, a spostrzegam dwa obiekty. Pierwszy, czyli zagrożenie, natychmiast podrywa moje serce do galopu. To Paweł, właśnie nadjeżdża autem od strony swojego domu, a gdy mnie zauważa, od razu lekko zwalnia. O nie! Nie chcę z nim rozmawiać! Na pewno nie! Jedzie powoli, jakby chciał znaleźć miejsce do zaparkowania.

Drugi obiekt, potencjalny ratunek z opresji, to dziewczyna, która mieszka w domu naprzeciwko. Czasami ją widuję, mówimy sobie „cześć” i dodajemy niezobowiązujący uśmiech. A gdy towarzyszy jej któreś z rodziców, witam się „dzień dobry”. Niedawno załapałam, że taki panuje tu zwyczaj: mówić „dzień dobry” każdemu, kogo mija się na drodze. Ale w sklepie już nie. Tam obowiązują inne zasady.

Oczywiście nie znam tej dziewczyny, nie mam pojęcia, jak się nazywa, i w ogóle mnie to nie interesuje, ale to moja jedyna szansa, żeby wywinąć się ze spotkania z Pawłem. Udaję, że go nie zauważyłam, przechodzę przez ulicę, a właściwie przebiegam, i staję przed sąsiadką.

– Cześć! – mówię.

Najwyraźniej jest w szoku. Z wrażenia zapomniała mi odpowiedzieć. Stoi i milczy, ani drgnie. Jest bardzo ładna. Ma zielone oczy, bladą cerę upstrzoną tu i ówdzie delikatnymi piegami, a wokół jej twarzy wiją się złocistorude loczki. Akurat to widziałam wcześniej, że jest ruda, ale tylko to.

– Cześć – bąka.

– Jestem Paula – przedstawiam się. Przed chwilą minął nas samochód i dam sobie uciąć rękę, że kierowca bacznie obserwuje nas we wstecznym lusterku. Jak na złość, Paweł kieruje się do centrum, tam gdzie są sklepy. – Tak długo tu mieszkam, a jeszcze się nie poznałyśmy.

– No tak. Martyna. – Wyciąga rękę.

Dobrze, że dopiero teraz. Jest szansa, że Paweł już nas nie widzi. Nie lubię przed kimś uciekać, a to przecież była zwykła ucieczka, próba

uniknięcia konfrontacji. Całkiem udana, jak widać.

– Paulina Kania – odpowiadam szybkim uściskiem dłoni.

– Martyna Cieślik – dodaje nazwisko.

– Idziesz do sklepu?

– Tak, a ty?

– Ja też. Pomyślałam, że w końcu musimy się poznać. Mieszkamy tak blisko. – Uzasadniam. – We dwójkę zawsze raźniej niż samemu. Można porozmawiać po drodze, jest fajnie.

– To chodźmy. – Domyka starannie furtkę i się uśmiecha.

Idziemy poboczem i wymieniamy się zdawkowymi informacjami. Martyna ma osiemnaście lat, w tym roku zdaje maturę, uczy się w liceum w Bielsku i chce iść na studia związane z reklamą. Jej rodzice pracują w Czechowicach, w jakimś zakładzie produkcyjnym, a prócz tego prowadzą małe gospodarstwo i mają pasiekę. Odwdzięczam się równie lakonicznie. Martyna wie, że jestem od niej rok starsza, podobnie jak ona od października chce studiować, ale jeszcze nie wybrałam uczelni i kierunku, a moi rodzice kupili dom w Grabówku, bo była okazja, poza tym planują kiedyś wrócić do Polski, choć na razie pracują w Norwegii.

– Nie wyobrażam sobie mieszkać samej.

– A ja lubię. Odpowiada mi samotność. Taki ze mnie aspołeczny typ – żartuję.

– Naprawdę?

Chyba mi nie wierzy i ma ku temu powód. I sensowne przesłanki. To przecież ja pierwsza ją zaczepiłam, a kilka minut temu klepałam, że miło jest z kimś pogadać w drodze do GS-u. „Idiotka!” – strofuję się w myślach. Nie doceniłam Martyny. Czuję się paskudnie, bo z góry założyłam, że da się nią manipulować. To bardzo słabe z mojej strony i żałuję, że tak zaczęłam znajomość. Muszę to naprawić, bo moja nowa koleżanka wydaje się bardzo miłą, serdeczną i sympatyczną dziewczyną. I na pewno niegłupią. Pytam o jej hobby. To bezpieczny i wdzięczny temat, bo każdy ma jakieś zainteresowania, jak nie książki, to film, ewentualnie ręczne robótki. Pytam Martynę, co lubi, a ona odpowiada, że kiedyś robiła

biżuterię, ale ostatnio jej przeszło. Mówię, że również bawiłam się biżuterią, a teraz wciągnęło mnie robienie kwiatów z foamiranu.

– A co to?

– Specjalna cieniutka ni to pianka, ni gąbka. Wycina się listki, formuje kształt żelazkiem i układa w kwiaty.

– Ciekawe, nie słyszałam o tym.

– Jeśli chcesz, wpadnij kiedyś do mnie, to ci pokażę. Biżuterię też czasami robię, ale już nie bawi mnie jak kiedyś, w gimnazjum.

– Masz tak samo jak ja. Przeszło mi w pierwszej klasie liceum. – Chichocze. – Dasz mi swój numer? – Wyjmuje telefon z kieszeni kurtki.

Dyktuję i od razu uprzedzam, że często mam ściszony, ale na pewno zawsze odpiszę lub oddzwonię, gdy już będę mogła. Idziemy, rozmawiamy, a ja z każdą chwilą czuję się coraz swobodniej w obecności Martyny. Trochę żałuję, że wcześniej do niej nie zagadałam. Na pewno nie jest wścibska, a właśnie tego bałam się najbardziej. Nie wypytuje o źródło utrzymania, pewnie założyła, że rodzice wysyłają mi pieniądze, ale o roczną przerwę między liceum a studiami mogłaby spytać, a też nie pyta. Podoba mi się to. Czyżbym znalazła kandydatkę na przyjaciółkę? Czuję dziwną więź między nami. To się nazywa „pokrewne dusze”. Martyna wyznaje, że nie ma rodzeństwa i całkiem nieźle czuje się we własnym towarzystwie.

– To chyba ważne czuć się dobrze ze samą sobą, prawda? – pyta mnie.

– Bardzo ważne. Czasami tak jest, ale czasami... – Milknę.

– Bywa różnie – dopowiada.

Docieramy do centrum i kierujemy się do największego sklepu. Już mamy wejść do środka, właśnie zabieram wózek, gdy zauważam na parkingu samochód Pawła. Wprawdzie nie stoi przed marketem, a na małym placu przed budynkiem obok, ale i tak oblewa mnie fala potu. Szybko wypinam wózek i wchodzę do sklepu, jakby mnie goniło stado diabłów. Nawet nie czekam na Martynę. Na szczęście nic nie zauważyła; przechadzamy się szerokimi alejkami, a ja bezmyślnie napełniam koszyk mnóstwem jedzenia.

– Ciekawe, jak to zaniosę – wzdycham, ładując dwa kartony soku z czarnej porzeczki.

– Faktycznie. Trochę przesadziłaś – śmieje się. – Może zadzwonię do taty? Jest w domu, ma dzisiaj wolne. Podjedzie po nas.

– Przestań, przecież nie będę go fatygować. Trudno, najwyżej ukradnę wózek. – Mrugam porozumiewawczo.

– Nie musisz kraść, chodź, coś zobaczysz.

Ciągnie mnie do działu ze sprzętem AGD, żeby pokazać specjalne wózki na zakupy.

– Może to i niegłupie. – Patrzę na wózek. – Łatwiej ciągnąć niż nosić.

Kwadrans później, zadowolona, ładuję do niego zakupy.

– Nie masz prawka? – pyta Martyna, czekając, aż kasjerka wyda jej resztę.

– Nie.

– Ja chcę zrobić jak najszybciej. Na wsi ciężko bez auta.

Spędziłyśmy prawie godzinę w sklepie, więc zakładam, że Paweł już dawno załatwił swoje sprawy i zniknął. Mimo to ostrożnie wychylam nos zza przesuwanych drzwi i zerkam w stronę parkingu. Uff... Zanim wyjdziemy spod wiaty z wózkami, zatrzymuję Martynę na moment, bo chcę cyknąć zdjęcie ogłoszenia o pracę. Złachana karteczka wisi na dwóch przybrudzonych paskach taśmy klejącej.

– Chcesz robić u Paprockich? – dziwi się Martyna.

– A coś z nimi nie tak? – Odwracam się, żeby na nią spojrzeć.

– Bardzo nie tak. Kiepsko płacą i ciężka robota. Wiecznie grzebiesz w ziemi, schylona albo na klęczkach. Mama kiedyś tam pracowała, źle wspomina.

– Uhm... – Udaję, że się waham. Skoro brakuje chętnych, mam większe szanse. – A kto tam rządzi? Wiesz, kto jest właścicielem?

– Stara Paprocka. Okropna baba. Jest nieprzyjemna i wymagająca.

„Jakakolwiek by była, na kawę mnie nie zaprosi”. Na wszelki wypadek pytam, czy pracują tam same kobiety, i dowiaduję się, że akurat tu, w

Grabówku, Paproccy potrzebują tylko kobiet, bo mają kilka namiotów z rozsadami.

– Nie żebym była jakoś bardzo ciekawa, ale po co ci taka beznadziejna praca? – pyta Martyna, gdy ostatecznie robię zdjęcie ogłoszenia.

– Może nie będzie taka beznadziejna.

– To już lepiej iść do fabryki, choćby tam, gdzie robią moi rodzice.

– A jak tam dojadę? Przecież nie mam auta.

– Busem. Ta firma ma swoje busy i dowozi pracowników pod samą bramę, i to za darmo.

– Jeszcze zobaczę – odpowiadam, dbając o niefrasobliwy ton głosu. – Wracamy? – Chwytam rączkę wózka.

– Wracamy.

Ledwie opuszczamy przysklepowy parking, gdy mija nas czarny range rover, zatrzymuje się kilka metrów przed nami, a chwilę później wyskakuje z niego Paweł. Staję jak wryta. Jestem wściekła, bo dałam się podejść. Jak to możliwe, że go nie zauważyłam? Cholera! Nie mam czasu do namysłu, bo już jest przy nas i szczyrzy kły. Zmienił gumki na niebieskie, tyle jestem w stanie spostrzec.

– Cześć, Paula! – wykrzykuje, jakbym była jego najlepszą przyjaciółką, niewidzianą od miesiąca.

– Cześć – odpowiadam lodowatym tonem, udając, że nie spostrzegłam wyciągniętej dłoni. Zawsze mogę powiedzieć, że moja jest zajęta trzymaniem uchwytu wózka.

– Podrzucić was? – Bezczelnie patrzy mi w oczy. Nagle przesuwa wzrok na Martynę i z powrotem na mnie. – Nie przedstawisz nas?

– Paul lub Paweł, jak wolisz, Edel von czy van Coştam i Martyna...

– Cieślík – dopowiada ze śmiechem. Pewnie ją rozbawiłam, bo stoi i chichocze.

– Wystarczy Paweł. – Mój stalker podaje jej rękę. – To co, dziewczyny, podrzucić was?

– Nie trzeba. Poradzimy sobie – fukam.

– To daleko. – Pokazuje ruchem głowy. – Zaraz będzie padać. Szkoda, żebyście zmokły.

Dalszy opór nie ma sensu, bo wzbudzę podejrzenia u Martyny. Bez słowa podaję Pawłowi rączkę mojej torby na kółkach i ciężko wzdycham. „Ma mnie”. Jest dokładnie tak, jak przewidziałam. Nie odpuścił. Drań! Wsiadamy do samochodu, Martyna z tyłu, ja obok. Przypuszczam, że jest zaskoczona, może sądziła, że siądę z przodu, przy kierowcy, ale nie zamierzam dawać Pawłowi ani grama satysfakcji czy okazji do rozmowy. Jedziemy, Martyna spogląda na mnie ukradkiem, pewnie zaintrygowana Pawłem i ciekawa, dlaczego się tak wkurzyłam. Wyjmuję dyskretnie telefon, piszę do niej wiadomość, ale nie wysyłam, tylko szturcham delikatnie łokciem i pokazuję treść na ekraniku telefonu:

Później ci wyjaśnię, o co chodzi.

Daje mi znak, że przeczytała. Nie łudzę się, że Paweł nas tylko podwiezie i pojedzie dalej.

Zatrzymuje samochód przy mojej posesji, wysiada, my też, podaje mi wózek z zakupami i oznajmia:

– Mam do ciebie pilną sprawę.

Przewracam oczami, ale się nie sprzeciwiam.

– Nie pogniewasz się? – pyta Martynę, dając jej do zrozumienia, że powinna grzecznie pójść do swojego domu i pozwolić nam swobodnie pogadać.

Żegnam się z nią i mówię, że zadzwonię. Zostajemy sami. Jeśli Paweł sądzi, że zaproszę go do siebie, bardzo się myli.

– Co to za sprawa? – Przechylam głowę.

– Będziemy tu gadać? – Przez chwilę rozgląda się wokół.

– A dlaczego nie? Skoro to pilna sprawa, możemy załatwić ją tutaj.

– Czemu jesteś taka?

– Niby jaka? – Mój głos brzmi napastliwie.

– Zajmę ci dziesięć minut, nie więcej, ale nie będę rozmawiać tutaj. Nie liczę na zaproszenie – zerka na mój dom widoczny zza bezlistnych drzew – bez obaw, chętnie zaproszę cię do...

– Wcale się nie boję – przerywam. – Nie mam ochoty i nie widzę potrzeby, żeby z tobą rozmawiać.

– Może wrócimy do samochodu i tam pogadamy? – proponuje.

Potrząsam głową. To dopiero idiotyzm: siedzieć w aucie i gadać.

– No dobra, chodź – poddaję się. – Masz dziesięć minut, pamiętaj.

Przechodzimy przez ogród, otwieram drzwi domu i zapraszającym gestem puszczam Pawła przodem. Od wczoraj nie podniosłam rolet, bo posiałam gdzieś pilota i w holu jest ciemno jak w lochu, ale tylko przez moment. Prawie natychmiast zapalają się światła.

– Prowadź – mówi Paweł.

Zostawiam go w saloniku i idę do kuchni. Nie po to, żeby zrobić herbatę dla gościa, ale żeby zostawić tam zakupy. Przy okazji nalewam sobie szklankę przefiltrowanej wody i wypijam ją duszkiem. Moje gardło jest suche jak wiór. Pakuję do lodówki część zakupów i – co bardzo mnie cieszy – wreszcie znajduję pilota. Musiałam go tam wczoraj schować. Aż dziw, że baterie nie zamarzły.

– Piękny dom – zagaduje Paweł.

Zamiast siedzieć grzecznie na kanapie, jak mu poleciłam, łązi po pokoju i przygląda się, a to witrynie z książkami, a to grafikom wiszącym po obu stronach kominka.

– Dzięki, cenię twój entuzjazm.

– A może mnie oprowadzisz?

– A ty mnie oprowadziłeś? – ripostuję. Siadam na fotelu i ostentacyjnie zerkam na zegarek. – Zostało ci osiem minut.

– Przepraszam. – Paweł zajmuje miejsce i na moment bezwiednie zagryza dolną wargę.

„Zielone gumki bardziej ci pasowały. Te niebieskie są błę...”

– No mów – popędzam.

– Przede wszystkim chciałem przeprosić za...

– Siebie. – Bez pardonu wchodzę mu w zdanie. – Nie mam pojęcia, czemu zabawiłeś się moim kosztem, ukrywając fakt, że jesteś, kim jesteś. Okej, wybaczam. Dalej.

– Ostra jesteś – kwituje. – Masz rację, przepraszam, że ukryłem przed tobą prawdę.

– Załatwione, nie czuję urazy. Potrzeby, żeby poznać twoje motywy, też nie czuję.

– Zwolniłem wczoraj Marka. Jeszcze nie poinformowałem ojca, ale mam jego pełnomocnictwa i zdecydowałem, że najwyższy czas pożegnać pana Wąsika. Razem z nim wyleciała Dorota Kaleta. Chwaliła się, że jest jego kuzynką?

– Nie. – Próbuję zachować kamienną twarz, ale trzeba przyznać, że ucieszyły mnie te wieści, zwłaszcza pierwsza.

– To dalsi krewni mojej mamy, a dokładnie spowiwo... spomiwo... – Bezskutecznie próbuje się wysłowić.

– Spowinowaceni.

– Nie powtórzę. Mowy nie ma. – Potrząsa głową i okrasza twarz niefrasobliwym uśmiechem. – Jestem dwujęzyczny, mama od początku mówiła do mnie po polsku, dlatego całkiem nieźle sobie radzę, ale niektóre słowa są zbyt trudne.

Już mam odpowiedzieć, że doskonale posługuje się polszczyzną, może jedynie twardy akcent zdradza, że to nie jego ojczysty język, ale rezygnuję. Przecież chcę jak najszybciej zapomnieć o „przygodzie w pałacyku”, prawda? Taki jest plan: zachować dystans i nie wdawać się w sympatyczne pogaduszki.

– Dlaczego zwolniłeś Dorotę?

– Sama złożyła rezygnację.

– Aha.

– Poszłaś do domu, a ja postanowiłem coś sprawdzić. W gabinecie ojca są kamery, w tym dwie skierowane na gabloty. Nikt nie ma dostępu do nagrań, tak samo nikt nie wie, że w niektórych pomieszczeniach jest monitoring. Odtworzyłem nagranie, zaprosiłem Marka, Dorotę i jednego z ochroniarzy jako świadków i pokazałem wszystkim, co się zarejestrowało.

– Kto zabrał przypinkę?

– Marek.

– A Dorota? Dlaczego odeszła?

– Może ma coś na sumieniu i bała się, że to odkryję? Nie pytałem o powody.

– Nie uwierzyłeś mi – stwierdzam. – Musiałeś sprawdzić. Przykre.

– To nie tak – prostuje natychmiast Paweł. – Wcale cię nie sprawdzałem. Nie o to chodziło.

– A o co? – Podwijam pod siebie nogi i wygodnie wspieram na podłokietniku fotela, dając znak Pawłowi, że czuję się tu, we własnym domu, bardzo swobodnie i pewnie, nawet w towarzystwie nieproszonego gościa.

– Czułem, że coś jest nie tak z Markiem. Od początku mi nie grał. Pracował dla ojca ponad rok. Nie interesowałem się tym, póki nie przyjechałem na dłużej do Polski. Mieszkałem w Grabówku od stycznia, parę tygodni temu wróciłem do Antwerpii, bo tam mieszkam na stałe, ale znów podjąłem decyzję, żeby tu przyjechać.

– Pasjonujące – mówię z przekąsem. – Prawdziwy Latający Holender. Dobrze, że masz na imię Paul, nie Hendrik. – Piję do legendy, że Latający Holender przynosił nieszczęście, a nawet śmierć. – Jaki to ma związek z tym obleśnym kłamliwym typem?

– Z Markiem? Taki, że przez te kilka tygodni spędzonych w Polsce zauważyłem pewną prawidłowość. Każda młoda dziewczyna, zwłaszcza ładna, pracowała u nas nie dłużej niż miesiąc. Ty jesteś rekordzistką, wytrzymałaś zaledwie pięć dni.

– Łał! – Unoszę oba kciuki. – Tyle wygrać. Albo przegrać.

– Chciałem cię przeprosić i powiedzieć, że zrobię, co w mojej mocy, żeby naprawić krzywdę, którą wyrządził ci ten człowiek. Wiem wszystko. Zablefowałem i powiedziałem, że w jego biurze też jest kamera i zaraz pokażę Dorocie i Karolowi, czyli ochroniarzowi, nagrania. Marek wyblagał, żebym tego nie robił. Poprosił o rozmowę w cztery oczy i... – milknie na moment. – To naprawdę obrzydliwe.

– Nie pomyślałeś, że nie chcę do tego wracać? – wykrztuszam, znów mając przed oczami scenę z biura Wąsika.

– W poniedziałek jadę do prawnika...

– Nawet nie myśl, że dam się zrobić w jakieś procesy! – przerywam mu gwałtownie. – Nie życzę sobie. Wyprę się wszystkiego, rozumiesz? – Już nie siedzę swobodnie na fotelu, wstaję i znacząco pokazuję mu drzwi. – Czas minął. Idź stąd i nie wracaj. Zostaw mnie w spokoju! Mam gdzieś Wąsika i twoje starania o sprawiedliwość. Rób, co chcesz, ale mnie w to nie mieszaj.

– Uspokój się! – Paweł nie jest mi dłużny. Podnosi się z kanapy, podchodzi, chwyta za moje przedramiona i sadza na fotelu. Tak mnie zszokował swoim zachowaniem, że nawet nie pisnę, gdy wraca na swoje miejsce i oświadcza, że nie ma zamiaru prosić mnie o pomoc. – Mam z tobą do załatwienia dwie sprawy. Pierwsza to uregulować twoje wynagrodzenie, a druga to złożyć propozycję pracy.

– Co?! Nie ma mowy! – Zakładam ręce na piersiach. – Twojej kasy też nie chcę.

– Powiem, co mam do powiedzenia, a potem będziesz się puszyć – mówi twardo.

– Chyba pieklić? – prychem z przekąsem.

– Pieklić, pienić, puszyć, co tylko chcesz – odpowiada, niezrażony moją szpileczką. – Pracowałeś bez umowy, nie wnikał dlaczego, docień to.

– Łaskawca – fukam. – Nie chcę twoich pieniędzy.

– To nie moje pieniądze, tylko twoje. Zarobiłeś je. Przepracowałeś czterdzieści godzin, zgadza się?

– Uhm.

– Minimalna stawka za godzinę? Tak się umówiłeś z Markiem?

– Tak.

– Wobec tego należy ci się... – Paweł milknie, pewnie oblicza w pamięci kwotę. Wyjmuje portfel i kładzie pięć banknotów na blacie stolika kawowego.

– To żart? – Zaczyna mnie to śmieszyć, bo zamiast niecałego tysiąca złotych dał mi tysiąc euro. – A może to łapówka? Mam siedzieć cicho i

nikomu nie mówić, co spotkało mnie pod twoim dachem? Tak? – Mrużę oczy i patrzę na Pawła jak na wyjątkowo paskudnego insekta.

– Zawsze podejrzewasz ludzi o najgorsze intencje?

– Nie wszystkich.

– A czemu mnie? Co ci zrobiłem?

– Powinnam ci odpalić stówę. – Wskazuję brodą na kupkę pieniędzy. – Grabiłeś liście.

– Gniewasz się, że nie powiedziałem ci, kim jestem – ni to stwierdza, ni zadaje pytanie.

– A ty lubisz być oszukiwany?

– Nie. – Zauważam, że jego policzek lekko zadrgał. – Nie lubię.

– No właśnie.

Zapada cisza. Nieznośna i dzwoniąca w uszach. Biję się z myślami, a dokładnie rzecz ujmując: próbuję zagłuszyć piskliwy głosik sumienia, który przypomina, że ja też nie gram fair. Co dziwne, ledwie zadałam ostatnie pytanie, a Paweł poszarzał na twarzy i oklapł, jakby ktoś pozbawił go całej pary.

– Przyjmij, proszę, te pieniądze – mówi łagodnie po chwili. – Bardzo mi na tym zależy. To rekompensata, chociaż żadna suma nie wynagrodzi przykrości, które cię spotkały.

– Wezmę dwieście euro, resztę zabierz. Może tak być? – Chwilowo ogłaszam zawieszenie broni.

Paweł nadal siedzi jak zmokła kura, a ja nie mam bladego pojęcia, co wpłynęło na jego zachowanie.

– Zarobiłam niecały tysiąc.

– W porządku. – Zabiera cztery banknoty i wkłada zwitek do kieszeni marynarki. – Jeszcze propozycja.

– Nie ma mowy o żadnej pracy.

– Posłuchaj, nie ma już Marka, nie ma Doroty. Mam dwa wakaty, chciałbym ci zaproponować jeden z nich. Ty decyduj który. Trochę już pogadaliśmy i widzę, że jesteś bystra. Znacznie bystrzejsza niż wszyscy, którzy się ostali, i ci, którzy odeszli, też. – Lekko unosi kąciki ust. –

Potrzebuję... potrzebujemy – poprawia się naprędce – kogoś zaufanego i ogarniętego.

– Teraz, gdy Wąsik wyleciał z hukiem, znajdziesz sporo chętnych. Tak myślę.

– Nie dasz się namówić?

– Nie. – Zaciskam wargi.

– Gdybyś zmieniła zdanie, znasz mój numer.

– Nie zmienię.

– Poczekam do przyszłej soboty, gdy się nie zdecydujesz, zacznę kogoś szukać.

– Jak chcesz, ja zdania nie zmienię.

– Mam sobie pójść?

– Muszę posprzątać i zrobić pranie.

Odprawiam go do drzwi, już ma wyjść, ale zatrzymuje się w progu i pyta, czy na pewno się na niego nie gniewam.

– Nie – odpowiadam, czekając, żeby jak najszybciej wyszedł. Tylko dlatego mu nie podziękuję, choć powinnam. Gdyby mnie wczoraj nie obronił...

– Trzymaj się.

– Ty też.

Uff... Oddycham z ulgą. Nareszcie sama. Zamykam drzwi na klucz i na chwilę wspieram o nie plecy. Muszę ochłonać. Nie zamierzam już nigdy wracać do tej sprawy, ale cały ten, bardzo intensywny pod każdym względem, tydzień paradoksalnie pozwolił mi na oddech. Podobne lecz podobnym. Tak się mówi? Albo klin klinem, jak mawia babcia. Świeże problemy, wprowadzcie na krótko, jednak skutecznie zakryły stare. Szkoda, że nie wymazały ich całkowicie. Mimo niefortunnego splotu zdarzeń nie zamierzam się poddawać. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Idę do kuchni, bo tam zostawiłam torebkę. Chcę zadzwonić w sprawie nowej pracy. Chyba można w sobotę? Przysiadam na hokerze, biorę stary paragon i odpisuję numer ze zdjęcia.

Dzwonię. Odbiera starsza kobieta. Nie przedstawia się, więc i ja nie mówię, jak się nazywam.

– Dzień dobry, ja w sprawie pracy. Ogłoszenie jest aktualne?

– A jakże. – Wyraźnie się ucieszyła. Pewnie nie ma zbyt wielu chętnych.
– Jakie ma pani kwalifikacje?

– Zaraz powiem, ale najpierw mam pytanie. Chodzi o to, że nie chcę stracić renty, dlatego wolałabym pracę bez umowy.

– Nie ma takiej możliwości. – Słyszę nutki oburzenia w głosie mojej rozmówczyni. – Niepotrzebne mi kłopoty. U nas pracuje się legalnie.

– Zgodzę się na niższą stawkę.

– Nie. Do widzenia pani.

Koniec rozmowy. Moja krótka kariera zawodowa kolejny raz legła w gruzach. Przypominam sobie o propozycji Pawła. Wracam myślami nie tylko do jego propozycji, lecz głównie do oferenta. Czas na uczciwość wobec siebie, ależ ten chłopak jest przystojny. Zamykam oczy i wspieram czoło na dłoniach, ułożonych płasko na blacie bufetu. „Jest nieziemsko przystojny i męski, nawet z groteskowymi gumeczkami we wściekle niebieskim kolorze. I tak samo wściekle ci się podoba, idiotko. Przyznaj to i przestań samą siebie oszukiwać”. Nie dość, że przystojny, to jeszcze inteligentny, sympatyczny i cierpliwy. I stanowczy. Sprawiedliwy też. Uczciwy, bo przecież się ze mną rozliczył. Pomocny, wysportowany i...

DOŚĆ!

Podnoszę głowę, otwieram oczy. Czas brać się do życia, prawda? Z zapalem bliskim zeru ruszam do zajęć. Pranie, sprzątanie, coś na kształt obiadu, czyli spaghetti po bolońsku z sosem ze słoika, za to bez mięsa, bo zapomniałam kupić. Snuję się po domu i udaję, że coś robię, ale daremne moje wysiłki. Ciągle mam przed oczami Pawła. Co rusz wraca myśl, żeby jednak zadzwonić, a najlepiej wysłać mu wiadomość, że zmieniłam zdanie i chętnie podejmę się pracy. Ech, chyba muszę skasować jego numer z pamięci aparatu.

Numer? No właśnie! Jak wmurowana zatrzymuję się w korytarzu gdzieś pomiędzy drzwiami do łazienki a przejściem do salonu. Trzymam przed

sobą miskę z wysuszonym praniem i myślę, czy znów nie zastosować metody klina. Co mi tam, przecież obiecałam! Szybko zanoszę pranie do sypialni, kontrolnie obrzucam spojrzeniem główny pokój i idę po telefon.

– Cześć. Miałam zadzwonić.

– Cześć, Paula. Już myślałam, że się rozmyśliłaś albo zapomniałaś o mnie – chichocze.

Jak dobrze usłyszeć głos Martyny. Jest wesola, pogodna, pełna energii i dziecięcej radości. Właśnie tak. Jest młoda i to się czuje na każdym kroku i w każdym jej słowie. Jeszcze nie doświadczyła bólu i cierpienia. I oby prędko nie musiała.

– Nie zapomniałam – kłamię. – Miałam tu taki bałagan, że najpierw musiałam z grubsza posprzątać.

– A ja zdążyłam zjeść pomidorową, ogarnąć swój pokój i upiec ciasto. Tylko ciasta mi wychodzą i desery. Dobrze, że mama nie wymaga ode mnie robienia obiadów, bo umarlibyśmy z głodu.

Czuję lekkie ukłucie zazdrości, gdy pomyślę, że mama Martyny kręci się gdzieś blisko, a może nawet z ciekawością przysłuchuje rozmowie jedynaczki. Pewnie już rozmawiały o mnie. Zdaje się, że Martyna ma świetne układy z rodzicami, zwłaszcza z mamą. Przełykam ślinę, gdy pomyślę, jak to wygląda u mnie.

Trudno wybrać między samotnością i natrętnie wracającymi myślami a towarzystwem kogoś, kto najzwyczajniej w świecie jest szczęśliwy i beztroski. Właśnie dlatego waham się, czy zaprosić Martynę na dziewczynskie pogaduszki. Czy ja w ogóle czuję się jeszcze jak dziewczyna? Czy potrafię? Wątpię. Ale bardzo bym chciała.

– Wpadniesz na kawę? – pytam, choć nadal nie mam pewności, że właśnie tego chcę. Ceduję decyzję na Martynę.

– Mogę?

– Pewnie, że tak. – Jest mi głupio, bo bardzo się ucieszyła, a ja zamiast zaprosić ją ze zwykłej ludzkiej sympatii i ciekawości drugiego człowieka, rozważałam, co będzie dla mnie korzystniejsze. – Wpadaj, zapraszam. Niestety, nie mam ciasta – uprzedzam.

– I dobrze! Wezmę kawałek mojego.
– Super. Lubię domowe ciasto.
– Będę za dziesięć minut.
– Okej. – Rozłączam rozmowę. „Lubię domowe ciasto?” – powtarzam w myślach. Co za idiotka ze mnie. Mama nie potrafiła upiec nawet babeczek z torebki. Kiedyś naiwnie kupiłam jedno opakowanie. Miałam może osiem lat. Chciałam upiec babeczki razem z mamą. Na opakowaniu były takie ładne, kolorowe i z polewą do samodzielnego przygotowania.

Przeterminowały się.

Martyna zjawia się punktualnie. Ma ze sobą talerz, a na nim pokrojony w równe kostki sernik z polewą czekoladową. Chwalę, że obłędnie pachnie. Wanilią i czymś jeszcze: zapachem domu i szczęśliwej rodziny. Tę ostatnią uwagę zachowuję dla siebie. Widzę, że jest ciekawa, jak mieszkam, więc ją oprowadzam, ale nie rozwodzę się zbyt długo, ot, pół minuty na każde z pomieszczeń. Wszystkie ocenia bardzo pochlebnie, uważa, że mam świetny gust, ja albo moi rodzice. Mówię, że to wspólny projekt, mój i mamy.

– Chciałyśmy czegoś lekkiego, dlatego stanęło na stylu skandynawskim. Dużo bieli, naturalnych kolorów drewna, światła – tłumaczę.

– Bardzo oryginalny wystrój, nie to, co u nas, meblościanki i wypoczynek ze skóry – śmieje się.

Pytam, co to wypoczynek, a Martyna znów chichocze.

– To narożnik i fotele. Inaczej zestaw wypoczynkowy.

Najbardziej spodobał się jej mój pokój, zwłaszcza że w nim trzymam moje skarby, czyli kilka koszyków z kwiatkami z foamiranu. Tak ją zachwyciły, że zabiera jeden z koszy, mnie wręcza drugi i idziemy do salonu, bo Martyna postanowiła uważnie obejrzeć każdy kwiatek, każdą opaskę do włosów i broszkę.

– Te kwiatki naprawdę wyglądają jak żywe – wzdycha co chwilę.

Pijemy kawę, jemy ciasto, a Martyna nie szczędzi pochwał dla moich zdolności. Dostała w prezencie opaskę, a potem muszę jej dokładnie opowiedzieć, jak się robi takie kwiaty, a nawet pokazać kilka filmików instruktażowych na YouTube. Zajmuje nam to dobrą godzinę. Ustalamy, że

w przyszłą sobotę znów się spotkamy i wtedy pokażę jej, jak wykonać foamiranową różyczkę, a potem Martyna pod moim okiem spróbuje sama taką zrobić. Fajnie, że mogę z nią swobodnie pogadać. Nie doczepiła się jak harpia, nie wypytuje o Pawła, o nic nie wypytuje, oczywiście mam na myśli wszystko poza kwiatkami z pianki. Jestem bardzo mile zaskoczona i trochę mi wstyd, bo z góry założyłam, że takie dziewczyny jak Martyna są ciekawskie i powierzchowne. Ona na pewno taka nie jest.

– Powiedz mi, gdzie tu znajdę jakiegoś fajnego fryzjera. – Przeczesauję ręką włosy. – Nałożyć farbę umiem, ale podcinać już nie.

– A jaki masz swój kolor? – Martyna przygląda się z uwagą.

– Brzydki, mysi, taki nieokreślony. Dlatego farbuję na czarno.

– Aha. – Kiwa głową.

– Nie podcinałam ich od trzech miesięcy i wyglądają kiepsko. Grzywka za długa, ale to nie problem, najgorsze te na karku. – Obracam się na moment, żeby mogła zobaczyć, co zostało z mojej świetnej asymetrycznej fryzury. Nie dość, że jeden z mocno podgolonych boków zdążył już całkiem zarosnąć i kępki włosów opierają się na płątku ucha, to jeszcze te irytujące loczki na szyi. – Potrzebuję dobrej fryzjerki.

– Najlepsza jest obok poczty. – Martyna dokładnie tłumaczy, gdzie ją znajdę, i mówi, że ta fryzjerka jest młoda i często się szkoli. – Nie bój się, nie robi cię na starą ciotkę.

– Dzięki. Napijesz się herbaty? – proponuję.

– Chętnie.

Idzie ze mną do kuchni, ja szykuję herbatę owocową, a Martyna podziwia moją małą hodowlę storczyków.

– Lubią to miejsce. Jest słoneczne, ale nie przesadnie. – Patrzę na szeroki parapet przy jedynym kuchennym oknie.

– O! Jednak dzwoniłaś? – Zauważa paragon z nabazgranym numerem telefonu.

– Dzwoniłam – potwierdzam, żałując, że zapomniałam i nie wyrzuciłam świstka do kosza.

– I co?

– Nic. Potrzebują kogoś z doświadczeniem.

– I dobrze, że się nie udało. Nie byłabyś zadowolona. Oni są okropni. To zwykły wyzysk, nie praca. Dobrze ci radzę, jak chcesz fajną robotę i nie boisz się pracować fizycznie, idź tam, gdzie robi moja mama. Nie ma ciężkiej pracy, a pensja wysoka. Jedyne minus, że robi na trzy zmiany, ale plus też jest, bo dodatki.

Wracamy do salonu, a Martyna pokrótce opowiada, na czym polega ta praca, i wymienia kolejne zalety, włącznie z darmowym dowozem pod „samiutką” bramę. Po pięciu minutach wiem wszystko, znam nawet godziny oraz miejsce odjazdów i przyjazdów pracowniczych busów.

– Pomyślę.

– Super! – cieszy się Martyna.

Na moment milknie, ale widzę, że chce o coś spytać. Postanawiam ją uprzedzić.

– Powiedz mi, wiesz coś o Pawle? – zagajam neutralnym tonem.

– Czytasz w moich myślach – stwierdza. – Jesteś czarownicą?

– Uhm... – Upijam łyk herbaty. Już trochę wystygła i można ją pić bez dmuchania. – To jak? Znasz go?

– Już tak, przecież mnie przedstawiłaś – zaczyna chichotać. – To było naprawdę jajeczne, ten von Cośtam.

– Nie o to mi chodzi. – Śmieję się razem z nią. – Pytałam, czy coś o nim wiesz. W sensie czy znasz jakieś plotki.

– Nie jestem plotkarą. – Udaje, że się obruszyła.

– Oj tam, nie łap mnie za słówka.

– No dobra. – Martyna poprawia się na kanapie. – Coś tam wiem o panu „Cośtam”.

– Opowiadaj – mówię bez namysłu, bo już się cieszę na jej historię. Choć nie powinnam. Gdzie moje zasady, postanowienia i plan, żeby skupić się na pracy i nauce? Idiotka! „Panuj nad sobą!” – strofuję się w duchu.

– Uprzedzam, to tylko plotki.

– Nieważne.

– Pałac, w którym mieszka Paweł, należy do jego ojca, ale jak się nazywa ten facet, nie wiem. On jest Holendrem, jest dosyć stary, bo siwy i pomarszczony, i baaaaardzo bogaty – przeciąga głoski. – A jego żona jest Polką, ma na imię Gośka i pochodzi z sąsiedniej wsi. Właśnie ta jego żona bardzo chciała mieć ten pałac. Dlatego go kupił kilka lat temu od jakiejś agencji rolnej, a potem włożył miliony w remont.

– Aha. A Paweł długo tu mieszka? – pytam, choć znam odpowiedź, ale wolę to zweryfikować. A nuż wypłyną jakieś nowe rewelacje.

– Przyjechał zaraz po Nowym Roku, podobnie jak ty, czyli siedzi tu trochę ponad trzy miesiące. Z nikim się nie spotyka, z nikim nie gada, nawet nie wiem, ile ma lat. Jest tajemniczy, bardzo przystojny i ma supersamochód, ale to wiesz. I świetnie się ubiera. Naprawdę świetnie – podkreśla.

– To wszystko? – pytam.

– Niestety. – Martyna sięga po kawałek ciasta i nakłada go na swój talerzyk. – Prędeż ty mi coś powiesz, tak myślę – stwierdza. – Na przykład skąd się znacie.

Zabiła mi klina. Co powiedzieć? Przyznać, że pracowałam tydzień u jego ojca? To mała wioska, prędeż czy później prawda może wypłynąć. Z drugiej strony nie mam najmniejszej ochoty o tym mówić, przynajmniej na razie. Wybieram półprawdę.

– Paweł często biega – zaczynam.

– Wiem, kilka razy go widziałam.

– No właśnie. Kiedyś mnie zaczepił, przedstawił się, pogadaliśmy chwilę i tak go poznałam.

– Zaczepił cię? – Aż się lekko odsunęła, żeby na mnie spojrzeć z dystansu. – Że też mnie nigdy nie zaczepiają takie przystojne chłopaki – fuka z udawanym oburzeniem.

– Może wyczuł, że jestem taka jak on? – Mrugam do niej porozumiewawczo, a gdy marszczy czoło, dodaję: – Nowa we wsi, obca, inna. Dziwna. – Na chwilę przykładam dłoń do głowy i pokazuję, że mam czułki jak kosmita.

– Chyba pójdę z tobą do fryzjera i poproszę o zieloną farbę. Też chcę być inna. – Martyna wybucha śmiechem. – Jeśli to gwarantuje zaczepki ze strony takich przystojniaków, jestem skłonna sporo poświęcić.

– Ponoć masz chłopaka? – Pokazuję jej język. – O nim pogadajmy, nie o jakimś Pawle. – Z wyrachowaniem zmieniam kierunek naszej rozmowy. Wolę poznać nawet najbardziej cikliwą i romantyczną historię o jej facecie niż drażyć, co łączy mnie z Paulem Edelem i jak mu tam dalej było.

– Ano mam. – Uśmiecha się. – To pracownik mojego wujka, brata mamy. Wujek Jasiek ma warsztat stolarski, robi altany ogrodowe i huśtawki. Jakbyś chciała jakąś altanę albo huśtawkę, polecam. Wujek robi najładniejsze w całym województwie, a może i w Polsce. Robi też psie budy, karmniki i inne rzeczy do ogrodu. Ma dużo zleceń, więc co chwilę kogoś zatrudnia, no i tak się stało, że Adrian zatrudnił się u niego na jesieni.

– W tamtym roku?

– Uhm. I tam go poznałam.

Już zdążyłam się zorientować, że Martyna jest typową ekstrawertyczką, lubi opowiadać o sobie i o swoim życiu. Co zaskakujące, jeszcze rok albo dwa temu siedziałabym jak na tureckim kazaniu, ale nie dzisiaj. Dzisiaj słucham jej nie tylko z uwagą, lecz przede wszystkim z prawdziwą przyjemnością. Jak dobrze chociaż przez chwilę mieć obok siebie radosną osobę i chętnie dzielącą się swoim szczęściem. Taplam się w tym jak w ciepłej sadzawce. Kto wie, a nuż moje zamrożone na kość serce odtaje, gdy spędzę z Martyną trochę czasu? Chciałabym. Grzeję się w jej ciepłe i chłonę wszystkie pozytywne emocje, pozwalam im wejść na chwilę do mojej mrocznej i smutnej duszy, niech ją ogrzeją niczym promienie słońca coraz śmieiej wchodzące do salonu przez balkonowe okno.

– Wiesz co? – pytam lekko ochrypłym głosem, gdy Martyna kończy opowiadać wyjątkowo zabawną anegdotę, jak to razem z Adkiem testowali nową huśtawkę i testy zakończyły się zerwaniem jednego z łańcuchów i spektakularnym upadkiem oraz siniakami na tyłkach. – Bardzo ci dziękuję.

– Ale za co? – Zabawnie marszczy nos.

– Za wszystko. Za ciasto, za te śmieszne historie, a przede wszystkim że nie uciekłaś, gdy dzisiaj cię zaczepiłam – wyznaję, z trudem panując nad wzruszeniem.

– E... No co ty? – Chyba zauważyła, że kilka razy szybko zamrugałam, by odgonić łzy. – Nic takiego nie zrobiłam.

– Zrobiłaś.

– Ty mnie zaczepiłaś, a tak naprawdę to ja pierwsza powinnam wyciągnąć rękę.

– Nie będziemy się licytować.

– O tak. Ja też się cieszę, że się wreszcie poznałyśmy.

Umawiamy się na przyszłą sobotę, bo w tygodniu Martyna nie ma zbyt wiele czasu, nie dość, że szkoła i przygotowania do matury, to jeszcze pomaga ojcu przy ulach, które mają za domem. Obiecuję, że wyślę jej zdjęcie, gdy odwiedzę fryzjerkę. Odprowadzam ją, myśląc, że dzisiaj przeżyłam prawdziwy nawał gości, ale ten ostatni zostawił mnie w znacznie lepszym humorze.

MILENA



Aż mną trzęsie z nerwów i zimna, gdy czekam na Jacka. Stoję przy tabliczce z adresem, który mu podałam, i usilnie próbuję zapomnieć o wydarzeniach sprzed chwili, ale jak to zrobić? To niemożliwe. Moje poczucie własnej wartości pikuje w dół, jeszcze moment i uderzy w ziemię, by rozprysnąć się na milion kawałeczków. „Dlaczego ja? Czemu wybrał właśnie mnie? – nie mogę zrozumieć Jaśka. – Liczył, że dam się nabrać? Co za podły oszust!” Ocieram łzy rękawem, ale one ciągle płyną. Rozmazują obraz, szczypią w powieki i duszą w gardle.

– Czemu tak długo to trwa? – mamroczę, wypatrując oczy. Chcę już być w domu, wejść pod gorący prysznic, potem założyć ciepłą piżamę i zasnąć, a rano nie pamiętać o kimś takim jak Jan Potocki. – Dzięki... – wzdycham z ulgą, widząc range rovera u szczytu uliczki. To na pewno samochód Jacka, ma nieco inne światła niż te fabryczne, typowe dla tego modelu.

Mój tata też miał identyczny samochód, teraz stoi w garażu i czeka na mnie. Gdy zdam egzamin na prawo jazdy, będę nim jeździć. Może dlatego od razu czuję się odrobinę lepiej, bo widzę samochód, który tak lubił tata. Szybko przecieram twarz rękawem i kilka razy chrząkam, żeby móc za chwilę cokolwiek powiedzieć. Jacek podjeżdża do krawężnika, wyskakuje z auta i podchodzi do mnie energicznie. Kładzie dłonie na ramionach i uśmiecha się krzepiąco.

– Mała, co jest grane? – Przelatuje szybko wzrokiem po mojej twarzy, a gdy stwierdza, że raczej nic mi nie dolega, rozgląda się czujnie na boki. – Co to się narobiło?

– Nic. Zawieź mnie do domu.

– Okej, powiesz po drodze. Albo i nie.

Pakuje mnie na siedzenie, zapina pasy i zamyka drzwi. Chwilę później ruszamy. Jacek od razu podkręca ogrzewanie. Wentylator huczy na najwyższych obrotach.

– Dziękuję, że przyjechałeś – bąkam.

– Nie ma sprawy. To ja dziękuję – mówi żartobliwym tonem. – Uratowałaś mnie.

– Przed czym? – pytam cicho.

– Raczej przed kim. Był u mnie kolega, jeszcze z czasów wojska. Straszny nudziarz. Mieliliśmy grać w brydża, miał przyprowadzić drugą parę graczy, kumpli z jego klubu, a skończyło się na smętnej gadce dwóch starych kawalerów. I to na trzeźwo. Możesz mi współczuć. Po cholereę obiecywał towarzystwo?

– Może jest gejem – wypalam bez zastanowienia.

– Co? – Obraca głowę i zerka na mnie, pewnie zszokowany moimi słowami.

– Gejem. Homoseksualistą – dodaję, dbając o to, żeby mój głos odpowiednio mocno wyrażał odrazę. – Facetem, który woli innych facetów.

– Ejże, dziewczyno, co ty mi chcesz powiedzieć? – Słyszę niezbyt przyjemnie brzmiące nuty, a może mi się tak zdaje. – Coś sugerujesz?

– Nic nie sugeruję. Przepraszam. Jestem głupia i niewychowana. Przepraszam. – Zmieniam ton na neutralny. Przecież to nie jego wina, że trafiłam jak kulą w płot. A dokładnie: zostałam trafiona.

– Baby, baby... – Kręci głową. – Zobaczysz, jutro też wstanie słońce.

– Może i tak.

Oboje milkniemy. Mokry asfalt niknie pod maską, w radio cicho gra jazzowy kawałek, jest mi ciepło, nareszcie, i mogę powiedzieć, że mimo ciszy panującej między nami, a może właśnie dzięki niej, czuję się

bezpieczna. Ktoś wziął mnie pod skrzydła, nie wypytuje, nie domaga się żadnych wyjaśnień, jak ma w zwyczaju moja mama, po prostu jest obok. Jestem mu wdzięczna za tę powściągliwość. Właśnie tak postępuje prawdziwy przyjaciel. Nie naciska. Czeka cierpliwie. I oczywiście pomaga.

– Dziękuję – mamroczę.

– W porządku.

Po niecałym kwadransie widzę tabliczkę z napisem „Anin”.

– Edyta jest w domu? – pyta mnie Jacek.

– Mama? Nie. Na pewno nie, bo pojechała do cioci Izy na noc. Ma wrócić w południe.

– Do jakiej Izy?

– Izy Handzlik – precyzuję.

– Żona tego Handzlika od jachtklubów na Ibizie?

– Tak, tego.

– A ktokolwiek jest prócz ochrony?

– Magda.

– Pewnie już śpi.

– Raczej tak. – Sprawdzam, która godzina, i potwierdzam, że o tej porze na pewno nasza pokojowa już śpi. Wstaje rano, o szóstej, więc kładzie się dosyć wcześnie.

– Wobec tego zabieram cię do mnie.

– Ale dlaczego?

– Dlatego.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie mam ochoty na żadne wizyty. Chcę jak najszybciej wrócić do domu, wziąć gorącą kąpiel i iść spać, ale nie mam śmiałości się sprzeciwić. Przecież mi pomógł. Poza tym może to i nie taki głupi pomysł, porozmawiam z nim i wytłumaczę, żeby nic nie mówił mamie, a potem odwiezie mnie do domu albo sama pójdę, przecież to blisko, zaledwie dwie posesje dalej. Wjeżdżamy na podjazd przed jego willą, Jacek parkuje i wyłącza silnik.

– Widziałaś się w lustrze? – zadaje zaskakujące pytanie.

– Nie. A czemu... – nie kończę, bo już się domyślam, o co mu chodzi.

– To dobrze. Nie patrz, przynajmniej na razie.

Podnoszę wzrok na osłonę przeciwsłoneczną. Już wyciągam rękę, żeby podnieść małe lusterko i przejrzeć się w nim, lecz Jacek mi nie pozwala. Chwyta moją dłoń i trzyma ją mocno.

– Ale ja chcę...

– A ja nie zezwalam – mówi dobitnie.

Wysiadamy i idziemy w stronę drzwi, gdy Jacek zauważa, że kuleję. – Co się stało?

– Bolą mnie stopy.

– Wezmę cię na ręce.

Mam zaoponować, przecież tak dużo ważę, że na pewno mnie nie uniesie, ale rosły facet z niego. Ma prawie dwa metry wzrostu i codziennie ćwiczy. Trzeba przyznać, że w tym był zawsze lepszy od taty, który nigdy nie przepadał za wysiłkiem fizycznym, choć do końca życia zachował smukłą sylwetkę.

Przekraczam próg niczym panna młoda, niesiona w ramionach przez świeżo poślubionego męża. Zawstydzam mnie to, dlatego proszę, żeby mnie postawił.

– To przez buty. Gniotą, bo nowe – wyjaśniam. – Już mogę je zdjąć.

– Myślisz, że jestem taki słaby?

– Nie...

– No widzisz. – Nie pozwala mi skończyć.

Struga bohatera, ale gdy docieramy na piętro, jest zdyszany. Cóż, niezła zaprawa wnosić po schodach taki ciężar. Jest mi jeszcze bardziej głupio, kiedy widzę, że pokój do którego właśnie weszliśmy, to sypialnia pana domu. Nawet nie głupio, a dziwnie. „Co to ma znaczyć?” – myślę, przelękając ślinę. Nigdy tu nie byłam, ale nietrudno się domyślić, że to jego łóżko. Sadza mnie na nim i z ulgą prostuje ręce, a potem przez chwilę trzyma splecione w palcach nad głową.

– Czemu mnie tu... – milknę, rozglądając się nieśmiało na boki.

– Nie podoba ci się?

– Podoba.

– Bez obaw, nie mam żadnych zdrożnych planów. – Usta Jacka wyginają się w uśmiechu. – Poczekaj chwilę, zaraz wracam, a na razie zdejmij płaszcz i buty.

Znika w drzwiach łazienki przylegającej do sypialni, by wrócić po minucie. Przyniósł dwa zwilżone ręczniki, rolkę papieru toaletowego oraz butelkę z jakimś kosmetykiem. Kładzie wszystko na materacu łóżka, przykłęka przede mną i kręcąc głową, podziwia, co zostało z moich pończoch.

– Chodziłaś bosą czy jak? – Chwyta moją stopę i unosi, żeby pooglądać ją od spodu. – Rajtuzy do wyrzucenia.

– To pończochy.

– Pończochy, rajtuzy, żadna różnica, tak czy owak w kosz. Milena, gdzieś ty była?

– Na domówce.

– Chyba na zawodach żużlowych. Startowałaś w pieszej lidze? – parska pod nosem. – Zdejmij rajtuzy, bo masz skaleczoną stopę. Trzeba zdezynfekować, bo jeszcze dostaniesz tężca.

Patrzę na niego jak na kosmitę. Nie będę przy nim zdejmować pończoch. Bez przesady. Już mam powiedzieć, że sama sobie poradzę, wystarczy przemyć skaleczenie pod prysznicem, ale Jacek znów wychodzi do łazienki, by wrócić z butelką wody kolońskiej.

– No? – popędza mnie. – Wyskakuj z rajtek.

– To się odwróć – wykrztuszam. Pewnie jestem purpurowa ze wstydu, ale jest plus tej sytuacji: już prawie całkiem zapomniałam o Jaśku. Jacek posłusznie się odwraca, więc szybko wstaję, podnoszę sukienkę, odpinam pończochy i zsuwam je z nóg. – Gotowe – mówię, gdy z powrotem siedzę na brzegu łóżka.

– Już się nimi zajmiemy, a na razie masz, zmyj makijaż. – Wręcza mi rolkę papieru toaletowego i butelkę z czymś przezroczystym.

Dopiero teraz zauważam, że to płyn micelarny, zużyty do połowy.

– Pewna dama nocowała u mnie i zapomniała zabrać – wyjaśnia, jakby czytał w moich myślach. – To do zmywania makijażu?

– Tak.

– No widzisz. Choć stary ze mnie kawaler, na dodatek bezdzietny, jestem przygotowany na prawie każdą ewentualność. – Znów się śmieje.

Przemywam twarz, a on moje stopy. Robi to ostrożnie i delikatnie, co chwilę przygląda się badawczo, czy nie mam wbitych szkiełek albo kamyków, a gdy z satysfakcją stwierdza, że już wszystko czyste, dezynfekuje skórę wodą toaletową i przykleja jeden mały plasterek w miejscu, gdzie lekko wbił się jakiś kamyk.

– Za kilka dni możesz hulać! – orzeka.

– Pożyczysz mi skarpetek? – Patrzę na moje biedne stopy. Nie wyglądają zbyt dobrze. Mam kilka czerwonych pęcherzy na palcach i jest mi w nie okropnie zimno.

– Jasne. – Podchodzi do komody, wysuwa górną szufladę i patrzy na swój dobytek. – Mam czarne garniturowe, czarne sportowe i... – na moment przeciąga głoskę – białe nieklasyfikowane.

– To ja poproszę te ostatnie.

– Już się robi. – Odwraca się i podaje mi białą puszystą kulę.

– O! Dama od płynu micelnego je zostawiła? – Biorę skarpetki. Niewątpliwie są własnością jakiejś kobiety, bo na moment przytykam je do nosa i czuję delikatny kwiatowy zapach.

– Zabij, nie pamiętam. Tyle ich tu gościłem, że nie sposób. A może coś wypijesz?

– Dziękuję, że się mną zająłeś, ale chyba powinnam już wracać – mówię ostrożnie i powoli. Nie chcę go urazić, bo naprawdę mi pomógł.

– Mojito? Od razu mówię, trochę oszukane. Nie mam świeżej mięty. – Podchodzi do niewielkiego barku w rogu sypialni. – Zrobię ci słabe.

– Dobrze, niech będzie mojito. Słabe.

Minutę później przysiada obok, podaje mi szklankę i stuka swoją w brzeg mojej.

– Zdrowie.

– Zdrowie. – Wypijam kilka łyków drinka. – Smaczne.

– Nie myśl, że cię tu przetrzymuję – mówi, odkładając swoją szklankę na szafkę. – Zaraz odprowadzę cię do domu, ale zanim to zrobię, powiedz, czy powinienem o czymś wiedzieć.

– Nie rozumiem.

– A co tu rozumieć? Ktoś cię skrzywdził. Nie wiem kto, ale się domyślam. Czarek nie może ci pomóc, a ja mam obowiązek opiekować się tobą. Tak właśnie myślę: że powinienem. Dlatego pytam, czy chcesz mi coś powiedzieć.

– Nie. – Opuszczam głowę i przez chwilę wpatruję się w kostki lodu w szklance. – Nie chcę o tym gadać.

– Jasne. Nie było tematu – kapituluję po dłuższej chwili.

– To prawda z tymi dziewczynami? – Prostuję nogi, żeby popatrzeć na puszyste skarpetki. – Dużo ich było? Dam?

– Czy dużo? Nie. – Potrząsa głową i śmieje się cicho. – Takie tam kawalerskie przechwałki. Może kiedyś, jak byłem młodszy, bardziej mnie to bawiło, a teraz? Czasami zaproszę tu jakąś, ale rano, gdy się budzę, zdaję sobie sprawę, że to bez sensu. Widzisz! – Nagle celuje we mnie palcem. – Tak to z wami jest. To ty miałaś mi powiedzieć, kto ci zrobił krzywdę, a nie ciągnąć staruszka za język.

– Nie jesteś staruszkciem.

– No może trochę, co? – pyta żartobliwym tonem.

– Powiedz... – ucinam. Zagryzam kącik ust i patrzę na niego.

– Co chcesz wiedzieć? – Sięga po swoją szklankę i szybko ją opróżnia. – Co może interesować taką młodą panienkę?

– Czy ja ci się podobam? – z trudem artykułuję pytanie.

– Pewnie, że tak. Jesteś śliczną dziewczyną. Nie mówiłem? – Pusta szklanka ląduje na szafce, przy okazji Jacek zabiera moją, też już pustą.

– Nie chodzi mi o to.

– A o co?

– Źle się wyraziłam. Czy podobam ci się jako kobieta?

– Milena... – Wyciąga palec, żeby mi żartobliwie pogrozić. – Nie weźmiesz starego wróbla na plewy. Co się tam stało, na tej prywatce? Mów.

– Powiedz – nalegam. – Powiedz, czy podobam ci się jako kobieta. Czy poszedłbyś ze mną do łóżka?

– Dość. – Jacek wstaje, nerwowo przestępuje z nogi na nogę, robi trzy kroki w lewo, trzy w prawo, zatrzymuje się przede mną i pociera kark. Muszę zadrzeć głowę, żeby go widzieć, gdy staje przede mną. – Dobra, koniec żartów. Co ten gnojek ci zrobił? – Przykuca i świdruje mnie wzrokiem. – Coś ci nagadał? Że jesteś brzydka? A może kazał ci się odchudzać?

– Podobam ci się? – Ledwie słyszę własny głos, taką mam gulę w gardle.

– Przestań. I nie płacz, słyszysz?

Nie odpowiadam. Wyciągam ręce i kładę na jego ramionach. Czuję, jak się usztywnił, ledwie moje dłonie spoczęły na jego ciele. Przez chwilę nic się nie dzieje, patrzymy na siebie, nie mrugając nawet jeden jedyny raz. W końcu nie wytrzymuję napięcia.

– Chcę się z tobą kochać – mówię. Odczekuję chwilę, ale Jacek nie reaguje, powtarzam więc: – Chcę się z tobą kochać...

Czas stanął w miejscu. Patrzymy na siebie, a jedynym dowodem, że żyjemy, są nasze ciężkie, coraz szybsze i głębsze oddechy.

– Milena, przestań. Co ty...

Nie pozwalam mu skończyć. Nachylam się, zbliżam twarz, zamykam oczy i lekko muskam wargami usta Jacka. Są ciepłe, suche i odrobinę spierzchnięte. Wysuwam język i ostrożnie prześlizguję nim po jego dolnej wardze.

– Nie, przestań. – Nagle odwraca głowę.

Otwieram oczy i spoglądam na niego.

– Proszę, nie odrzucaj mnie.

– Nie odrzucam cię. – Znów na mnie patrzy. – Nie możemy, Milena. Na litość boską, zrozum! Nie wolno nam.

– Ale dlaczego?

Nie rozumiem i nie chcę zrozumieć. Przez mamę? Ich związek to już przeszłość. Dawno i nieprawda. Jestem prawie pełnoletnia, wolna, wprowadzie od godziny, może dwóch, ale jednak wolna. On też. Nie

przeżyję, gdy mnie odrzuci, nie dziś, nie teraz. Czekam, żeby cokolwiek powiedział, ale nie mówi ani słowa. Patrzy na mnie, ciężko oddycha i co chwilę przetyka ślinę. Jak mogłam wcześniej nie dostrzec piękna w tym mężczyźnie? Ma cudowne oczy, bije z nich ciepło i jeszcze coś: pragnienie. Wyraźnie je zauważam w rozszerzonych źrenicach. Zsuwam się z materaca łóżka, nadal trzymając dłonie na jego ramionach, przyklękam przed nim, a wtedy on robi to samo.

– Nie... – Z jego ust wyrywa się cicha skarga, gdy ponownie zbliżam moje.

– Obejmij mnie – szepczę. – Proszę.

Nie pozwolę mu odejść, uciec, zniszczyć tego, co już się stało. Bo się stało. Chcę mu się oddać, potrzebuję tego, pragnę jego pragnienia. I nie tylko.

– Milena, ale tak nie można...

– Chcę się z tobą kochać. – Zamykam oczy i całuję Jacka.

Może robię to niewprawnie, pewnie tak, bo przecież nie umiem. Jeszcze nie umiem, ale on mnie nauczy. Przesuwam dłonie wyżej, na jego kark; gdy opuszki palców dotykają ciepłej skóry, przechodzi mnie dreszcz. Drugi przenika moje ciało, kiedy uświadamiam sobie, że Jacek oddaje mój pocałunek. Jego ręce już nie tkwią w bezruchu na moich biodrach, sięgają dalej, błędzą po plecach, w końcu dociskają mnie mocno.

Oboje wstajemy, nie przestając się całować, coraz żarliwiej i intensywniej, czasami nasze zęby lekko uderzają o siebie, a języki nie potrafią się pogodzić, zdecydować, który z nich bardziej chce poznać ten drugi.

– To jakieś szaleństwo, będę... oboje będziemy tego żałować – dyszy Jacek, ale nie przestaje.

Żeby nie tracić kontaktu z jego ustami, muszę wspinać się na palce. Jest ode mnie sporo wyższy. Nie chcę tego, nie mogę się doczekać, kiedy położy się obok mnie na łóżku. Płonę z pragnienia. Chyba już czas na mnie. Najwyższy czas, żebym poznała, co to znaczy bliskość.

– Jak się zdejmuje to cholerstwo? – pyta, szukając palcami suwaka na moich plecach.

– Tutaj. – Szybko schylam głowę, odnajduję zawieszkę zamka z boku sukienki i pociągam w dół.

Nic nie mówię, on też. Sięgam do swoich ramion i lekko zsuwam z nich sukienkę. Nagle zastygam. Co będzie, gdy mnie zobaczy? Czy mu się spodoba? A może przeżyje rozczarowanie? Tak właściwie to nie mam pojęcia, jak teraz wyglądam. Zmywałam makijaż bez lusterka, pewnie jest rozmazany, a moje policzki płoną czerwienią. Czuję, że cała twarz mnie piecze.

– Zgaś światło – wykrztuszam.

– Nie – odpowiada bez namysłu, żeby prawie natychmiast dodać łagodnie: – Czemu?

– Zgaś.

– Dobrze. – Schyla się po pilota leżącego na nocnej szafce i po chwili główna lampa nad naszymi głowami i kinkiety gasną, ale zostają jeszcze dwie małe nocne lampki przy wezglowiu łóżka.

– Te też.

– Nie. Te zostaną. – Jacek rzuca pilota gdzieś za mnie.

Nie mam odwagi się sprzeciwić. Czuję, że choć ja byłam inicjatorką, teraz jemu muszę oddać prowadzenie. Tak jest dobrze.

– Podobam ci się?

– Nie mów nic. – Zamyka mi usta szybkim i krótkim pocałunkiem.

Po chwili jestem bez sukienki. Opadła przy moich kostkach, wychodzę z niej, myśląc, jak głupio muszę wyglądać w czarnej koronkowej bieliźnie, z pasem do pończoch i w białych puszystych skarpetkach. Oblewa mnie fala zażenowania. Chciałabym znów poprosić, żeby zgasił wszystkie światła, nocne lampki też, ale zbyt dużo się dzieje. Jacek wprawnie rozpina mój biustonosz i zdejmuje go, a potem bezużyteczny pasek. Zostaję w wysoko wyciętych koronkowych figach. I oczywiście w nieszczęsnych skarpetkach. Odruchowo zakrywam piersi.

– Ja... – Chcę mu powiedzieć, że się wstydzę, ale to głupie. Przecież sama tego chciałam.

– Posłuchaj. – Obejmuje mnie i przyciska mocno do siebie. Słyszę jego głos nad głową. – Jeszcze możemy przerwać to szaleństwo. Jeszcze tak. Chcesz się wycofać? Powiedz jedno słowo, a tak będzie. To twoja decyzja.

– Nie. – Z mojego gardła wyrывa się stłumiony szloch.

– Milena, nic na siłę. Tak nie można.

Drzę ze strachu, że mnie odsunie, popatrzy prosto w oczy i powie, że się wygłupiłam i mam natychmiast przestać.

– Chcę tego.

– Jezu, co ja wyprawiam? – Dobiega mnie cichy jęk.

Nie jestem w stanie już nic więcej z siebie wydobyć. Zadzieram głowę, znów lekko wspinam się na palce i przybliżam usta do jego policzka. Jest szorstki. Kielkujący zarost, choć niewidoczny, bo bardzo jasny, kłuje mnie w wargi. Wystawiam język i przejeżdżam nim po skórze. Ależ to przyjemne, dla Jacka chyba też, bo jego ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

– Poczekaj. – Spełnia się mój koszmar. Prostuje ręce i odsuwa mnie od siebie.

Niewiele brakuje, żebym wybuchnęła płaczem, ale niepotrzebnie się bałam. Potrzebował przestrzeni, by zdjąć koszulkę polo. Dobrze, że ją zdjął, jest taka sama, jakie nosił Jasiek, a ja chcę o nim na zawsze zapomnieć. Śledzę każdy ruch Jacka, patrzę na jego palce rozpinające pasek i guziki dżinsów. Przełykam ślinę, widząc bieliznę skrywającą wydatny podniesiony członek. „A co myślałaś, idiotko? Jesteś głupia, głupia, głupia!” – krzyczę bezgłośnie. Sama nie wiem, czego się spodziewałam. Powinnam się cieszyć, bo ten widok pozbawia mnie wątpliwości. Zdecydowanie działałam na Jacka. I to jak. Ale czy to ja? Czy naprawdę mu się podobam? A może dawno nie uprawiał seksu i nie ma dla niego znaczenia, jaka „dama” za moment wskoczy mu do łóżka?

Jacek zostaje w białych bokserkach, poza nimi zdjął z siebie wszystko, skarpetki też. Rzucił ciuchy na dywanik przed łóżkiem, przesuwa je stopą i

patrzy na mnie. Chwyta moje ręce nadal kurczowo zasłaniające biust i rozchyła powoli na boki.

– Ja... – Spuszczam na moment wzrok. Brodawki piersi stoją na baczność. Są zaróżowione, pomarszczone otoczki wokół nich też.

– Jesteś taka śliczna, świeża, młoda. Nieskalana. Nie wiem, czy mam prawo... – Głos Jacka brzmi ochryple. – Powiedz, mam?

– Masz.

W milczeniu kładziemy się na łóżku. Ja na wznak, a Jacek na boku. Zamykam oczy, wolę tak odbierać pieszczoty, którymi zaczyna mnie obsypywać. Gdy pierwszy raz dłoń mężczyzny dotyka mojej piersi, wyginam się w łuk, a przez ciało przebiega prąd. Czuję go od czubka głowy aż do stóp.

– Ach... – jęczę. – To takie... – ucinam, bo nie chcę się rozpraszać. Wystarczą myśli. I doznania. – Tak, chcę... – Pojedyncze słowa wyrywają się spod kontroli.

Jacek całuje moje piersi, zaciska lekko zęby na brodawkach, liże je końcem języka, drażni, dmucha, a skóra zwilżona śliną reaguje jeszcze intensywniej. Wyciągam ręce, chcę go dotknąć. Wsuwam palce w jego włosy i coraz mocniej dociskam głowę Jacka, jakbym chciała poczuć jeszcze silniej każde zetknięcie jego twarzy z moim ciałem. To nieznośne, bo moje pragnienie wyprzedza jego ruchy. Już jestem gotowa. Na wszystko. Ale Jacek postanowił popieścić, pocałować każdy centymetr mojego ciała i go dotknąć.

– Dotknij mnie tam – mówię szeptem.

– Tam?

– Tak. Dotknij mnie, proszę. Już nie mogę wytrzymać. – Może nie umiem ładnie mówić o intymności, ale to nieważne. Wiem, czego pragnę i w którym miejscu moje ciało potrzebuje dotyku. Sięgam ręką do podbrzusza, wsuwam dłoń pod krawędź majtek i najdłuższym palcem sama dotykam się tam, gdzie czuję prawdziwy ogień i jednocześnie wilgoć. To gorąca wilgoć. Ciepło, mokro, ślisko. – Tu mnie dotknij, proszę.

– Jesteś niecierpliwa – dobiega mnie karcący głos.

– Jestem. Dotknij mnie. – Wyciągam rękę, po omacku szukam jego dłoni i chwytam ją. – Dotknij! Chcę tego, już. Nie mogę wytrzymać, to boli.

– Milena... – Jacek delikatnie, ale stanowczo zabiera rękę. – Popatrz na mnie. Otwórz oczy.

Spełniam jego prośbę, choć wcale nie mam na to ochoty. Jacek przesuwa się, żeby móc nade mną zawisnąć. Pół leży, a pół wspiera się na ręce. Pewnie nie chce mnie zgnieść. Jego udo wsuwa się między moje nogi, na podbrzuszu czuję ucisk twardego członka. Przetykam ślinę, bo to stanie się już za chwilę. Za moment będę miała go w sobie.

– Chcę tego. – Próbuję przesunąć lekko biodra, żeby penis Jacka naciskał nieco niżej. Tam, gdzie skumulowało się moje pragnienie.

– Zabezpieczasz się?

– Eee... – bąkam jak idiotka.

– Nie mam prezerwatyw. Nie spodziewałem się dzisiaj kobiety.

Już mam powiedzieć, że nie ma żadnego ryzyka, bo mam bardzo długie cykle, a wczoraj skończył mi się okres, lecz jestem prawie pewna, że wtedy Jacek się wycofa.

– Zabezpieczam. Biorę tabletki – mówię, starając się o pewność w głosie.

– Tabletki? Jakie?

– Nie pamiętam nazwy. Małe, różowe.

– Jesteś dziewicą? – Jacek ni to oznajmia, ni pyta. W tym wypadku kłamstwo nie przejdzie, więc skwapliwie potakuję. – Po co łykasz to świństwo, skoro jeszcze nie współżyłaś?

„Boże!” – mam ochotę wrzasnąć, że to nieważne, zwłaszcza w tym momencie. W TAKIM momencie! Teraz już za późno na rozmowy. Nie wie tego?! Ja wiem, a jestem gówniarą, na dodatek chwilę przed pierwszym razem. Jak może wymagać ode mnie logicznego myślenia, skoro mój mózg nie pracuje?

– Miałam nieregularne miesiączki.

Jacek nie komentuje. Patrzy w moje oczy, jakby chciał w nich odczytać, czy mówię prawdę. Próbuję nad sobą zapanować, ale cała się trzęsę.

– Boisz się?

- Nie – cedzę przez zaciśnięte zęby.
- To nie tak ma wyglądać. – W jego głosie słyszę nutki rezygnacji.
- Zrób to. Dotknij mnie tam, wtedy...
- Zmienię zdanie? – prycha cicho.
- Tak.

Już nie chcę gadać. Chcę, żeby było jak przed chwilą. Czas dłuży się niczym z gumy, każda sekunda zdaje się trwać wieczność, zanim Jacek wykona kolejny ruch. Biorę głęboki wdech, kiedy czuję jego dłoń zsuwającą moje majtki. Pomagam mu, zginam nogi, a potem, lekko ugięte w kolanach, rozkładam na boki.

– Uch... – wyrywa mi się z ust, kiedy wreszcie spełnia moją prośbę i jego palec ostrożnie wsuwa się między obrzęknięte płatki wagi. Mam ochotę spytać, czy już wie, że tego chcę. Bardzo mocno.

– Jesteś taka miękka i mokra. – Przesuwa palcem wzdłuż mojej szparki, w górę i w dół, za każdym razem coraz głębiej.

Teraz już jestem pewna, że się nie wycofa. Chciałabym spytać, czy będzie bolało, ale boję się, że to oddali ten moment. Czuję, jak Jacek pozbywa się swojej bielizny. Coraz głośniejsze bije moje serce, a krew szumi w uszach. To już. Nie chcę się rozczarować, nade wszystko nie chcę. Pewnie będzie bolało, nie przeżyję orgazmu, a po wszystkim będę mieć moralnego kaca, ale nie dbam o to. Unoszę lekko pupę, bo Jacek wsunął pod nią rękę i jeszcze szerzej rozkładam nogi.

– Postaram się załatwić to szybko i w miarę bezboleśnie, ale musisz mi pomóc. Nie uciekaj, dobrze? – W jego oczach prócz pragnienia widzę troskę i obawę, że sprawi mi ból.

– Nie będę uciekać. Na pewno.

– A teraz obejmij mnie. Mocno.

Zarzucam ręce na jego szyję. Przywieram całą sobą, przyciskam go najmocniej, jak potrafię, pewnie ze strachu przed cierpieniem. Jednocześnie czuję przeogromną ulgę, że chociaż on wie, co robić. Ma doświadczenie i na pewno świadomie mnie nie skrzywdzi. Cała się napinam, gdy czuję, że

Jacek przesuwa główką penisa po mojej jeszcze dziewiczej kobiecości i nagle...

– Och... – stękam, bo wszedł we mnie jednym mocnym pchnięciem. Aż pociemniało w oczach, taki to ból; ostry, przeszywający aż do szpiku kości.

– Spokojnie. – Jacek nie rusza lędźwiami. Szepcze cicho, że już po wszystkim, że więcej nie będzie bolało. Tuli mnie i całuje po włosach. – Jesteś wspaniała. Dzielna. Już nie boli, prawda?

– Nie. Już nie boli – mamroczę w zagłębienie między jego obojczykiem a szyją.

– Pójdziemy dalej?

– Tak.

– Na pewno?

– Tak.

Zaczyna powoli się ruszać. Kołysze mną delikatnie w stałym, dosyć wolnym rytmie. W przód i w tył. Za każdym razem wchodzi coraz głębiej, podobnie jego oddech: za każdym razem Jacek nabiera więcej powietrza do płuc. Jeszcze trochę mnie boli, ale słabo. To raczej szczypanie niż ból, odczuwane jak przez filtr, bo nieśmiało, lecz wyraźnie, ból zastępują przyjemne doznania. Odprężam się, leżę spokojna. Już nie ściskam Jacka tak kurczowo jak przed chwilą. Tonę w jego ramionach, nasłuchuję głośnego bicia serca, roztapiam się w czułości, którą mi okazuje, szepcząc, że jestem cudowna, najpiękniejsza i że bardzo mnie pragnie.

Jest mi dobrze, tak dobrze, że nie zauważam chwili, kiedy przestaję odczuwać jakikolwiek dyskomfort, a za to mój brzuch wypełnia napięcie. Narasta z kolejnymi ruchami Jacka, przybywa, wzbiera niczym piętrząca się fala. Mam wrażenie, że coś mi ucieka, wymyka się z rąk, nie potrafię tego schwytać, chociaż jest bardzo blisko, coraz bliżej.

– Mocniej. I szybciej... – mówię, zdziwiona, że to właśnie powiedziałam.
– Chcę mocniej.

Jacek przyspiesza, a jego ruchy są zdecydowane i głębokie. Słyszę czyjś głośny oddech, to ja tak dyszę, nagle fala, na której szczytce jestem, załamuje się. Przez moment, krótki jak jedno uderzenie serca, tkwię na jej

grzbiecie, a potem opadam. W moim ciele rozlewa się spełnienie. Czuję ciepło i rytmiczne skurcze niosące ukojenie, cała jestem jednym wielkim drżeniem i pulsowaniem. Zapadam się w tym uczuciu, bo jest najbardziej fascynującym doznaniem, jakiego doświadczyłam. „To orgazm. Miałam orgazm!” – cieszę się w duchu, gdy jestem w stanie poskładać myśli. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że Jacek zsunął się ze mnie, lecz nadal trzyma moje jeszcze ciągle drżące ciało w ramionach. Kolejna myśl, a raczej emocja, to wybuch wszechogarniającego szczęścia, a z nim wdzięczności i poczucia bezpieczeństwa. To chyba najlepsze minuty w moim życiu. Nie „chyba”, na pewno to chwila, której nigdy nie zapomnę. Unoszę powieki, chcę spojrzeć w oczy mężczyźnie, który mi ją ofiarował.

– Dziękuję – szepczę niemalże bezgłośnie. – Dziękuję. To było... – Na moment zamykam oczy i prawie niezauważalnie kręcę głową, bo rzeczywistość okazała się milion razy lepsza niż najśmielsze oczekiwania. – Byłeś... – jąkam się, widząc, że Jacek lekko unosi kąciki ust. – Jesteś najlepszy, wiesz?

– Nie jestem. – Przybliżyła twarz, żeby czule mnie pocałować. – Nie jestem najlepszy, ale cieszę się, że tak myślisz. Wszystko w porządku? – Wspiera głowę na ręce zgiętej w łokciu, a drugą kładzie na mojej talii. – Nie boli? – Na sekundę przesuwając wzrok w prawo, tam gdzie oboje mamy nasze uda sklezione wilgocią potu i czegoś jeszcze.

– Nie. Ani trochę.

– A może chcesz skorzystać z toalety, zrobić siusiu, wziąć prysznic?

– Nie teraz.

– Jasne.

Błądząc wzrokiem po jego twarzy. Już nie pamiętam, że przeszkadzały mi maleńkie blizny po trądziku, które ma na kościach policzkowych. Przeciwnie, dodają mu charakteru i męskości. Jacek ma piękne oczy, niebieskozielone, z małutkimi rdzawymi kropkami wokół zewnętrznego brzegu tęczęwek. Jego usta też mi się podobają, dosyć wydatne, chyba trochę czerwiejsze niż zwykle. I nos mi się podoba, i wyraźny zarys

masywnej żuchwy, i czoło przecięte zazwyczaj pionową bruzdą, ale teraz prawie gładkie, urozmaicone kilkoma płynnie falującymi zmarszczkami.

– Czemu mi się tak przyglądasz? Mam coś na twarzy?

Oho! Pionowa krecha przecina jego czoło.

– Nie. Podobasz mi się, dlatego na ciebie patrzę.

– Masz kiepski gust, ale to pewnie przez młodość – stwierdza żartobliwym tonem.

– Siwiejesz? – Dostrzegam białe włoski na jego skroniach. Nigdy wcześniej nie zwracałam na nie uwagi, poza tym ciężko je zauważyć, bo Jacek jest naturalnym blondynem, a jego włosy są bardzo jasne i obcięte niemal na jeża.

– To szron.

– Ładnie ci w nim.

– Dziewczyno... – Gdzieś pomiędzy naszymi ciałami odnajduje moją dłoń, przytyka ją do ust i całuje. – Chyba do cna zgłupiałem, wiesz? – mruczy.

– Dlaczego?

– Dlatego.

Zagarnia mnie ramieniem. Wtulam twarz w jego tors i nasłuchuję bicia serca.

– Czemu nigdy się nie ożeniłeś? – pytam go o coś, co mnie nurtuje od kilku minut. Jest przecież takim atrakcyjnym mężczyzną. Miłym, mądrym i majątnym. I fajnym. Chyba się w nim zakochuję albo już się zakochałam.

– Widocznie nie trafiłem na odpowiednią kandydatkę.

– A ja?

– Ty? – Jacek odsuwa się, żeby móc na mnie spojrzeć. – To oświadczyny?

– A chcesz?

– Nie za szybko?

– Nie wiem. Nie znam się na oświadczeniach.

– Milena... – Przewraca oczami. – Nie nadążam za tobą.

– Powiedz, było ci dobrze? – Zagryzam kącik ust. Nie sądziłam, że potrafię mieć tyle tupetu, by o to spytać.

– Pewnie, że tak. Było mi za dobrze, dlatego to wszystko... – Potrząsa głową. – Nie mam dla siebie ani grama szacunku i wytłumaczenia. Jutro wywalę lustra z całego domu.

– Nie rozumiem.

– A co tu rozumieć? Poniosło mnie jak młodzika. Oszalałem.

– Żałujesz? – pytam, stropiona jego słowami.

– Nie. Nie żałuję ani jednej sekundy. Nie żałuję i nie cofnąłbym czasu, a nawet gdyby tak się dało, postąpiłbym tak samo.

– To dlaczego jesteś smutny?

– Bo... – zaczyna.

– Bo jestem młodsza? Przecież to nieważne.

– Wszystko jest ważne, ale jakoś się z tym zmierzę. Lepiej powiedz, co teraz. Co dalej? Zapominamy o wszystkim? Wskoczysz z łóżka, pójdziesz wziąć prysznic, a potem odprowadzę cię do domu, tak?

– Nie, nie tak. Zupełnie nie tak – mówię bez cienia wątpliwości.

– Więc jak? Romans?

– To znaczy?

– Nie wiesz, co to romans? – prychna niezbyt sympatycznie. – Dwoje ludzi przez pewien czas spotyka się i uprawia ze sobą seks. Warunek konieczny: nikt poza nimi o tym nie wie. A dlaczego? – Wyraźnie oczekuje odpowiedzi.

– Nie chcę romansu.

– Mam cię odprowadzić do domu?

– Później.

– Później – powtarza po mnie z namaszczeniem. – A może chcesz być ze mną? – Przez chwilę jego oczy patrzą na mnie tak intensywnie, że czuję to w sercu.

– A ty chcesz? – mówię najdelikatniejszym szeptem, jaki mogę z siebie wydobyć. – Bo ja tak, bardzo.

– Przestań. Nie mogę tego słuchać. Jesteś młoda i...

– Ale ja naprawdę chcę być z tobą. – Przerywam mu. – Nie mogę? Nie mogę chcieć być z tobą? – Okropnie mnie wkurzył. Siadam, biorę poduszkę

i zakrywam nią piersi i brzuch. – Teraz już za późno. Już jesteśmy razem.

– Milena, to, że przed chwilą...

– Może dla ciebie to nic nie znaczy, ale dla mnie znaczy bardzo dużo.

– Dla mnie też – odpowiada bez wahania, po czym siada i podobnie jak ja zakrywa podbrzusze drugą poduszką. – Nie myśl, że jest inaczej, ale i tak uważam, że to szaleństwo, skrajna nieodpowiedzialność i bezczelność wobec losu. Zwłaszcza wobec mojego losu. Rozumiesz? Ktoś – wskazuje brodą na sufit – inaczej go zaplanował. Byłem sam i już zdążyłem się z tym pogodzić, bo przecież te nędzne namiastki bliskości, które czasami się trafiały, to nic. Nic nie znaczyły, nigdy nie poruszyły mnie tutaj. – Przykłada dłoń do serca.

– A ja? Poruszyłam?

– Jak możesz pytać... – Jacek zaciska wargi aż robią się całkiem białe.

– Chcę być z tobą. – Przełykam ślinę, widząc, że jego spojrzenie robi się szkliste. – Bardzo chcę. Bez względu na wszystko i wszystkich.

– Ja też, bez względu na wszystko chcę spróbować. Na to starczy mi odwagi – dodaje po namyśle. – Ale...

– Ale?

– Nie bawi mnie bycie mentorem, mimo to powinnaś coś wiedzieć. To, że było nam dobrze w łóżku, nie znaczy, że będzie nam dobrze razem. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Nie jestem głupia.

– Ale pomyślisz o tym później? – Nie może się powstrzymać przed cichym parsknięciem.

– Właśnie tak, pomyślę o tym kiedyś. – „Albo wcale” – dodaję bezgłośnie. – Mogę o coś spytać?

– Pytaj, nie mam przed tobą tajemnic.

– Tak sobie myślę, że nie jestem jedyna. Mam na myśli dziewczyny, które przeżyły z tobą pierwszy raz – precyzuję, bo znów zauważyłam pionową zmarszczkę na czole Jacka. – Mam rację?

– Masz. – Kąciki jego ust lekko się unoszą. – A teraz spytasz, kto to był, ile razy i kiedy, a ja odpowiem, że nie wszystko musisz wiedzieć, a poza

tym nie rozmawiam o byłych.

– Nie spytam.

– Nie? – Nieco szerzej otwiera oczy.

– Nie. Wiem to, co chciałam wiedzieć.

– Aha... – Jacek przeciąga ostatnią głoskę. – I co zrobisz z tą wiedzą?

– Skoro masz doświadczenie z...

– Dziewicami – kończy za mnie.

– Na pewno wiesz, czy taka dziewczyna... kiedy może... – Milknę i oblewam się rumieńcem. Czuję go nawet w cebulkach włosów.

– Czyżbyś pytała o powtórkę?

– Uhm – potwierdzam, a gdy widzę minę Jacka, zaczynam nerwowo chichotać.

– Naprawdę? Nie wierzę.

Czekam, co teraz będzie, gdy ciszę sypialni zakłóca dźwięk dzwonka mojego telefonu. Ups! To mama. Wiem, bo prawie dla każdego kontaktu mam ustawioną inną melodię.

– Nie odbierzesz?

– Nie.

– Chyba powinnaś. Jest po północy. To Edyta?

– Tak.

– Odbierz, bo będzie się martwić.

– Za chwilę – mówię. Muszę się przygotować do tej rozmowy, ale tak naprawdę liczę, że mama odpuści i wyśle SMS-a. Tak właśnie się dzieje. Chwilę później przychodzi wiadomość. Na to mnie stać, na odpisanie. Na rozmowę na pewno nie. – Podasz mi torebkę? Leży za tobą.

– Jasne. – Jacek sięga po nią i podaje mi. – Mam wyjść?

– Nie. Przecież to SMS.

– Wyjdę. Muszę skorzystać. – Wskazuje brodą drzwi do łazienki.

Odprowadzam go wzrokiem, z ciekawością patrząc na jego plecy i oczywiście to, co pod nimi, czyli bardzo kształtne pośladki. Od razu oblewa mnie fala gorąca, gdy widzę mięśnie napinające się przy każdym kroku.

Kiedy zdążyłam stać się taka zuchwała i namiętna, żeby nie myśleć o SMS-
ie do mamy, tylko o męskim tyłku? Nie poznaję samej siebie.

Milenko, co u Ciebie, jak się bawisz? O której będziesz w domu?

Jest super. Wrócę za kilka godzin, może o czwartej? Na razie jest zbyt fajnie, żeby wracać, a czemu pytasz?

U nas też jest fajnie. Baw się dobrze i uważaj na siebie. Nie przesadź z alkoholem.

Bez obaw.

To miłej zabawy raz jeszcze. Będę jutro, a raczej dzisiaj przed południem.

Dzięki i wzajemnie. Pa, pa.

Z ulgą chowam telefon do torebki. Wymiana SMS-ów była dla mnie sporym stresem, a przecież to zwykłe wiadomości, na dodatek nie skłamałam ani jednym słowem. Jest super, fajnie się bawię, nie przesadzam z alkoholem i zamierzam wrócić za kilka godzin. Wszystko jest prawdą i tylko prawdą. A może półprawdą? Dlaczego cała płonę ze wstydu, a w głowie słyszę cichy głosik: „zdradziłaś ją”. Nie jestem głupia, ślepa też nie. Wiem, czemu mama ostatnio tak często zapraszała Jacka do nas, żeby siedzieć z nim godzinami w swoim buduarze, a przynajmniej się domyślam. Tak samo wiem, dlaczego opowiedziała mi historię ich uczuciowego trójkąta. Sądzę, że to wstęp do tego, żeby związać się z dawną miłością. Chciała przygotować również mnie, żebym nie czuła do niej niechęci, że tak szybko pocieszyła się po śmierci taty. Cóż, wyprzedziłam ją, ale w miłości jak na wojnie – wszystkie chwytaki dozwolone. Nie chcę teraz myśleć o tym, jak przyjmie prawdę. Pewnie się wkurzy, oczywiście na nas

oboje. Ale jestem zbyt szczęśliwa, żeby się tym martwić. Poza tym miała swoją szansę. Skoro wybrała tatę, jej decyzja.

Układam się wygodnie i czekam na Jacka. Chyba bierze prysznic, bo słyszę szum wody. Mnie też wypadałoby skorzystać, cała się lepię. „A może do niego dołączyć?” – znów nie mogę się nadziwić swojej zuchwałości. Wychodzi na to, że zupełnie siebie nie znałam. Stałam się bezwzględna, odważna i szalona. I podoba mi się to. „Idę!” – postanawiam. Owijam się prześcieradłem i złażę z łóżka. Zanim wejdę do łazienki, pukam kilka razy, ale Jacek mnie nie słyszy. Woda zbyt głośno szumi. Ostrożnie otwieram drzwi i wchodzę.

– Mogę się przyłączyć? – pytam dosyć głośno.

Jacek natychmiast odwraca się w zaparowanej do cna kabinie. Właśnie nałożył szampon na włosy i pociera je palcami.

– Jasne, wskakuj. Jest miejsce! – odkrzykuje.

Nie mogę wyjść z podziwu dla własnej śmiałości i zdumienia, że wszystko, co się zdarzyło i zdarza między nami, jest takie swobodne, naturalne, jakbyśmy się znali całe życie. Wprawdzie to fakt, znamy się całe życie, ale w całkiem innym kontekście. Jeszcze wczoraj to był ktoś bliski, przyjaciel rodziny i opiekun, a teraz? Nadal bliski, lecz kochanek. Zupełnie inna sytuacja.

Odkładam prześcieradło na marmurowy blat przy umywalce i dopiero teraz widzę własne odbicie w lustrze. Mam ochotę zapaść się pod posadzkę. Jak ja wyglądam! Zmywanie makijażu bez lusterka to naprawdę kiepski pomysł. Smugi tuszu zdobią purpurowe policzki, a moja fryzura? To dopiero porażka. Sandra zaplotła mi dwa warkocze i zwinęła je w ślimaki na czubku głowy. Oczywiście wzmocniła upięcie wsuwkami, które sterczą na boki niczym antenki, wygląda to naprawdę zabawnie. Mam na myśli całość. Jak dobrze, że para powoli wypełnia całą łazienkę i litościwie pokryła lustro.

– Czemu do mnie nie przyjdiesz? – Głos Jacka dudni, wzmocniony akustyką kabiny.

– Już. – Szybko wyjmuję wsuwki, rozplatom włosy i przeczesuję palcami. Trudno, wyglądam jak idiotka, ale co mi tam.

Otwieram kabinę i nieśmiało wsuwam się do środka.

– Moja ślicznotka przyszła. – Natychmiast mnie obejmuje i całuje w usta. – Jak ładnie wyglądasz, ale w zawijańcach też ci było dobrze. – Pewnie mówi o moich ślimakach z warkoczy. – Nie wiem, jak ładniej.

„Inaczej: nie wiem, jak znośniej” – myślę sobie. Jacek pożycza mi szamponu, szybko spieniam włosy i zmywam lakier, którego moje włosy wybitnie nie lubią. Mam nadzieję, że przy okazji spłuczają się również resztki makijażu. Gdy otwieram oczy, Jacek stoi przede mną. Stoi bardzo blisko, a na nasze głowy spływają strugi gorącej wody. Podchodzi jeszcze bliżej, dociska mnie do ściany i zaczyna całować. Ale jak! Mam nogi z waty, bo pieści mnie tak intensywnie, że tracę rozum. Och, podoba mi się to! Uwielbiam seks. To najlepsza rzecz na świecie! Jacka też ogarnia gorączka, ma wzwód, jego twardy penis tkwi między nami, a mnie z każdą sekundą coraz nieznośniej boli brzuch. Chcę się kochać! Obejmuję go i szepczę mu do ucha, czego pragnę.

– Jesteś szalona, uwielbiam cię taką, wiesz? – odpowiada.

– Ja też taką siebie lubię – wyznaję. – To twoja sprawka.

– Chodź. – Wypycha mnie z kabiny.

Nadzy i mokrzy, wpadamy do sypialni, rzucamy się na łóżko, a potem...

Potem świat przestaje dla nas istnieć. Jesteśmy tylko my.

PAULA



Trochę się obawiałam, czy tutejsza fryzjerka sprostą moim wymaganiom, ale Martyna miała stuprocentową rację, mówiąc, że to bardzo fajna dziewczyna, świetny fachowiec, a co ważne, obeznana z trendami. Jeszcze nikt tak dobrze nie poradził sobie z moimi niesfornymi kudłami. Prócz odświeżenia cięcia zadbała również o kolor i poprawiła delikatne odrosty, które znów się pojawiły. A co najważniejsze, Joasia potrafi okiełznać nie tylko to, co na głowie, ale i brwi oraz rzęsy. Rzęs nie odważyłam się ruszać, ale brwi owszem. Gdy pierwszy raz sama nałożyłam hennę, w styczniu, po jej zmyciu, moje brwi do złudzenia przypominały te, które dumnie prezentowały ślicznotki z haremu Szacha Kadzara, były szerokie i krzywe. Przez tydzień nie wychodziłam z domu. Teraz mam perfekcyjnie wymodelowane brwi, hennę na rzęsach i świetną fryzurę. I jak tanio! Żeby już całkiem mnie uszczęśliwić, Asia zrobiła mi delikatny makijaż, bo to też potrafi, i sprzedała kilka profesjonalnych kosmetyków do pielęgnacji twarzy i włosów. Czuję się naprawdę łał!

Wychodzę z salonu w znacznie lepszym humorze, tym bardziej że przez cztery godziny, które tam spędziłam, zdążyło się wypogodzić. Słońce świeci oślepiająco, więc zatrzymuję się i grzebię w torebce z nadzieją, że znajdę okulary, gdy nagle słyszę znajomy głos.

Paweł.

I po dobrym humorze...

– Cześć! – powtarza, podchodząc.
– Cześć.
– Świetnie wyglądasz. – Od razu obdarza mnie komplementem. – Dobrze ci w makijażu.

– Dzięki. – Ostentacyjnie zakładam okulary.
Ten model przysłania pół mojej twarzy, pewnie dlatego Paweł dodaje z przekazem:

– Koniec pokazu. Szkoda.
– Chyba nie myślisz, że to dla ciebie.
– A dla kogo?
– Dla siebie.
– A może kawa? – Wskazuje brodą na wejście do pizzerii, jedyne lokalu gastronomicznego w Grabówku, pełniącego równocześnie funkcję restauracji i kawiarni, a w niektóre sobotnie wieczory – dyskoteki.

– Dziękuję, już piłam. U fryzjera.
– A co z...
– Nie zmieniłam zdania, jeśli o to pytasz, poza tym jest dopiero środa, a tak w ogóle – nagle wpada mi do głowy pewien pomysł – to...
– To? – Paweł podąża wzrokiem w tę samą stronę, w którą przed chwilą patrzyłam.

– Już mam pracę, właśnie tam jadę.
– Masz pracę?
– Owszem, dlatego się pożegnam. Trzymaj się – rzucam i odchodzę energicznym krokiem, bo na przystanku pojawił się bus.

To na pewno jeden z tych dowożących pracowników do zakładu zatrudniającego między innymi mamę Martyny. Nie odwracam się, żeby sprawdzić, co robi Paweł. Idę szybko, nawet podbiegam kilka ostatnich metrów i bez wahania wsiadam do busa razem z kilkoma kobietami, próbując ignorować ich ciekawskie spojrzenia. Liczę, że kierowca nie zwróci na mnie uwagi, nie każe pokazać biletu czy legitymacji uprawniającej do przejazdu i ku mojej wielkiej uldze tak właśnie się dzieje. Na wszelki wypadek siadam z tyłu, zdejmuję okulary i wyciągam telefon z

torebki. Ruszamy, a ja udaję, że przeglądam jakieś strony w internecie. Nie mam ochoty na pogawędki. Cieszę się, bo wywinęłam Pawłowi naprawdę niezły numer. Może wreszcie da mi spokój. Jedyne, co mnie trochę wkurza, to cichy głosik, który ciągle powtarza, że schlebia mi jego zainteresowanie. To całkiem miłe, ale sprzeczne z tym, co sobie postanowiłam. Nie mogę sobie pozwolić na żadne przygody. Nie ma mowy. Żadnych romansów, chłopaków, randek. I żadnego seksu. To nie wchodzi w grę.

Pokonujemy kilka kilometrów i bus zatrzymuje się w kolejnej wiosce. Tu wsiada znacznie więcej kobiet niż w Grabówku. Zajmują prawie wszystkie wolne miejsca, to obok mnie również. Chowam telefon do kieszeni kurtki, opieram głowę i udaję, że drzemię. Słyszę, jak moje współpasażerki rozmawiają między sobą. Mówią o różnych rzeczach, głównie o zwykłych codziennych sprawach, jedna opowiada o córce, która znów zachorowała na uszy, a inna radzi jej iść do jakiejś laryngolożki w Bielsku. Ponoć świetna i „niedrogo bierze”. Szmer kobiecych rozmów wprowadza mnie w swoisty trans. To szalenie relaksujące. I za darmo. Może będę tak sobie jeździć? I słuchać? Niezły sposób na ukojenie nerwów, skupiać uwagę na tym, co dzieje się w życiu innych ludzi. Zagłuszają moje myśli skuteczniej niż najlepsza muzyka.

Niewiele brakuje, a naprawdę bym zasnęła. Niestety docieramy na miejsce. Kierowca zatrzymuje busa na małym placyku. Wysypujemy się ze środka, a ja nie wiem, co teraz z sobą począć. Jestem rozeszpana i jest mi trochę zimno, bo siedziałam w kurtce. Próbuję zmieszać się z tłumem kobiet idących w stronę bramy do zakładu. Nie mam pojęcia ani co to za fabryka, ani jaka miejscowość. Już prawie wchodzę na teren zakładu, kiedy dostrzegam kilku pracowników ochrony. Stop! Zabawa poszła za daleko. Odsuwam się w bok, a gdy nikt nie zwraca na mnie uwagi, szybko odwracam się na pięcie i odchodzę.

Po przeciwnej stronie parkingu jest mały przystanek. Domyślam się, że skoro firma Xylon dowozi pracowników do pracy, podobnie będzie z odwózką, ale to za piętnaście minut, gdy pierwsza zmiana dobiegnie końca. Siadam pod zadaszeniem, szczęśliwa, że wiata trochę mnie osłoni. Jest

bardzo słonecznie i dosyć ciepło, lecz wietrznie. Wyjmuję komórkę, bo co mam tu robić? Zainstalowałam niedawno jakąś gierkę logiczną i od kilku dni nie miałam czasu w nią pograć. Udaje mi się przejść wyjątkowo trudną planszę, cieszę się jak głupia, choć gra to tylko zwykły odmóźdzacz. Pewnie dlatego nie zwracam uwagi na kogoś, kto przysiadł na ławce po lewej. Dopiero teraz podnoszę wzrok i... W jednej chwili czuję przypływ dwóch skrajnie przeciwnych emocji: radość, że to Paweł: „Jednak nie ustąpił!”, i złość: „Właśnie wyszłaś na niezłą kłamczuchę!”. Nie wiem, które z nich dominuje. Albo wiem: wstyd. Moje policzki płoną.

– Cześć! – Uśmiecha się kpiarsko. – Już cię zwolnili? Bardzo mi przykro.

– Odczep się – fukam. Robię zawziętą minę, zaciskam zęby i z powrotem wlepiam wzrok w ekranik telefonu. Jedyna rozsądna strategia, jaka przychodzi mi do głowy, to ignorowanie Pawła.

Wstaje i przechodzi na moją stronę. Siada tuż obok i próbuje zajrzeć mi przez ramię, ale nie dam mu okazji do kolejnych kpin i żarcików. Wyłączam telefon, wkładam do kieszeni kurtki i patrzę na niego wyzywająco.

– No co? – szczyrzy zęby.

– Śledzisz mnie? To karalne. Stalking jest ścigany prawem. Stalkerzy – precyzuję. – Chyba wiesz, na czym polega to zjawisko? Na nękanii, nachodzeniu kogoś, dzwonieniu, śledzeniu. Wystarczy, że trwa około miesiąca, podczas którego stalker pozwala sobie na co najmniej trzy incydenty. Ty już wypełniłeś kryteria. Wysyłasz mi wiadomości, podstępem udało ci się wejść do mojego domu, a teraz mnie śledziłeś.

– Mam podejrzenie graniczące z pewnością, że nie zgłosisz tego na policję. Mylę się?

– Idiota. – Odwracam wzrok. Patrzę gdzieś przed siebie, wściekła, bo sama zapędziłam się w kozi róg. „Tak, masz cholerną rację, cholerny uparty dupku! Nie zgłoszę się na policję” – myślę, zła i zirytowana swoją bezsilnością.

– Paula, nie gniewaj się – mówi po chwili Paweł. – To taki żart, chyba nie sądzisz, że mam jakąś obsesję na twoim punkcie?

– A nie? – Obracam głowę. Co najgorsze, on nadal działa na mnie nie tak, jak bym chciała. Stop. Inaczej. Wcale nie powinien na mnie działać. Ale działa. – Po co tu przyjechałeś? Jak śmiesz za mną łązić? Co to ma być?

– Chcę ci pomóc.

– Wiesz co? To jest śmieszne – odpieram.

– Fajnie, że poprawiłem ci humor.

– Wprost zajebiście.

– Uuuu... – przeciąga głoski. – Ostra babka.

– Czego chcesz?

– Tego. – Wstaje i wyciąga do mnie prawą rękę. – Chodź, zawiozę cię do domu.

– Mam busa. Zaraz powinien jechać. – Zerkam na bramę zakładu, z której wylewa się rzeka ludzi. To głównie kobiety, mężczyzn jak na lekarstwo. Ciekawe dlaczego. I co produkuje ta firma?

– Przecież cię nie zjem. – Podtyka mi prawie pod nos swoją rękę.

– Idź sobie.

– Nie.

– Czy ktoś ci mówił, że jesteś wyjątkowo upartym kretynem? – Zadzieram głowę, żeby widzieć jego twarz.

– Nie, chyba nie... – Udaje, że się zastanawia. – Ale słyszałem, że jestem wybitnie zdeterminowanym człowiekiem.

– Tak sobie wmawiaj – pry cham.

– Chodź, bo zrobię scenę i porwę cię stąd siłą, a te... – odwraca się na moment, żeby sprawdzić, jak blisko nas są jacyś ludzie – te panie na pewno ci nie pomogą. Pomyślą, że to bardzo romantyczna sytuacja, gdy wezmę cię na plecy i zaniosę do samochodu, a ty całą drogę będziesz pisać i walić mnie piąstkami.

– Ty naprawdę masz problem. – Wzdycham. – Może zmień dilerę? Albo psychiatrę? A najlepiej wróć do Holandii.

– Dragi nie dla mnie, nawet miękkie. Trawka też nie. Alkohol tym bardziej.

– Grzeczny chłopiec, aż się wierzyć nie chce. Zdrowy styl życia, sport i zero używek. Na dodatek bogaty i przystojny. Dziewczyny walą drzwiami i oknami, co się tak na mnie uparłeś? Lubisz gonić króliczka?

– Króliczka też. A teraz idziemy. – Nachyliła się i bez pardonu chwytła mnie za ramię.

Nie zamierzam robić cyrku, tym bardziej że wśród nadchodzących pracownic Xylonu zauważam dwie kobiety, które na pewno mieszkają w Grabówku. Poznają je, kilka razy widziałam obie w sklepie. „Cholera! Cholera! Cholera!” – jestem zła jak osa. Wstaję, wyszarpuję rękę i warczę:

– Wygrałeś.

– Super! – cieszy się.

– Bitwę. Nie wojnę.

Idę obok niego, rozważając, czy znów nie wywinąć jakiegoś numeru, ale już mi się nie chcę wygłupiać. Chora ta nasza znajomość.

– Gwarantuję podróż w znacznie lepszych warunkach – oświadcza Paweł, kiedy zajmuję miejsce i zapinam pasy.

– Pff...

– Chyba nie sądzisz, że w busie wygodniej?

– Range rover to nie limuzyna.

– Nie da się ukryć. – Paweł nie bierze sobie do serca mojej uwagi. Widać, że lubi ten samochód i czuje się za kółkiem jak ryba w wodzie. Prowadzi płynnie, z łatwością, pewnie.

– Długo masz prawo jazdy?

– Pięć lat, a czemu pytasz? – Zerka na mnie.

– Bez powodu. – Zbywam go, choć nie do końca mówię prawdę. To zawołowana próba odgadnięcia, ile Paweł ma lat. Zakładam, że w Holandii można zdobyć uprawnienia od osiemnastki, więc liczy ich sobie co najmniej dwadzieścia trzy. Staruch.

– Powinienem cię chyba przeprosić – mówi po kilku minutach milczenia.

Czeka na mój odzew. Pewnie mam spytać za co, ale nie dam mu satysfakcji. Niech sobie przeprosza, nie interesują mnie powody.

– W pewnym sensie czuję się za ciebie odpowiedzialny. To pod moim dachem spotkała cię krzywda. Dlatego chciałbym to jakoś naprawić. Nie obawiaj się, nie zamierzam dociekać, dlaczego nie chcesz pracować legalnie. A może formalnie? – Głośno myśli. – Na papierze? Polski język jest dziwny.

Milczę jak grób, odpowiadam mu tylko w głowie, choć coraz trudniej gryźć się w język, gdy Paweł kontynuuje.

– Chodzi o to, że nie jestem ciekawy, co tobą kieruje. Albo jestem, ale szanuję ludzkie tajemnice, ponieważ czasami warto poczekać na czyjąś prawdę.

– Mojej się nie doczekasz.

– Niech i tak będzie – zgadza bez wahania. – Nie muszę jej znać, żeby wiedzieć, jakim jesteś człowiekiem.

– Ciekawe skąd.

– Jestem dobrym obserwatorem.

– Czyżby? – Naciągam na usta szal i udaję, że tłumię nim śmiech.

– A nie jestem?

– Od kiedy pamiętam, daję ci do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana twoją ofertą. Wszystkimi metodami. A ty dalej swoje.

– Jaką ofertę masz na myśli?

– A ty? – ripostuję.

– Mam dla ciebie bardzo szeroką ofertę. Ale najpierw muszę przeprosić, bo mogłaś poczuć się osaczona. Przysięgam, nie spytam o nic, chyba że sama będziesz chciała coś powiedzieć. I jeszcze raz sorry za uwagę o policji.

– Ale po co?! – Niewiele brakuje, a tupnęłabym ze złością albo walnęła pięścią w boczną szybę.

– Co „po co”?

– Dlaczego ja? Czemu się tak uparłeś? Chcesz iść ze mną do łóżka? – wypalam, sądząc, że choć trochę zbiję Pawła z tropu. – *No way*. Zapomnij. Nie interesują mnie związki. Żadne – podkreślam dobitnie. – Te oparte wyłącznie na seksie też.

– Da się być jeszcze bardziej nieprzyjemnym? – Zerka na mnie.

– Przy tobie mam szansę to sprawdzić – wypalam i prawie od razu żałuję, widząc jego minę.

– A nie możemy tak zwyczajnie się zaprzyjaźnić? – pyta cicho. – Jak dwoje ludzi? Co złego w przyjaźni, nawet między dziewczyną a chłopakiem?

Jego głos się zmienił. Już nie ma w nim ani odrobiny tupetu czy choćby śladu ironii. To bardzo szczere pytanie, a mnie robi się głupio, ponieważ nie umiem na nie odpowiedzieć.

– Posłuchaj... – zaczynam, ale drapie mnie w gardle i muszę odchrząknąć. – Nic złego w przyjaźni, ale przyjaciele, obojętnie kim dla siebie są, czy rodziną, czy parą, czy zwykłymi znajomymi, powinni być wobec siebie szczerzy.

– A ty nie jesteś wobec mnie szczerą?

– Nie. Nie jestem szczerą wobec nikogo. – „Wobec samej siebie też, o ile nie głównie” – dopowiadam w głowie.

– Przed chwilą mówiłem, że mogę poczekać na prawdę. Nie spieszy mi się.

– Nie czuj się w jakikolwiek sposób zobowiązany, żeby mi pomóc. – Postanawiam ugryźć temat z innej strony. – To nie twoja wina, że Wąsik okazał się gnojem i obleśnym dziadem wykorzystującym swoją władzę, a raczej nędzną władzunię. On to on, a ty to ty. Nie naprawiaj cudzych błędów, ponieważ to nie twoje błędy. Lepiej skupić się na własnych, bo i tak popełniamy ich za dużo.

– Masz rodzeństwo? – pyta nieoczekiwanie. – Jeśli nie chcesz odpowiedzieć, nie mów.

– Nie chcę.

– W porządku. Załóżmy, że masz. Na przykład starszego brata. Nie ma go teraz przy tobie i nie może ci pomóc.

– Jezu... – Potrząsam głową, bo coraz mniej rozumiem, o co mu chodzi. – O czym ty gadasz, człowieku? – Przykładam rękę do czoła i przez chwilę ją trzymam.

– Twój brat byłby szczęśliwy, wiedząc, że masz blisko przyjaciela, który w razie problemów go zastąpi i ci pomoże. Rozumiesz?

– Nie. Nic a nic. To jakaś misja? Zadanie? Wyzwanie?

– Czuję się za ciebie odpowiedzialny i chcę ci pomóc, bo tego potrzebujesz.

– Om... – Zamykam oczy, składam wskazujące palce i kciuki w mudrę gyan i układam obie dłonie na kolanach. – Om...

– Nie powinnaś inaczej siedzieć? – dobiega z boku.

– Om... mam buty... Om...

– Zdejmij, nie krępuj się.

– Om... za mało miejsca... Om... – wygłaszam monotonię. Paweł nie odpowiada. Do moich uszu dociera jego cichy śmiech i równie ciche westchnięcie, ale z wyraźnie słyszalnym podziwem. – Om... mam swojego rycerza... Om...

– Który właśnie przywiózł swoją księżniczkę do pałacu.

– Co?! – Natychmiast otwieram oczy. – Paweł, nawet sobie nie żartuj! – Spanikowana, patrzę na otwierającą się bramę.

– Pamiętasz? Zarzuciłaś mi, i słusznie, że cię nie oprowadziłem. Najwyższy czas naprawić ten błąd. MÓJ błąd – mówi dobitnie.

– Nie wysiądę! – Zakładam ręce na piersiach.

– Wobec tego będziemy tu siedzieć razem. Nie mam nic przeciwko. – Paweł zatrzymuje samochód za głównym budynkiem, zamyka zamki w drzwiach, wkłada pilota do wewnętrznej kieszeni marynarki i z uśmiechem stwierdza, że mogę rozpiąć pasy. – Może zaczniemy od krótkiej historii pałacu czy właściwiej dworu obronnego w Grabówku oraz opisu. Mam tu gdzieś małą ściągaczkę. – Wyjmuje portfel i przez chwilę w nim szpera.

– Chyba ściągawkę, ewentualnie ściągę – poprawiam.

– Dzięki, zawsze można na ciebie liczyć – odpiera. Już odnalazł kartkę, rozkłada ją i przelatuje wzrokiem treść. – „Fortalicja w Grabówku – literuje powoli – stoi pośród starego drzewostanu, otoczona suchą fosą, w której znajdują się dwa wejścia do podziemnych korytarzy, obecnie nieużytkowanych. Wjazd na posesję prowadzi od północy przez most, za

którym kiedyś znajdował się portal wejściowy. Jest też drugie wejście z tyłu, ale znacznie późniejsze. Dwór ma dwie kondygnacje naziemne oraz poddasze i dwie podziemne. Zbudowano go na planie prostokąta z dwoma ryzalitami, czyli wysuniętymi częściami na dłuższych bokach, potocznie określanymi jako skrzydła. Dwór ma surowy wygląd, jedynie okna posiadają renesansowe obramowania. Wnętrza ukazują stylowy wystrój: sklepienia kolebkowe, zdobienia stiukowe oraz szczerboko zachowane polichromie ścienne. Dwór otacza ogród krajobrazowy”. To wszystko, jeśli chodzi o opis. – Podnosi na mnie wzrok.

– Jestem pod wrażeniem – mówię z ironią, ale muszę przyznać, że trochę mi zaimponował.

– A teraz historia. W wielkim skrócie – dodaje. – „Dwór obronny w Grabówku powstał około tysiąc pięćset siedemdziesiątego roku. Ponoć wcześniej stał tu mały gotycki zamek”. Grabówek, jak na pewno wiesz, skoro tu mieszkasz – zerka na mnie, a w jego oczach błyskają złośliwe chochliki – jest bardzo starą wsią. „Pierwsza wzmianka o niej pochodzi z trzynastego wieku. – Znowu czyta z kartki. – Początkowo dwór posiadał wyraźne cechy renesansowe, w tym attykę, ale jego dzisiejszy wygląd nadal nie odbiega od pierwotnego. W połowie osiemnastego wieku został przebudowany w stylu barokowym, wykonano wtedy dach łamany i zmieniono wystrój wewnątrz. Kolejne zmiany wprowadzono w dziewiętnastym wieku”... – zawiesza głos. – Nie będę wszystkiego czytał, za dużo tego – mruczy pod nosem. – Potem była wojna i dwór opustoszał. I niszczył się.

– Chyba niszczał? – podpowiadam.

– Uhm. Niszczał. – Paweł podnosi na mnie wzrok. – A później mój ojciec go kupił – oznajmia z wielkim bananem na twarzy. – A dokładnie jego fundacja go kupiła.

– Zaraz po wojnie? – Powstrzymuję się, żeby nie zachichotać.

– Nie, no jak? – Paweł nie wyczuł żartu. – Kupił go siedem lat temu i wyremontował, ale najpierw odczekał prawie dwa lata na jakiegoś zezwolenia...

– Od konserwatora zabytków? – wtrącam.

– Właśnie tak – kiwa głową. – Udało się. – Składa kartkę na cztery. Już ma ją schować z powrotem do portfela, gdy zerka na mnie pytającym wzrokiem. – A może chcesz przeczytać? Pomiąłem wiele rzeczy, bo to nudne.

– Nudne? – Przewracam oczami. – Akurat to było ciekawe. Daj. – Zabieram jego notatki, rozkładam i czytam. – Uwielbiam historie o opuszczonych budynkach. – Milknę, bo właśnie doczytałam, że ostatni właściciel w czasie wojny trafił do obozu koncentracyjnego, udało mu się przeżyć, niestety, gdy z rodziną wrócił na swoje włości, komunistyczna władza nie pozwoliła mu mieszkać we dworze. – Ojej... – wzdycham. – Wiedziałaś, że ten człowiek ostatnie lata życia spędził w szopie? A potem ktoś go zamordował? Boże, co za historia. – Zasłaniam usta, myśląc, jak musiało mu być ciężko.

– Czytałem o tym. Ojciec zgromadził sporo materiałów o dworze i jego właścicielach. Według innych źródeł nikt nie zamordował tego człowieka. Zmarł na skutek wypadku związanego z jakimś pożarem, ale detali nie znam.

– Trzeba to zbadać – mówię, zerkając na wydruk. – Popatrz, co za debile. Sprzedawali tu nawozy sztuczne. Wyobrażasz sobie? – Jestem szczerze wkurzona, gdy pomyślę o komunistach, którzy nie mieli żadnego szacunku ani dla ludzi, ani tym bardziej dla takich wspaniałych budynków jak ten. – Nawozy? Serio? – Potrząsam głową. – Co za idioci!

– Mama mówi, że komuna była zła. Komunizm.

– Ma rację. To były straszne czasy, choć znam je tylko z opowieści mojej... – ucinam, żeby nie powiedzieć o jedno słowo za dużo.

– Zdenerwowałaś się.

– A jak się nie denerwować, gdy pomyślę, że ten biedny człowiek żył tutaj, mieszkał, później poszedł na wojnę w obronie ukochanej ojczyzny, przetrwał piekło obozów, wrócił, a ci dranie zniszczyli jego życie? Aż mnie podnosi, gdy czytam takie historie! – zaperzam się. – Jak można komuś

wszystko odebrać? No powiedz? Byłeś kiedyś w obozie koncentracyjnym? Wiesz, jak tam jest?

– Nie rozumiem. – Paweł marszczy czoło. – Przecież ich nie ma. Nie działają.

Wznoszę oczy ku niebu. Chyba się domyślił, skąd taka reakcja, bo szybko dodaje, że nigdy nie był, ale chce któryś zwiedzić.

– Pojedziemy do Oświęcimia. To niedaleko – oznajmiam. – Muzeum Auschwitz Birkenau.

– Okej – zgadza się natychmiast. – Widzę, że to cię kręci, więc powiem, że mam zdjęcia dworu. Setki zdjęć pokazujących, jak wyglądał, zanim rozpoczął się remont. W lewej części w ogóle nie było sufitów, uwierzysz? Zawaliły się.

– Masz na myśli stropy? – Podnoszę wzrok, bardzo zaintrygowana wzmianką o zdjęciach.

– Stropy? – Paweł wydyma usta. – Nie wiem, nie znam się, zarobiona jestem.

– Co?

– Moja mama tak zawsze mówi, jak czegoś nie wie – tłumaczy.

– Aha. – Już zrozumiałam, dlaczego użył żeńskiej formy. – Zarobiony jestem. Zarobiony. – Podkreślam dobitnie ostatnią głoskę.

– Co ja bym bez ciebie zrobił? – Przykłada dłoń do serca i przewraca oczami niczym panienka. – To co? Chcesz zobaczyć zdjęcia?

– Masz mnie. No pewnie, że chcę.

– *Yes!* – Unosi kciuki w obu dłoniach. – Uwaga, są w zestawie z lunchem.

– Lubisz dopiąć swego?

– Lubię. – Puszczą do mnie oko. – Kto nie lubi, gdy mu się coś udaje? – Nagle poważnieje. – Paula, obiecuję, że nic złego cię nie spotka w moim domu. Nikomu nie mówiłem ani o Marku, ani o tym, co ci zrobił.

– A ochroniarz?

– Poprosiłem w agencji, żeby ktoś inny go zastąpił.

– W porządku. Dzięki. – Przełykam ślinę, bo zrobiło mi się ciepło na sercu.

– Idziemy? – Paweł klika pilotem.

– Idziemy.

Wchodzimy głównymi drzwiami, a wtedy Paweł zatrzymuje się, żeby pokazać mi napis nad naszymi głowami. Ponoć jest tu od zawsze, ale ani on, ani ja nie jesteśmy w stanie go odczytać.

– Może w materiałach twojego ojca będzie to opisane? – zastanawiam się, wypatrując oczy, żeby dostrzec treść.

– Może. Zajrzymy do nich po lunchu, co ty na to?

– Super. – Niewiele brakuje, a podskoczyłabym w miejscu jak mała dziewczynka.

– Gdybym wcześniej wiedział, że masz takiego hopla na punkcie historii...

– To co? – Opuszczam wzrok.

– To nic – kwituje z uśmiechem. – To nic.

MILENA



Jacek odwozi mnie o szóstej rano. Biorę kąpiel, zmywam z siebie zapach naszej miłości, lecz najchętniej zostawiłabym go na zawsze. Jest niesamowity. Niestety, niepowołane osoby mogłyby go wyczuć, a na to jeszcze za wcześnie. Ustaliliśmy, że na razie nasz związek pozostanie tajemnicą. Nie mogę zasnąć. Przewracam się z boku na bok i myślę, jak to dalej będzie. W końcu odpływam, znużona, z głową przepełnioną słodkimi wspomnieniami najgorętszych chwil tej nocy.

Po dziesiątej zagląda do mnie Magda. Uznała, że już czas na śniadanie, ale nie jestem głodna. Od wczorajszego popołudnia nie miałam nic w ustach i nie jestem głodna? Ani odrobinę? To cud. Najwidoczniej da się żyć samą miłością. To wspaniała dieta, bardzo przyjemna i, co ważne, skuteczna. Wyłączę z łóżka o jedenastej, a chwilę później wraca mama. W pierwszym momencie nie wiem, gdzie podziąć oczy. Zwłaszcza po delikatnym cmoknięciu w policzek i pytaniu, jak było na domówce u Dawida. Matko... To jedna z takich chwil, kiedy człowiek ma ochotę zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu, ulotnić jak zapach świeżo mielonej kawy. Zjadamy razem lunch i mama idzie do siebie. Ona też nie spała całą noc.

Bałam się, że nie będę mogła normalnie funkcjonować, ale na szczęście jakoś panuję nad emocjami. Kolejny cud? Cieszę się, że jestem w maturalnej klasie. Nigdy nie narzekałam na szkołę, przeciwnie: lubię nasze

liceum. Lubię też klasę, choć jest nas zaledwie ośmioro, uwielbiam naszych nauczycieli i kilka przedmiotów, a w zasadzie wszystkie, bo nie ma takiego, który sprawia mi trudności. Codziennie patrzę na plan zajęć i nie stękam, że jutro znów ta cholerna matematyka czy francuski, oczywiście rozszerzony. O ile dotychczas z przyjemnością jeździłam do szkoły, o tyle teraz jadę tam przeszcześliwa, że mam jakieś zajęcie. Uważam na lekcjach, podejmuję się każdego wyzwania, a po powrocie nie wychylam nosa z pokoju, bo przecież „za kilka miesięcy matura i muszę się uczyć”.

Ale to nie wystarcza. W niedzielę i poniedziałek roznosi mnie szczęście i energia, we wtorek podobnie, aż Gaba z Julką zwracają na to uwagę i dopadają mnie w przerwie na lunch.

– Coś ty taka nabuzowana? – pyta Julka, a Gabrysia patrzy na mnie podejrzliwie.

Zbywam je, tłumacząc, że powoli wracam do siebie po żałobie. Mam nadzieję, że tata wybaczy mi to małe niewinne kłamstwo. Zresztą nie do końca mówię nieprawdę. Przecież tak właśnie jest: wracam do psychicznej równowagi, bo przed wypadkiem taty byłam bardziej radosna.

W środę rano mam pierwszy kryzys. Nie widziałam Jacka od soboty. Nie odwiedza nas, nie dzwoni i zaczynam tęsknić. Zwyczajnie. Jak każda zakochana dziewczyna. Gdy więc w południe dostaję od niego SMS-a, prawie padam na zawał. Uciekam z jadalni i biegnę skryć się w toalecie.

Cześć! O której kończysz lekcje?

Cześć! O 14:30, potem mam przerwę obiadową do 15:00 i półtorej godziny zajęć umuzykalnienia, a czemu pytasz?

Szkoda. Chciałem Cię gdzieś porwać o trzeciej.

Nie muszę być na tych zajęciach...

Muzykalność jest ważna.

Jestem bardzo umuzykalniona. Wystarczająco...

Będę o trzeciej. Pod szkołą.

Bądź o 14:45. Stań w jakiejś uliczce, nie przed samą szkołą, bo moje koleżanki są bardzo ciekawskie.

Jasne. Pełny kamuflaż. Bez odbioru.

– Jupi! – piszczę do siebie. Na wszelki wypadek kasuję naszą rozmowę, kontrolnie spoglądam do lustra i widzę, że wyglądam jak po wyjściu z solarium. Muszę zacząć się malować. Krem BB powinien dać radę i zakryć wielkie rumiane placki pojawiające się na policzkach. Wracam do stołówki i mówię, że to wieści od mamy mnie ucieszyły.

– W wakacje lecimy do Japonii. Na trzy tygodnie. To było moje marzenie – wymyślam naprędce.

Zuza i Gaba wietrzą podstęp, ale nie zamierzam ich wtajemniczać w moje sprawy. Aż tak mocno się nie przyjaźnimy, raczej kolegujemy.

Siedzę jak na szpilkach, w końcu przychodzi pora na obiad, oczywiście nie jestem w stanie przełknąć ani kęsa. Wypijam sok i wychodzę z jadalni. Odwiedzam toaletę, żeby poprawić fryzurę i przeciągnąć błyszczkiem usta. Jacek wysłał wiadomość, gdzie na mnie czeka, a ja napisałam do pana Józefa, że sama wrócę do domu, bo jadę z przyjaciółkami do centrum. Trochę mnie irytuje ta konspiracja, trzeba pamiętać o wielu sprawach, na dodatek nie można z nikim pogadać, a tak bardzo mi się chce powiedzieć komuś o Jacku. Ech...

– Cześć – wita mnie mój nieco dojrzały, ale cudowny chłopak.

– Cześć – mówię. Zapinam pasy i patrzę na niego. Stęskniłam się. Jakież to wszystko dziwne, ale przez to ciekawe i emocjonujące. – Dokąd mnie zabierasz?

– Do siebie.

– Tak? – Starannie próbuję ukryć cię rozczerowania.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie mamy innego wyjścia. Przecież nie pojedziemy do restauracji, do kina też nie. Hotel? Odpada! Wielu ludzi nas zna, Jacka od dawna, a mnie od kilku lat. Zaraz po

wypadku taty zdjęcia mojej rodziny zapełniły pierwsze strony plotkarskich portali i szmatławych gazet żerujących na prywatnym życiu popularnych osób. Byłam wszędzie. Ja, moja mama, tata i oczywiście Jacek Nykiel, wspólnik i najlepszy przyjaciel mojego taty. Cała Polska mogła zobaczyć zdjęcia z pogrzebu, nasz ból i cierpienie. Dlatego musimy być dyskretni. To stały element mojego życia. Już zdążyłam przywyknąć, chociaż nigdy tego nie zaakceptuję.

Jedziemy, rozmawiamy, ale moją głowę wypełniają myśli o tym, co będziemy robić u Jacka. Przecież o tej porze są jeszcze pracownicy, którzy podobnie jak u nas dbają o czystość i porządek! Oblewa mnie zimny pot. Wprawdzie pokojowe są bardzo dyskretne, zresztą cały personel pochodzi z najlepszej agencji w Warszawie i każdy, kto się u nas zatrudnił, musiał podpisać mnóstwo deklaracji oraz oświadczeń o zachowaniu tajemnicy, ale i tak czuję się głupio, myśląc, że ochmistrzyni Jacka, pani Justyna, zauważy moją skromną osobę, a potem, gdy już wrócę do domu, domyśli się, jaki cel miała moja wizyta.

– A co z dyskrecją? – werbalizuję swoje obawy. – Na pewno ktoś jest u ciebie w domu.

– Dałam wolne Justynie, a resztą nie powinnaś się przejmować – odpowiada, niczym niezrażony. – Posłuchaj, prędzej czy później musimy zrobić *coming out*, że tak to ujmę.

– Może i tak. – Przęłykam ślinę, zdając sobie sprawę, a przynajmniej próbując sobie wyobrazić, co wtedy będzie. Rozpęta się niezłe piekielko. A mama zostanie pierwszym i głównym diabłem, który dorzuci drew pod nasze kotły.

– Nie chcę zabrzmieć jak stary dziad, ale powiem: witaj w świecie dorosłych, w którym konsekwencje idą za każdym twoim ruchem i decyzją. Tak właśnie jest.

– Tak właśnie jest – powtarzam po nim.

– Będę cię chronić, wiesz o tym?

– Wiem.

– Stanę na głowie, żebyś była szczęśliwa. I jeszcze jedno, bez względu na to, jak to wszystko się potoczy, czy nam wyjdzie, czy nie, przyrzekam, że nigdy nie stanę się przyczyną twoich łez – mówi głębokim tonem, który wprawia w drżenie moje serce.

Docieramy na naszą uliczkę. Odruchowo rozglądam się wokół, czy aby czasami nie mija nas ktoś znajomy, a gdy przejeżdżamy obok mojego domu, zsuwam się lekko w fotelu. To głupie, ale nie przeżyłabym teraz spotkania z mamą, nawet mając jakąś zgrabną wymówkę w razie wpadki. Czuję się okropnie, jak oszustka, ale wytrzymam. Czekam z utęsknieniem na chwilę, kiedy mama dowie się prawdy, równocześnie się tego bojąc. Jacek ma rację, sugerując, że na razie powinniśmy powstrzymać zapędy do informowania wszystkich o naszym krótkim związku. Nie ma nawet tygodnia i stoi na bardzo kruchym fundamencie.

– Ściśle tajne łamane przez poufne – śmieje się Jacek, bo zauważył, że znikłam z pola widzenia. – Bez obaw. Gdy Edyta dowie się prawdy, co najwyżej zmyje ci głowę, za to moją urwie i zakopie w ogródku.

– Nie pocieszyłeś mnie.

– Oj, tam – parska.

Mimo wszystko chyba przejął się trochę, bo parkuje z tyłu domu, a do środka wchodzimy bocznymi drzwiami. Idziemy prosto do jego sypialni, Jacek przekręca klucz w zamku i patrzy na mnie wzrokiem, który sprawia, że w dole brzucha zaczyna szaleć stado motyli, a policzki wypełniają się krwią.

– Tęskniłem za tobą.

– Ja też...

Wracam do domu pełna energii, ale i obaw, jak przetrzymam zimowe ferie. Jacek ma coś wymyślić, tak powiedział, czekam więc na sygnał od niego, unikam mamy, przesiaduję w pokoju z książką w ręce i obłożona notatkami, by zawsze mieć w pogotowiu wymówkę.

Jak na złość mama też przesiaduje w domu. Chwilowo przerwała swoją pracę w fundacji, którą lata temu założyli mój tata i Jacek. To fundacja na

rzecz pomocy dzieciom wybitnie uzdolnionym, ale niemającym środków, by dodatkowo się kształcić. W tej chwili pomaga prawie dwóm tysiącom podopiecznych, a mama jest jej prezeską. Zwykle działalność w fundacji zajmuje jej wszystkie dni robocze, jeździ do biura na dziewiątą i siedzi tam lub jest w terenie aż do szóstej, ale znów złapała jakieś przeziębienie i od tygodnia pracuje zdalnie, a co najgorsze, przebąkuje o rezygnacji ze stanowiska prezeski i sędowania go na swoją zastępczynię.

„Nie mam już sił. Wypaliłam się, a może to menopauza?” – żartuje przy kolacji.

Naturalnie zaprzeczam i wyśmiewam jej obawy. Mówię szczerze. Przecież jest taka młoda. Wygląda świetnie, dba o siebie, prawie codziennie pływa, bo w podziemiach naszego domu jest duży basen. Trochę jej zazdroszczę, ja nie mam samozaparcia i dyscypliny, żeby tam chodzić, zwłaszcza o siódmej rano, i przez godzinę pływać w tam i z powrotem.

– A kiedy Janek cię odwiedzi? – zagaja. – Nie widziałam go wieki.

– I nie zobaczysz.

– Dlaczego? – Odkłada sztuce i badawczo mi się przygląda.

– Zerwaliśmy ze sobą – mówię, starając się zachować neutralne brzmienie głosu. Udaję bardzo mocno zainteresowaną zawartością talerza, zabieram z półmiska kilka plasterów pomidora, kroję na mniejsze kawałki, solę i pieprzę, a potem zjadam.

– Kiedy?

– Parę dni temu.

– Nic nie mówiłaś.

– Bo nie było o czym. – Zbieram się na odwagę, żeby spojrzeć mamie w oczy. – Nie pasowaliśmy do siebie. Nie bój się, już o nim zapomniałam. Było, minęło.

– Milenko...

– Naprawdę, nic się nie stało. Byliśmy razem zbyt krótko, żebym zdążyła się w nim zakochać. – Próbuję przybrać niefrasobliwy wyraz twarzy, ale to trudne, zważywszy, że lżę jak pies. Z Jackiem spotykam się znacznie krócej, o ile w ogóle można określić w ten sposób nasze dwie randki

spędzane głównie w łóżku, a już wpadłam po uszy. Może seks zbliża ludzi szybciej niż platoniczny związek?

– Szkoda – wzdycha mama. – Lubiłam tego chłopca. Jest z porządnej rodziny. Wydawał się bardzo ułożony i miły.

– Jest ułożony, miły i z dobrej rodziny, ale nie pasuje do mnie.

„A tym bardziej ja do niego”.

– To twoja decyzja, nie zamierzam jej podważać.

– I oby tak było zawsze – kwituję.

– Będzie. Mam do ciebie zaufanie.

„Bo jeszcze cię nie zawiodłam” – myślę, czując, że w gardle rośnie gęstwa strachu. A może powiedzieć? Przyznać się? Strasznie mnie kusi, ale nie mam odwagi. Zjadamy kolację, mama coś dopowiada o Jaśku, tłumaczy, czym się kierować przy wyborze chłopaków i na co zwracać uwagę. Słucham jej uważnie, bo trochę mi lżej na sercu, gdy prawi, że wygląd i powierzchowność nie mają znaczenia.

– Liczy się wewnątrz – oznajmia.

„Czyżby?” – zadaję bezgłośnie pytanie i odruchowo przekrzywiam głowę. Na końcu języka mam ripostę, że sama kierowała się głównie wyglądem. Dlaczego odeszła od Jacka, gdy tylko poznała mojego tatę? Czym innym, jak nie urodą, ją skusił? Mimo to cieszę się, że mnie poucza. Jej słowa przynoszą ulgę. Zawsze lepiej czuć wyrzuty sumienia w stosunku do kogoś, kto jest hipokrytą, niż do szczerego człowieka. Mniej boli.

Mija kilka dni, a ja znów tęsknię. I podobnie jak w środę Jacek zaskakuje mnie wiadomością. W sobotnie popołudnie bez żadnego wstępu pyta:

Jesteś w domu?

Tak.

Edyta też?

Tak.

Wpadnę zaraz do Was.

Dobrze.

Masz udawać zaskoczoną. Bez odbioru.

Nie muszę udawać, bo naprawdę jestem zaskoczona i dygoczę ze strachu, ponieważ nie wiem, o co mu chodzi. Czyżby chciał wyznać prawdę? Już? Lecę do łazienki, drżącymi palcami nakładam krem BB na policzki, a potem wychodzę z pokoju i pod naprędce wymyślonym pretekstem, że potrzebuję skorzystać z naszej domowej biblioteki, schodzę na parter. Czuję się bezpieczniej, mając wymówkę, ale i tak podskakuję nerwowo, gdy dobiega mnie głos mamy. Jest w głównym salonie i rozmawia z Magdą. Nagle słyszę gong i zastygam niczym woskowa figura. „Spokojnie, bo mama nabierze podejrzeń!” – strofuję się.

Jacek wchodzi do domu, mama idzie go przywitać, ja też. Stoję przed nim, głupkowato się uśmiecham, a moje dłonie kurczowo ściskają książkę. Gdyby ktoś teraz spytał, jaki ma tytuł, i zaoferował milion dolarów za prawidłową odpowiedź, straciłabym szansę na wielkie pieniądze. Nie mam pojęcia, co to za książka, dopóki na nią ukradkiem nie zerknę. *Wojna i pokój*. Serio?

Mama zaprasza Jacka do siebie, już mam oszaleć z nerwów, co teraz będzie, gdy Jacek mówi, że ma do nas pewien interes. Do nas obu. „Zaraz umrę. Za minutę. Albo wcześniej”. Idę za nimi do głównej jadalni, bo tak zarządziła mama. Jest kawa, ciasto i kilka zdań między mamą a Jackiem. Z trudem panuję nad sobą. Najchętniej powiedziałabym, że mam dużo nauki, i uciekła do swojego pokoju, ale nie mogę zawieść Jacka. Na dodatek nieszczęsna książka leży na blacie stołu, w końcu mama ją zauważa i pyta, czy to lektura.

- Nie – bąkam. – Tak wzięłam. Do czytania.
- I jak ci się podoba? – zagaduje.
- Nie wiem, dopiero zacznę...
- Przecież to druga część. – Zauważa przytomnie mama.

– Tak? – Sięgam po książkę i patrzę na grzbiet. Pewnie mam minę kretynki, bo mama zaczyna chichotać, a Jacek jej wtóruje. – Pójdę wymienić. – Już podnoszę się z krzesła, bo naprawdę potrzebuję chwili oddechu, gdy Jacek zatrzymuje mnie ruchem dłoni.

– Usiądź, proszę. Mówiłem, że mam do was sprawę, a dokładnie propozycję. – Lekko chrząka i patrzy na mamę. – Wyjeżdżam w poniedziałek do Wiednia na spotkanie z profesorem Hoferem.

– To ten od receptur? – Mama mruży oczy. – Od czekolady?

– Właśnie. On i jego ludzie mają opracować dla nas nowe składki i zaprosił mnie na kilka dni do swojego instytutu.

– O! Przyjemne z pożytecznym. To będzie słodka wizyta.

– Na pewno. – Jacek kiwa głową. – Miałem jechać z Kariną – mówi o swojej asystentce – ale ma wtedy urlop i potrzebuję kogoś w jej zastępstwie.

Zamieram, gdy kończy. Udaję, że zupełnie mnie to nie obchodzi, ale w duszy aż podskakuję z radości.

– Mam z tobą jechać? – Na twarzy mamy pojawia się radosny uśmiech, ale zaraz gaśnie, bo chyba przypomniała sobie o mnie. Zerka w moją stronę, jakby pytała, co ja na to. – A kiedy ten wyjazd?

– Mówiłem, w poniedziałek.

– A tak. Wspominałeś.

– Szczerze mówiąc, myślałem o Milenie, ale przez tydzień nie chodziłaby do szkoły, dlatego mam wątpliwości. Szkoda. Ośluchałaby się z niemieckim, poznała naszego kontrahenta i najadła przepysznej wiedeńskiej czekolady, a pod koniec tygodnia Hofer zaplanował dla mnie krótki wypad w góry.

„O ty! Ależ potrafisz kłamać!” – wzdycham w duszy. Jestem pełna podziwu, bo Jacek doskonale wie, że od poniedziałku mam ferie.

– Milenka ma przecież wolne – mówi mama. – Ferie zimowe.

– Naprawdę? – Jacek uśmiecha się promiennie. – To doskonale się składa. Jedna przeszkoda pokonana.

– A druga?

– Musisz się zgodzić – odpowiada mamie. – To prawie cały tydzień. Wracam w piątek albo w sobotę. Profesor chce mnie porwać na narty, jest szczyt sezonu – przypomina.

– Milenko, chcesz jechać?

– Nie wiem. – Wydymam usta, a w środku cała wrę. – Mam dużo nauki. – Wzruszam ramionami, jakby oferta Jacka była najnudniejszą propozycją pod słońcem.

– Chyba nie tak dużo, skoro masz czas na czytanie. – Jacek mruga do mnie. W tym momencie mam ochotę go zabić. – Zresztą książka to nie słoń, zmieści się do bagażnika.

– Jedziesz samochodem? – pyta mama. Jest zdziwiona, bo tata wolał latać. Tym bardziej że od czterech lat nasza spółka posiada niezbyt duże, lecz prężne linie lotnicze i dysponuje kilkoma niewielkimi, bardzo luksusowymi samolotami.

– Tak. To niedaleko, poza tym wolę mieć swoje auto na miejscu – tłumaczy Jacek.

– To dobry pomysł. Powinnaś odpocząć. Wracasz ze szkoły, skubniesz coś na kolację i tyle cię widzę. Od tygodnia nie wychodzisz z pokoju, siedzisz tam jak nornica i zakuwasz. Nawet ta książka to pewnie nadobowiązkowa lektura – stwierdza mama, nie spuszczać ze mnie oka. – Tak nie można, Milenko.

– Nie jestem zmęczona. Chcę dobrze zdać egzaminy.

– Och, nie przesadzaj. – Mama potrząsa głową. – Rozstała się z chłopcem – zwraca się do Jacka. – Pewnie dlatego to tak wygląda. Musi odchorować.

– Mamo! – fukam niczym nadąsana nastolatka. W zasadzie jestem nastolatką, ale przez ostatni tydzień wydorostałam i czuję się o co najmniej pięć lat dojrzała.

– Mamo, mamo... – powtarza po mnie z uśmiechem. – Jeszcze nie zapomniałam jak to jest być zakochanym. – Na sekundę opiera wzrok na Jacku. – A może obie się z tobą wybierzemy?

„Nie! Tylko nie to!” – myślę w panice. Nie mam pojęcia, co teraz. Dalej zgrywać zblazowaną gówniarę, która nie ma ochoty ani na wiedeńską

czekoladę, a tym bardziej na szusowanie po alpejskich stokach, czy przeciwnie, stwierdzić, że zmieniłam zdanie i z radością wybiorę się z nimi na wycieczkę.

– Jeśli masz ochotę, czemu nie? – odpowiada Jacek. Ani nie drgnie mu powieka. Prawdziwa twarz pokerzysty. Zazdroszczę i podziwiam, ale jeśli mama się przyłączy, nie jadę! Trudno. Nie zniosę tego, że będzie siedzieć z przodu, obok Jacka, a mnie pozostanie bezsilnie się im przyglądać. – Powiedz, jaka decyzja. Zadzwoń do Kariny i zmieni rezerwację.

– To jak? – Mama spogląda na mnie. – Jedziemy na wycieczkę?

CO. MAM. TERAZ ZROBIĆ?! Ukradkiem rzucam wzrokiem na Jacka. „Hej! Człowieku! Pomóż mi!!!”

– Jeśli nie chcesz, powiedz – zwraca się do mnie.

„ZABIJĘ CIĘ. Niech tylko zostaniemy sam na sam”.

– Poczekajcie. – Nagle mama podnosi rękę i lekko klepie się w czoło. – Mam walne w środę. Na śmierć zapomniałam.

– W fundacji?

– Tak.

– Nie możesz przełożyć? – pyta Jacek.

– Wiesz, że nie – odpowiada.

Wyraźnie zepsuł się jej humor, za to mnie rozsadza od środka. Oczywiście szczęście!!

– Za chwile się okaże, że jednak pojedę sam.

– Milenko, jedź z Jackiem. Ja nie mogę, ale ty tak. Jedź, rozerwij się trochę, odpocznij. Zawsze to jakaś odmiana, a tydzień bez nauki ci nie zaszkodzi.

– Muszę? – Przewracam oczami.

– Milena... – Mama kiwa palcem, a Jacek dodaje, że nigdzie nie muszę jechać.

– Nie potrzebuję królowny ze stadem much w nosie – mówi żartobliwym tonem.

– No dobra, pojedę.

– Może to przesilenie wiosenne? – Mama próbuje usprawiedliwić moje zachowanie.

– Chyba trochę za wcześnie? – śmieje się Jacek.

– Mogę już iść?

– Idź, idź. – Mama kiwa głową.

Chociaż nie może z nami jechać, widzę, że jest zadowolona. Cóż. Ja jestem jeszcze bardziej zadowolona. Żegnam się, wychodzę z jadalni i nadal udając znudzoną życiem nastolatkę, wspinam się po schodach. Docieram do swoich pokoi, starannie zamykam drzwi na klucz, rzucam książkę na podłogę i zaczynam wariować z radości. Skaczę po pokoju, tańczę, wiruję, co chwilę zaciskam kciuki, wykrzykując w myślach: „Udało się!”.

PAULA



Si Deus pro nobis, quis contra nos, czyli: „Skoro Bóg jest z nami, któż przeciwko nam?”. Tak brzmi sentencja nad wejściem do dworu. Jej autorem jest Święty Paweł z Tarsu. Niestety, jak pokazuje historia, właściciele dworu mimo boskiej opieki mieli wielu wrogów. Mimo to myślę, że ta sentencja dawała im trochę nadziei i wiary za każdym razem, gdy przekraczali próg.

Wpadłam jak śliwka w kompot. Sama wlałam w paszczę lwa, a odpowiednie byłoby stwierdzenie, że wleciałam do niej – do paszczy – jak na skrzydłach. Ale czy miałam inną możliwość? Najpierw zjedliśmy lunch, potem pooglądałam zdjęcia, następnie przyszedł czas na zwiedzanie domu. Oboje zgrabnie pominęliśmy gabinet pana Hansa i prywatną część, gdzie rezyduje Paweł. To na mój wniosek. Nie chciałam tam zaglądać, bo i po co? Jeśli miałabym zastąpić „Oblecha”, moja praca nie będzie wymagać częstych wizyt we dworze. Już nie posłużę się słowem „pałac”, bo to żaden pałac, a dwór obronny.

Gospodarz przy lunchu podejmuje temat zatrudnienia. Najpierw zdecydowanie odmawiam, nawet kiedy powtarza, że zgadza się na ustną umowę. Pytam, jak to sobie wyobraża, przecież to nie grabienie liści, a coś bardzo odpowiedzialnego. Paweł i jego ojciec powierzyliby mi wiele ważnych spraw.

I to nie stanowi problemu. Dwór jest własnością fundacji, a w tej można pełnić funkcję bez uposażenia.

– Będziesz wolontariuszem, co ty na to? – pyta znad talerza.

– Nieźle, proponujesz mi pracę za darmo?

– Nie. Proponuję ci wolontariat, a co do finansów, myślę, że da się to jakoś załatwić. Konkretną stawkę przedstawię, gdy się zgodzisz.

– Aha. Jeśli to nie tajemnica, czym się zajmuje twój ojciec? Sam doszedł do majątku czy odziedziczył?

– Żadna tajemnica. Zaczynał od zera, a dokładnie jako szeregowy pracownik w jednym z zakładów pod Rotterdamem. Później założył własną firmę, a raczej firemkę, i współpracował z tym zakładem, produkował części do wodomierzy. Minęło kilka lat, ojciec zerwał współpracę i sam zaczął wytwarzać wszelkiego rodzaju urządzenia pomiarowe, używane głównie w gospodarstwach domowych, wodomierze, liczniki zużycia energii, gazu i inne. Teraz ma sieć fabryk, również w Chinach, zaopatruje w urządzenia pomiarowe prawie całą Holandię i kilka krajów ościennych też.

– Fajnie. – Kiwam głową z uznaniem.

– Zauważyłaś, że ludzie, słysząc o biznesie lub o dużych pieniądzach, od razu wyobrażają sobie bankiera lub właściciela linii lotniczych, ewentualnie sieci hoteli?

– Podczas gdy pieniądze można zarobić produkując coś bardzo prozaicznego.

– Bystra jesteś.

– Miałam podstawy przedsiębiorczości.

– A gdzie? – Przechyla głowę.

– W liceum. Przedmiot rozszerzony.

– Gdzie to liceum? – dopytuje.

– Tu, w Grabówku.

Paweł robi zdziwioną minę, dopiero moje westchnięcie uświadamia mu, że żartowałam. W Grabówku edukacja kończy się na ósmej klasie szkoły podstawowej. Tak przynajmniej mówiła Martyna. A co do mnie, nie mam zamiaru zwierzać się Pawłowi ze swojego życia, ciekawe, kiedy to wreszcie

pojmie. Mimo to nie chcę wyjść na kompletną chamkę, więc bąkam o mieście wojewódzkim, a po krótkim namyśle dodaję, że przeszłam niezły kurs przygotowawczy na studia.

– Stu...

– Tak, studia. – Nie pozwalam mu skończyć. – Nie, jeszcze nie zdobyłam dyplomu. Tak, mam urlop dziekański. Nie, nie powiem ci dlaczego. Tak, w październiku znów podejmuję naukę. Nie, jeszcze nie wiem, czy w trybie dziennym, czy zaocznym. Tak, to już koniec informacji.

– Super! – Teatralnie klaszcze w dłonie.

– A w ogóle to sądziłam, że zakończyłeś rekrutację i jestem przyjęta – stwierdzam cynicznym tonem.

– A jesteś?

– Ty mi powiedz. – Parskam śmiechem.

– Zgadzasz się? – pyta.

– Spróbuję... – Podnoszę wskazujący palec, bo oczy Pawła rozbłyskają radością ze zwycięstwa – ale mam dwa warunki.

– Jakie?

– Po pierwsze, na razie umówmy się na okres próbny, założmy miesiąc. I nie miej pretensji i nie nalegaj na kontynuację, jeśli uznam, że to nie dla mnie.

– W porządku. Najwyżej zadzwonię do ojca i powiem, że ma tu przyjechać i sam ogarnąć temat. Drugi warunek?

– Nie chciałabym, żeby nasze wspólne... – milknę, bo zdaję sobie sprawę, że zapędziłam się w kozi róg. Gdy dokończę, że chcę tylko służbowych relacji, wyjdę na głupią gąskę, która widzi coś, czego nie ma. – Chciałabym, żebyśmy pozostali w takich relacjach jak teraz. Pracodawca i pracownik.

– Nie ma sprawy. – Paweł wyciąga prawą dłoń. – Deal?

– Deal.

Idziemy razem do budynku, gdzie znajdują się biura. Od razu zastrzegam, że nie chcę pracować w tym samym pomieszczeniu, w którym... Nie muszę kończyć. Paweł czyta we mnie jak w otwartej księdze i sam oferuje inne

biuro. Na szczęście jest odpowiednie pomieszczenie, mogę je zająć od razu. Chociaż mniejsze i skromniej umeblowane, na dodatek od północnego wschodu, czyli bez szans na słońce, ale i tak sto razy lepsze niż tamto.

– Będę stąd miała dobry widok – mówię, patrząc przez nieco zakurzoną szybę. Widzę cały plac przed głównym budynkiem, a nawet podjazd aż do bramy i stróżówkę.

– Raczej podgląd – śmieje się Paweł. – Wszystko jak na widelcu.

– I dobrze. W końcu mam piastować urząd kierownika – żartuję, mając nadzieję, że nigdy mi nie odbije i nie zacznę terroryzować otoczenia jak mój poprzednik.

Dogadujemy się w kwestii nieformalnego wynagrodzenia i to w zasadzie wszystko. Wracam do domu, siadam na kanapie i tkwię tam prawie godzinę. Siedzę i myślę. Rozważam, czy dobrze zrobiłam. Nie martwię się o zakres obowiązków, choć może to błąd i życie zweryfikuje mój optymizm. Boję się samej siebie. I tego, jak działa na mnie Paweł. Jem mu z ręki, wystarczy jeden uśmiech i mięknę niczym plastelina położona na słońcu. Trzeba nad tym popracować. Zdecydowanie. A na razie muszę się komuś pochwalić sukcesem. Idę po laptopa, uruchamiam go i piszę maila do Anity. Koniec z czystą teorią, z zadaniami i ćwiczeniami „na sucho”. Nareszcie będę miała okazję do prób na otwartym sercu. Mam nadzieję, że mój pacjent, czyli fundacja Hansa Warmerdama, nie umrze na stole operacyjnym.

Minęły dwa tygodnie. Kończy się kwiecień, pogoda coraz łaskawsza, a w sercu nieśmiało kiełkuje nadzieja, że moja przyszłość nie rysuje się jedynie grubym czarnym flamastrem. Jestem zadowolona, poznałam wszystkich pracowników polskiego oddziału fundacji, a nawet przeprowadziłam z sukcesem rekrutację dwóch nowych osób. To miłe i fajne dziewczyny, obie pochodzą z Grabówka, a jedna to dalsza kuzynka Martyny. Z Martyną też mi się układa. Wprawdzie nie mamy zbyt wiele czasu, ale sobotnia kawa musi być. I ciasto. Trochę mnie gryzie, że na początku naszej znajomości

przedstawiłam jej nieco zmyśloną wersję na temat studiów oraz moich planów na przyszłość, ale mam nadzieję, że to nigdy nie wypłynie. Zacznie się październik, wyjadę gdzieś w Polskę i problem sam się rozwiąże. Prawda?

Co do szefa... Tak właśnie określam teraz Pawła. Nawet mówię do niego „szefie”. To spore ułatwienie, a co ważne, nie przeszkadza mu ta forma. On, tak jak wszyscy, włącznie z panią Ewelina – księgową – oraz ochroniarzami i pokojowymi, mówi do mnie Paula. Na szczęście nie nalegał na zamontowanie imiennej tabliczki na drzwiach mojego biura i nadal wisi tam kartka z wydrukowanym jednym słowem: „kierownik”.

Fundacja działa nieco inaczej niż zwykłe przedsiębiorstwo nastawione głównie na zysk, więc mam ograniczone możliwości zarządzania, ale zawsze coś. Mogę pracować nad racjonalizacją kosztów i przyjrzeć się bliżej gospodarce magazynowej. Jak to wszystko drętwo brzmi. Prawdziwe okropieństwo. Czasami zastanawiam się, czy wybrałam właściwą ścieżkę. Nie mogę powiedzieć, że zarządzanie to najnudniejsze zajęcie na świecie, bo pani Ewelina odgryzłaby mi głowę. Kiedyś trochę pogadałyśmy o jej pracy i muszę przyznać, że bycie księgową to koszmar. Nie dość, że nudna praca, to jeszcze wtórna, upierdliwa i odpowiedzialna. Ale dobrze płatna.

Od rana analizuję rotację środków czystości – brzmi słabo, ale nie jest tak źle. Już zdążyłam sprawdzić, jak to wygląda w rzeczywistości, zapoznać się z ich spisem i nawet wykryć mnóstwo zaniedbań, oczywiście powstałych za czasów „Oblecha”. Mam zamiar z satysfakcją donieść o tym Pawłowi, ale to później, bo na razie muszę opracować nowy plan gospodarowania wszystkim, od płynów do mycia naczyń począwszy, na specjalistycznych środkach do czyszczenia skór skończywszy.

Gra moja ulubiona Zetka Classic, promienie słoneczne odbijają się od białych kamyczków, którymi wysypano podjazd, i wpadają do mojego biura przez okno. Od razu robi się lżej na duszy, gdy zima definitywnie odpuściła, a wokół szaleje jej następczyni. Może właśnie tego mi brakowało? Słońca, ciepła? – Podnoszę głowę znad papierów i patrzę maślanym wzrokiem przez okno. Stare drzewa po drugiej stronie placu

kołyszą się delikatnie, a ich pónagie gałęzie otula powoli, lecz coraz odważniej woal świeżej zieleni.

– Wiosna, wiosna... wiosna, ach to ty... – podśpiewuję pod nosem, nie przejmując się wcale, że z radia dobiega nokturn Chopina. Co mi tam, przecież nikt mnie nie słyszy. A dysonans? Nie przeszkadza.

Już zamierzam wrócić na ziemię, gdy zauważam ruch przy bramie. Stary mercedes w obrzydliwym kolorze przypominającym do złudzenia zepsuty keczup powoli wjeżdża na podjazd. Mrużę oczy, żeby dostrzec, kto siedzi za kierowcą. Zagadka szybko się rozwiązuje.

– O! – Tylko na to mnie stać, gdy widzę kobietę wysiadającą z taksówki.

To bardzo młoda kobieta, z pewnością nie skończyła jeszcze trzydziestu lat. Ale jedno mogę stwierdzić bez żadnych wątpliwości: jest piękna. Piękna, wysoka, zgrabna i szczupła. Wysiada i rozgląda się ciekawie na boki, od razu odjeżdżam fotelem w głąb biura, żeby mnie nie zauważyła. Odsuwam się, kryję w ciemności, schodzę z pierwszego planu w mrok. Dziewczyna wygląda jak kandydatka na miss, ma idealnie proste, długie i lśniące blond włosy. Bliżej im do platyny niż złocistego odcienia, jakim obdarza matka natura. Krótka grzywka kończy się równo z linią brwi, a jeśli ktoś spytałby o jedno słowo określające jej twarz, powiedziałabym: śliczna.

Ciuchy też ma świetne. Widać niezły gust lub rękę dobrego stylisty. Futrzana kamizelka z lisa doskonale pasuje do sweterka w kolorze pudrowego rózu. Zgrabne uda zakryły kremowe bryczesy – chyba nie muszę dodawać, że leżą idealnie – a wysokie czarne oficerki na prawie płaskim obcasie są wprost stworzone do takich spodni. Cóż, będąc wysoką i zgrabną łanią, też nie katowałabym się butami na szpilce. Całości dopełnia stylowa torba. Louis Vuitton. Na pewno. I to najnowsza kolekcja.

Bez namysłu, niemalże bezwiednie i przez bardzo krótką chwilę, rzucam okiem na wieszak stojący w rogu biura. Czego się spodziewałam? Cudu? Nadal mam tę samą torebkę, którą kiedyś chciał zrewidować „Oblech”, a prócz niej wiszą tam jeszcze ciemnoszary sweter – czasami jest mi zimno – i najzwyklejsza na świecie pikowana kurtka w bliżej nieokreślonym burym

odcieniu. Żaden szal. Mysi strój, mysia właścicielka. Fryzurę też mam kiepską, bo od ostatniej wizyty u fryzjera nie miałam ani chęci ani czasu, żeby choć raz użyć specjalnych kosmetyków do pielęgnacji włosów. Żałosne, ale to moja forma samoobrony. Postawiłam na mimikrę. Chcę wtopić się w szaroburą populację Grabówka, która preferuje żywe kolory tylko na elewacjach domów (niektóre na pewno są widoczne z kosmosu). Nawet Martyna sprawia czasami wrażenie zawstydzonej miedzianą barwą swoich włosów.

Nie mogę się oprzeć i bezwstydnie obserwuję blondynkę. Kierowca, zażywny szatyn, zdążył już wyjąć walizkę z bagażnika i ustawić pod małą wiatą, gdzie stoją rowery moich współpracowników, pasażerka podchodzi do niego, płaci, wymieniają uśmiechy, ona energicznie kiwa głową, a on obdarza klientkę jeszcze jednym, szerokim jak horyzont uśmiechem. „Podoba mu się, i to bardzo” – wnioskuje po zachowaniu mężczyzny. Co rusz poprawia pasek spodni, żywo gestykuje, nie spuszczaając oka z dziewczyny, a jego twarz przypomina kolorem dojrzałe jabłko.

Nagle zaczynam rozumieć, dlaczego kierowca macha łapami niczym salonowy wiatrak. Ten swoisty język migowy ma być uzupełnieniem skromnego zasobu słów. Rozmawiają po angielsku! Wszystko jasne. Blond piękność to nie spóźniona kandydatka do pracy, a ktoś, kto przyjechał tu w charakterze gościa.

– *Thank you very much and bye bye!* – żegna się dziewczyna.

– *Bye bye!* – Macha jej ręką, chociaż stoi nie dalej niż metr od niej. Głupio to wygląda.

Nieoczekiwane ukłucie zazdrości zaskakuje mnie równie mocno jak nagłe zjawienie się Pawła. Wyszedł z za węgła budynku i idzie w stronę dziewczyny.

– Tess? – Słyszę, że głośno wymawia jej imię.

Tess – od czego to zdrobnienie, od Teresy?

Odpowiada niezbyt głośnym okrzykiem:

– Paul!

A potem jest jak w filmie... Tess biegnie w jego stronę, już zastygam w bezruchu, myśląc, że zaraz nastąpi to, co nieuniknione: ona padnie mu w ramiona, w których on ją zamknie, przez sekundę, może dwie, będą na siebie patrzeć, zdumieni i szczęśliwi, że są tak blisko, nie na wyciągnięcie ręki, a nosów, tak że ich oddechy mieszają się ze sobą, po czym połączą swoje usta w gorącym jak lawa pocałunku.

Ups! Czyżby coś poszło nie tak?

Mój mózg nie nadąża przetwarzać obrazów, dźwięków i tego, co dodaję od siebie. Kątem oka zauważam, że kierowca keczupowego mercedesa właśnie wsiada do auta, uruchamia silnik i powoli wycofuje samochód w stronę bramy, ale to bohater drugiego planu, a nawet trzeciego. Najważniejsi są główni aktorzy. Czyż nie?

Może gdzieś głęboko w moim sercu tlił się wąty płomyk nadziei, że piękna Tess to ktoś z rodziny Pawła, siostra? Czy on w ogóle ma siostrę? Czemu nie spytałam? Albo dalsza kuzynka? Ktokolwiek, ale nie dziewczyna? Pewnie się tlił. Niestety został brutalnie zgaszony kubłem lodowatej wody. Nie, nie chodzi mi o żarliwy pocałunek, bo takiego nie było, a nawet o padanie w ramiona, bo tego też nie ujrzałam, ale zachowanie panny Tess nie pozostawia najmniejszych wątpliwości co do charakteru jej znajomości z Pawłem, a raczej Paulem.

Po chwilowym stuporze, który dotknął Pawła i odebrał mu na moment zdolność mowy i ruchu, następuje gwałtowna reakcja. Dotyczy również drugiej strony. Czemu, ach czemu holenderski czy też niderlandzki to taki dziwny język? To jakaś semantyczna kakofonia, mieszanka niemieckiego i angielskiego na wpół ze słowami całkiem mi nieznanymi. Nie mogą klócić się wyraźniej?

Mówi się „wypatrywać oczy”, a uszy? Nastawiam je niczym zajęc na miedzy. Coś jednak rozumiem. W wielkim skrócie. Ona go kocha (chyba?). On ją też kocha, a może kochał? Nie sposób orzec. Jest jeszcze swojskie i dobrze znane każdemu „sorry” – które padło z ust Tess jakieś dwadzieścia razy – i to chyba wszystko. Resztę mogę odczytać z mowy ciała. Z tym poradziłby sobie nawet największy emocjonalny analfabeta. Paweł przyjął

postawę defensywną, założył ręce na piersiach i lekko przechylił głowę, czyli nie do końca wierzy w to, co wykrzykuje Tess. Ta z kolei zachowuje się niczym bokser wagi lekkiej, skacze to w przód, to w tył, jej ręce też nie mogą się zdecydować, raz je unosi, jakby wzywała pomocy z niebios, a za moment opuszcza bezsilnie wzdłuż ciała i tylko zaciśnięte pięści mówią, że jeszcze nie oddała pola. Nie mam wątpliwości. Tę dwójkę coś łączy, nawet wiem co. Byli – albo nadal są – parą, a Tess popełniła jakiś poważny błąd, skrzywdziła Pawła i próbuje go przeprosić.

Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak mi zależy na Pawle. Co gorsza, on o tym nie wie, a na dodatek cały przekaz z mojej strony świadczy o czymś zupełnie innym. Gdyby dało się zajrzeć do ludzkiego serca, na przykład do mojego, ktoś ujrzałby totalny chaos. Nasze uczucia można porównać do towarów. Tkwią poukładane na półkach regałów, pogrupowane według klucza, na przykład: „dobre emocje”, „złe emocje”, gdy potrzebujemy któregoś, zdejmujemy z półki i już. Czasami potrzebujemy kilku, też się zdarza, ale wszystkich? To ja wywróciłam regały, a biedne uczucia kotłują się na podłodze, jedno próbuje wyjść spod drugiego, niektóre zostały całkiem przyduszone, inne wypadły z pudełek i mrużą oczy, bo oślepia je światło. Kompletny bałagan. Nie wiem, co teraz czuję. Na pewno zazdrość, gniew, żal za utraconą szansą, złość na samą siebie, głównie o to, że uzurpuję sobie „prawo” do Pawła, a przecież zrobiłam wszystko, żeby go do siebie zniechęcić. I jeszcze żal, że Paweł ma dziewczynę i nigdy o niej nie wspomniał. Jednak dla przeciwwagi mam spore pudło oklejone etykietą „wyrzuty sumienia”, z którego wylazło mnóstwo stworków o wspólnym imieniu: Hipokryzja.

Obserwuję mojego szefa i jego dziewczynę. Już się nie kłóca, stoją blisko siebie, rozmawiają, a potem Paweł przytula mocno Tess. Och, czyżbym nie zauważyła jeszcze jednego wielkiego pudła z opisem: „Tęsknota za drugim człowiekiem, za bliskością i dotykiem”? Tak, na pewno o nim zapomniałam. Właśnie spadło z najwyższej półki, walnęło o posadzkę i uwolniło swoją zawartość. Przytykam dłoń do ust. Nie chcę się rozplakać, ale łzy nie mają zamiaru mnie słuchać. Chciałabym zniknąć, uciec stąd i

skryć się w mysiej dziurze, a tam spróbować poukładać z mozołem wszystkie pudełka i choć trochę uporządkować moje serce. Los mi sprzyja. Paweł prostuje ramiona, odsuwając od siebie Tess, mówi coś do niej, a chwilę później wchodzi do budynku.

Nie mogę tu zostać. Odrywam małą karteczkę i piszę, że musiałam wyjść wcześniej, bo mam do załatwienia prywatną sprawę. Po sekundzie dopisuję: „pilną”. Po następnej „rodzinną”. A jeszcze po kolejnej, że przepraszam. Kładę karteczkę na klawiaturze, zabieram torebkę i kurtkę i wybiegam z biura. Dziesięć minut później jestem w domu. Co teraz? Nie wiem. Muszę czymś zająć ręce i myśli.

Mam! Szybko się przebieram, zakładam dres, czapkę i sportowe buty. Do kieszeni ładuję parę roboczych rękawic. Wychodzę z domu, a po chwili ciągnę za sobą kosiarkę. Na szczęście to model na prąd, a tego u mnie pod dostatkiem. Nie znam się zbyt dobrze na kosiarkach, wiem, że są takie, które działają podobnie jak samochód. Trzeba kupić paliwo, wlać do baku i tak dalej. Mojej na szczęście wystarczy gniazdko elektryczne. Mam jedno na zewnątrz budynku. Podpinam kosiarkę, ustawiam przy brzegu trawnika i włączam.

To jest to! Zajmuje ręce i zagłusza myśli nieznośnym hałasem. Przejeżdżam kilka metrów i krytycznie przyglądam się trawnikowi, a potem swoim spodniom. Coś najwyraźniej jest nie tak. Wyłączam kosiarkę i idę sprawdzić, czy w magazynku na narzędzia znajdę instrukcję obsługi. Przysiadam z małą książeczką na ogrodowej huśtawce i zagłębiam się w opis użytkowania. Po kwadransie moja wiedza na temat kosiarek elektrycznych jest całkiem spora. Znów idę do magazynku, żeby poszukać kosza na trawę. Wracam, zakładam go i sprawdzam, czy potrafię ustawić wysokość noża.

– Wiktoria! – wykrzykuję, kiedy wszystko się udaje.

Prawie wszystko. Kabel kosiarki nie chce dążyć do plus nieskończoności. Niestety. Trzecia wizyta i znów sukces. Znalazłam przedłużacz bębnowy. Dobra nasza, teraz mogę wykosić wszystkie trawniki w promieniu stu metrów, nawet ten wokół domu Martynty.

To całkiem fajne zajęcie. Podoba mi się, gdy trawnik zaczyna wyglądać schludnie i równo, a przystrzyżona trawa razi w oczy świeżą zielenią. Zdążyłam już napełnić kosz, więc idę z nim do kompostownika. Uchyłam klapę i marszczę nos. Okropnie cuchnie! Ale czym? Fuj! Czyżby coś tu wlało i zdechło? Wzdrygam się na myśl, że kompostownik zmienił się w grób jakiegoś zwierzaka. Na razie nie mam czasu, załatwię to później albo spytam Martyny, a nuż przytrafiła im się podobna sytuacja. Wysypuję trawę obok pojemnika z trupim kompostem i szybko wracam.

Skosiłam ponad połowę trawnika, a nawet trzy czwarte, gdy kosiarka wydaje z siebie dziwny odgłos i przestaje działać. Nie, tylko nie to! Naciskam guzik, sprawdzam, czy kosz nie jest przepełniony, ale wszystko wydaje się w porządku. Cholerny grat! Nie miał się kiedy zepsuć, tylko właśnie dzisiaj, gdy naprawdę potrzebuję jakiegoś zajęcia! Może w instrukcji znajdę odpowiedź i radę? Szukam, szukam i znajduję. Jest tabelka.

– Sprawdź to... sprawdź siamto... – mruczę, przebiegając wzrokiem treść. – Przewód? Chyba nie jestem aż tak głupia i niezgrabna, żeby skosić przewód?

A jednak. Skosiłam. I to wcale nie moja wina. Nie poczuwam się ani tyci. Co za idiota zaprojektował zielony kabel? Zgubił się w trawie i na niego wjechałam. Co teraz? Nagle dociera do mnie, że to niebezpieczne. A co, jeśli w kablu nadal jest prąd? Oczywiście mam na myśli tę część, która wychodzi z gniazdka. Aż tak głupia nie jestem, żeby bać się martwej kosiarki. Ostrożnie wyjmuję wtyczkę i rzucam na ziemię. Nagle w mojej głowie błyska myśl. „Ha! Jeszcze nie wszystko stracone, bo nie przecięłam kabla kosiarki, tylko przedłużacz!”. Naturalnie, przy założeniu, że w magazynku znajdę zapasowy.

Powoli składzik narzędzi staje się moim drugim domem. Spędziłam w nim dzisiaj więcej czasu niż gdziekolwiek indziej, ale jest sukces. Podwójny – dwa dodatkowe przedłużacze. Mogę kosić i kosić. Podpinam kosiarkę do nowego przedłużacza, włączam i... nic. Okej, przecież może być zepsuty, prawda? Niestety drugi, a właściwie trzeci, też nie działa.

Kosiarzka ani drgnie. Podpieram się pod boki i z trudem próbuję zapanować nad gniewem, ale jak żyć?

– I po jaką cholere to trzymać?! – pomstuję na poprzednich właścicielach domu, którzy trzymali w schowku dwa zepsute przedłużacze. Bezradnie kopię w kosiarzkę, wściekła na cały świat, który najwyraźniej sprzysiągł się dziś przeciwko mnie. Cały! Bez wyjątku. – Cholera! Cholera! Cholera! – Stoję nad plątaniną kabli i klnę niczym stary marynarz. Pewnie dlatego nie słyszę, co się dzieje wokół mnie. A trochę się dzieje.

– Jezu! – Łapię się za serce, gdy nagle zauważam Pawła. – Zawału dostanę! Czemu mnie straszysz?!

– Cześć – mówi. – Przepraszam.

– Co tu robisz?! – Widok Pawła, to ostatnie o czym marzę.

– Przyjechałem sprawdzić, co się dzieje, i przy okazji oddać ci telefon. Zapomniałaś zabrać z biura. – Pokazuje mi aparat.

– O! – Od razu wyrywam mu z ręki i chowam szybko do tylnej kieszeni spodni. „Idiotka!” – wrzeszczę na siebie, bo jeszcze nigdy nie przytrafiła mi się taka nieostrożność. Wprawdzie mam ustawione hasło, ale co za problem je złamać?

– Dzięki. I przepraszam, że się fatygowałeś. Nie musiałeś, jutro...

– Paula, wszystko okej? – przerywa mi. Stoi i nie spuszcza wzroku z mojej twarzy. Czuję, jak mnie nim przeświewa, prawie jak aparat rentgenowski.

– Ale z czym?

– Z kim, a dokładnie z tobą.

– A czemu pytasz? – Staram się zapanować nad drżeniem głosu, ponieważ Paweł wygląda inaczej niż zawsze. W jego oczach dostrzegam dziwną miękkość, pewnie spowodowaną wizytą Tess, bo czymże innym.

– Nie zastałem cię w biurze.

– Zostawiłam wiadomość.

– No właśnie. Zostawiłaś karteczkę, swój telefon i włączony komputer. I otwarte na oścież drzwi biura. Zgadnij, co mogłem pomyśleć. – Świdruje mnie wzrokiem i co chwilę przełyka ślinę.

Moje nogi z sekundy na sekundę zmieniają się w watę.

– Że coś się stało – wykrztuszam.

– Że stało się coś złego – precyzuje.

– No tak. Przepraszam.

– Dlatego pytam, czy wszystko w porządku.

– Tak. Prawie. – Zerkam na płataninę kabli i nieczynną kosiarkę. – Chciałam popracować w ogrodzie. Kosiałam, ale przecięłam kabel przedłużacza i nie działa.

– To ta pilna sprawa rodzinna? Koszenie trawnika? – wypytuje. – Hej, dziewczyno, popatrz na mnie. – Wyciąga ręce i kładzie je na moich ramionach.

Nie wytrzymam... Biorę głęboki wdech nosem i powoli wypuszczam powietrze. I tak trzy razy. Muszę się opanować.

– Bardzo cię przepraszam za zamieszanie, ale to naprawdę moje prywatne sprawy. Musiałam pilnie do kogoś zadzwonić, a potem...

– Zadzwonić? – Kiwa głową z politowaniem.

No tak, zadzwonić, ale najpierw zostawić telefon komórkowy w biurze i nie mieć aparatu stacjonarnego, jak prawie wszyscy w Grabówku prócz sołtysa i proboszcza.

– Nieważne. Dziękuję, niepotrzebnie się fatygowałeś. – Zagryzam kącik ust.

– Niepotrzebnie? – Ku mojej uldze Paweł nareszcie zabiera dłonie. – Co z tą kosiarką? – Zerka na nią.

– Mówiłam. Przecięłam kabel. Wymieniłam przedłużacz, ale to nic nie dało. Chyba się zepsuła.

– Nie działa przez zwarcie. Nie ma prądu. Dzwonek do drzwi też nie działa – dodaje.

– Ups. Nie pomyślałam o tym.

– Pokaż, gdzie jest skrzynka.

– Okej. – Idę w stronę domu, a Paweł za mną. Rzeczywiście przeskoczyły bezpieczniki. Mój wszechwiedzący, bardzo bystry i troskliwy szef potrafi w kilka sekund poradzić sobie z tym problemem. Jest tak miły, że pokazuje,

co trzeba zrobić, jeśli znów zdarzy się podobna sytuacja. – Dziękuję. Nie pomyślałam, że to przez zwarcie.

– Nie ma sprawy. Chodź, sprawdzimy, czy kosiarka działa.

– Uhm. – Drepczę za nim posłusznie. Sprawdzamy oba przedłużacze, za każdym razem sukces. Kosiarka działa. – Bardzo ci dziękuję.

– A może ci pomóc?

– Nie trzeba. Przestań. – Kręcę głową.

– Już kiedyś ci pomagałem.

– Pamiętam, ale dziękuję, poradzę sobie sama. – Gryzę się w język, żeby nie dodać z przekąsem, czy aby nie powinien wracać do Tess. Przecież została sama w domu. Mogłabym powiedzieć, że to bardzo niegrzecznie z jego strony, i zrobić minę starej wścibskiej ciotki. Niestety, nie mogę upuścić jadu, bo wówczas bez najmniejszych wątpliwości Paweł zorientuje się, że ich podglądałam, powiąże fakty, a przede wszystkim zacznie się domyślać powodu mojej rejterady. – Został jeden, może dwa paski i gotowe. – Wskazuję brodą na nieskoszony fragment trawnika.

– Okej, wobec tego poczekam.

– Poczekasz? Ale na co? – wykrztuszam.

– Chcę z tobą pogadać.

– Ale my nie mamy o czym gadać.

– Mamy. Ja na pewno chcę ci o czymś powiedzieć.

– No dobrze. Słucham. – Zakładam ręce na piersiach, ale gdy przypominam sobie, że tak samo zrobił Paweł w trakcie rozmowy z Tess, natychmiast wkładam je do kieszeni bluzy. – Jeśli cię wkurzyłam tym, że wcześniej wyszłam, przepraszam, jutro zostanę dłużej.

– Nie o to chodzi.

– A o co?

– Tu będziemy rozmawiać?

Przewracam oczami i daję mu znak, że ma iść za mną. Siadamy w salonie. Paweł wygląda jak spod igły, pachnący i czysty, w świeżej czarnej koszuli – swoją drogą często go widzę w ciemnych koszulach, za to białych

nie nosi nigdy (nie żebym tęskniła za białymi koszulami) – i ja, w zwykłym szarym dresie, upstrzonym krótkimi żdźbłami trawy.

– To o czym chcesz ze mną rozmawiać? – zagajam oficjalnie.

– Zastanawiam się, czy twoje dzisiejsze spontaniczne wyjście nie ma związku z...

– Nie. Nie ma – ucinam gwałtownie. – Moje wyjście, moje życie i moje sprawy nie mają związku z twoim życiem i twoimi sprawami. Coś jeszcze?

– Już nie jestem z Tess. Definitywnie z nią skończyłem.

– A kto to Tess? – Udaję głupią. Gdyby tak jeszcze moje zdradzieckie ciało wykazało chociaż minimum chęci współpracy, ale nie: krew podpływa do twarzy i wypełnia każdą najmniejszą żyłkę. Dam sobie uciąć rękę, że wyglądam jak pomidor.

– Teresa van der Elst, dla przyjaciół Tess, lat dwadzieścia cztery, wkrótce dwadzieścia pięć, panna, do niedawna moja dziewczyna.

– Czemu mi o tym mówisz?

– Dobre pytanie – parska pod nosem Paweł. – A jeśli chcę się komuś zwierzyć? Ponoć jesteśmy przyjaciółmi. Kto, jak nie przyjaciel, ma cię wysłuchać?

– Nie pomyślałam, że masz taką potrzebę.

– Czyli mogę na ciebie liczyć?

– Uhm.

– Może ją zauważyłaś? Mam na myśli Tess. Przyjechała dzisiaj do Grabówka.

– W jakim celu?

– Chciała mnie odwiedzić.

– Przyjechała tutaj? – Udaję zdziwioną. – Wobec tego przełożmy zwierzenia na później, a na razie wróc do Tess. Na pewno czeka na ciebie.

– Nie sądzę. Jest w drodze na lotnisko.

– Kazales jej... – milknę, bo mnie zatkało. Przepraszam na moment. Muszę... – zerkam w stronę wyjścia. – Ja do toalety. Zaraz wracam.

Nie do końca „zaraz”. Siedzę w łazience dobre pięć minut. Zdążyłam dwukrotnie umyć ręce i twarz lodowatą wodą. Muszę stąd wyjść, ale jak

zapanować nad emocjami? Chciałabym, żeby ktoś mocno palnął mnie w głowę. Na tyle mocno, żeby wreszcie zaczęła działać. Zero rozumu. Zero racjonalnych zachowań. Kompletna kretynka. No dobrze, idę.

Porozmawiać o Tess.

Zajmuję miejsce, przeproszam Pawła, nagle zrywam się z fotela i proponuję coś do picia, Paweł odmawia, siadam, znów wstaję, tłumacząc, że skoro on nie chce, w porządku, ale ja muszę się napić czegoś zimnego. Natychmiast. Wracam z dwiema oszronionymi butelkami coli – tym razem naprawdę szybko się uwinęłam, punkt dla mnie – wręczam jedną Pawłowi i osuwam się na fotel.

– Masz otwieracz? – Przenosi wzrok z kapsla na moją purpurową gębę i z powrotem.

– Przepraszam, nie jestem dziś sobą.

Wychodzę, wracam, wręczam mu otwieracz oraz szklanekę, siadam i płonę. Diabelski dzień. Wszystkie moce przeciwko mnie.

– Przyjechała, bo sądziła, że zmienię zdanie i pozwolę jej wrócić. – Paweł podejmuje wątek. – Zerwałem z nią na początku roku, zaraz w styczniu, ale czasami pisaliśmy do siebie albo dzwoniiliśmy. Głównie ona dzwoniła.

– Aha.

– Chcę z tym skończyć. Z naszymi kontaktami. Definitywnie i ostatecznie. Nie chcę z nią gadać, pisać, a tym bardziej ją spotykać.

– Powiedz jej o tym.

– To nie takie proste, Paula. Musisz coś wiedzieć. – Paweł zamyka oczy i masuje skronie. Wyraźnie potrzebuje chwili na zastanowienie. – Tess jest agentką artystyczną. Odpowiada za organizację tras koncertowych.

– To problem?

– Mogę skorzystać? – Spogląda na mojego macbooka. – Chcę ci coś pokazać.

– Proszę.

– Nie ma hasła? – pyta, biorąc go na kolana.

– Nie.

Po chwili przesiada się bliżej i obraca laptopa w moją stronę, żebym mogła zobaczyć ekran.

– Wiesz, co to VEVO?

– Mniej więcej – odpowiadam. – To oficjalny kanał dla artystów muzyków?

– Tak, a teraz zobacz, to końcówka koncertu. – Klika, żeby uruchomić film, i podaje mi macbooka.

– Od razu mówię, nie znam się na takiej muzyce. Nie słucham, nie lubię, to nie moje klimaty – zastrzegam.

Cóż, trzeba przyznać, że didżej Dragon ma imponującą liczbę wyświetleń. Oglądam teledysk. Rzeczywiście, to końcówka jakiegoś koncertu. Tysiące ludzi, setki migających stroboskopów, dymy, światła, lasery. Jakby jeszcze było mało, nagle wybuchają petardy i wszystko ginie w chmurze wirujących płatków z metalizowanej folii. Odruchowo ściszam głośnik, bo tego naprawdę nie da się słuchać. Obraz z kamery pokazuje artystę. Wygląda dziwnie. Ma na sobie czarny mocno wykrojony podkoszulek, odsłaniający całe ręce aż do ramion. Prócz dłoni każdy centymetr skóry pokrywają tatuaże. Twarzy mężczyzny nie widać, zasłania ją kominiarka. Musiałam się bezwiednie skrzywić, bo Paweł cicho chichocze i pyta, czy aż tak źle.

– Mówiłam ci, że to nie moja bajka.

– Szkoda.

– Tess jest agentką tego koleśia? – Zerkam na Pawła.

– Tak. Zaraz ją zobaczysz. Wyjdzie za chwilę na scenę. To koncert w Londynie – dodaje. – Od dwóch lat Dragon okupuje pierwsze miejsca list przebojów muzyki *trance*, a nawet zestawienia DJ Mag Top. Ma na koncie ubiegłoroczną nagrodę Trance Awards za najlepszą kompilację. To poważny sukces, zwłaszcza że to bardzo młody gracz.

Nie mam pojęcia, dlaczego Paweł pokazuje i mówi mi to wszystko. Nie interesuje mnie Tess, wytatuowany po pachy didżej Smok tym bardziej nie. Chcę wrócić do ogrodu, włączyć kosiarkę i zapomnieć o całym świecie. Mimo to grzecznie siedzę i oglądam teledysk. W rogu sceny pojawia się

Tess, a za nią młody, potężny czarnoskóry koleś. Podchodzą do didżeja, stają z obu stron, łapią za ręce i unoszą je tryumfalnie. Wygląda to jak ogłaszanie wyniku po walce bokserskiej.

– To jest Tess.

– Uhm.

„Mam powiedzieć, że jest ładna? Nieziemsko ładna? Piękna? Śliczna? I wygląda szałowo w kusej czerwonej kiece z lakierowanej skóry?” Niedoczekanie. Przez gardło mi nie przejdzie.

– A ten facet – Paweł wskazuje na ciemnoskórego gościa – to Thomas Jansen, muzyk, kompozytor, niezły pomocnik przy długich kompilacjach, kiedyś współtwórca i najlepszy przyjaciel Dragona, teraz największy wróg.

Nagle zaczynam się domyślać, o co chodzi w tej układance. Zyskuję pewność, gdy Tess zwraca się przodem do didżeja, lekko unosi kominiarkę i całuje mężczyznę w usta. Ten obejmuje ją mocno, obłapia w pasie i kilka razy kręci nią młynka.

– Dragon to ty? – wykrztuszam. Patrzę na Pawła, a on natychmiast potakuje, mimo to nadal nie mogę uwierzyć. – Serio? – Zerkam na monitor. Nagranie z koncertu jeszcze się nie skończyło, ale nie chcę go dłużej oglądać. Nie mogę patrzeć na Tess całującą Pawła, nawet nie widząc jego twarzy. Zatrzymuję filmik, a po sekundzie zamykam laptop. Dość.

– Rozczarowałem cię? – pyta Paweł. Przez jego twarz przemyka cień smutku. – Przepraszam. Żałuję, że nie jestem pianistą albo śpiewakiem operowym.

– Naprawdę jesteś didżejem? – Mój głos jest piskliwy jak u nastoletniego chłopca w fazie mutacji.

– Daj mi sekundę. – Podnosi się z fotela, zdejmuje marynarkę i kładzie na oparciu. – Bez obaw, nie zamierzam robić striptizu – uspokaja. Pewnie zauważył moją reakcję, gdy rozpiął guzik lewego mankietu. Szybko i zgrabnie podwija rękaw i prezentuje całe przedramię. Od nadgarstka aż po zgięcie w łokciu pokrywa je tatuaż. Na nagraniu nie było widać, co przedstawia, teraz owszem.

– Chiński smok?

- Tak.
- Jestem w szoku. Naprawdę. – Zagryzam wargi, żeby nie chlapnąć czegoś kompletnie głupiego, bo mój mózg chwilowo się zawiesił.
- Co cię tak zszokowało? – Paweł opuszcza rękaw, zapina guzik i siada na swoim miejscu.
- Nie wiem, chyba wszystko.
- Myślałaś, że masz do czynienia z leniwym synalkiem bogatego tatusia?
- Przymruża oczy.
- Uważasz, że to coś złego być dzieckiem bogatych rodziców? – Natychmiast odbijam piłeczkę. – Przecież nie wybieramy ich sobie.
- Nie wybieramy. – Rozgląda się od niechcenia po moim salonie.
- Chyba nie myślisz, że moi rodzice są bogaci? – Sięgam po butelkę i wysączam ostatnie krople coli. – Mówiłam, gdzie pracują.
- Wspominałaś. W Norwegii. Oboje w przetwórni ryb. Dlatego stać ich było na zakup tego domu i remont, oraz na twoje utrzymanie – powtarza niemal słowo w słowo, co mu niedawno powiedziałam.
- Zgadza się. A pracuję, żeby mieć na swoje prywatne potrzeby – dodaję, by rozwiać wszelkie wątpliwości. – Po prostu.
- Dlatego mnie skreśliłaś?
- Nie rozumiem.
- Uznałaś, że jestem leniem, a jedyne, co robię, to biegam po okolicy i czasami zawracam ci głowę. Właśnie dlatego postawiłaś na mnie minus.
- Krzyżyk. Postawiłam krzyżyk – poprawiam go odruchowo.
- Czyli jednak?
- Jednak co?
- Już znam przyczyny twojej niechęci.
- Chyba żartujesz? – Potrząsam głową. – O czym ty w ogóle mówisz, człowieku? – Podnoszę ręce, jakbym błagała niebiosa o pomoc. – Jaka niechęć? Jaki krzyżyk? Nic do ciebie nie mam. A tak w ogóle mieliśmy rozmawiać o Tess, nie o mnie! – przypominam dobitnie. – Chciałeś się zwierzyć, więc słucham.
- Czemu się tak wkurzasz? – Paweł wyszczerza zęby.

Wyglądają idealnie. W ubiegłym tygodniu zdjął aparat i teraz już nic mnie nie razi.

– Nie wkurzam się. Po prostu nie mówmy o mnie, dobrze? – Ton mojego głosu wyraźnie ostrzega, że jeszcze chwila i wstanę, wyjdę do ogrodu, odpalę kosiarkę i na tym koniec zwierzeń. – Wiem, czym się zajmujesz, i szczerze gratuluję sukcesu. Nadal jestem zaskoczona, również twoim artystycznym wizerunkiem, i jeśli kiedyś będziesz miał czas i ochotę, chętnie o tym pogadam, ale nie dziś. Okej?

– Mam sobie pójść? – pyta, zrezygnowany.

– Nie – zaprzeczam natychmiast, bo widzę jego minę. Ech, wykres mojej empatii to linia prosta. Za grosz wyczucia. – Nie. Oczywiście, że nie. Po prostu... – Milknę, bo uświadamiam sobie, że już trzeci raz użyłam tego zwrotu. – Powiedz, co się wydarzyło między tobą a Tess. A może nie chcesz? – Ledwie spytałam, a mam ochotę walnąć się w głowę czymś twardym. Butelka po coli powinna sprostać zadaniu.

– Muszę choć część tej historii z siebie wyrzucić. Czasami nie mogę wytrzymać... – Uderza się pięścią w pierś, aż zadudniło. – Wysłuchasz mnie?

– Tak.

– Okej. – Pociera policzki. Zbiera się w sobie jak przed skokiem na główkę. – To się zaczęło w Monachium. Grałem tam koncert sylwestrowy.

– Coś się wydarzyło na tym koncercie? – pytam, bo nagle się zaciął.

– Niestety. – Paweł bezwiednie zaciska szczęki. Żal mi go, bo zmienił się na twarzy. – Byłem załamany, dwa dni chodziłem jak pijany. Myślałem nawet, że sobie załatwię jakieś dropy.

– Narkotyki?

– Raczej coś, co poprawi mi nastrój i chociaż trochę uspokoi.

– Co było dalej?

– Potrzebowałem wsparcia, chciałem pogadać z Tess i równocześnie nie chciałem. – Paweł szuka w moich oczach zrozumienia, a ja? Szczerze? Nie mam pojęcia, o co mu chodzi. Jedyne, co mogę zrobić, to obdarzyć go

bardzo delikatnym uśmiechem. – Jestem dosyć skryty. Nie lubię opowiadać o swoich problemach.

„Zupełnie jak ja”.

– Nie mogłeś pogadać z rodzicami? O tym, co wydarzyło się na koncercie – precyzuję.

– Wiedzieli. Zaraz gdy to się stało, zadzwoniłem i przylecieli do Monachium.

– Aha.

„To jakaś okropna historia” – myślę, patrząc na Pawła. Jego czoło zrosił pot, wydatna grdyka co rusz przesuwa się w górę i dół, a gdy widzę, co wyprawia z rękami, poważnie obawiam się o jego kości.

– Dwa dni później ojciec zabrał mnie do Antwerpii swoim samolotem. Ale tam było jeszcze gorzej. Okropnie się pokłóciliśmy. Wyrzuciłem go z mojego mieszkania, a sam pojechałem na miasto. Pomyślałem, że się nawalę. Pójdę gdzieś i wypiję ocean wódki. I napiłbym się, gdyby nie to, że nazajutrz w każdym brukowcu znalazłbym swoje zdjęcia, bo na tym przeklętym koncercie pierwszy raz odsłoniłem twarz.

– Zawsze występowałeś w masce?

– Yhy... Postanowiłem iść do Thomasa – dodaje po namyśle. – Thomas mieszka w Antwerpii, tak samo jak ja i Tess. Pojechałem do niego taksówką. Zauważyłem tam samochód Tess, stał kilkanaście metrów od kamienicy, gdzie Thomas ma swój loft. Od razu coś mnie tknęło. Zadzwoniłem do niej i spytałem, gdzie jest. Powiedziała, że u koleżanki. Zaproponowałem, że po nią podjadę, bo mam straszną ochotę się napić, ale odmówiła. Nazajutrz miała lecieć na Ibizę załatwiać letnią trasę koncertową na przyszły rok. Powiedziałem, że w porządku.

– A czemu nie byliście razem na koncercie?

– Tess prawie nigdy nie jeździ, nie jeździła – poprawia się – ze mną w trasy. Wyjazdy są bardzo męczące i nie miałbym dla niej czasu. Zdarza się, że koncert trwa dwanaście godzin. Po wszystkim jestem półprzytomny. Kumple z branży jadą na amfetaminie, przez kilka dni trasy potrafią wciągnąć tyle kresek, że zarastają im nosy, ale ja nie biorę.

– I co zrobiłeś? Poszedłeś do Thomasa?

– Otworzył drzwi. Był osłonięty tylko przewiazanym prześcieradłem. Śnieżnobiałe. Do teraz widzę ten kontrast. Próbował zamknąć drzwi, ale nie zdołał mnie powstrzymać. Walnąłem mu z pięści, aż się zwinął. Sekundę później zobaczyłem Tess. Dla niej zabrakło prześcieradła. – Uśmiecha się z przekąsem. – Stała i gapiła się na mnie jak na ducha. Spojrzałem na nią i wyszedłem. Chciałem uciec, skryć się gdzieś i przeczekać. Zadzwoiłem do ojca. Najpierw się wkurzył, stwierdził, że nie można uciekać przed problemami, a potem powiedział, że mogę tu mieszkać tak długo, jak chcę. Miałem lot do Warszawy dopiero nad ranem. Dlatego wybrałem jazdę samochodem. Inna rzecz, że czułem się jak po dopalaczach. Po piętnastu godzinach byłem na miejscu.

– Przykro mi – mówię, ale to za mało, żeby przekazać, co dzieje się w moim sercu.

Przełykam ślinę, gdy Paweł wspomina, że nie miał siły i ochoty z nikim gadać. Przez pierwsze dwa miesiące nie wychylał nosa z domu. Jak dobrze go rozumiem! Za dobrze.

– Wszyscy dali mi w końcu spokój, ale Tess nie odpuszczała. Zresztą zadzwoniła prawie zaraz po moim wyjściu od Thomasa. Nie odebrałem i zablokowałem jej numer, więc zadzwoniła z innego. Nawrzeszczałem na nią, że ma się odpieprzyć. – Na chwilę milknie i uśmiecha do siebie, jakby przypomniawszy sobie coś, co jest smutne, a jednocześnie trochę zabawne. – Zatrzymałem się w Dreźnie na stacji benzynowej i zadzwoniłem do niej. Odebrała natychmiast. Musiała nie spać – stwierdza, nie kryjąc satysfakcji. – Powiedziałem, że ma odwołać trasy koncertowe na ten rok. W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć, straszyla mnie karami za zerwane kontrakty, ale powiedziałem, że to załatwię. Mam dobrego prawnika i obyło się bez większych strat.

– Okropne to wszystko – mówię, bo znów zapadła cisza. – Bardzo mi przykro.

– Już mi przeszło. Dzisiaj się przekonałem.

„Oby tak było” – patrzę na Pawła i widzę, że w sercu nadal nosi ciężar. To nie takie proste zapomnieć o zdradzie najbliższej osoby.

– Po co przyjechała Tess? Prosić o wybaczenie?

– Chciała, żebym z nią wrócił. Przepraszała mnie, błagała. A wszystko przez to, że miesiąc temu musiałem pojechać na tydzień do Antwerpii. Sprawy rodzinne – dodaje zdawkowo. – Była wtedy w Stanach, załatwiała jakieś kontrakty, bo pracuje jeszcze dla kilku wokalistów. Uczepiła się tego jak ostatniej deski ratunku. Znów zaczęła dzwonić, pisać maile, a dzisiaj przyjechała.

– Porozmawiałeś z nią?

– Zaprosiłem do domu, bo odstawiła niezłe przedstawienie i chciałem, żeby ochłonęła przed powrotem. Zresztą sama widziałaś. Bo widziałaś?

– Widziałam – przyznaję ze wstydem.

– W porządku. – Najwyraźniej Paweł nie zamierza rozliczać mnie z prawdomówności. – A co do Tess, nic do niej nie docierało, ciągle mnie przepraszała, prosiła o szansę, mówiła, że z Thomasem łączył ją tylko seks i spotkali się zaledwie trzy razy, dała mi spokój dopiero wtedy, gdy powiedziałem, że mam kogoś.

– A masz kogoś?

Nie poznaję własnego głosu. Brzmi, jak nie mój. Zamieram w oczekiwaniu, ale Paweł nie kwapi się z odpowiedzią. Nie spuszcza ze mnie oczu i dopiero po arcydługiej nieznośnej przerwie mówi:

– Mam. Przyjaciółkę.

Gdyby zwlekał choć o sekundę dłużej, miałabym sporą szansę zasłabnąć z braku tlenu.

– To ja? – Wolę się upewnić, a gdy potwierdza lekkim skinieniem, mówię: – Dziękuję.

– A czy mnie uważasz za przyjaciela?

– Można kochać bez wzajemności, ale jednostronna przyjaźń raczej się nie zdarza – odpowiadam dyplomatycznie i, biorąc pod uwagę chwilowy spadek formy, całkiem sensownie.

– Przyjaciele powinni być wobec siebie szczerzy.

– Ale powinni też umieć uszanować sekrety drugiej strony i nie naciskać, gdy ktoś...

– Nie chcę naciskać.

– Więc po co ta uwaga o szczerości? – Czuję, że to nie koniec, a raczej wstęp do kolejnego wątku.

– Chciałbym znać odpowiedź na tylko jedno pytanie.

– A co, jeśli nie będę chciała na nie odpowiedzieć? – Zagryzam wargę.

– Nie odpowiesz.

– W porządku.

– Nie było żadnej pilnej sprawy rodzinnej?

– Nie.

– Nie? – powtarza po mnie Paweł, co jest bardzo wkurzające. Przecież się przyznałam. Wyszłam na kompletną idiotkę i dałam mu powód do spekulacji.

– Zadowolony? – fukam.

– Mogłaś nie odpowiadać – przypomina.

– To nie tak, jak myślisz – mówię po namyśle.

– A jak myślę? Znasz moje myśli?

– Czasami nie znam własnych, a już na pewno nie panuję nad nimi.

– Mówisz o myślach czy uczuciach?

– W sobotę odwiedziła mnie Martyna. – Zrzucam buty, zginam nogi i wspieram stopy o brzeg siedziska fotela. Obejmuję kolana i przez chwilę patrzę przed siebie. Muszę zebrać te nieszczęsne myśli czy też uczucia. – Powiedziała, że ich kotka ma małe kocięta. Spytała, czy chcę jedno. Małą śliczną kotkę lub kocurka. Pokazała mi zdjęcia. Naprawdę kociaki są słodkie, w białe i czarne łatki, z małymi mordkami, które aż chce się całować. – Przenoszę wzrok na Pawła. W moim sercu nadal panuje chaos, wzdragam się, żeby nie odkryć zbyt wiele, ale tę jedną rzecz chcę mu powiedzieć. – Pomyślałam, że mogłabym wziąć takiego kotka pod opiekę, przecież mam sporo miejsca i ogród, ale nie dałam jej odpowiedzi, bo co z kotkiem, kiedy będę w pracy? Tęskniłby za mną, sam, zamknięty w domu.

– Możesz go brać ze sobą. Ja nie mam nic przeciwko temu.

- Lubisz koty?
- Bardzo.
- To czemu nie masz ani jednego?
- Alergia na sierść. Niezbyt mocna, mogę pogłaskać futrzaka, pobawić się z nim i tak dalej. Większość moich znajomych ma koty, a jak widać, żyję. Chodzi o czas ekspozycji na alergen.
- Uhm.
- Jeśli chcesz zabierać kotka do biura, nie widzę problemu.
- Dzięki. Pomyślę jeszcze, czy to ma sens, bo widzisz... – milknę. W gardle coś drapie, a pod powiekami tłoczą się niewypłakane łzy. – Każdy człowiek potrzebuje bliskości. Nie mam na myśli TEJ bliskości – dodaję naprędce, ujrawszy dziwny błysk w oczach Pawła. – Chociaż ta też jest ważna. Mówię o takiej zwykłej bliskości, o tym, że ktoś cię przytuli, dotknie, ogrzeje. Jest blisko, a ty wiesz, że w każdej chwili, gdy poczujesz potrzebę, możesz podejść i tak po prostu... – znów to nieszczęsne „po prostu”! – objąć tego kogoś, wtulić nos w sweter pachnący tym człowiekiem, potrzeć policzkiem po gryzącej wełnie albo popatrzeć temu komuś w oczy. I to nie musi być ktoś, z kim łączy cię związek, tylko... – Nagle zacynam się na amen. Trudno mi wykrztusić choć jedno słowo. A wszystko przez Pawła. Nie, nic nie zrobił i nic nie powiedział, siedzi i patrzy na mnie, pozornie bez ruchu, lecz nie trzeba słów i gestów, by odebrać czyjś sygnał, komunikat wysłany prosto z serca. – Tęsknię za bliskością – mówię ochryple. – Czasami brakuje mi ciepła. Widziałam, jak tulisz Tess, i wtedy coś we mnie pękło. Dlatego uciekłam.
- Paula... – Paweł odrywa plecy od oparcia fotela. Chce wstać i podejść do mnie, bo jego dłonie leżą na podłokietnikach, gotowe, żeby się od nich odbić. – Paula, pozwól mi...
- Nie – mówię, wysuwając przed siebie wyprostowaną dłoń. – Nie. Nie zgadzam się i proszę, żebyś nawet o tym nie myślał.
- Ale dlaczego?
- Nie mogę. Nie możemy. Nigdy się na to nie zgodzę.
- Nie powiesz czemu?

– Paweł, zrozum, gdy pozwolę na to... gdy zbliżę się do ciebie, ja... Nie, to niemożliwe i spróbuj mnie zrozumieć. Ja nie chcę z nikim być.

– Nie chcesz związku?

– Nie.

– Masz kogoś? Męża? Narzeczonego? Chłopaka? Partnera?

– Nie. Nie mam chłopaka, a tym bardziej męża. Mam przyjaciela, czyli ciebie, i niech tak zostanie. – Pewnie wyglądam teraz jak upiór bez ust, bo mocno zacisnęłam wargi.

– A co, jeśli ja chciałbym...

– Wiem, jestem kiepską przyjaciółką – wchodzę mu w słowo, bo nie chcę usłyszeć dalszego ciągu. – Byłam bardzo niemila, wysłuchałam cię, żebyś dał mi spokój, nie udzieliłam żadnej rady, nie pocieszyłam i nie dałam wsparcia.

– Nie prosiłem o to.

– A jedyne, co zrobiłam, to powiedziałam, że mi przykro. Do bani taki przyjaciel, nie sądzisz? – kończę, ignorując jego wtęt.

– Miewałem gorszych – mówi z goryczą.

– Wiem.

– I jest ci przykro?

Nie potrafię wyczuć, czy to sarkazm. Raczej nie. Na pewno nie. „Boże, co za idiotka ze mnie!” Robię mu krzywdę, to oczywiste, sobie samej też, nawet większą, ale nie mogę inaczej. Zbyt wiele straciłam, żeby zapomnieć, jak strasznie boli strata, i nie chcę! Nie przeżyję tego drugi raz. Nie mam odwagi zaryzykować. Jeszcze nie.

Nigdy. Przynajmniej na razie to jest „nigdy”.

– Przepraszam. To było niepotrzebne.

– Ale co?

– Moje żale, bzdury o kotach i tęsknocie. Nie powinnam cię obarczać takimi głupotami. Widzisz? Beznadziejna ze mnie przyjaciółka.

– Otworzyłaś się przede mną, wprowadzie na chwilę, ale otworzyłaś. Uważasz, że to głupota?

– Nie wiem, co uważam. – Wzruszam ramionami. – Tak samo nie wiem, czy przyjaźń między dziewczyną a chłopakiem ma sens, bo prędzej czy później...

– Co? – popędza mnie Paweł, ponieważ zamilkłam.

– Któraś strona się zaangażuje. To chyba jasne? – Mój głos brzmi napastliwie, ale mam powód. To zwykła prowokacja ze strony Pawła. – Tak samo nie wierzę w seks bez zobowiązań.

– Tess wierzy – kwituje cynicznym tonem. – Ktoś kiedyś cię zdradził? Jeśli nie chcesz, nie mów.

– Nie chcę. Tak samo nie chcę, żebyś mnie do czegoś nakłaniał, namawiał i wypytywał o moje życie. Wiem, jestem wredna i nieprzyjemna. Szczerze? Gdybym mogła cofnąć czas, oszczędziłabym ci łzawej opowieści o tęsknocie, bo nie lubię obnażać miękkich miejsc. I nie mów, że tak nie można. Jak widać, można. Czasami pogadam z tobą, pośmiejemy się, pooglądamy zdjęcia, ja opowiem ci o kocie, a ty mnie o alergii i o tym, jaką muzykę lubisz, ale to jeszcze ciągle nie jest przyjaźń. Raczej beznadziejna znajomość z beznadziejnie uszkodzoną laską, która jest nienaprawialna.

– *Zolang er leven is, is er hoop.* A po polsku: „Póki żyjemy, jest nadzieja”. – Uśmiecha się blado.

– Przepraszam. Mam dzisiaj słaby dzień. Ty jeszcze słabszy – dodaję. – Przyszedłeś pogadać, ale to bez sensu. A znasz powiedzenie: „Wiódł ślepy kulawego”?

– Już znam. I nie mów mi, co ma sens. Mam swoje zdanie. – Paweł wstaje z fotela.

Zastanawiam się, czy nie przesadziłam, i po krótkim namyśle stwierdzam, że owszem. Przevinam. Moje zachowanie jest straszne, dziwię się, że Paweł to znosi. Już dawno powinien stąd wyjść i walnąć drzwiami na pożegnanie.

– Mam jeszcze pracę? – mamroczę pod nosem, ale mnie usłyszał, bo natychmiast odpowiada, że mam.

– Twój kot też jest mile widziany.

– Kot, którego na razie nie mam.

– Tak, kot, którego na razie nie masz. Chcę was oboje widzieć jutro w pracy.

– W porządku. Przyjdziemy.

– Odprowadzisz mnie?

– Uhm. Poczekaj, założę buty.

Wychodzimy na zewnątrz. Paweł odwraca się i wyciąga rękę.

– Dzięki, że mnie wysłuchałaś.

– Dzięki... – Odpowiadam na jego uścisk dłoni. Jest ciepła. Znacznie cieplejsza niż moja. I silniejsza. – Za wszystko.

– Trzymaj się.

– Ty też.

– To do jutra. Nie zapomnij zabrać kota.

Przez chwilę stoimy, patrząc sobie w oczy. Oddałabym dużo, żeby poznać jego myśli. Pewnie uważa, że jestem żalosna. Ja też tak uważam. Tragedia. Chodząca katastrofa.

– Do jutra. – Nie mogę już znieść naszej wzrokowej konfrontacji, więc zabieram dłoń i odruchowo wsuwam ją pod lewą pachę.

Paweł przykłada dwa palce do czoła, odwraca się na pięcie i odchodzi. Nie spuszczam go z oka, póki nie zniknie za parkanem. Chciałabym, żeby wrócił, stanął blisko, jak przed chwilą, i mocno mną potrząsnął, ale nie wraca.

Idę za dom.

Muszę skosić trawnik.

MILENA



Czekam z niecierpliwością na poniedziałek. Mam wrażenie, że te kilka dni trwały miesiąc. Albo rok. Ale w końcu nadchodzi dzień wyjazdu. Ruszamy wczesnym rankiem, jeszcze jest ciemno. Nie widzieliśmy się od pamiętnej rozmowy w jadalni, więc nareszcie mam okazję trochę obsztorcować Jacka. Naraził mnie na okropny stres. Gdy mu o tym mówię, zjeżdżamy z obwodnicy. Od razu zaczyna się śmiać.

– Ładnie. Masz w nosie moje emocje. Gdyby mama nie miała walnego zgromadzenia, podróżowalibyśmy teraz we trójkę. To z pewnością byłby najfajniejszy tydzień w moim życiu – sarkam. – Uroczy, rodzinny wyjazd: mama, ja i przyjaciel rodziny. I narty, osłonecznione stoki Alp oraz wiedeńska czekolada. *Sweet*. Jak mogłeś tak ryzykować?

– Uważasz, że ryzykowałem?

– A nie?

– Nie. Wiedziałem, że pojutrze Edyta ma walne i musi być obecna. Zatwierdzają plan budżetowy na ten rok i sprawozdanie za ubiegły. Obecność pani prezes obowiązkowa.

– Wiedziałeś wcześniej? – Aż się we mnie gotuje, bo właśnie wyszłam na idiotkę. Ależ musiała go wówczas rozbawić nasza rozmowa.

– No pewnie.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– Chciałem, żebyś wiarygodniej wypadła.

– Serio?! Chyba lepiej, gdybym wiedziała wcześniej o tym głupim walnym!

– Nie umiesz kłamać.

– Dupek! – syczę. Zakładam ręce na piersiach i gapię się w okno.

– Dupek? Cholera, jak to fajnie być nazwanym dupkiem – mówi z zadowoleniem. – Fajnie, naprawdę. Dupek? To młodzieżowe określenie, prawda?

– To uniwersalne określenie – burczę pod nosem. – Bez względu na wiek dupka dupek pozostaje dupkiem, jeśli zachowuje się jak dupek.

– Mogę być dupkiem.

Nagle Jacek wrzuca kierunkowskaz, zjeżdża w zatoczkę autobusową i zatrzymuje samochód.

– Co się stało? – Odwracam głowę.

„Przesadziłam? Wkurzył się?”

– Nic. – Otwiera drzwi i wysiada z auta. Obchodzi je z przodu, otwiera moje drzwi i prosi, żebym wyszła.

– Obraziłeś się na mnie? – pytam piskliwym tonem.

– Nie, za to bardzo się stęskniłem. – Przykłada dłoń do moich policzków i zbliża twarz. – Moja ukochana Milena... – Całuje mnie w usta. Mocno i łapczywie, jakby ten pocałunek miał uratować mu życie.

– Ja też tęskniłam – odpowiadam, gdy na chwilę odrywa usta od moich warg.

– Zapłacimy za to, ale na razie... – dociska mnie do piersi – na razie chcę być bardzo szczęśliwym dupkiem.

Tydzień. Siedem dni, siedem najwspanialszych dni w moim życiu. I sześć najlepszych nocy. Prawie wcale nie śpimy. Jestem ciekawa, jak długo może trwać taki stan rzeczy. Uwielbiam seks. Mogłabym się kochać bezustannie. Z reguły sen morzy nas dopiero nad ranem. Wstajemy o ósmej, kwadrans później jemy śniadanie, to znaczy Jacek je, pochłania całe góry jedzenia, gdyż jak twierdzi, musi mieć siły, ponieważ „młoda kochanka wysysa je

wszystkie”, a ja dziobię widelcem. Najwidoczniej miłość wystarcza, żeby mój organizm wspinał się na wyżyny swoich możliwości.

Pierwsze trzy dni i noce są bardzo intensywne. Spędzamy je w stolicy walca. Uczestniczę w spotkaniach z Hoferem i bezgłośnie chichoczę, kiedy co chwilę proponuje nam kolejną filiżankę mocnego espresso. „Przepraszam, to chyba przez niskie ciśnienie” – tłumaczy Jacek, z trudem tłumiąc chęć ziewnięcia. Ech, gdyby profesor Hofer znał prawdę... Pokraśniałby po cebulki włosów. Wyraźnie nie ma śmiałości do kobiet. Nawet moja cicha i dyskretna obecność go płoszy. Przysłuchuję się rozmowom, czasami coś zanotuję albo wtrącę, ale tak naprawdę jestem im niepotrzebna. Jacek proponował, żebym została w hotelu. „Wyśpij się, odpocznij”. Kategorycznie odmawiam. Siedzieć samotnie w hotelu, zamiast spędzić czas z nim? Nigdy. „Nie nudzisz się?” A skąd. Wystarczy mi świadomość, że Jacek jest blisko, mogę go słuchać, patrzeć na niego, chłonąć jego zapach i myśleć, co będziemy robić po powrocie do naszego apartamentu.

W zasadzie to apartament Jacka, a mój jest po przeciwnej stronie korytarza. Spędziłam tam pięć minut. Weszliśmy razem do środka, uznałam, że nie ma sensu zostawiać bagaży w dwóch pokojach, więc wyszliśmy, Jacek zawiesił na klamce zawieszkę: „Nie przeszkadzać”, i już. Zapłacone? Tak. A że nikt nie korzysta z apartamentu? Wolno nam. W czwartek rano wyjeżdżamy z Wiednia. Nie spojrzę na czekoladę przez rok albo dwa, o ile nie do końca życia. Jacek pyta, czy nie mam dość seksu, skoro czekolada tak szybko mi się przejadła.

– Żartujesz? To coś zupełnie innego. Nigdy się nie przeje.

– Nie ma dla mnie nadziei. – Kiwa głową.

– Dupek.

– Kocham, gdy tak do mnie mówisz. – Rozciąga usta w uśmiechu.

Do Bad Aussee docieramy po południu. Bajkowe miasteczko otaczają górskie szczyty i pobliskie jezioro Altausee. Śnieg nakrył lasy grubą malowniczą pierzynką, naprawdę jest pięknie, aż zapiera dech, gdy wysiadamy pod naszą willą i bierzemy pierwsze hausty świeżego

alpejskiego powietrza. Jacek już kiedyś tu był. Po drodze referował, ile jest wyciągów krzeselkowych, a ile orczyków. Mówił o kilometrach stoków, różnych stopniach trudności, o trasach biegowych i parku śnieżnym. „To prawdziwy raj dla miłośników sportów zimowych” – zachwalał. Może i tak. Bardzo lubię jeździć na nartach i snowboardzie, ale...

Jeszcze bardziej lubię łożkowe figle.

Tęsknię za Jackiem i nie tęsknię. Marzę, żeby go zobaczyć, i się boję. Minał ponad miesiąc od końca zimowych ferii, wkrótce zacznie się kwiecień, a ja z każdym kolejnym dniem czuję się coraz gorzej. Z tego wszystkiego chudnę w oczach. Nie mam nudności, ale apetytu też nie. Gmeram widelcem w talerzu, nie jestem w stanie zjeść jednej kromki pieczywa, a za cały lunch wystarcza mi jabłko. Jeśli tak dalej pójdzie, wyschnę na wiór. Zostanie mi tylko biust. Pierwszy raz w życiu podobają mi się moje piersi, są pełne, napięte i lekko zaróżowione. Marna to pociecha, bo i tak czuję się okropnie. Nie lubię kłamać.

Pewnie dlatego nie żałuję, że rzadko się widzimy. Raz w tygodniu, nie częściej. Czasami między naszymi spotkaniami mija nawet dziesięć dni. Nie ma sposobności, żeby widywać się częściej. Może to i dobrze, bo za sześć tygodni rozpoczynają się matury. Gdyby nie szkoła, byłoby mi znacznie trudniej. Oczywiście tu też nie do końca jest różowo. Boję się forsować na zajęciach WF-u, a po lunchu ogarnia mnie okropna senność. I jeszcze moja fobia, że ktoś się zorientuje... Nasze klasowe dziewczyny mają bystre oko. Zuza już dawno zauważyła, że schudłam. Wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań, co to za dieta, od kiedy ją stosuję, czy ćwiczę. Ech. Ją też musiałam okłamać. Ale to nie jest najgorsze. Podejrzliwe spojrzenia mamy też nie. Najgorsza jest świadomość, że okłamuję Jacka.

Rozmawiamy ze sobą codziennie. Zazwyczaj to ja dzwonię do niego, z reguły późnym wieczorem, kiedy mam gwarancję, że nikt nam nie przeszkodzi. Jest sobota, czwarta po południu, za dwie godziny jedziemy z mamą na wernisaż i pomagam jej dobrać odpowiedni szal, gdy przychodzi

SMS. Czuję, że płonę żywym ogniem, gdy widzę od kogo. Przepraszam mamę i uciekam do siebie, żegnana przypomnieniem, że też powinnam już zacząć się ubierać.

Zadzwoń.

Skrywam się w garderobie i na wszelki wypadek zamykam drzwi na klucz. Wybieram numer Jacka, trochę zła na niego, bo ciągle widzę reakcję mamy i jej świdrujące spojrzenie.

– Cześć.

– Cześć.

– Dzięki, że zadzwoniłaś. Nie przeszkadzam?

– Nie. Coś się stało?

– No właśnie nie wiem.

– Nie wiesz? – Czuję dziwny ścisk w żołądku, bo głos Jacka brzmi inaczej niż zwykle. – Proszę, nie strasz mnie.

– Powiedz mi... – Po drugiej stronie zapada cisza.

– Co mam ci powiedzieć?

– Nie było żadnych tabletek, prawda?

W pierwszej chwili mam spytać, o co mu chodzi, ale to trwa może sekundę, dwie i już rozumiem. Moje serce zrywa się do galopu, a raczej do lotu. Mam wrażenie, że zaraz wyskoczy mi z gardła. Ale jak?! Jak się domyślił? Nie wiem, co powiedzieć. Odruchowo przyciskam telefon do piersi i biorę kilka głębokich wdechów. Co teraz? Chciałabym, żeby ktoś zatrzymał czas. Niechby na minutę. Więcej nie potrzebuję. Zebrałabym myśli i może skleciła jedno lub dwa sensowne zdania, ale Jacek nie zamierza czekać. Słyszę, że coś mówi, więc przykładam aparat do ucha.

– Możesz powtórzyć? – Chrząkam.

– Nie było żadnych różowych pigułek. – Tym razem to już nie pytanie, ale bardzo stanowcze twierdzenie.

– Nie było. – Mój głos brzmi jak nie mój.

– Jesteś w ciąży?

– Tak.

– Od kiedy wiesz?

– Tydzień po feriach zimowych zrobiłam test.

Zamykam oczy w oczekiwaniu na wybuch gniewu, ale nic takiego się nie dzieje. Jacek mówi tylko, że rozumie. Prawie widzę, jak przesuwa dłonią po twarzy i naciąga skórę do białości.

– Przepraszam.

– Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

– Kiedy? – Znów się zacynam. Nie wiem, kiedy zamierzałam i czy w ogóle zamierzałam. To idiotyczne, ale chyba w ogóle nie zamierzałam. Może uznałam, że samo się „powie”? Przecież w końcu będzie widać, że jestem w ciąży.

– Milena, jesteś tam?

– Tak.

– Który to tydzień?

– E... poczekaj, muszę policzyć. – Wiem doskonale który, ale chcę dać sobie trochę czasu. – Zaczął się trzeci miesiąc. – Znów zamykam oczy i zamieram w bezruchu niczym żaba udająca martwą. A nuż drapieżnik zlituje się i odpuści.

– Mogę spytać dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego mnie okłamałaś, mówiąc, że zażywasz tabletki.

Co mam powiedzieć? Że wtedy bardzo pragnęłam bliskości, a jeszcze bardziej potwierdzenia, że mogę się komuś podobać? A potem było za późno na prawdę.

– Przepraszam. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

– Nieważne. Jest Edyta?

– Nie.

– A kiedy wróci?

– Mama jest w domu – natychmiast prostuję. – Nie chcę, żebyś tu przychodził. Jeszcze nie. Poza tym zaraz jedziemy na wernisaż.

– Wernisaż? Rzeczywiście, bardzo ważne – prycha. – Milena, będzie tylko gorzej. To się samo nie załatwi, rozumiesz?

– Wiem, ale jeszcze nie jestem gotowa.

– Chryste, dziewczyno, pojmij, że...

– Nie. Błagam cię, poczekajmy. Jeśli chcesz, powiem jej sama.

– Kiedy?

– Po maturze.

– Żartujesz?

– Nie.

– Przecież będzie widać. Zresztą już widać. Jak sądzisz, dlaczego się domyśliłem? – pyta niezbyt miłym tonem. – Zmieniasz się. Twoje ciało się zmienia. Piersi.

– Nie pokazuję мамie piersi, poza tym widzi mnie codziennie, dlatego nie zauważa zmian.

– Zdajesz sobie sprawę, że zwłoka zaogni sytuację?

– Trudno. – Czuję, że jest wściekły. Słyszę jego przyspieszony oddech i mogę sobie wyobrazić, jak bardzo go wkurzyłam. – Gniewasz się na mnie?

– Przęłykam ślinę.

– Gniewam się na siebie.

– Nie powinieneś. To moja wina. Oszukałam cię.

– Mówiłem, to nieważne. Mleko się wylało.

– Poczekasz?

– Okej. A w ogóle byłaś u jakiegoś lekarza?

– Jeszcze nie.

– Pięknie. Załatwić ci wizytę?

– Jak byś mógł.

– Zadzwonię wieczorem.

Rozłącza się. Czuję ogromną ulgę, bo Jacek już wie i odbyło się to w miarę bezboleśnie, lecz nasza rozmowa przebiegła nie do końca tak, jakbym oczekiwała. Nie liczyłam na fajerwerki szczęścia, ale choć jedno dobre słowo mógł powiedzieć. Smutno mi. Za chwilę wpadnie tu mama sprawdzić, dlaczego jeszcze się nie przebrałam, dlatego nie mam czasu na

ły. Idę do łazienki, muszę wziąć prysznic. Kładę telefon na blacie szafki i wtedy przychodzi SMS.

Choćby nie wiem co się działo, pamiętaj, że bardzo Cię kocham. Ciebie i maleństwo. J.

Czytam go w kółko, żeby zapamiętać każdą literkę. Wybucham płaczem dopiero wtedy, gdy wiadomość została skasowana.

Kilka dni później jadę z Jackiem do ginekologa. Zabiera mnie spod szkoły i wiezie do Nadarzyna, gdzie przyjmuje prywatnie doktor Kawęcka. Ponoć doskonały fachowiec, specjalistka diagnostyki prenatalnej. Nie dość, że przyjechaliśmy tutaj samochodem asystentki Jacka, to jeszcze zamierzam podać fałszywe dane. Pełna konspiracja. Uznaliśmy, że na razie tak będzie lepiej, a gdy już powiem mamie prawdę, zmienię lekarza na jakiegoś z Warszawy i on poprowadzi moją ciążę do szczęśliwego końca. Sama wchodzę do gabinetu, odpowiadam na milion pytań, wysłuchuję krótkiej bury, że niepoważne z mojej strony tak długo zwlekać, ale nie przejmuję się jakoś szczególnie, bo najważniejszy jest dla mnie wynik badania. A ten okazuje się idealny. Wybiegam z gabinetu jak na skrzydłach. Jacek czeka na zewnątrz. Siedzi w samochodzie, a gdy podchodzę bliżej, zauważam, że nerwowo bębni palcami po kierownicy. Wsiadam i od razu mówię, że wszystko z dzieckiem i ze mną w porządku. Nie odpowiada, przytula mnie mocno, całuje we włosy i przez chwilę tak trwamy. On i ja. I nasze maleństwo między nami.

– To karta ciąży. – Pokazuję Jackowi dokument wystawiony na Kamilę Janik. – Jak myślisz, zostawić ją na razie czy wywalić?

– Zostaw. Tylko schowaj, żeby nie wpadł nikomu niepowołanemu w ręce.

– Dobrze.

Patrzę na Jacka, próbując odgadnąć, co kłębi się w jego głowie.

– Nie powiedziała, jaka płęć?

– Za wcześnie. Zrobiła USG, wszystko jest super, dziecko rozwija się idealnie. A to niespodzianka! – Wyjmuję z torebki wydruk i wręczam

Jackowi. – Pierwsza fotka dzidziusia.

– Chryste... – Jacek przykłada palce do ust. – To naprawdę się dzieje. Będę miał dziecko.

– Cieszysz się? – pytam z nadzieją.

– Teraz już tak – odpowiada bez wahania, nadal nie spuszczając wzroku ze zdjęcia.

– Teraz? – Bezradnie zagryzam kącik ust, bo jakoś dziwnie zabrzmiały jego słowa. – Nie rozumiem.

– Teraz już mogę się cieszyć. – Podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– A czemu wcześniej się nie cieszyłeś?

– Nie wiem. Może się bałem, że to nieprawda? Martwiłem się o dziecko? I o ciebie? – Jego grdyka przesuwana się w dół i w górę. Łapie moją dłoń, podnosi do ust i składa na niej pocałunek. – Będę miał dziecko, wiesz?

– Wiem. – Ostrożnie się uśmiecham. – Ja też będę miała dziecko.

– Niesamowite. – Znów gapi się na fotkę. – Nie wyrzucaj tego zdjęcia.

– Nie zamierzam.

– Dostałaś jakieś zalecenia?

– Tak. Powiem ci, ale po drodze. Za godzinę muszę być pod szkołą.

– Jasne. – Jacek cmoka wydruk niczym święty obrazek i z żalem mi go oddaje. – Nie zgub.

– Masz mnie za jakąś niedojdę? – chichoczę, bo już całkiem zeszło ze mnie napięcie.

– Za niedojdę nie. Raczej za kłamczuchę.

– Gniewasz się? – pytam, gdy rusza. Robi to ostrożnie i powoli, jakby wiozł porcelanową zastawę dla dwunastu osób, i to ułożoną luzem na podszybiu.

– Nie gniewam i nigdy nie gniewałem. Jasne? – Zerka na mnie.

– Chciałeś wiedzieć, czemu cię okłamałam.

– Wtedy tak.

– Teraz już nie? – Jestem zaskoczona.

– A co to zmienia?

– Nic.

– No właśnie nic.

Zapada cisza. Nie wiem, co powiedzieć. A może nie potrzebujemy żadnych słów? Mija kilka minut i Jacek bąka, że w naszym – w naszym! – związku to ja podejmuję decyzje. Stwierdza, że z premedytacją go uwiodłam i podobnie z rozmysłem nie powiedziałam o ciąży. Postawiłam go przed faktem dokonanym.

– Założyłem, że chcesz tego dziecka, skoro czekałaś tak długo.

– A ty nie chcesz?

– To już?

– Co już? – Marszczę czoło. Nie dość, że jest dzisiaj wyjątkowo małomówny, to jeszcze mówi do mnie zagadkami.

– Już działają hormony? Ponoć odbierają rozum.

– Dupek. – Zaczynam chichotać. – I czemu nic nie mówisz? – pytam z pretensją. Znow minęła minuta albo dwie, a on milczy jak grób, zamiast ze mną porozmawiać.

– Przeceniasz moje możliwości. Nie mogę stanąć na środku ulicy, wyskoczyć z auta i zacząć krzyczeć, że jestem cholernie szczęśliwy. Muszę cię odwiedzić pod szkołę, całą, zdrową i w jednym kawałku. Dlatego milczę. Koncentruję się.

– Naprawdę się cieszysz?

– Z tego, co mi wiadomo, tak.

– Ja też.

– Bez obaw. Jeszcze dzisiaj zamierzam to oblać. Wrócę do domu, pójdę do piwniczki z winami, odszukam tam pewną starą whisky, którą dostałem kilka lat temu, ale zabij mnie, nie pamiętam od kogo, i nawalę się w sztok. Taki jest plan – oznajmia bardzo z siebie zadowolony.

– To ze szczęścia?

– Milena, błagam... – Potrzęsa głową.

– Chcę wiedzieć, czy się cieszysz.

– Milena!

– No już dobrze. – Zakładam ręce na piersiach i udaję obrażoną, ale kiepska ze mnie aktorka. Nie wytrzymuję długo i parskam śmiechem. –

Mówisz, że jestem kłamczuchą?

– Taką bez skrupułów.

– I uwodzicielką?

– Też. I jeszcze recydywistką. Tyle razy namówić skądinąd mądrego faceta na seks bez gumki? Cholera, aż się wierzyć nie chce, że taka siuska wyprowadziła mnie w pole. – Śmieje się. – A co najlepsze, nigdy nie byłem ani w połowie tak szczęśliwy jak teraz. Ba! Nawet w jednej setnej, wiesz? – Zerka na mnie, szczerząc zęby. – Chyba warto czasem zachować się jak ostatni dureń i dać ponieść emocjom.

– Nie żałujesz? – Upewniam się.

– Ani sekundy spędzonej z tobą.

Ach... Pławię się w szczęściu.

Może tak miało być? Rzeczywiście Jacek miał rację, mówiąc o premedytacji. Nie jestem głupia – seks bez zabezpieczenia tak właśnie może się skończyć. Zdawałam sobie sprawę z ryzyka. Dlaczego więc nie puściłam pary z ust? A może chciałam zająć w ciążę? Nie od razu, bo na początku kierowałam się czym innym, ale później? Na pewno by mi wybaczył to jedno jedyne kłamstwo. Mogłam powiedzieć: „Okłamałam cię. Nie biorę tabletek, powinniśmy używać prezerwatyw”. Nasz pierwszy raz był bezpieczny, bo kochałam się z Jackiem zaraz po miesiączce. Drugi też, bo odbył się tej samej nocy. Ale trzeci, czwarty, piąty i kolejne już nie. Premedytacja i recydywa. Tak właśnie było. Dlaczego? Mam tylko jedno wytłumaczenie. Chciałam za wszelką cenę „przyklepać” nasz związek. Teraz, gdy dziecko w drodze i za późno na zmianę decyzji (zresztą nigdy, nawet przez sekundę nie myślałam, że mogłabym usunąć ciążę), czuję się znacznie spokojniejsza. Perspektywa bardzo trudnej rozmowy z mamą też mnie nie przeraża. Mogłabym w każdej chwili wszystko jej opowiedzieć i bardzo mnie to kusi, ale nie będę robić idioty z Jacka. Skoro mamy pogadać z mamą po maturze, tak właśnie będzie.

No, chyba że sama domyśli się wcześniej...

Druga wizyta u doktor Kaweckiej już za mną. Jak poprzednio, mówi, że wszystko w idealnym porządku. Udało mi się dyskretnie załatwić badania krwi, one też są prawidłowe. Niestety nadal nie znamy płci naszego maleństwa, ale mogłam posłuchać bicia serduszka i nagrałam je na telefonie, żeby Jacek też mógł posłuchać. Co do nas, spotykamy się bardzo rzadko, ale oboje wiemy, że to chwilowe, wytrzymujemy więc tę rozłąkę. Jacek przestał nas odwiedzać, bo go o to poprosiłam. Nie byłabym w stanie zapanować nad emocjami, a już w ogóle nie wyobrażam sobie sytuacji, że Jacek znów przesiaduje u mamy i rozmawia z nią jak kiedyś. Wcale mu nie tęskno za tymi spotkaniami, stwierdził, że czułby się „w cholerę niezręcznie wobec Edyty”, dlatego skwapliwie przystał na moją prośbę, a dla mamy przygotował jakąś zgrabną wymówkę.

A ja? Muszę skupić się na nauce, matura nadchodzi wielkimi krokami. I dobrze, bo wszyscy, od moich koleżanek, poprzez nauczycieli, na mamie skończywszy, są zbyt zaaferowani maturą i uroczystym balem, który jak co roku odbywa się dwa tygodnie po ostatnim egzaminie. Zamierzam pójść na ten bal z Jackiem. Rozpęta się prawdziwe piekło, wybuchnie skandal, bo jako jedyna przyprowadzę chłopaka, który jest starszy od niejednego z naszych nauczycieli czy rodziców, ale mam to w nosie. Mama co chwilę podpytuje, kto będzie mi towarzyszył. Zbywam ją, że jeszcze nie zdecydowałam, a gdy sugeruje, że mogłabym zaprosić Janka, bo to taki miły chłopiec i na pewno chętnie ze mną pójdzie, mam ochotę wybuchnąć śmiechem i śmiać się przez następne trzy dni. „Bez obaw, nie pójde sama” – odpowiadam tajemniczo.

I w końcu jest maj.

Długi weekend mija jak z bicza strzelił, bo przez te trzy dni pomieszkuje u nas ciocia Jola, kuzynka taty. Mieszka na stałe w Australii, przyjechała na miesiąc do Polski i postanowiła spędzić trochę czasu z nami. Ostatnio widziałam ją pięć lat temu, więc nie muszę się bać, że dostrzeże mój odmienny stan. Wyglądam zupełnie inaczej niż trzynastoletni podłotek, którym wtedy byłam. Zresztą mam pretekst, żeby nie spędzać z nią i mamą zbyt wiele czasu, bo przecież... matura.

Zauważyłam, że potrafię funkcjonować w dwóch niezależnych trybach. Pierwszy to tryb „uczennica”. Siedzę z nosem w książkach, naprawdę solidnie przygotowuję się do każdego egzaminu, zakuwam, czytam, powtarzam, robię nieskończoną liczbę notatek, rozwiązuję testy i zadania maturalne z ubiegłych lat. A drugi tryb?

Jestem przyszłą mamą. Wieczorami biorę długą leniwą kąpiel, ale zawsze pod prysznicem, bo boję się kąpać w wannie. A nuż zasłabnę? Wychodzę z kabiny, smaruję brzuch i piersi specjalnym olejkiem zapobiegającym rozstępom, a na koniec się ważę. Jak na razie nie przybrałam ani jednego kilograma i od ferii zimowych moja waga jest niezmienna – sześćdziesiąt pięć kilo, pięć mniej niż na początku roku. Te pięć kilogramów to mój bufor. Gdybym nagle zaczęła przybierać na wadze, zawsze mogę powiedzieć, że wrócił mi apetyt.

I nagle jest po maturach.

Naprawdę nie zauważyłam, kiedy minęło te kilka dni. Słońce świeci pełną gębą, gdy wysypujemy się ze szkoły, radośni i rozgadani, szczęśliwi, że mamy to już za sobą. Dziewczyny wołają mnie, żebym z nimi pojechała do jakiejś knajpki, ale odmawiam, bo ktoś na mnie czeka. Poprosiłam Jacka o cierpliwość, lecz nie mogę jej nadwyrężyć. Czas odkryć karty. Tym bardziej że mój brzusek coraz mocniej się odznacza. Na razie całkiem nieźle go maskowałam. Kupiłam kilka sztuk specjalnej modelującej bielizny, która idealnie tuszowała zarówno brzuch, jak i nieco bujniejsze piersi, odpowiednio doбираłam ciuchy, przerzuciłam się głównie na sukienki z rozszerzonym dołem lub legginsy i dłuższe tuniki, ale ta metoda wkrótce przestanie się sprawdzać.

Jacek już czeka. Tak samo jak ja ukrywałam dotychczas mój odmienny stan, on też coś ukrywa. Nie zwiedzie mnie, zbyt dobrze go znam, żeby nie zauważyć, że jest okropnie zdenerwowany. Co chwilę przeczesuje włosy ręką, poprawia kołnierzyk koszuli i bez powodu na mnie zerka. I co najgorsze: milczy jak grób całą drogę. Mamy prostą umowę: jedziemy do mnie do domu, wchodzimy, trzymając się za ręce, potem Jacek ma powiedzieć, że jesteśmy razem, a ja poinformować mamę o ciąży. Banalne,

prawda? Tylko dlaczego cała drzę, gdy wysiadam z samochodu i zauważam mamę w oknie?

– Będzie dobrze – mówi Jacek. Krzepko chwyta moją dłoń i prowadzi do wejścia.

Dziękuję Bogu, że jest taki opanowany. Pod szkołą to ja zgrywałam chojraka, niewiele brakowało, a wyśmiałabym jego obawy. Teraz zmieniłam się w galaretę, za to Jacek kroczy pewnie, a na jego twarzy nie znać ani śladu obawy, że coś pójdzie nie tak. Zatrzymujemy się przed drzwiami pokoju mamy, Jacek spogląda na mnie, ja na niego, oboje jak na komendę bierzemy głęboki wdech i wchodzimy do środka bez pukania. Mama już na nas czeka. Stoi przy kominku, sztywna jakby połknęła kij, wyraźnie pobladła, a jej prawa skroń pulsuje tak mocno, że prawie od razu to zauważam.

– Dzień dobry, Edyto – mówi Jacek.

– Cześć, mamo.

Nic. Nie odpowiada nam ani słowem, za to jej wzrok skupia się na naszych splecionych dłoniach.

– Chcemy ci coś powiedzieć i będziemy wdzięczni, ja będę wdzięczny – dodaje naprędce Jacek – gdy nas wysłuchasz i zrozumiesz.

Moja mama nadal milczy, ale jej ciało wysyła jasny przekaz, że zaraz wydarzy się coś naprawdę strasznego. Zaczyna drżeć, zakrywa usta dłonią i jeszcze szerzej otwiera oczy. Ledwie tkwią w oczodołach. Spodziewałam się wszystkiego, głównie karczemnej awantury, nawet z rękoczynami, bo czasem mojemu tacie nieźle się oberwało. Kilka razy widziałam, jak mama wymachiwała mu przed nosem ręką albo ścierką, a kiedyś nie zdołała się powstrzymać i tata zaliczył niezły cios torebką w głowę, ale takiej reakcji nie przewidziałam. Jak rozmawiać ze słupem soli?

– Mamo... – zagajam. – Czy ty w ogóle nas słyszysz? – Pociągam Jacka za sobą i podchodzę bliżej. – Chcemy ci coś powiedzieć. O nas.

– Jak ci poszło? – wykrztusza nagle i zupełnie bez związku.

– Na egzaminie? Dobrze. Potem ci opowiem, bo na razie...

– Edyta, to dla ciebie szok, ale musisz poznać prawdę – przerywa mi Jacek. – Musisz nas wysłuchać.

– Nic nie muszę. – Gdyby wzrok mamy mógł zabijać, myślę, że ojciec mojego dziecka ległby właśnie trupem u moich stóp. – Nic nie muszę. Zwłaszcza. Pod. Tym. Dachem. To mój dom. I ja nic nie muszę! – Podnosi głos.

– Mamo... – Potrząsam głową, bo na razie idzie nam słabo. – Niech będzie. Nie musisz słuchać Jacka, ale mnie tak, bo jestem twoją córką. Jak na pewno się domyślasz, jesteśmy razem. Ja i Jacek. – Podnoszę na moment nasze dłonie. – Jesteśmy razem, a kiedyś zamierzamy...

– Dość!!!

To nie okrzyk, to nieprawdopodobny, nieludzki ryk. Aż podskakuję. Jacek natychmiast obejmuje mnie ramieniem i robi krok do przodu, jakby chciał mnie zasłonić, choć mama, niczym wmurowana, nadal tkwi przy kominku.

– Nigdzie nie pójdę, póki wszystkiego sobie nie wyjaśnimy – oznajmia, próbując zachować spokój, ale zdradza go drżenie głosu. – Usiądziemy i porozmawiamy.

– Milena, zostaw nas samych. – Mama przenosi spojrzenie na mnie. – Słyszysz, wyjdź stąd i to natychmiast.

– Nie. Nigdzie nie wyjdę. – Teraz naprawdę mnie wkurzyła. Bez przesady, już nie jestem małym dzieckiem, które dorośli mogą wygonić, bo im przeszkadza. – To tak samo moja sprawa, jak i Jacka. Przyszliśmy tu razem i razem wyjdziemy.

– Zostawisz nas samych – powtarza dobitnie. – Jeszcze ciągle nie masz osiemnastu lat i masz mnie słuchać.

– Edyta, pogadajmy jak ludzie.

– Porozmawiam z tobą, ale najpierw Milena stąd wyjdzie.

Patrzę pytająco na Jacka. Co teraz? Chyba wyczuł, że mam zero pomysłów, jak rozwiązać ten impas. Przykłada dłonie do mojej twarzy, całuje mnie delikatnie w usta i cicho szepcze, że mam mu zaufać. „Załatwię to” – mówi bezgłośnie, patrząc mi prosto w oczy. To bardzo intymna chwila i mam nadzieję, że mama pozbyła się ostatnich wątpliwości co do

charakteru naszego związku. „Dobrze” – odpowiadam mu tak samo. Zanim wyjdę, spoglądam na nią i nie wiem, co czuję. Chciałabym coś powiedzieć, lecz nic nie przychodzi mi do głowy w tym momencie. Nadal jestem zła, bo potraktowała mnie jak gówniarę i wykluczyła z rozmowy, ale gdy widzę, jak wygląda, postanawiam wyjść bez słowa.

Głośno trzaskam drzwiami, przemierzam szybko korytarz i wchodzę do gościnnej sypialni sąsiadującej przez ścianę z pokojem mamy. Jeśli myślała, jeśli oboje myśleli, mama i Jacek, że odpuściłam, grubo się mylą. Nie pozwolę na to. Mam takie samo prawo uczestniczyć w tej rozmowie jak oni. Zaufanie zaufaniem, wierzę, że Jacek nie powie ani jednego niewłaściwego słowa, ale i tak wolę sama wszystko usłyszeć. Ciekawe, czy mama pamięta, że kiedyś, jeszcze jako dziecko, odkryłam pewien sekret, a raczej feler budowlany. Z tego pokoju można doskonale podsłuchiwać, co się dzieje u niej. Po obu stronach ściany są kominki, mają wspólny komin i wystarczy usiąść na podmurówce kominka, ostrożnie otworzyć drzwiczki i już. Oczywiście w żadnym z nich nie może się palić. Wtedy nici ze szpiegowania.

– Co ty sobie wyobrażasz?! To jakaś zemsta? – Głos mamy jest wyraźny, jakby stała tuż obok mnie. – Mścisz się, bo wybrałam Czarka?

– Nie bądź śmieszna. To było tak dawno. I nie, nie mszczę się, bo nie mam za co. – Jacka słyszę nieco słabiej, ale też dobrze.

– Jak mogłeś?! I te prymitywne kłamstwa, że kogoś poznałeś, dlatego już mnie nie odwiedzasz. Poznałeś moją córkę? Niewiarygodne!

Oj! Rzeczywiście, nie wysilił się.

– Przepraszam, to nie było zbyt mądre, ale...

– Macie natychmiast to zakończyć! Ty to zakończysz i to jeszcze dzisiaj, rozumiesz? Od kiedy się spotykasz z Mileną?! Jak mogłam być taka ślepa? – mówi podniesionym głosem. – Czułam, że coś się dzieje, Milena była inna, raz pełna euforii, a za chwilę przygnębiona. Kładłam to na karb żałoby, tłumaczyłam sobie, że to przez nawał obowiązków, maturę, a nawet rozstanie z Jankiem, a tu proszę! Masz natychmiast zakończyć tę patologię, rozumiesz?!

„Chryste, daj mu dojść do słowa!” – Nerwowo podryguję. Wrzeszczy jak obłąkana, pyta go o coś i nie pozwala odpowiedzieć. Najchętniej wpadłabym tam i powiedziała jej dobitnie, że jestem z Jackiem od lutego, a ona była ślepa i głucha i miała mnie gdzieś. A nasz związek to żadna patologia! Sama jest patologią, skoro niczego nie zauważyła. Tego, że jestem w ciąży też.

– Pogadam z tobą, ale najpierw przestań krzyczeć.

– Tu nie ma o czym gadać. Masz to natychmiast zakończyć!

– Niby dlaczego? Bo jestem starszy od Mileny? Kochamy się. Tylko to się liczy. Jest niepełnoletnia, ale za kilka miesięcy...

– Zamknij się i posłuchaj!

– Nie! To ty posłuchaj! – przerywa jej Jacek. – Jeśli nie zmienisz tonu, zaraz stąd wyjdę. Pójdę po Milenę i tyle nas będziesz widzieć.

Odruchowo zaciskam kciuki. Podoba mi się zachowanie Jacka. Widać, że nie stracił zimnej krwi. Nie rozgaduje się, mówi tylko to, co najważniejsze. Za to mama z sekundy na sekundę coraz bardziej się nakręca. Ciekawe dlaczego. Aż tak ją dotknęło, że Jacek wybrał mnie?

– Uwiodłeś moją córkę z zemsty?

– Mówiłem, nie ma żadnej zemsty, a co do uwodzenia, nie. Nie uwiodłem Mileny. To nasza wspólna...

– Milcz! Nawet nie mów, że coś jest między wami. Nie chcę tego słyszeć. Zaraz pójdziesz do niej i powiesz, że to koniec. A potem nie zbliżysz się do nas, aż ci na to pozwolę. To... – jąka się – to jest obrzydliwe. Masz natychmiast zakończyć ten chory związek i zapomnieć o mojej córce, zanim wydarzy się coś strasznego.

– Dlaczego? Podaj choć jeden sensowny argument.

Cóż za opanowanie...

– Pamiętasz Monachium?

„Monachium?” Marszczę czoło. O co chodzi?

– Edyta, odpuść. Mówiłem ci, ja i ty to już przeszłość. Byliśmy wtedy pijani, ty byłaś pijana – podkreśla – a ja głupi. Bywa. Zdarzyło się, nie zapomniałem i żałuję do dzisiaj, ale to już przeszłość.

– Nie, mój drogi, to nie przeszłość.

– Przeszłość. Jest mi głupio przed Czarkiem, to fakt. Tym bardziej głupio, bo nigdy się nie przyznałem i nie zdążyłem go przeprosić, ale to wszystko. Oboje popełniliśmy jakieś głupstwo, ale to nie znaczy nic więcej poza tym, że popełniliśmy głupstwo. Zdarza się.

– A teraz posłuchaj, jakie to głupstwo. – Głos mamy brzmi dziwnie, jakby mówiła przez zaciśnięte zęby. – Wróciliśmy do Warszawy, a parę tygodni później zorientowałam się, że już dawno minął termin, a ja nadal nie mam miesiączki.

Czuję, że żołądek podjeżdża mi do gardła.

– Przestań, nie wmówisz mi chyba, że Milena jest moją...

– Czarek nie mógł mieć dzieci, był bezpłodny – przerywa. – Jeśli chcesz, zaraz pokażę ci dowód. Poczekaj.

Ja nie czekam. Już nie. Poza litościwie otulającą mnie czernią nic nie widzę.

I nie słyszę...

PAULA



Chodzę do pracy z kotem, którego nie ma. Taki kot to najbardziej niekłopotliwe zwierzę na ziemi. Nie skarży się, gdy siedzi osiem godzin w specjalnym koszyku, którego oczywiście też nie ma. Nie przeszkadza mi, pozwala się skupić, a gdy przychodzi Paweł – a odwiedza moje biuro codziennie – spłoszony jego obecnością, wskakuje na moje kolana i mruczy. Dlaczego to kot, którego nie ma? Bo zabrakło takiego, który jest. Martyna powiedziała, że zbyt długo się namyślałam i jej tata rozdał kocięta chętnym. „Będą następne”. Ciekawe, czy równie grzeczne.

Więc Paweł przychodzi codziennie. Wpada do mnie przed biegiem, bo po treningu „brzydko pachnie”. Nie wierzę. Paweł zawsze ładnie pachnie, choć „ładnie” to niewłaściwe określenie. Pachnie oszałamiająco: męsko, korzennie, pociągająco. Pachnie, aż miękną mi nogi, a wzdłuż kręgosłupa spływają małe kropelki potu. Pachnie tak, że gdy ktoś do mnie później przychodzi, burczę, żeby zamknął drzwi. Nie chcę wypuszczać tego zapachu. A najlepiej, żeby nikt poza Pawłem, i oczywiście moim kotem oraz mną, tu nie bywał.

Rozmawiamy o wszystkim i o niczym zarazem.

Rozmowa #1

- Wobec tego jaką muzykę lubisz?
- Wobec czego?
- Tego, że nie znosisz muzyki *trance*.

– Wcale nie powiedziałam, że jej nie znoszę. Nie słucham i tyle. Nie wiem, czy nie znoszę.

– A jaką znosisz?

– Klasykę. Lubię klasykę.

– Mogę? – Paweł chce zobaczyć playlistę w moim iPhone.

– Nie. – Porywam telefon i przez chwilę trzymam przy piersi jak najcenniejszy skarb.

– Okej.

– Lubię Mozarta.

– A dokładnie? Który utwór? – Przewracam oczami, więc dodaje: – Który lubisz najbardziej?

– *Requiem d-moll*.

– Niewiele mi to mówi.

– Msza żałobna, ostatnie dzieło Mozarta, niedokończone. Nic? – Potrząsam głową. To ma być muzyk? Cóż. – *Lacrimosa*? Musiałeś to słyszeć. To jest... – milknę, bo jak wyrazić, co czuję, gdy słucham tej części *Requiem*?

– Hm... – Paweł robi bardzo głupią minę. – Puść. Masz na telefonie? Nie musi być w słuchawkach.

– *Requiem* trwa prawie godzinę.

– To zapisz tytuł. Co jeszcze?

– Wiesz co? Wyślę ci SMS-em.

– Okej. – Szczerzy zęby. – A znasz *Adagio for Strings*?

– Oczywiście. Samuel Barber. Świetny utwór, kocham.

– Poszukaj wykonania didżeja Tiësto. Prawdziwy hit.

– Raczej barbarzyństwo.

– A coś lekkiego znasz i lubisz czy tylko msze żałobne? – Wyraźnie ze mnie kpi.

Bęcwał jeden.

– Lekkiego? Znam. Zenek Martyniuk.

– Zenek? Nie kojarzę. – Wydyma usta.

– Wyślę ci link.

Rozmowa #2

– Lubisz tatuaże?

– W jakim sensie?

– Masz jakiś?

Aż mnie zatyka. Tatuaż? Nigdy. Chyba żartuje!

– Nie mam – fukam, gdy nagle przypominam sobie o makijażu permanentnym. W zasadzie to właśnie tatuaż, ale nie taki zwykły, to chyba się nie liczy? Odruchowo przejeżdżam opuszkami po prawej brwi. A może Paweł zauważył, że mam tatuaż na brwiach? Dolne kreski na powiekach też wytatuowane, ale one wyglądają, jakby były narysowane kredką. Ech. – Nie mam żadnego tatuażu – kłamię.

– Boisz się? To nie boli.

Ekhm... mam trochę inne zdanie. Boli, i to jak cholera. Zwłaszcza kreski.

– Nie boję. Nie podoba mi się taka ozdoba ciała.

– U facetów też?

Mimowolnie spoglądam na jedno z jego przedramion, jak zawsze skryte pod czarną elastyczną tkaniną sportowej koszulki do biegania. Trochę żałuję, że tylko przez chwilę je widziałam. Niedokładnie i zaledwie do łokcia. W życiu się nie przyznam, że przeglądnęłam chyba wszystkie zdjęcia z didżejem Dragonem, jakie są w sieci. Nigdy nie powiem tego nikomu, a już na pewno nie jemu.

– U facetów? – Niczym uczeń, który nie zna odpowiedzi, powtarzam pytanie nauczyciela, żeby odwlec w czasie moment prawdy.

– Tak. U facetów. Na przykład moje ci się podobają? – I nagle szast-prast – Paweł podciąga oba rękawy, i to nie do łokci, a wysoko, prawie pod pachy.

– Nie mam zdania – bąkam. W gardle mam łyżkę piasku. Albo mąki. Ewentualnie tego i tego. Nie patrzę na wzory, tylko na mięśnie grające pod skórą, na jasne włoski gęsto ją porastające i myślę, co byłabym w stanie zaoferować, żeby móc dotknąć przedramion Pawła. – Wyglądają bardzo... – „Matko, co teraz?” – Wyglądają na bardzo profesjonalnie wykonane.

Uff. Wybrnęłam. Paweł przez chwilę nie spuszcza ze mnie wzroku, w końcu odchyła się na krześle i zaczyna śmiać jak głupi.

– Cicho! – syczę, ale to go nie zraża. – Spłoszysz mi kota!

– Nieprawda! On mnie lubi! – Wprost się zanosi. – Ja też go lubię, a wiesz czemu? – pyta, ocierając łzy wyciśnięte śmiechem. – Bo nigdy nie dostanę na niego alergii!

Rozmowa #3

– Umiesz pływać?

– Oczywiście, co za pytanie? – Obruszam się.

– A jeździć na rowerze?

– Też.

– Czemu nie jeździsz?

– Bo nie mam roweru.

– A biegać?

– Tak, umiem biegać, skakać i tańczyć.

– O! Może dasz się gdzieś porwać? – Przez chwilę patrzy na mnie spod przymrużonych powiek. – Nie dasz.

– Punkt za spostrzegawczość.

– Narty?

– Jest maj? – Podnoszę ręce i kilka razy macham nimi przy głowie. – Zgłoś się w zimie.

– Grasz w tenisa?

Myślę. Potrafię nieźle grać. Kiedyś, w drugiej klasie liceum wygrałam międzyszkolne zawody, i to stołeczne, ale czy potrzebna mu ta wiedza? Poza tym dawno nie ćwiczyłam, a Paweł biega dzień w dzień. Jest wysportowany, silny i szybki jak chart. Dopadnie mnie i rozniesie w pył na korcie. Nie dam mu tej satysfakcji.

– Mogę z tobą zagrać w szachy. Chcesz? – W tym jestem naprawdę niezła i mam dużą szansę sprać mu tyłek.

– Szachy? – Wykrzywia się. – Gra dla emerytów.

– Sam jesteś emeryt. To może w chińczyka? Powinieneś ogarnąć.

- Okej. W sobotę? Wpadnę do ciebie z planszą i pionkami.
- W każdą sobotę jestem zajęta. Martyna do mnie przychodzi.
- W niedzielę?
- Odpoczywam.
- Czegoś nie rozumiem. Najpierw sama proponujesz mi grę, a potem mówisz, że nie masz czasu.
- Przepraszam. Czasami nie mogę znieść nawet własnego towarzystwa.
- To wpadnę w sobotę. – Szczerzy się.

Rozmowa #4

- Dzisiaj trudne pytanie – oznajmia.
- Na szczęście nie muszę na nie odpowiadać.
- Właśnie dlatego trudne. Ile masz lat?
- Kobiet nie pyta się o wiek.
- Ale dziewczyny tak.
- Już dawno nie jestem dziewczyną.
- Miałaś kiedyś chłopaka? – Kilka sekund przerwy. – Dziewczynę?
- Mam kota, którego nie ma. W zupełności wystarczy.
- Masz jeszcze mnie.
- Mam ciebie.
- I ja jestem.

Rozmowa #5

- Trzeba przyznać, że jak na obcokrajowca doskonale mówisz po polsku. Wiem, że twoja mama jest Polką, ale i tak świetnie. Masz talent do języków.
- Przy tobie się podszkoliłem.
- Kłamca.
- Mama nigdy nie pracowała zawodowo, zajmowała się nami. Poza tym mieliśmy polskie nianie – wyjaśnia, zupełnie zapominając o tym, że nigdy nie zdradził się ani słowem, że ma rodzeństwo.

Może się zapomniał, bo rzadko mówię mu coś miłego. To trochę słabe z mojej strony. Czasami próbuję zapanować nad własną wrednością, lecz to jedyne narzędzie, które mam. Co najgorsze, z dnia na dzień jest coraz mniej skuteczny. Gdybym teraz spytała Pawła o siostrę czy brata, pewnie by powiedział, ale istnieje spore ryzyko, że ja usłyszałabym identyczne pytanie, a potem musiałabym odmówić odpowiedzi i wyszłabym na jeszcze większą małą.

– Gdzie twoi rodzice się poznali?

– Mama była na wymianie studenckiej. Pojechała do Madrytu, do tamtejszego uniwersytetu. Nazywa się Complutense. Mieszkała w kampusie uczelni i pracowała jako kelnerka w ośrodku szkoleniowym Realu Madryt. Na pewno słyszałaś o tej drużynie.

– Uhm.

– Z kolei ojciec znalazł się tam, bo był jednym ze sponsorów tej drużyny i zaprosili go do Ciudad Deportiva.

– Obsługiwała twojego tatę? – Domyślam się dalszego ciągu tej romantycznej historii: Hiszpania, śliczna studentka z biednej, komunistycznej wówczas Polski i holenderski milioner. Materiał na niezłą powieść.

– Nie. – Paweł się szczerzy. – Mama głównie pracowała w kuchni, rzadko obsługiwała gości w restauracji, a już na pewno nie w czasie małych biznesowych rautów.

– Więc? – Jestem rozczarowana, bo mój scenariusz się nie sprawdził.

– Tata potrącił mamę samochodem, a dokładnie wózkiem golfowym.

– Serio?

– Był wtedy trochę pijany. – Paweł mruga porozumiewawczo. – On i paru bossów, którzy też zostali zaproszeni przez Real, pili w pobliskim klubie golfowym. Upili się i urządzili sobie zawody. Pech albo dobry los sprawił – kilka razy zawadiacko unosi i opuszcza brwi – że akurat tego dnia mama płątała się po okolicy. Miała wolne, poszła z koleżanką na spacer, a mój ojczulek w nią wjechał i niezłe ją poturbował.

– Ups! – Przykładam dłoń do ust, bo to już nie brzmi ani trochę romantycznie.

– Spokojnie. Jak widać – stuka palcem w klatkę piersiową – skoro jestem na świecie, musiała przetrwać wypadek. Ojciec strasznie się przejął. Zawsze gdy o tym opowiada, jest czerwony jak truskawka i mówi, że jeszcze nigdy w życiu tak szybko nie wytrzeźwiał.

– Co jej się stało?

– Miała złamane lewe przedramię i ogólne stłuczenia. Oczywiście ojczulek uruchomił wszystkie możliwe znajomości i nie tylko zapewnił mamie natychmiastową pomoc w najlepszym madryckim szpitalu, lecz także odwiedzał ją codziennie, a później, wiadomo... – Paweł wyszczerza zęby. – Miał wtedy prawie pięćdziesiąt lat, można rzec stary kawaler, a mama umiała wyczuć okazję. Wy, Słowianki, potraficie omotać każdego – parska pod nosem.

– Nie przesadzaj – fukam, bo to zabrzmiało, jakbyśmy nie miały nic innego do roboty, tylko kusić bogaczy. Poza tym zszokowała mnie informacja o różnicy wieku między ojcem Pawła a mamą. – To ile mają teraz lat?

– Urodziłem się miesiąc przed pięćdziesiątką staruszka, z kolei mama była wtedy dokładnie w moim wieku.

– Dwadzieścia trzy lata?

– Tak.

– Aha. A powiedz... – Przechyliłam głowę, bo nie wiem, jak zebrać myśli i zadać sensowne pytanie, które by go nie uraziło. – Jak się im układa? Taka różnica wieku... – Zagryzam kącik ust. – Ona jest ciągle bardzo młoda, a twój tata, nie żebym... – jąkam się i nagle zupełnie zacinam. Nie mam prawa wnikać w takie sprawy. Właśnie to do mnie dotarło. – Przepraszam. Nie powinnam.

– *Easy*. – Paweł się uśmiecha. – Pokażę ci coś.

Chwilę później mam okazję zobaczyć kilka zdjęć jego mamy. Jest bardzo atrakcyjną kobietą. Wygląda dużo młodziej, najwyżej na trzydzieści pięć. Śmiało mogłaby mówić, że Paweł to jej brat. Przy okazji stwierdzam, że są

do siebie podobni, choć trochę ojcowskich genów też odziedziczył, w tym wzrost, mocny zarys szczęki oraz wysokie czoło.

– Pięknie razem wyglądają – mówię szczerze, widząc rodziców Pawła. – Oczywiście znać różnicę wieku, ale i tak wyglądają świetnie.

– Prawda?

Zauważam, że się ucieszył.

– Pasują do siebie. Mama zawsze powtarza, że miłość nie liczy lat i nie zna przeszkód. Gdy ludzie się kochają, nie przeszkadza im różnica wieku.

– Ma rację – wykrztuszam. Uciekam wzrokiem, bo czuję szczypanie pod powiekami, a Paweł kolejny raz uświadamia mi, że jego radar ustawiony na odbiór moich reakcji jest wyjątkowo czuły.

– Uraziłem cię czymś? – pyta. W jego głosie wybrzmiewa niepokój i lekkie zaskoczenie. – Paula?

– Nie, nie uraziłeś. – Biorę głęboki wdech, unoszę kąciki ust i kilka razy szybko mrugam powiekami. Już lepiej. – Wszystko w porządku.

– Więc o co ci chodzi? – draży dalej.

– O nic. Serio.

– Przecież widzę. Wyglądasz, jakbyś miała się zaraz rozpląkać.

– Wydaje ci się. Naprawdę, wszystko okej. Po prostu – znów to cholerne „po prostu”! – wzruszyłam się, bo tak ładnie to powiedziałaś.

– Ee... – Wytrzeszcza oczy.

– Ładnie, romantycznie i w ogóle...

– Żartujesz? – Chyba mi nie wierzy, bo patrzy podejrzliwie.

– Wiesz co? Odczep się. – Oddaję mu telefon. – Wzruszyć się nie można?

– Można. – Chowa go do kieszeni spodni. Już nie nosi marynarek, bo jest zbyt ciepło. – Nie sądziłem tylko, że tak łatwo cię wzruszyć. I że kiedykolwiek mi się to uda.

MILENA



– I gdzie to cholerne pogotowie?

– Zaraz powinni tu być.

– Oni w ogóle mają jakieś kwalifikacje?

– Są lepsi od państwowego.

– I szybsi. Zaraz będą, proszę się nie denerwować.

Cisza przetykana szmerem oddechów.

– Odzyskuje przytomność.

– Tak, wraca do siebie.

Czyjeś głośne westchnienie ulgi. Znajome i bliskie.

Otwieram oczy. Nie potrafię zrozumieć, gdzie jestem i co się stało. Pierwsze, co rejestruję, to twarz Kingi, naszej pokojówki. Nachylona, stoi nade mną i patrzy. Jej wzrok jest czujny, badawczy, skupiony.

– Co się stało? – artykułuję z trudem.

– Zemdlałaś. Powiedz, jak masz na imię.

– Milena.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

Kinga trzyma coś w ręce. To chyba myjka do twarzy. Na pewno to myjka. Jest mokra i zimna. Skąd wiem? Bo przeciera nią moją twarz.

– Chcę usiąść.

– Za chwilę. – Kinga chwyta mój nadgarstek. – Puls w normie.

No tak. Zapomniałam. Zanim się u nas zatrudniła, przez kilka lat pracowała jako pielęgniarka.

– Chyba przyjechali. – To mama.

Nie wiem dlaczego, ale nie mam ochoty odwrócić głowy, żeby na nią spojrzeć.

– Mogliby się pospieszyć.

Chciałabym zobaczyć Jacka, bo to on musi stać gdzieś blisko mamy.

– Mam zostać? – pyta Kinga.

– Nie. I pamiętaj, nikomu ani pary z ust. – Głos mamy jest ostry i nieprzyjemny. Jestem zaskoczona. Nigdy nie zwraca się tak arogancko do naszej służby. Nie powinna tym bardziej, że to właśnie Kinga się mną zajęła.

– Zejdę po nich i ich przyprowadzę.

Twarz Kingi znika z pola widzenia, chwilę później cicho zgrzyta klamka.

– Jacek... – mamroczę, ale on od razu słyszy i prawie natychmiast zjawia się przy mnie.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Pomóż mi usiąść. – Wyciągam do niego rękę.

– Poczekaj, zaraz będzie lekarz. – Kuca przy łóżku i bardzo delikatnie muska mój policzek wierzchem dłoni. – Wolę, żebyś nie wstawiała, póki cię nie zbada.

– Dobrze.

Nie muszę długo czekać, chwilę później do pokoju wchodzi dwóch ratowników medycznych.

– Marcin Piętka – przedstawia się nieco starszy facet, łysiejący i z wyłupiastymi oczami. Dziwnie wygląda. Jak kameleon. Drugi ratownik staje przy drzwiach, wyjmuje tablet i coś do niego wklepuje.

Jestem na tyle przytomna, że bez większych problemów mogę odpowiedzieć na kilka prostych pytań, które mi zadano.

– Jak to się stało? Pamiętasz coś? – zagaduje, świecąc mi w oczy małą latarką.

Co mam powiedzieć? Już pamiętam, ale jeszcze to do mnie nie dotarło.

– Zrobiło mi się słabo. Ciemno przed oczami. I piszczało w uszach.

– Jadłaś coś dzisiaj?

– Tak. Śniadanie. Kanapkę z pastą jajeczną i jabłko na lunch.

– Skromnie. – Doktor „Wyłupiaste Oko” zakłada coś na moją rękę. – Zmierzymy ciśnienie.

– Córka zdawała dzisiaj ostatni egzamin maturalny – bąka mama, ale lekarz daje jej znak, że ma być cicho.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że ktoś zdjął ze mnie wizytową białą bluzkę. Unoszę głowę, żeby sprawdzić, co mam na sobie. Zostałam w biustonoszu, cielistej koszulce na ramiączkach, spódnicy i rajstopach. Baleriny też zniknęły.

– Ciśnienie w porządku, tętno też, odruchy też. Nadmiar wrażeń, pewnie panienska nie dosypiała przed egzaminami, niewiele jadła i takie efekty – burczy pod nosem.

– Jestem w ciąży – mówię.

– Tak? – Lekarz natychmiast przenosi wzrok na mamę.

To naprawdę wkurzające być ignorowanym tylko dlatego, że nie ma się jeszcze osiemnastu lat.

– Trzynasty tydzień.

Mama wydaje z siebie dziwny odgłos. Ni to stłumiony szloch, ni parsknięcie śmiechem. Chyba najbardziej przypomina to ciche i żalodne szczeknięcie rannego psa.

– Hm... – Doktorek znów wlepia we mnie gały. – Masz kartę ciąży?

– Mam. Proszę powiedzieć, czy nic się nie stało dziecku – pytam trwożnie.

– Nie jestem jasnowidzem. Mógłbym zobaczyć tę kartę?

Już mam potaknąć, gdy uświadamiam sobie, że na dokumencie są inne dane niż te, które przed chwilą mu podałam. Tam jestem dwudziestoletnią Kamilą Janik.

– Myślę, że to nie będzie konieczne. – Jacek przychodzi mi w sukurs. Pewnie się zorientował, że to kiepski pomysł przedstawiać dokument z fałszywymi danymi.

– A pan to kto? – Lekarz odwraca się, żeby popatrzeć na Jacka.

– Przyjaciel rodziny – odpowiada bez wahania. Podchodzi nieco bliżej i przedstawia się z imienia i nazwiska.

– Też tak sędzę. Że to nie jest konieczne.

Mama pojawia się w polu widzenia. Od razu pojmuję, że nie mogę na nią patrzeć. Dotychczas trzymała się z boku i jedyne, co musiałam znosić, to jej głos. Nie zamknę oczu, bo to na pewno pogorszy sytuację i sprowokuje lekarza do kolejnych pytań, więc obracam się na bok, żeby widzieć Jacka, i mówię cicho:

– Już mi przeszło. Dobrze się czuję.

– Córka jest niepełnoletnia. To pani decyduje, czy mamy ją zabrać do szpitala na obserwację.

– Do szpitala? – W oczach Jacka widzę błysk paniki.

– Nie chcę nigdzie jechać – oznajmiam twardo. – Dobrze się czuję. Zostawcie mnie w spokoju.

– Pani decyzja – jeszcze bardziej stanowczo stwierdza lekarz, patrząc na mamę.

– Niech będzie, jak chce córka – odpiera.

– Łuczakowa ma dzisiaj dyżur. Właśnie zaczęła – odzywa się dotąd milczący drugi ratownik.

– Chyba że tak.

Oni dwaj oraz mama wymieniają ze sobą kilka zdań. W skrócie: wspomniana Łuczakowa to ginekolożka, a na miejscu jest aparat USG i w każdej chwili mogę tam z kimś podjechać, żeby zbadala, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Doktor Piętka ocenia mój stan jako zadowalający i niezagrażający życiu oraz zdrowiu, ale zaleca skontrolowanie stanu dziecka. Mama podpisuje jakieś papierzyska, wychodzi, żeby odprowadzić ratowników. Niestety, prawie natychmiast wraca.

– Jacek, chodź tutaj. – Przywołuję go ręką, a gdy się nachyla, mówię szeptem: – Powiedz jej, że ma stąd wyjść.

– Jasne.

Co zaskakujące, wystarczy jedno zdanie i mama spełnia moją prośbę. Zostajemy sami.

– Przytul mnie.

Jacek przysiadł ostrożnie na brzegu materaca, ujmując moją rękę w dłoń i podnosi do ust. Nic nie mówi. Ja też milczę, bo co powiedzieć w takiej chwili? Pęka mi serce, ale nie potrafię płakać. Jeszcze nie potrafię. Chyba nie wierzę w to, co usłyszałam. A jeśli mama skłamała? Przecież mogła nas oszukać.

– Zawiozę cię do tej lekarki. Powinna cię zbadać.

– Dobrze. Za chwilę, okej?

– Okej. – Składa kolejny delikatny pocałunek na mojej dłoni.

– Pomożesz mi wstać? – pytam po jakimś czasie.

– Na pewno dasz radę?

– Tak.

Siadam i z jego pomocą ostrożnie wstaję. Już mi przeszło. Jacek prowadzi mnie do łazienki przylegającej do pokoju, tam ochlapuję twarz zimną wodą, po czym wracamy. Czuję się nieźle, ale jeszcze nie mam wystarczająco dużo siły, żeby stąd wyjść i stanąć z mamą twarzą w twarz. Jedyne, co mnie mobilizuje, to troska o dziecko.

– Mam prośbę.

– Tak? – Jacek siedzi obok i czule mnie obejmuje. Czule, ale jakoś inaczej niż zwykle. Ostrożniej. Jakbym była figurką z bardzo kruchej porcelany i mogła się rozsypać od byle lekkiego dotknięcia.

– Zawołaj tu Kingę.

– Tę dziewczynę, która...

– Tak, tę. Powinna gdzieś tu się kręcić.

Wraca z Kingą po niecałej minucie.

– Jak się czujesz? – pyta od razu Kinga.

– W porządku. Idź, proszę, do mojego pokoju, spakuj trochę wygodnych ciuchów, dres, piżamę, kosmetyki i tak dalej. Żebym miała najpotrzebniejsze rzeczy na kilka dni. I przynieś mi jakąś bluzkę i buty. I poszukaj mojej torebki. Nie mam pojęcia, gdzie ją zapodziałam.

– Jest tutaj. – Jacek podnosi torebkę z fotela. – Chcesz?

– Nie.

Kinga szybko się uwinęła. Parę minut później wszystko jest spakowane i czeka przy łóżku, a ja mam na sobie świeżą bluzkę i baleriny.

– Jedziemy na pogotowie, zbadają cię, a potem? – Jacek zakłada na ramię pasek sportowej torby.

– A potem zabierzesz mnie do domu.

– Jesteś pewna, że to dobry...

– Tak, jestem pewna.

Już nigdy tu nie wrócę.

Nikt nas nie zatrzymuje. Nie wiem, gdzie skrywa się mama, gdy opuszczam z Jackiem dom. I dobrze, bo nie zniosłabym konfrontacji i słów, że mam zostać, bo przecież jestem małąletnią smarkulą, która winna się jej słuchać. Tym razem Jacek wszędzie ze mną idzie. Na szczęście lekarka nie wnika, kim jest mój towarzysz. Robi USG, później badają saturację i morfologię krwi. Z wynikami wracamy do gabinetu. Pani doktor uspokaja. „Absolutnie nic złego się nie stało, możecie państwo wrócić do domu”. Jacek płaci za wizytę i opuszczamy pogotowie, trzymając się za ręce.

Ledwie przekraczam znajome progi, a od razu czuję się lepiej. Pani Justyna dostaje polecenie, że ma przynieść dla mnie lekki, ale pożywny posiłek, po czym Jacek prowadzi mnie do swojej sypialni i każe usiąść na łóżku.

– Na razie tu będziesz spała – oznajmia, kładąc torbę tuż obok mnie.

– A ty?

– Milena, posłuchaj. – Kuca przede mną. – Zjesz obiad, jeśli chcesz, możesz wziąć prysznic, ale szybki i Boże broń nie w gorącej wodzie. Pamiętaj, co mówiła lekarka?

– Uhm.

– Nie powinnaś długo stać, bo znów zasłabniesz.

– Pamiętam.

– Zjesz coś, a potem się zdrzemniesz. Zgoda?

- A ty? – powtarzam jak katarynka.
- Poczekam, aż zaśniesz.
- Nie chcę być sama.
- Okej, zostanę tu. Wezmę jakąś książkę i poczytam. Może tak być?
- Dobrze.

Jest mi łatwiej, kiedy mną dyryguje. Wypakowuje torbę, układa ubrania na fotelu, a kosmetyki i przybory zanoszą do łazienki. Wkrótce potem pani Justyna przynosi obiad dla mnie i dla Jacka. Zjadam wszystko: przecieraną zupę warzywną z grzankami i zapiekanekę z ryżu i jabłek. Nie pamiętam, kiedy ostatnio aż tak się najadłam, a to, że dopisuje mi apetyt, jest co najmniej dziwne. Po kwadransie Jacek wzywa którąś z pokojówek, żeby zabrała naczynia, prosi o czarną kawę dla siebie, a dla mnie drugą szklanekę kompotu. Idę wziąć prysznic, zakładam dresowe spodnie i T-shirt, bo jeszcze jest jasno, a w piżamie czułabym się idiotycznie, i wracam do sypialni, odświeżona i ze znacznie lepszym samopoczuciem.

- Teraz się prześpisz, a później pogadamy. Jasne?
- Uhm.

Nawet gdybym chciała, nie mam siły, by zaproponować. Doktor Łuczak dała mi listek z białymi pigułkami, powiedziała, że to łagodny lek uspokajający całkowicie bezpieczny dla dziecka i że przez następny tydzień powinnam codziennie zażyć jedną tabletkę. Koniecznie po jedzeniu. Również o tym pamiętał Jacek, stąd kompot. I błoga senność, która mnie ogarnia. Kiedy się budzę, jest już bardzo późno. Za oknem panuje ciemność, sypialnię oświetla słaba nocna lampka i monitor laptopa. Jacek siedzi w fotelu. Wpatruje się w ekran, jego palec co rusz przesuwa się po touchpadzie, a fale na czole wskazują, że jest na czymś bardzo skupiony.

- Długo spałam? – pytam cicho, żeby go nie wystraszyć.
- O. – Natychmiast podnosi wzrok. Odkłada laptop na stolik i podchodzi do mnie. Przysiada na brzegu materaca i spogląda na mnie z troską. – Jak się czujesz?
- Bardzo dobrze. Wyspałam się za wszystkie czasy. – Zasłaniam usta ręką, żeby nie widział, jak ziewam.

- Teraz nie zaśniesz w nocy – śmieje się cicho. – Już prawie północ.
- Naprawdę? – Nie mogę uwierzyć, że minęło tyle godzin. Nigdy wcześniej nie zdarzały mi się tak długie popołudniowe drzemki. W ogóle się nie zdarzały, bo nie znoszę spać w dzień. Budzę się rozbita i nie do życia. – Zaszalałam. – Siadam i energicznie rozcieram policzki.
- Posłuchaj... – Jacek przełyka ślinę. – Dzwoniła Edyta.
- I co mówiła? – Udaję, że sływa po mnie ta informacja, lecz to tylko pozory.
- Pytała, jak się czujesz i czy może tu przyjść.
- A ty odpowiedziałeś, że... – zawieszam głos.
- Że czujesz się dobrze i śpisz.
- Na razie musi poczekać. Bardzo długo poczekać, o ile w ogóle kiedykolwiek będę chciała się z nią spotkać. Tak właśnie jej powiedz, jeśli znów zadzwoni.
- Założmy, że na ten moment masz moje pełne wsparcie i możesz na mnie liczyć.
- Na ten moment? Założmy? – Poprawiam się na łóżku, bo nie chcę sprawiać wrażenia słabej i bezbronnej. – Co to znaczy na ten moment?
- Na razie możesz tu zostać.
- A później? Chcesz mnie wyrzucić? Kazać wrócić do domu? Po tym wszystkim, co zrobiła mi mama? Co NAM zrobiła?! – Podnoszę głos. – Powiedz, że śnię! Że jeszcze ciągle się nie obudziłam! Powiedz, że cały ten dzień to jakiś pieprzony koszmar, a potem mnie mocno uszczypnij! – Zamaszyście odrzucam kołdrę, spuszczam nogi z łóżka i próbuję wstać.
- No właśnie, próbuję. Zbyt gwałtownie się zerwałam i sekundę później Jacek łapie mnie pod pachy. Gdyby nie on, upadłabym jak długa. Trzyma mnie mocno i tuli do piersi. Pewnie dlatego natychmiast się rozklejam. Bo jest jak kiedyś. Obejmuje mnie jak zawsze, pachnie jak zawsze, a jego serce bije głośno jak zawsze. Teraz tylko czekać, żeby czule powiedział, że mnie kocha, i pocałował, ale nie we włosy czy dłoń, tylko w usta. Jak zawsze.
- Nie płacz, błagam... – Czuję, że potrzęsa głową. – Błagam, nie płacz, bo... Bo nie wiem, co zaraz zrobię.

Mimo groźby nie potrafię stłumić rozpacz. Szlocham w jego ramionach, jakbym chciała rozpląnąć się w łzach. Ale nawet najdłuższy płacz nie trwa wiecznie, zaczynam cichnąć, to już nie gwałtowny szloch, a łkanie, które powoli zmienia się w żalosne chlipnięcia. Nie wiem, kiedy usiedliśmy. Jacek nadal mocno mnie przytrzymuje i pozwala, żebym wycierała twarz w jego koszulę.

– Może coś ci opowiem? – proponuje.

Skwapliwie kiwam głową, bo naprawdę mam już dość łez, więc mówi, że niedawno spotkał swojego kumpla z wojska.

– To było ze dwa lata temu. Spotkałem Grześka na przyjęciu w rosyjskiej ambasadzie. Okazało się, że po wojsku zaczął studia medyczne. Ot, tak mu strzeliło do łba, bo kiedyś chciał iść na zawodowego – wyjaśnia. – Mówił, że jest genetykiem i pracuje w Moskwie w jakiejś prywatnej klinice leczenia niepłodności. Dał mi wizytówkę, ja mu swoją, wypiliśmy po kielichu, no może trochę więcej ich było, i to wszystko.

– On jest genetykiem, tak?

– Tak.

Przez chwilę jestem cicho jak myszka. Przestałam płakać, za to intensywnie myślę. Dlaczego Jacek opowiedział mi tę pozornie niewinną i dosyć nudną historyjkę? Na pewno miał w tym cel. I chyba wiem jaki.

– Zadzwonisz do niego?

– Już to zrobiłem. Gdy spałaś.

– Aha. I co powiedział?

– Masz aktualny paszport? Na pewno masz – odpowiada za mnie. – Trzeba pogadać z Edytą. Grzesiek mówił, że musimy przyjechać na miejsce, bo w Polsce nie mają żadnych oddziałów, poza tym u nich można załatwić wszystko znacznie szybciej niż tu.

– Co załatwić?! – Odrywam się od Jacka jak oparzona. Celuję wskazującym palcem prosto w jego pierś i wypalam: – Chyba nie myślisz, że...

– Nic nie myślę. – Wcale się nie przejął moim atakiem. Chwyta mój nadgarstek i twardo mówi, że mam się natychmiast opanować. – Nie jestem

twoim wrogiem. I nie chcę zrobić ci krzywdy. Ani tobie, ani dziecku. Rozumiesz?

– Więc po co mam tam lecieć? Na dodatek do Rosji? Nie było lepszego miejsca? – pytam obronnym tonem. Wyrwam rękę i pocieram ją, od razu zauważając przeprosiny w oczach Jacka, ale nie dam się teraz obłaskawić. – I żebyś wiedział, że nie pozwolę nikomu podejmować decyzji za mnie, nawet tobie – oznajmiam.

– Razem tam polecimy. Po pierwsze, żeby potwierdzić lub wykluczyć to, co mówiła Edyta. A po drugie, gdyby faktycznie... – zaczyna się – gdyby okazało się, że faktycznie jesteśmy spokrewnieni w linii prostej, trzeba zbadać dziecko. Jeszcze w łonie matki.

– Ten Grzesiek ci to powiedział? – Przymrużam oczy. – Ufasz mu? On w ogóle się na tym zna? A jak rozgada?

– Milena... – Jacek ciężko wzdycha. – Komuś musimy zaufać. Zanim do niego zadzwoniłem, szukałem informacji w necie. Musimy się zbadać. Ty, ja – wskazuje palcem – a przede wszystkim trzeba zbadać dziecko.

– A po co? Przecież jest zdrowe. Obie lekarki tak mówiły.

– To nie takie proste. – Zakłada ręce za głowę i chwilę je tak trzyma. Pod pachami ma wielkie zakola z potu. Aż ściska mnie w dołku, gdy pomyślę, ile to wszystko musi go kosztować. – Chodzi o geny. Nie znam się na tym, wiem, ile przeczytałem w internecie i trochę od Grzegorza. Powiedział, że najlepiej, jeśli oboje jak najszybciej przyjedziemy do kliniki i tam nas zbadają. Zrobią diagnostykę genetyczną nas trojga. Niewykluczone, że nawet Edyta będzie musiała się pofatygować, żeby wykluczyć u niej jakieś geny, którymi mogła cię obciążyć jako matka.

– Jakie geny? – Patrzę na niego podejrzliwie.

– Nie wiem! – Wyrzuca w górę ręce. – Mówiłem ci, nie znam się na tym. Dlatego musimy skorzystać z fachowej pomocy.

– A jeśli się nie zgodzę?

– To się nie zgodzisz. Masz prawo.

– Ale chciałbyś, żebym się zgodziła?

– Tak. Bardzo. Chodzi mi o ciebie, lecz także o dziecko.

- To prywatna klinika?
- Tak.
- Płatna?
- Oczywiście.
- A jeśli ktoś się dowie?
- Nikt się nie dowie. Grzegorz mówił, że będziemy posługiwać się godłami.
- Jakimi godłami?
- Nadal możesz być Klaudią Janik, a ja będę Janem Kowalskim.
- Kamilą Janik – poprawiam odruchowo.
- To nie jest klinika dla zwykłych zjadaczy chleba. Nie stać ich.

Wystarczy?

- Daj mi pomyśleć. – Wstaję i podchodzę do laptopa. Chcę coś zobaczyć.
- Nie powinnaś tego czytać.
- Dlaczego? – Podnoszę klapę i spoglądam na Jacka.
- Bo nie. Mogę cię o to prosić?
- Jakie masz hasło?
- Nie powiem. Jeśli chcesz, sama poszukaj informacji, ale tego nie zobaczysz.

Ustępuję, bo Jacek na pewno nie poda mi hasła, ale najpierw musi powiedzieć, czego nie powinnam czytać.

– Grzesiek wysłał mi kilka artykułów medycznych. Zerknąłem. Niepotrzebnie.

– W porządku. – Siadam przy nim i bezmyślnie skubię nitkę wystającą ze szwu spodni. – Dobrze, pojedziemy do Moskwy – mówię po chwili.

– Dobra decyzja. Dziękuję.

Jacek załatwił wizy, zdobył mój paszport, choć nie obyło się bez tarć i żalostnej próby szantażu, bo mama warunkowała zgodę na mój wyjazd swoim towarzystwem. Powiedziałam jej, że może lecieć do Moskwy, może przebywać w klinice i zasadniczo mam to gdzieś, bylebym nie musiała jej

oglądać. Może i dobrze, że przyjechała do kliniki równocześnie z nami, bo jej obecność okazała się konieczna, ale Jacek zadbał o bezkolizyjny pobyt.

Klinika dysponuje częścią hotelową. I tam mieszkaliśmy ja oraz Jacek, a mama? A co mnie to obchodzi, gdzie mieszkała przez te trzy długie tygodnie.

Pobrali od nas wiaderko krwi. I kazali czekać. Później odbył się bardzo nieprzyjemny zabieg biopsji i znów czekanie. Po dziesięciu dniach miałam ochotę wyć. A potem przyszły wyniki. Jak w tym dowcipie: „Mam dla państwa dwie wiadomości: dobrą i złą”. Dobra to ta, że nasz syn, bo już wiemy, że to chłopczyk, jest zdrowy. Pakiet dokumentacji medycznej, którą otrzymaliśmy, oczywiście w kilku kopiach, liczy sobie kilkadziesiąt stron. I jest w dwóch językach: zupełnie nieprzydatnym rosyjskim i po angielsku. Co z niego wynika? Że u dziecka wykluczono – tu następuje bardzo długa lista najrozmaitszych chorób, aberracji chromosomalnych i wad genetycznych.

A zła wiadomość?

Wyniki badań naszego DNA nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości. Na razie o tym nie myślę. „Najważniejsze, że dziecko jest zdrowe” – powtarzam to sobie tysiąc razy dziennie. Ja i mój zdrowy syn oraz jego tata wracamy do Polski, do domu. Już znamy prawdę i teraz musimy się z nią zmierzyć. Na szczęście TYLKO my ją znamy. Trzy osoby, bo doktora Grzegorza nie liczę. Personelu kliniki też. Dla nich byliśmy jedną z par, które miały problem. Co ciekawe, kolega Jacka na odchodnym wręczył mi jakieś cienkie czasopismo. Niestety po rosyjsku, a ja też chciałam przeczytać. Jacek zna ten język, pochłonął całość jeszcze w czasie lotu. Oczywiście spytałam go, co ciekawego tam znalazł, ale zbył mnie.

Znajduję czasopismo, chociaż skrzętnie je ukrył. Jest w szufladzie z bielizną. Czemu nie skorzystał z sejfu? Tam byłoby bezpieczne. Robię zdjęcia każdej stronie, na szczęście jest ich zaledwie dwanaście, i wrzucam do tłumacza Google. To chyba najgorszy przekład, jaki widziałam, ale wystarczający, by zrozumieć treść. Grzegorz – kocham cię, człowieku! – dał Jackowi fachowe pisemko poświęcone w całości statystykom

dotyczącym związków między blisko spokrewnionymi osobami. To wielka ulga wiedzieć, że nie tylko my.

Ulga i argument.

Chcę odzyskać Jacka. Chcę nie tylko z nim mieszkać, rozmawiać, wspólnie spędzać czas, a kiedyś w przyszłości razem wychować dziecko. Pragnę go całego. Za tydzień kończę osiemnaście lat. Będę pełnoletnia, chcę wziąć z nim ślub, nosić jego nazwisko i być żoną. Szukam w sieci kolejnych informacji, a nawet kupuję serię książek o historii miłości między rodzeństwem. Oni wiedzieli, że są bratem i siostrą, wychowywali się razem, a my? Nie mieliśmy o tym pojęcia.

– A gdyby moja mama nie powiedziała nam prawdy? Co wtedy? Zastanawiałeś się nad tym? – pytam Jacka przy kolacji, którą jemy w mojej sypialni.

Tak, mam swoją sypialnię. Na drugim końcu korytarza. Jest piękna, urządzona w pastelach, pełna delikatnych kobiecych akcentów i pluszowych poduszek, a na komodzie pod wielkim lustrem zawsze stoi wazon ze świeżymi kwiatami. Nienawidzę tego pokoju.

– Ale powiedziała. I wiemy.

– A gdyby nie powiedziała, bo nie mogła nam powiedzieć? Gdyby to moja mama umarła zamiast... – zacinam się na moment – zamiast mojego taty?

– Milena... – Jacek odkłada sztucce. – Twoja matka żyje. Ojciec też – dodaje. Jego twarz ściąga spazm bólu. – W tym rzecz. Musimy pogodzić się z prawdą.

– Czemu nie powiedziałaś, co jest w tej broszurze od doktora Grzegorza? Ukryłeś to przede mną – mówię oskarżycielskim tonem. – To naprawdę wstrętne z twojej strony.

– Czytałaś? – wzdycha ciężko.

– Tak. Znalazłam ją, przetłumaczyłam i przeczytałam.

– To niczego nie zmienia.

– Jak to niczego nie zmienia? – Aż mną trzęsie, kiedy jest taki obojętny. – Poczekaj, coś ci pokażę. – Wstaję, żeby zabrać książki z nocnej szafki.

Czytam je w kółko, znam prawie na pamięć. Kładę je przed nim i mówię, o czym są.

– Posłuchaj... – Jacek odsuwa stos książek, nawet na niego nie spojrzawszy.
– Usiądź i posłuchaj.

– Dobrze. – Wracam na swój fotel. Nie chcę się kłócić. Nie mogę ze względu na dziecko.

– Wiem, co jest w tej broszurze, i domyślam się, po co dał mi ją Grzegorz. Masz rację, powinienem był ci to przekazać. Nasze dziecko jest zdrowe. Codziennie modlę się, żeby nadal tak było. Wiem też, że prawdopodobnie udałoby się nam ukryć prawdę, bo Edyta nie powie nikomu, co łączy mnie i ciebie.

Zastygam w bezruchu, widząc walkę, która choć rozgrywa się w sercu Jacka, jest dla mnie widoczna jak na dłoni.

– Skoro tak, dlaczego mnie odrzucasz? – pytam cicho. – Nie pozwalasz być ze sobą, śpisz w innej sypialni, nie całujesz, nie dotykasz, nie pragniesz. Możemy być szczęśliwi. Razem. Nikt się nie dowie, sam to powiedziałaś. Mieliśmy dużo szczęścia, bo nasz syn jest zdrowy, a przecież mogło być inaczej. Nie musimy mieć więcej dzieci. Założę sobie implant. Nigdy nie zajdę w ciążę. A pamiętasz, co mówił Grzegorz? Że u nich w klinice można kupić komórkę jajową od dawczyni. Gdybyś bardzo chciał mieć drugie dziecko. Urodzę je dla ciebie, dla nas – poprawiam się.

– Ja już mam drugie dziecko – mówi. Jego głos jest pełen cierpienia. – Wkrótce urodzi się mój syn, ale prócz niego mam piękną, mądrą i ukochaną córkę. Kocham cię nad życie, rozumiesz? Zrobiłbym dla ciebie wszystko, ale nie każ mi zapominać o tym, że jesteś moim dzieckiem.

– Ale ja cię kocham – wykrztuszam. – Chcę być z tobą, jak kiedyś.

– To niemożliwe.

– Nieprawda. Wszystko jest możliwe.

Cała drzę, lecz muszę zrobić pierwszy krok, podjąć za nas decyzję, poruszyć Jackiem, sprawić, że przypomni sobie, co nas łączyło. Przecież i tak nie da się o tym zapomnieć, wymazać, uznać za niebyłe, bo jestem w

ciąży. Wstaję i podchodzę do drzwi, żeby zamknąć je na klucz. Odwracam się i patrzę Jackowi w oczy.

– Co robisz... – z jego ust wyrywa się jęk, gdy zdejmuję sukienkę.

Specjalnie taką dziś założyłam, z cienkiej dzianiny, elastyczną, którą można zdjąć przez głowę lub rozpiąć długi suwak i zrzucić z ramion.

– Chcę, żebyś zobaczył, jak teraz wyglądam. Noszę twoje dziecko – mówię, podchodząc bliżej. – Popatrz, jest tutaj – spuszczam wzrok, żeby spojrzeć na wypukły brzuch. Kładę na nim dłoń i z czułością głaszczę. – Widzisz? – pytam, nadal nie patrząc Jackowi w oczy. – Jestem w ciąży, urodzę naszego syna. Pamiętasz pierwsze zdjęcie z USG? Powiedziałeś, że to się dzieje. – Odrywam rękę, by rozpiąć biustonosz. Po chwili stanik spada u moich stóp. Dopiero teraz podnoszę wzrok na Jacka. – Popatrz, jaka jestem, i powiedz, że mnie nie chcesz...

PAULA



I po egzaminach maturalnych. Martyna ma więcej czasu i gdy już do mnie wpada, siedzi kilka godzin, co bardzo mnie cieszy, bo naprawdę ją polubiłam. To moja najlepsza i jedyna przyjaciółka. Nasza przyjaźń jest trochę dziwna, a na pewno inna niż typowe przyjaźnie między młodymi kobietami. Czasami siedzimy na tarasie, obie z twarzami wystawionymi w stronę słońca, i milczymy. Mija minuta, dwie, pięć, a my milczymy i żadnej z nas to nie przeszkadza. Fajnie jest tak siedzieć blisko siebie i milczeć. I nie czuć najmniejszego zakłopotania z tego powodu.

Martyna słucha uważnie, gdy mam ochotę o czymś jej opowiedzieć, nie zadaje miliona zbędnych pytań i nie robi czegoś, co osobiście uważam za okropnie irytujące, a mianowicie nie próbuje mnie przebić i uraczyć na siłę podobną historyjką ze swojego życia, oczywiście znacznie bardziej ekscytującą. Opowiada o swoim facecie, a ja słucham, śmieję się razem z nią i solidarnie wkurzam, gdy chłopak ją wkurzył. Nie oceniam, ponoć to rzadkość – tak mówi Martyna. Dlatego uwielbia ze mną rozmawiać. Inna rzecz, że jak większość zakochanych dziewczyn ona też lubi paplać o obiekcie swoich uczuć, a ja jestem bardzo wdzięcznym słuchaczem. Jeszcze trochę i będę znać Adka prawie tak samo dobrze jak ona sama. Włącznie z detalami dotyczącymi TYCH spraw. Jeśli chodzi o moje życie, opowiadam o nim mniej. Oczywiście Martyna wie, gdzie pracuję i czym się tam zajmuję, a nawet zna historię „Oblecha”. Musiałam zdradzić prawdę,

ponieważ prędzej czy później i tak by ją poznała, przecież zatrudniłam jej kuzynkę. Dlatego wie, co to za typ. Co do Pawła, czasami próbuje pociągnąć mnie za język, ale rzadko i nienachalnie.

Ostatnia sobota maja zapowiada się wyjątkowo paskudnie. Od rana siąpi deszcz, niebo zasłania nieprzenikniona pierzyna sinych chmur, a na zewnątrz jest przenikliwie zimno. Szkoda, bo planowałam pracę w ogrodzie. Jak na nieszczęście Martyna umówiła się dzisiaj z Adrianem i nie przyjdzie mnie odwiedzić. Jej chłopak pracuje w każdą sobotę, ale tę wyjątkowo ma wolną. Cóż, nie mogę mieć pretensji, że wybrała randkę zamiast spotkania z przyjaciółką, za to ja snuję się po domu i nie wiem, co ze sobą począć. Pamiętam, jak swego czasu intensywnie korzystałam z Facebooka. Pod koniec tygodnia przynajmniej jeden z moich znajomych wstawiał na tablicę mem z podpisem: „Piątek, piąteczek, piątunio”. Oczywiście dawałam lajka, bo kto nie lubi weekendów? Teraz załajkowałabym mem z tekstem: „Poniedziałek, poniedziałczek, poniedziałkunio”.

Mija południe, potem pierwsza, zjadam pulpety ze słoika, wypijam drugą kawę, piszę do Anity, zmieniam pościel, szukam jakiegoś e-booka na Amazonie, ale nic mnie nie cieszy. I nie interesuje. Gdy przed drugą słyszę dzwonek do drzwi, aż podskakuję z radości. Martyna mówiła, że randka z Adkiem może nie wypalić, bo jego ojciec chciał dzisiaj odmalować garaż i przydałaby mu się pomoc. Lecę jak na skrzydłach, żeby powitać gościa, cała w skowronkach otwieram drzwi i...

– Cześć.

– Cześć – wykrztuszam. – Co tu robisz?

– Przeszkadzam? – Paweł szybko zerka w głąb korytarza. – Martyna jest u ciebie?

Już zamierzam potaknąć, ale ostatnio coraz słabiej wychodzą mi kłamstwa, więc mówię, że jestem sama.

– Mogę wejść?

– Proszę. – Odsuwam się od drzwi.

– Przepraszam, że tak bez uprzedzenia... – tłumaczy się, idąc za mną.

Przerywa mu donośne pukanie do drzwi, a chwilę później stoimy we trójkę na środku holu: Paweł przestępujący z nogi na nogę, Martyna z błyskiem ciekawości w oku i kawałkiem ciasta zapakowanym w papier oraz ja – wkurzona obrotem spraw.

– Cześć. – Paweł podaje jej rękę.

– Cześć.

– Może wejdziecie? – Wskazuję ręką salon.

– Zasadniczo – Paweł szczerzy się radośnie – chciałem cię gdzieś porwać.

– Obawiam się, że nici z twoich planów, bo... – Przenoszę wzrok na Martynę, ale ta natychmiast pozbawia mnie idealnej wymówki.

– Przyniosłam placek i zaraz uciekam. Umówiłam się z Adrianem.

„Nie! Tylko nie to!”

– Uff... – Twarz Pawła natychmiast się rozpogadza. – Czyli masz wolne popołudnie?

– A dokąd chcesz ją porwać?

Właśnie pierwszy raz, odkąd się znamy, mam ochotę zamordować Martynę.

– Niespodzianka.

„Idiota”.

– Uwielbiam niespodzianki, zwłaszcza te romantyczne.

„Wobec tego niech ciebie porwie, a ja zostanę w domu i w spokoju zjem ciasto”.

– Nie wiem, czy jest romantyczna. Nie mnie oceniać.

„Co za skromniś?!”

– Na pewno taka będzie.

– Halo, jestem tutaj, gdybyście nie zauważyli. – Zabieram ciasto i rzucam Martynie spojrzenie bazyliuszka. Może pojmie, że nie mam najmniejszej ochoty nigdzie jechać z Pawłem. – Wspominałam, że nie znoszę niespodzianek tak samo jak niezapowiedzianych wizyt?

– Oj, przestań. To miłe, że... – Milknie pod wpływem mojego wzroku.

„Zdrajczyni! Policzę się z tobą, zobaczysz!”

– Brownie? – odzywa się ni z gruszki, ni z pietruszki Paweł.

- Tak. Pierwszy raz robiłam. Nie wiem, czy mi wyszło.
- Na pewno. – Rozchyłam papier i zaglądam do środka. Nie żeby w tym momencie interesowało mnie ciasto. Chcę zebrać myśli.
- Wszystko mi opowiesz – oświadcza Martyna. – Wpadnę do ciebie jutro wieczorkiem, a na razie lecę. Trzymajcie się, miłego popołudnia. – Cmoka mnie w policzek, uśmiecha się do Pawła i już jej nie ma.
- To jak? Dasz się porwać?
- „Bezczelność!”
- Nie lubię niespodzianek.
- Okej. Chciałem cię zabrać do parku wodnego. Mówiłaś, że umiesz pływać, dlatego pomyślałem, że...
- Czemu mnie nie uprzedziłeś? Myślisz, że wystarczy skinąć palcem i już? A może mam inne plany?
- Nie masz.
- Paweł... – ciężko wzdycham.
- Jestem wkurzona, bo traktuje mnie jak... No właśnie? Jak on mnie traktuje? Sama nie wiem. Próbuję odgadnąć jego myśli. Czyżby nie wątpił, że się zgodzę? Był pewien, że przystanę na propozycję i pojedę z nim? I dlaczego mnie nie słucha? Nie widzi, że próbuję go unikać? Do diabła, niech nareszcie da mi spokój! Zbieram się w sobie, hardo unoszę brodę i mówię...
- Zgoda. Daj mi pięć minut. Spakuję strój i klapki.
- Było warto! Ma minę idioty. Zbaraniał kompletnie. Stoi i patrzy na mnie, jakby ujrzał ducha dawno zmarłej prababki, o ile kiedykolwiek miał prababkę. Dla lepszego efektu wręczam mu pakunek z ciastem i bez słowa idę do sypialni po rzeczy. Równe pięć minut później wracam. Na moim ramieniu wisi sportowa torba, a ze środka wystaje ręcznik.
- Nie poczęstowałaś się? – Wskazuję brodą ciasto.
- Nie. – Paweł spogląda to na mnie, to na brownie. – Nie mówiłaś, że mogę.
- Daj.

Zabieram ciasto i zanoszę do kuchni. Zjem po powrocie, czyli... szybciej, niż Paweł się spodziewa.

– Gdzie ten park? – pytam go ledwie ruszyliśmy.

– W Krakowie.

– Daleko.

– Śmigniemy autostradą z Chrzanowa.

– Byłeś tam kiedyś?

– Jeszcze nie. A coś nie tak z tym miejscem? – Zerka na mnie z niepokojem.

– Nie mam pojęcia. Też tam nie byłam.

– Dzięki, że się zgodziłaś.

– Możesz włączyć radio?

– Zetkę Classic?

– Wszystko jedno.

Kilka minut później Paweł pyta, czy jestem na niego zła. Oczywiście zaprzeczam. Nie, no skądże, wcale nie jestem zła, ani tyci. Nie jestem zła na niego, a już na siebie? W życiu! Przecież nie mam powodów. Potrafię idealnie zapanować nad emocjami, zupełnie mnie nie rusza jego bliskość, to, że przy każdym najmniejszym ruchu czuję jego zapach, ani to, że za dwie godziny mogłabym do bólu skatować własne oczy, patrząc na Pawła paradującego w jakichś seksownych kąpielówkach. Żaden problem, już sobie wyobrażam spojrzenia lasek, które zobaczą Pawła. A wisienką na torcie będzie, jeśli któraś z tych słodkich niuń go rozpozna i zsika się z wrażenia do basenu, po czym pobiegnie po swojego srajfona, żeby zrobić sobie fotkę z didżejem Dragonem. To będzie hit! Na szczęście ten scenariusz nie ma szans na realizację.

Zauważam znak informujący, że za chwilę stacja benzynowa. Proszę Pawła, żeby kupił butelkę wody mineralnej, i wręczam mu dychę. Drugą chowam do kieszeni. Naturalnie mogę liczyć na jego dżentelmeńskie maniere. Zatrzymuje samochód kilka metrów przed wyjazdem ze stacji i idzie po wodę. Ledwie znika za przesuwными drzwiami, a przełączę na jego miejsce. Zostawił zapalony silnik. Och, jakież z niego naiwniak. Zapinam

pasy, zerkam do wstecznego lusterka i przez chwilę rozważam, czy zmienić ustawienie fotela, ale nie jest tak źle, żebym nie mogła przejechać kilometra czy dwóch. Czekam...

Paweł pojawia się w drzwiach. Natychmiast ruszam. Miałam obawy, że kompletnie zapomniałam, jak to jest siedzieć na miejscu kierowcy, ale były niepotrzebne. Wszystko pamiętam, na dodatek to prawie identyczny model range rovera, jaki miał kiedyś mój ojciec. Wrzucam kierunkowskaz i wjeżdżam na główną ulicę. Na szczęście to mała stacja benzynowa, w równie małej wiosce, więc jezdnia jest pusta. Oho! Właściciel samochodu już zauważył, że pasażerka wywinęła mu niezły numer. Chichoczę, widząc, co się dzieje.

Jadę bardzo wolno, raczej się toczę, niż jadę, zerkam co rusz do lusterka, żeby we właściwym momencie przyspieszyć. Paweł już prawie mnie dogania, trzeba przyznać, że naprawdę jest wysportowany. Tym bardziej że droga w tym miejscu wspina się ostro pod górę. Nie zamierzam kontynuować tej zabawy w nieskończoność, bo w końcu Paweł ustąpi, zatrzyma się i już. Pokonuję jeszcze niecały kilometr, na przemian zwalniając i przyspieszając, gdy zmniejsza się dystans między samochodem a Pawłem. W końcu po przeciwnej stronie jezdni spostrzegam przystanek autobusowy, zjeżdżam na pobocze, zatrzymuję samochód i włączam awaryjne.

Wprawdzie to nie ja przebiegłam prawie dwa kilometry, ale moje serce wali jak oszalałe. Nie spuszczam oka z Pawła. Zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów od samochodu. Stoi i pije wodę. W końcu opróżnia butelkę, rzuca ją do przydrożnego rowu i rusza w moją stronę. Idzie pozornie spokojnie, lecz jestem pewna, że w razie potrzeby wystartuje niczym sprinter. Przez chwilę kusi mnie, żeby sprawdzić, czy faktycznie tak jest, ale już znudziła mnie ta zabawa. Czekam. Chwilę później Paweł staje przy moich drzwiach. Opuszczam szybę. Z satysfakcją stwierdzam, że jest jeszcze bardziej wkurzony niż ja, gdy wymusił na mnie ten wyjazd. Wkurzony i zdyszany.

– Odbiło ci?! – Potrząsa głową. – Mówiłaś, że nie masz prawa jazdy!

- Ale potrafię prowadzić – oznajmiam ze spokojem.
- Otwieraj! – Szarpie za klamkę.
- Już.

Wysiadam, ostentacyjnie przechodzę na drugą stronę jezdni i skrywam się pod wiatą przystanku, bo ciągle siąpi deszcz, a ja nie mam parasola. Paweł stoi, trzyma drzwi samochodu i gapi się na mnie bez słowa. Nie trzeba być znawcą ludzkiej psychiki, żeby stwierdzić, że złość kipi z niego jak z garnka.

- Paula, co ty odpierdalasz?! – krzyczy.

„Odpierdalasz? Łał!” – Z trudem powstrzymuję śmiech. Nigdy nie słyszałam, żeby kłął, a tu proszę, jakie ładne mięsko! I to w stosunku do kobiety? Niezła jestem! Brawo ja! Doprowadziłam panicza do furii.

- Wracaj!
- Odczep się!

Paweł zamyka samochód i przybiega do mnie.

- O co ci chodzi? – cedzi przez zaciśnięte zęby.

– O nic. – Odwracam głowę i patrzę w bliżej nieokreślonym kierunku. W oddali majaczy wieża kościoła. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, ale niezbyt daleko od Grabówka. Nie więcej niż piętnaście kilometrów. Wracam wzrokiem i pytam z ironią, czy spodobała mu się moja niespodzianka.

- Mogłaś powiedzieć, że nie chcesz jechać.

– Mówiłam.

- Nieprawda. Zgodziłaś się.

– Kiedy do ciebie dotrze, że nie chcę mieć z tobą nic wspólnego poza tym, co nas łączy w związku z pracą?

- Właśnie dotarło – wypala bez namysłu. – Cześć.

Odwraca się na pięcie, wsiada do samochodu, a po chwili zostaję sama jak palec. I będę tu stać przez co najmniej dwie godziny, bo już zdążyłam przeczytać rozkład jazdy. W soboty prawie nic nie jeździ tą trasą, na dodatek mój telefon został w torbie, więc taksówki z pobliskich Kęt też nie wezwę. W kieszeni kurtki mam tylko klucze od domu i chusteczkę. I

jeszcze dychę na bilet. Uroczo! Cóż za wspaniałe sobotnie popołudnie. Niespodzianka jak się patrzy. Ale nie narzekam. Dałam Pawłowi niezłą nauczkę. Ha!

Satysfakcja jest bardzo miłym uczuciem, niestety trwa zbyt krótko. Po paru minutach już nie cieszy jak na początku, a po dziesięciu prawie jej nie czuję, za to jest mi zimno, bo wiata nie ma bocznych ścian. Może wrócę na stację? Powinnam dać radę. Dwa kilometry z górki? Rozgrzeję się. Przechodzę na drugą stronę jezdni i ruszam żwawo. Od razu mogłam tak zrobić, a nie stać jak kołek na przystanku. W połowie drogi jestem przemoczona do majtek, bo wiatr zacina coraz mocniejszym deszczem. Buty też przemokły. Wszystko przemokło. I wcale nie czuję się rozgrzana marszem. Nieźle się władowałam. Kretynka!

Już widzę stację, więc od razu kielkuje we mnie nadzieja, że za chwilę schronię się pod dachem, skorzystam z toalety, a może nawet poproszę kogoś, żeby mnie odwiózł do Grabówka. Wprawdzie mam przy sobie zaledwie dziesięć złotych, ale w domu jest kasa. Układam w głowie jakąś sensowną historyjkę, kiedy słyszę za plecami odgłos nadjeżdżającego samochodu. No tak, Paweł. Wymija mnie i zatrzymuje auto przy zjeździe w pola jakieś dziesięć metrów dalej. Wysiada i z impetem trzaska drzwiami. Walnął tak mocno, że aż zachwiało range roverem. „Ups! Jeszcze go trzyma? Ponad pół godziny?!”

Przebiega na moją stronę i chwilę później stajemy twarzą w twarz.

– Coś się stało? – Przechyliłam głowę i patrzę na niego kpiarsko.

– Nic się nie stało.

Chwyta mnie za rękaw kurtki i ciągnie za sobą. Nie wierzę! Trzyma za szmaty i wlecze jak jakąś pieprzoną brankę turecką!

Co. To. Ma. Być?

– Puszczaj! – Próbuję się wyrwać, ale nie mam szans. Przecież nie zacznę się z nim bić na środku jezdni. Wprawdzie nic nie jedzie, ale nieopodal są jakieś zabudowania. Gdy ich mieszkańcy wyjrzą przez okno, zobaczą nas jak na dłoni.

– Uspokój się! – warczy Paweł.

– To mnie puść!
– Odwiozę cię do Grabówka.
– Sama dotrę.
– Ja cię zabrałem z domu i ja cię odwiozę!
– Poradzę sobie!
– Bardzo możliwe, ale nie dzisiaj! – Otwiera tylne drzwi i wrzuca mnie do auta jak worek ziemniaków. – Zapnij pas!

Siada za kierownicą i rusza z piskiem opon. Powrót do Grabówka zajmuje nam kilka minut. Gdy stajemy przed moim domem, mam sine dłonie, a z włosów wystających spod kaptura nadal kapie woda. Cała się trzęsę. Nie tylko z zimna, z emocji też. Nawet bardziej z tego drugiego powodu. Przegięłam, ale nie potrafię inaczej, to jest silniejsze ode mnie i absolutnie nie mam pojęcia, czemu tak koszmarnie się zachowuję w obecności Pawła. Jakbym traciła rozum. To jest niepojęte, głupie i nienawidzę siebie za to.

– Mogę wysiąść? – pytam, szcękając zębami.
– Tak.

Paweł nawet na mnie nie spojrzy. Też już wysiadł, zabrał moją torbę i prowadzi mnie do drzwi. Oczywiście znów trzyma za rękaw mojej kurtki. Nadal jest wkurzony. Słyszę jego oddech, szybki i głęboki, a w każdym wymawianym słowie wibruje gniew.

– Zajmę ci tylko chwilę – oznajmia tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wchodzimy do domu, Paweł rzuca torbę na posadzkę, butem zamyka drzwi i obraca mnie przodem do siebie. Mam wrażenie, że za moment jego dłonie przepalą kilka warstw mokrych ciuchów, które mam na sobie, a oczy przewiercą na wylot mój mózg.

– Czemu nie dasz mi spokoju? – pytam jękliwie.
– Dam ci spokój, przysięgam, ale najpierw...
– Co najpie... – nie kończę, bo zamyka mi usta pocałunkiem.

Obejmuje mnie, jego ręce zjeżdżają w okolice mojej talii, po czym szybko wracają, ujmują głowę, jakby bał się, że ucieknę, odsunę się, odwrócę twarz. Niepotrzebnie. Nie byłabym w stanie tego zrobić, a co

najgorsze i jednocześnie najlepsze, wcale nie chcę uciekać. Przynajmniej na razie. Tak właściwie mogłabym poddawać się temu do końca życia.

Paweł ma ciepłe i miękkie usta, słodką ślinę, a aromat jego oddechu jest niczym afrodyzjak. Prześlizguje językiem po mojej dolnej wardze, zasysa ją do swoich ust, delikatnie przygryza, kąsa, chwytając zębami, ale to w ogóle nie boli, przeciwnie, jest bardzo przyjemne. Powoli zaczynam oddawać pocałunek. Podnoszę ręce i oplatom je na karku Pawła. Chciałabym poczuć całą sobą jego dotyk i choć nadal moje ciuchy są mokre, a na stopach mam zupełnie przemoczone adidas, nie jest mi zimno. Płonę, roztopiam się w pragnieniu i tak bardzo nie chcę myśleć o tym, co będzie za chwilę, bo przecież coś będzie. Nie zapomniałam o jego słowach. Powiedział, że da mi spokój, a ja nie chcę spokoju. Czy w ogóle go miałam, odkąd pierwszy raz zobaczyłam Pawła? Nie, nie miałam. Nie było dnia, a ostatnio nawet godziny, żeby ten chłopak nie zagościł w moich myślach.

Nawet najdłuższy i najbardziej żarliwy pocałunek kiedyś musi się skończyć. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nie wiedzieć kiedy przewędrowaliśmy razem pod ścianę. Opieram się o nią plecami, pewnie dlatego jeszcze stoję. Moje nogi są jak z waty, cała dygoczę, a w uszach tętni krew. Przetacza się z głośnym szumem, wypełnia każdą najmniejszą komórkę ciała, pulsuje nawet w cebulkach włosów. Unoszę powieki. Paweł patrzy na mnie. Nie wiem, jak odczytać to, co widzę w jego oczach. Co teraz będzie? Co powie? W jaki sposób ostatecznie rozprawi się ze mną i resztkami mojego serca?

Zerkam w prawo. Paweł oparł dłoń o ścianę tuż przy mojej głowie. Nie mam już sił na walkę, więc pozwalam sobie na okazanie słabości i opieram skroń na jego nadgarstku. Co mi tam? I tak przegrałam.

– Jesteś zadowolony? – szepczę.

– Nie rozumiem.

– Już wiesz. Wiesz, że mi się podobasz, że na mnie działasz, że jestem głupia, że możesz zrobić ze mną wszystko – wymieniam cicho. – Powinieneś być dumny. Dopiąłeś swego.

– Paula, to nie tak. – Krzywi się, jakby go coś zabolalo. – Nie chcę ci nic udowodniać. Pocałowałem cię...

– A teraz dasz mi spokój – przerywam mu.

– Chcesz tego – mówi mi twierdząco, ni pytajaco, zupełnie jak przed chwila, gdy powiedzialam, ze jest zadowolony. – Zebym dal ci spokój? Powiedz, ktos zrobil ci krzywdę? – Jego twarz spina się jeszcze bardziej.

– W jakim sensie? – pytam, choć mogę się łatwo domyślić, o co mu chodzi. Po prostu muszę zdobyć trochę czasu, żeby odzyskać równowagę.

– Czy ktos... – Przełyka ślinę. – Czy jakiś mężczyzna...

Nie powinnam dłużej zwlekać, zbyt wiele go to kosztuje. Dlaczego? Czemu aż tak się przejął? Skąd w ogóle podejrzenia, że ktos zrobil mi krzywdę?

– Nie. Nikt mnie nie zgwałcił i nie przymusił do seksu. Nigdy do tego nie doszło. – Zamierzam dodać, że „Oblech” też mnie nie dotknął, ale szybko odpędzam te wspomnienia.

– Skoro tak, dlaczego mnie odtrącasz?

– Nie odtrąciłam cię.

Już nie mogę wytrzymać spojrzenia Pawła. Zakrywam twarz, uginam nogi i osuwam się przy ścianie. Jeszcze chwila i wybuchnę płaczem, a potem wykrzyczę całą prawdę i powiem mu, dlaczego nie chcę z nim być, nie chcę być z kimkolwiek, z żadnym mężczyzną, chociaż tęsknota za bliskością odbiera mi rozum. Powiem, że zniszczył mój plan odzyskania samej siebie, i każę natychmiast stąd wyjść, ale najpierw wrzasnę, że już nigdy nie przyjdę do pracy.

– Jeśli myślisz, że to mnie zniechęci, bardzo się mylisz – wygłasza znad mojej głowy, potem schyla się, bezceremonialnie stawia do pionu i każę spojrzeć prosto w oczy. – Powiedz, mam sobie pójść? – Jego głos jest równocześnie mocny i słaby, twardy i czuły, stanowczy i pełen wątpliwości.

– Nie. Nie idź – wykrztuszam. – Przytul mnie mocno, proszę.

Najpierw mnie przytula, jak prosiłam, mocno, aż do utraty tchu. Jego ciepło przenika przez ubrania, rozgrzewa mnie, wypełnia życiem i energią. I coraz silniejszym pragnieniem, żeby nic nas w tej chwili nie dzieliło.

Odklejam policzek od piersi Pawła, chociaż słuchanie bicia jego serca jest jak lek, który koi cierpienie i zagłusza złe myśli. Zadzieram głowę i patrzę w jego oczy, próbując spojrzeniem wyrazić wszystko, co kotłuje się w mojej duszy: wdzięczność, że nie słyszę żalosnego wycia z tęsknoty za dotykiem, i za to, że Paweł ciągle tu jest.

– Pocałuj mnie – błagam. – Zrób tak, żebym przestała pamiętać. – Czuję pierwsze łyzy ciekące po policzkach, ale już nie potrafię ich powstrzymać.

– Zrobię dla ciebie wszystko, bo... – przełyka ślinę – zakochałem się w tobie.

– Pocałuj mnie – popędzam go bezwstydnie.

Nie chcę słów, a ostatnie wyznanie Pawła na razie do mnie nie dotarło. Pomyślę o nim później, teraz pragnę dotyku każdym centymetrem mojej skóry, łaknę ciepła każdą komórką ciała, lecz zaczynam odczuwać coś jeszcze. Nie zapomniałam uczucia mdlącego bólu, który rozlewa się w dole brzucha, wzmacniany delikatnymi pieszczotami towarzyszącymi czułemu pocałunkowi. Palce Pawła masują mój kark, a wargi i język poczynają sobie coraz śmielej. Gdy przysuwa się bliżej i na udzie czuję ucisk twardej męskości, wypełnia mnie fala krwi. Odrywam usta, biorę Pawła za rękę i prowadzę do sypialni, ocierając łyzy rękawem kurtki i modląc się, żeby nic nie mówił, przynajmniej na razie, bo moja tymczasowa odwaga, a raczej desperacja, spłoszy się i ucieknie, a ja zostanę z jeszcze większą pustką w sercu.

Pierwsze, co robię, gdy przymykają się za nami drzwi sypialni, to opuszczam rolety. Wprawdzie Paweł natychmiast odbiera mi pilota, rzuca go gdzieś na łóżko i bierze mnie w objęcia, ale jest zbyt jasno i zbyt wcześnie, a ja za bardzo świadoma, żebym całkiem nie czuła wstydu i skrępowania. Jest znacznie przyjemniej, intymniej, lecz Pawłowi to nie odpowiada.

– Zapal światło, chcę cię widzieć – mruczy gardłowo przy uchu, aż wstają wszystkie włoski na moim karku.

– Zaraz – zbywam go. Przecież jest jasno. Kątem oka zerkam na szparę przy drzwiach. Wąski pas światła przecina ciemność niczym nóż. W

zupełności wystarczy.

Paweł zdejmuje marynarkę, a ja przemoczoną kurtkę. Rozpina swoją koszulę, tylko kilka dolnych guzików oraz te przy mankietach i zdejmuje ją przez głowę. Byłam pewna, że pozwoli mi samodzielnie pozbyć się ciuchów, choćby bluzki i džinsów, lecz szybko wyprowadza mnie z błędu. Zrzuca buty, kładzie się na łóżku, pociągając mnie za sobą. Myślałam, że teraz będziemy się całować gorączkowo i żarliwie i wzajemnie obnażać nasze rozpalone ciała, ale Paweł ma inny plan, niemający wiele wspólnego z szalem uniesień czy romantyzmem. Podnosi się i przyklęka przy mnie, każe podnieść najpierw prawą nogę, potem lewą, zdejmuje adidas i przemoczone do cna skarpetki, przy okazji wzdycha, że mam stopy zimne jak ryby.

– Zaraz będzie mi ciepło – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– Wiem. Zadbam o to. – Przez chwilę rozciera w dłoniach moją prawą stopę. – Sorry, ale muszę spytać. Zabezpieczasz się?

– Tak. Mam implant podskórny.

– Okej. W razie potrzeby mam kilka gumek.

„Okej?” W mojej głowie właśnie rozszalał się huragan myśli. „Po co mu gumki? Zawsze je nosi przy sobie? A może zaplanował to wszystko? Dość! Jakie to ma znaczenie? Zgodziłaś się przecież!” Nagle cierpnę. A co, jeśli spyta, czy to mój pierwszy raz? I tak cały nastrój zniknął i niewiele brakuje, żebym spanikowała i uciekła z płaczem do łazienki. Żałuję, a jeszcze do niczego nie doszło. Co ja robię...

– Zostaw, już mi ciepło. – Siadam, bo głupio się czuję, leżąc i pozwalając mu na mało intymny masaż.

– Nie chcę, żebyś zachorowała.

– Nie zachoruję. – Próbuję dostrzec, co czai się na dnie jego oczu, ale jest zbyt ciemno i rejestruję jedynie błysk białek. – Nic mi nie będzie.

– Chcę cię widzieć. – Muska wierzchem dłoni mój policzek. To bardzo czuły gest i jak za pstryknięciem palca nastrój wraca. – Podobasz mi się od początku, od pierwszego dnia. Zanim powiedziałaś, jak masz na imię, nazwałem cię Tasja.

– Co to znaczy?

– Nic. To imię karej klaczy, którą kiedyś miał ojciec. Była taka jak ty, czarna jak heban i z dzikim sercem.

– Mam dzikie serce?

– Cała jesteś dzika. – Nachyliła się, żeby delikatnie mnie pocałować. – I piękna. Chcę cię widzieć.

– Dobrze, ale obiecaj, że o nic nie spytasz – mówię wprost w jego usta. – Proszę, obiecaj mi to.

– Obiecuję.

Obracam się, żeby dosięgnąć włącznika lampki do czytania. Jest na wezłowskiu łóżka. Pstryka cicho i po chwili sypialnia wypełnia się ciepłym światłem.

– Pamiętaj, obiecałeś – mówię.

– Nie chcę cię skrzywdzić. Zakochałem się w tobie, zapomniałaś?

– Nie.

– Zdejmij to. – Łapie za dolny brzeg mojej bluzki i zdejmuje ją ze mnie jak z dziecka. – Ależ jesteś... – Milknie. Nachyliła się i delikatnie muska wargami pierś wychylającą się z miseczki biustonosza. – Zimna... – mruczy. – Jak cała ty. Nie wybaczę sobie, jeśli zachorujesz. Jestem chamem, jak mogłem zostawić cię tam samą?

– Dżinsy też mam mokre – sugeruję, bo naprawdę chcę się ich pozbyć. Nie dość, że zimno w nich, to jeszcze posztywniały od wilgoci.

Nie trzeba go zachęcać. Z wprawą ściąga je z mojego tyłka i razem z bluzką rzuca na dywanik przed łóżkiem.

– Przykryj się.

O! Groźnie zabrzmiało, dlatego posłusznie wpełzam pod kołdrę. Dobrze, że rano zmieniłam pościel i uprzątnęłam z łóżka pranie. Inaczej walalibyśmy się w stosie rzeczy do prasowania. Paweł wstaje i zdejmuje podkoszulek, od razu wlepiam oczy w jego tatuaże. Chociaż nigdy wcześniej nie kręciły mnie rysunki na skórze, szybko zmieniłam zdanie. Mięśnie grają pod nimi, wygląda to naprawdę dobrze i szalenie podniecająco. Nie potrafię oderwać wzroku. Po chwili Paweł dołącza do

mnie. Oboje nadal mamy na sobie bieliznę i leżymy twarzami do siebie, zakryci kołdrą pod brody.

– Ciepłej ci? – Kładzie rękę na mojej talii i przyciąga do siebie.

– Tak. Miałeś o nic nie pytać. – Przygryzam dolną wargę. Moje oczy na pewno się śmieją, gdy widzę, jaką ma minę.

– Powiedzmy, że... – marszczy czoło – wiem, o co mogę spytać, a o co nie. Zaufaj mi, dobrze?

– Uhm.

Zbliża twarz i znów mnie całuje. Coraz goręcej i zachłanniej, ale nadal czule i z troską o moje odczucia. Nie jest samolubny. Jego dłonie są ciepłe i czułe, on cały jest przepelniony czułością. Strasznie mi tego brakowało, więc chłonę ją i próbuję odwzajemnić, ale co chwilę łapię się na tym, że więcej biorę, niż daję. „Przepraszam, nie chcę być taka. Przepraszam cię...” – mówię do niego sercem, bo inaczej nie potrafię. Na chwilę zastygam w bezruchu, bo Paweł rozpina mój biustonosz. Co do dolnej bielizny oboje pozbywamy się jej sami. Płacze się pomiędzy naszymi stopami, ale zaraz o niej zapominam. On też. Wspiera się na prawym ramieniu, odsuwa brzeg kołdry, popycha mnie lekko, żebym ułożyła się na wznak, a potem powoli i z rozmysłem zaczyna całować i lizać moją pierś. Zapominam o oddychaniu. Nabieram ogromny haust powietrza i trzymam je w płucach, póki usta Pawła nie przewędrują na drugą brodawkę.

Przy okazji przesunął się bardziej na środek i póleży na mnie. Coraz trudniej zapanować mi nad pragnieniem. Wsuwam palce w krótkie kosmyki jego włosów, dociskam głowę, żeby pieścił mnie mocniej, a moje nogi same rozchylają się coraz szerzej i szerzej. „Dotknij mnie tam! Tak bardzo cię pragnę!”

– Już dłużej nie wytrzymam... – jęczę. Zbyt długo trwało moje czekanie, zbyt wiele razy marzyłam o tym w półsennych fantazjach, zanim dałam się całkiem pochłonąć nocy. Wszystko, co teraz się dzieje, już kiedyś widziałam i czułam w wyobraźni, choć zamglone i jak przez filtr. – Weź mnie...

– Paula, ale ja...

Pewnie ma nie dość pieszczot. Pragnie poznać mnie całą, centymetr po centymetrze, ale potrzebuję go już, bo inaczej zacznę płakać i błagać jęklwym tonem, żeby wreszcie się ze mną kochał.

– Weź mnie! Chcę cię już, rozumiesz? – Unoszę głowę, bo chcę go pocałować.

Chyba pojął, że mnie roznosi.

– Prawdziwa Tasja. Ognista i dzika – mruczy. – Nie lubisz pieszczot?

– Lubię, ale...

Nie kończę. Paweł gwałtownie się podrywa, rozsuwa moje nogi, przez chwilę zawisa nade mną, wsparty na lewej ręce, szybko znajduje wejście do mojego spragnionego wnętrza i po chwili mnie wypełnia. Nie wiem, czy wszystko trwało dłużej niż pięć sekund.

– Tak chciałaś?

– Tak. – W ogóle nie mrugam. Nie spuszczam oka z twarzy Pawła. Teraz ja też chcę wszystko widzieć. Chcę nakarmić oczy widokiem jego wysportowanego ciała, ramion pokrytych tatuażami, umięśnionego torsu i brzucha. To wszystko jest moje. I nieważne, że tylko przez chwilę Paweł i ja stanowimy jedność, bo nie zapomnę jej nigdy. – Kochaj mnie mocno i długo.

– Mocno? Tak. Długo? Spróbuję. – Parska pod nosem. – W gumkach łatwiej być długodystansowcem, ale nawet one nie pomogą, bo jesteś zbyt pociągająca. – Poważnieje, gdy kończy to mówić. Nachyla się nieco niżej, ponieważ chce mnie pocałować. Od razu oplatom jego łądźwie nogami i zarzucam ręce na szyję. – Oszalałem na twoim punkcie... – wyznaje, nim zakołysze mną pierwszy raz.

„Ja też – odpowiadam w duszy. – Też się w tobie zakochałam, choć nie powinnam, a co najgorsze, wkrótce będę musiała cię skrzywdzić. Wyznam coś, co zniszczy to delikatne i świeże uczucie, a wtedy moje biedne okaleczone serce pęknie po raz drugi i już nigdy się nie zrośnie”. Z gardła wyrzywa się szloch, Paweł od razu to zauważa, więc uspokajam go szybko, że wszystko ze mną w porządku.

– Czasami tak mam – wykrztuszam.

Na szczęście uwierzył. Zamyka oczy i zaczyna mnie kochać. Robi to z równym zaangażowaniem i uczuciem jak wtedy, gdy pierwszy raz mnie całował. To nie jest zwykły seks, mechaniczny i skierowany tylko na własną przyjemność. O nie. Paweł więcej daje, niż sam bierze. Może dlatego zamknął oczy, żeby skoncentrować uwagę na mojej przyjemności? Jego usta co pewien czas odnajdują moje, w krótkich przerwach między pocałunkami szepcze coś niezrozumiale, a gdy pytam, co to znaczy, odpowiada, że kiedyś mi powie, lecz na razie nie chce mnie zawstydzać. To słodkie i pikantne zarazem.

– Powiedz coś jeszcze.

– Podoba się mojej Tasji? – Jego głos jest coraz bardziej ochryply.

– Tak, mów do mnie po holendersku.

– Raczej we flamandzkim.

– Niech będzie flamandzki.

Nie chcę słyszeć własnych myśli, chcę zapomnieć o obawach i lękach, istnieć tylko w tej magicznej chwili. Chcę osiągnąć spełnienie, znów być na szczycie fali i spaść w otchłań rozkoszy i żeby on spadł razem ze mną. To musi się udać, właśnie teraz, za pierwszym razem, już za chwilę, a te nieznanne mi słowa i zwroty, coś, czego nie wiem i co mogę sobie wyobrazić, pomogą mi w tym na pewno.

– O, tak... – jęczę, bo przyspieszył.

Niewiele brakuje, zaledwie dwa ruchy i odpływam. Ciepło rozlewa się w moim brzuchu, czysta błoga rozkosz płynie w żyłach zamiast krwi, a serce tętni tak mocno jak kiedyś. Nie zapomniałam, znów to czuję: spełnienie, bezpieczeństwo, przynależność do kogoś, a nawet miłość. Jestem czyjaś, dałam komuś szczęście, a ten ktoś ofiarował je mnie.

Żyję. Chociaż przez chwilę, ale jestem żywym człowiekiem, z głośno bijącym sercem, oddechem, który potrzebuje wielkiego łyku powietrza, z krwią pulsującą w najmniejszym nawet naczyniu. Jestem życiem.

MILENA I JEJ SERCE



Nie wiem, co sobie myślałam. Łudziłam się, że gdy Jacek zobaczy mnie półnagą, nie będzie mógł się powstrzymać i znów porwie go pragnienie, znów będzie szalony, durny – jak czasami mówił. Ale tak się nie dzieje. Tylko przez chwilę jego źrenice rozszerza dawna miłość do mnie. Przełyka ślinę, nabiera powietrza i już myślę, że zaraz przyciągnie mnie do siebie, rzuci się do pocałunków, spragniony bliskości tak samo jak ja, ale to tylko moje złudzenie.

– Ubierz się – cedzi. – Natychmiast.

– Nie. – Podchodzę całkiem blisko, bliżej już się nie da.

Jego oddech muska skórę moich piersi. Wyciągam ręce, żeby objąć głowę Jacka i przycisnąć do brzucha, pozwolić mu przypomnieć sobie miękkość mojej skóry i jej zapach. To już prawie się dzieje, gdy nagle, w jednej sekundzie, opada z niego z trudem utrzymywana maska obojętności zastąpiona widoczną jak na dłoni paniką. Jacek zrywa się z krzesła, niewiele brakuje, a staranowałby mnie swoim ciałem. Doskakuje do drzwi i rozpaczliwie szarpie klamkę, bo zapomniał, że przekręciłam klucz. W geście bezradności uderza pięścią w ościeżnicę. I jeszcze raz. I znów! Stoję jak wmurowana. Czuję, że moje serce rozpada się na kawałki, gdy w końcu udaje mu się wyjść. Nigdy nie zapomnę szlochu, którym mnie pożegnał, i słów: „Chcę cię kochać jak córkę, rozumiesz?! Jak córkę!”.

Zakładam sukienkę i siadam na krześle, które jeszcze ciągle jest ciepłe i pachnie Jackiem. Tępo wlepiam wzrok w uchylone drzwi. W końcu wstaję, zamykam je na klucz, ale zanim to zrobię, wystawiam na korytarz tacę z naczyniami po naszej ostatniej wspólnej kolacji. Jestem pewna, że to ostatnia kolacja, a może nawet ostatni posiłek. Muszę stąd odejść, ale nie jestem gotowa. „Kiedys będziesz” – szepczę do siebie słowa otuchy. Po jakimś czasie słyszę szmer za drzwiami, ciche pukanie i głos jednej z pokojówek Jacka. Odkrzykuję, że ma odejść. Kładę się do łóżka, ale byłabym głupia i naiwna, licząc na sen. Mijają godziny, a ja wgapiam się w czerń za oknem. I myślę. Myślę, jak to będzie. Już nie mam ani kropelki nadziei, że Jacek da się przekonać do powrotu. Z dnia na dzień jest coraz dalej ode mnie, a moja dzisiejsza rozpaczliwa próba tylko to przyspieszyła.

Leżę na boku, a niezliczone łzy wsiąkają w poduszkę. Chyba uruchomił się jakiś swoisty bezpiecznik, bo na chwilę zasypiam. Budzę się, ponieważ ktoś cicho puka.

– Proszę otworzyć. – To Ewelina, jedna z pokojowych. Słyszę, że jest zdenerwowana, więc od razu zrywam się z łóżka i podbiegam do drzwi.

Stoi i nic nie mówi, a jej oczy nie potrafią zdecydować, gdzie patrzeć, czy na mnie, czy poza mną, gdzieś w głąb sypialni.

– Coś się stało? – Odruchowo przykładam dłoń do brzucha, bo to mnie uspokaja.

– Szukam szefa. Myślałam, że jest tutaj.

– Nie, nie ma go tutaj – odpowiadam z goryczą. – Pewnie jest u siebie.

– Przepraszam, jest późno, ale... – zaciska wargi. Jej usta przypominają kreskę. – Zajrzałam do sypialni pana Jacka i nie ma go tam, więc pomyślałam, że...

– A jest samochód?

– Tak – mówi natychmiast. – Chyba wiem, gdzie jest pan Jacek, domyślałam się – dodaje.

– Gdzie?

– Jest na tyłach ogrodu, w tej mniejszej altance. Widziałam, jak szedł, a teraz świeci się tam światło.

Głośno wypuszczam powietrze. Wkurzyła mnie ta głupia laska. Głupia, wścibska i niezdecydowana.

– Skoro go widziałaś, po co szukasz go u mnie?

– Bo pan Jacek wziął swój pistolet – wypała.

– Co? – Przechyliłam głowę. – Jaki pistolet? Jacek nie ma żadnej broni.

– Ma. Trzyma ją w szufladzie biurka. Pani Justyna kiedyś mi pokazała i mówiła, że pod żadnym pozorem nie wolno...

– Skąd wiesz, że zabrał pistolet? – Czuję, jak kropla lodowatego potu spływa po moich plecach.

– Mam nockę, sprzątałam w bibliotece, a potem poszłam do gabinetu i...

– Kiedy Jacek wyszedł? – Nie pozwalam jej skończyć.

– Nie wiem, nie pamiętam. Może godzinę temu? Zauważyłam szefa z okna biblioteki. Później poszłam do gabinetu...

– Idę tam – mówię, wkładając trampki.

– Może wezwać policję?

– Nikogo nie będziesz wzywać.

– Proszę na siebie uważać.

– Nic mi nie będzie. Nie bój się. Wracaj do gabinetu i dokończ porządki, a najlepiej idź spać. – Ściskam jej rękę, bo widzę, że jest zielona ze strachu.

Zbiegam po schodach, przelatuję jak wiatr przez salon i tylnym wyjściem wypadam do ogrodu. Nie boję się o siebie, aż tak głupia nie jestem, żeby bać się Jacka, oddałby za mnie życie. Maszeruję żwawo, nie spuszczaając oka z altany, która choć oddalona, jest dobrze widoczna. Rzeczywiście, bardzo szybko zauważam Jacka. Siedzi tyłem, zgarbiony. Tyle jestem w stanie dostrzec. W nocnej ciszy dźwięk moich kroków niesie się echem po całym ogrodzie. Drobnny żwirek chrzęści pod podeszwami butów i ostrzega, że ktoś się zbliża. Ktoś bardzo wkurzony.

Dzieli nas kilkanaście metrów, kiedy Jacek mnie słyszy. Od razu podnosi głowę. W momencie pokonuję dzielący nas dystans, wchodzę do altany i staję przed nim. Mam ochotę go udusić, spoliczkować albo chociaż nawrzeszczyć, ale na razie muszę się powstrzymać. Najpierw sprawdzę, czy jest trzeźwy, a potem spytam o resztę.

– Piłeś coś? – Zakładam ręce na piersiach.

– Nie.

– W porządku. A teraz oddaj mi pistolet.

„A jednak!” Ewelina miała rację. Ledwie to powiedziałam, a Jacek drgnął nerwowo i zrobił ruch, jakby coś ukrywał za plecami.

– Czemu nie śpisz?

– Oddaj mi pistolet. Co ty w ogóle sobie wyobrażałeś? – pieję. Potrząsam głową, bo nie mogę uwierzyć, że taki mądry facet zachował się jak gówniarz. – Co to ma być? – Nachylam się nad nim. Moja twarz jest tak blisko jego twarzy, że gdy mówię, dolatują do niej drobne kropelki śliny. – Posłuchaj. Jak sobie coś zrobisz, przysięgam, że jeszcze tego samego dnia zrobię to samo. Rozumiesz?!

– Milena, przepraszam...

– Oddaj mi ten pieprzony pistolet!

– To rewolwer. – Sięga za siebie i podaje mi broń. – Bębenek jest pusty – mówi, patrząc mi w oczy. – Naboje zostały w domu.

– Na pewno? – Trzymam broń lufą skierowaną w dół.

– W przeciwnym razie nie dałbym ci go – odpiera.

– Mam uwierzyć, że zabrałeś nienabity pistolet? – Mrużę oczy. – Masz mnie za głupią?

– Rewolwer. Daj. – Odbiera mi broń, celuje gdzieś na prawo i po chwili mogę się przekonać, że Jacek nie kłamie. – Już mi wierzysz? – Wkłada go do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Czuję ogromną ulgę. Gigantyczną. Ale nadal nie mogę zrozumieć.

– Po co go wzięłeś?

– Żeby nie kusił.

– Co? – chrypię.

– Żeby mnie więcej nie kusił. Gdy pójdziesz w tamtą stronę – pokazuje na lewo – i przejdiesz jakieś dwieście, może dwieście pięćdziesiąt metrów, zobaczysz po prawej starą nieczynną studnię. Ponoć jest w niej woda, ale zanieczyszczona, dlatego nikt już z niej nie czerpie. Pomyślałem, że to

dobre miejsce, żeby pozbyć się broni. – Jacek wstaje, przykłada dłoń do czoła i przesuwa nią po włosach. – Przepraszam, że cię wystraszyłem.

– Chodź, pójdziemy tam. – Łapię za rękaw marynarki.

– Nie bój się, już nigdy o tym nie pomyślę. Przysięgam.

Biorę głęboki wdech. Muszę coś powiedzieć, powinnam, ale tak bardzo nie chcę.

– Wracam do mamy.

– Ale...

– Miałeś rację, to koniec. Wracam do mamy. Jeszcze dzisiaj.

Puszczam rękaw, odwracam się na pięcie i odchodzę.

Czuję, że pół mojego serca właśnie umiera.

Piąty lipca – moje osiemnaste urodziny. Wyjątkowy dzień, kiedy wchodzimy w dorosłość. Rzekomo wtedy, bo ja już dawno wkroczyłam w brutalny świat dorosłych. Uprzedziłam mamę, że nie życzę sobie żadnego przyjęcia, żadnych wizyt, życzeń i prezentów. Zapobiegawczo ściszyłam telefon i cały dzień nie włączałam laptopa. Nie mam ochoty odpisywać moim koleżankom i kolegom, kłamać, dziękując za ich słowa, odpowiadać i tłumaczyć się, dlaczego nie było mnie na balu, dlaczego w ogóle mnie nie ma. Bo mnie nie ma. Zniknęłam dla świata. Zerwałam wszystkie kontakty, choć naturalnie poczęstowałam ich wszystkich zgrabną bajeczką, że przechodzę depresję. Napisałam, że próbuję nad tym zapanować, i dodałam z nadzieją, też wyssaną z palca, bo na razie nie ma dla mnie żadnej nadziei na szczęście, że kiedyś wrócę. Najchętniej już dzisiaj spakowałabym manatki i uciekła daleko, tam, gdzie nikt mnie nie zna. Mam upatrzone miejsce, ale jeszcze muszę coś załatwić. Dwie sprawy: dowód osobisty i prawo jazdy. I naturalnie egzamin, choć to czysta formalność, ponieważ mam za sobą – jak prawie każdy absolwent mojej szkoły – półroczny kurs prowadzony przez najlepszych warszawskich instruktorów.

Nie opuszczam pokoju. Wolę tu siedzieć niż być narażoną na czyjekolwiek spojrzenia. Prosiłam mamę, żeby ona też dała mi dzisiaj

spokój, ale nie słucha. Przynosi obiad, siada przy stole i mówi, że ma dla mnie prezent.

– Mówiłam. Nie chcę żadnych prezentów.

Staram się, żeby mój głos był neutralny. Właśnie tak ją traktuję. Neutralnie. Ani wrogo, ani przyjaźnie. Nie zapomnę jej miny, gdy wróciłam do domu. Aż pojaśniała na twarzy, ale szybko jej przeszło. Chyba nie liczy, że tak łatwo wybaczę, że kiedykolwiek jej wybaczę. I nie mam na myśli tylko siebie, lecz także Jacka. Zrobiła nam straszną, przeogromną krzywdę.

– Ten prezent musisz... powinnaś – natychmiast się poprawia – przyjąć.

– Jaki prezent? – Spoglądam na nią, bo dopiero teraz dotarło do mnie, że prócz tacy z powoli stygnącym obiadem niczego ze sobą nie przyniosła.

– Pierścionek. – Zsuwa go z palca. Od kiedy pamiętam, mama zawsze go nosi. Nie jest szczególnie ładny, ot, zwykła wąska obrączka ze złota, ozdobiona małym kamyczkiem w zielonkawym kolorze. – W dniu ślubu dostałam go od babci Bernadetty.

– Czemu mi go dajesz?

– Bo złożyłam babci przyrzeczenie, że gdy urodzę córkę, przekażę jej ten pierścionek w dniu osiemnastych urodzin. To tradycja. Gdy ty urodzisz...

– Mamo, ja urodzę syna – przerywam jej.

– Wiem, ale kiedyś...

– Nie będzie żadnego kiedyś. – Znów nie pozwalam jej skończyć. – Nie chcę innego mężczyzny. Już nigdy nie pokocham żadnego równie mocno jak Jacka. Rozumiesz?

– Przepraszam. – Mama głęboko wzdycha. – Mogę coś zrobić, żebyś mi wybaczyła?

– Wezmę ten pierścionek. – Zabieram go i wkładam na serdeczny palec lewej dłoni. – Jeśli babcia zadzwoni, powiedz, że dziękuję.

– Już dzwoniła. Dzisiaj rano. Chciała z tobą rozmawiać, złożyć życzenia, ale wytłumaczyłam, że tego nie chcesz.

– Ona wie? – Zerkam na brzuch.

– Nie.

– To dobrze.

– Milenko, niewiele mogę, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby naprawić mój błąd.

Mam ochotę powiedzieć, że tego się NIE DA naprawić, lecz co by dały moje słowa? Nic.

– Mam prośbę.

– Tak?

– Jutro chcę złożyć wniosek o dowód.

– A co z prawem jazdy?

– To też planuję załatwić.

– Pomogę ci.

Przez kilka następnych minut rozmawiamy o formalnościach, ale ten bezpieczny temat szybko się wyczerpuje. Pozostał jeszcze jeden. Nieco mniej bezpieczny i neutralny.

– Chciałabym wyjechać do Nyon – oznajmiam.

– Do Nyon? – Nie rozumiem, dlaczego mama wyraźnie się spieszyła.

– Nigdy nie chciałaś tam jeździć, ale ja bardzo lubię to miejsce.

– Pamiętam – potakuje.

– Chcę tam wyjechać i zostać do końca ciąży.

– Nie mogę ci zabronić, przecież od dzisiaj to twój dom.

– Wiem, właśnie dlatego tam pojedę. Jeśli się martwisz o mnie, bez obaw. Już sobie wszystko przemyślałam. Wynajmę jakąś pomoc, pielęgniarkę, lekarza, kogoś, kto dobrze się mną zajmie.

– A ja? – Zaciska wargi w wąską kreskę.

– A ty?

– Mogłabym z tobą tam być?

Spodziewałam się tego pytania i mam gotową odpowiedź, mimo to z nią zwlekam. Zachowuję się podle, lecz czasami nie potrafię się powstrzymać, dopiero po dłuższej chwili mówię „tak”.

Pod koniec lipca przeprowadzamy się do domu w Nyon, a ósmego listopada o ósmej rano w Genewie w prywatnej klinice przychodzi na świat

mój syn. Nigdy nie zapomnę, co czułam w chwili, gdy po raz pierwszy mogłam wziąć go w ramiona i spojrzeć na jego rumianą twarzyczkę, wpółotwarte niebieskie oczka, paluszki zaciśnięte w piąstki – wszystko maleńkie, kruche i absolutnie doskonałe. Moje serce zalała fala nieznannej mi dotąd miłości, dojmującej i głębokiej, takiej, która nigdy się nie kończy.

Czas na prawdę. Potrzebuję jej, żeby podjąć decyzję. Najtrudniejszą w moim życiu. Kilka miesięcy temu ktoś odebrał mi brutalnie pół serca, a teraz sama amputuję drugą połówkę, ale tak trzeba. Pocięszam się myślą, że gdy już nie będę mieć serca, wszystko, co się zdarzyło i jeszcze wydarzy, przestanie tak strasznie boleć, dławić w gardle, odbierać oddech.

Proszę mamę o rozmowę. Na początku nie chce się zgodzić, ale nalegam, mówię, że jest mi to winna. Wczoraj padało, a dzisiaj od rana Nyon skąpane jest w słońcu, dlatego chcę wykorzystać ostatnie ciepłe chwile, bo wkrótce i tu na dłużej zagości jesienna plucha. Siadamy w wygodnych fotelach na tarasie, a mama okrywa moje nogi kocem w obawie, że zmarznę. Chciała porozmawiać w domu, lecz ja chcę widzieć jezioro. Uspokaja mnie widok jego gładkiej powierzchni.

– Nie wiem, czy powinnam ci to wszystko mówić.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

– Jestem dorosła.

– I bardzo mi przykro z tego powodu. Za szybko wydorosłaś. To moja wina. Przez moje kłamstwa i moje decyzje skradłam ci ten czas. Bez troski i piękny. Nie masz pojęcia, jak strasznie żałuję. – Bierze głęboki wdech.

– Czego? Że zdradziłaś tatę?

– Byliśmy wtedy w Monachium na targach. Myślałam, że to będzie miły weekend, przyjemny, bo spędzony razem z Czarkiem. – Na moment zawiesza głos. – Jeszcze rano obiecywał, że pójdziemy gdzieś wieczorem, do jakiegoś nocnego klubu, we dwójkę, incognito i że będzie fajnie. Nic z tego nie wyszło. Wprawdzie Czarek gdzieś wybył, ale sam. Coś we mnie

pękło. Poszłam do pokoju Jacka, zapukałam, a gdy mnie wpuścił do środka, powiedziałam mu, że mam ochotę się napić.

– A później... – Nie potrafię dokończyć.

– A później bez żadnych skrępowań go uwiodłam. Wtedy myślałam, że to spontaniczna decyzja, podjęta pod wpływem impulsu. Tłumaczyłam samą siebie, że byłam pijana, rozzalona, lecz im więcej czasu upływało, tym mocniej docierało do mnie, że w pewnym sensie wykorzystałam Jacka, żeby wziąć odwet na Czarku. Zaraz spytasz za co, a ja będę miała dwie opcje: zniszczyć idealny wizerunek twojego ojca, zarysować go, uświadomić, że nie był człowiekiem bez skazy, albo zakończyć rozmowę i zostawić cię w niepewności.

Zasępiam się. Nietrudno dojść, jaką skazę ma na myśli mama.

– Tata cię zdradzał.

– To działa się od początku naszego małżeństwa. Nawet tutaj przywoził swoje kochanki. – Rozgląda się wokół, a ja nareszcie rozumiem, dlaczego mama nie chciała tu przyjeżdżać. Też bym nie chciała na jej miejscu. – Czarek był bardzo dyskretny. Lecz niewystarczająco dyskretny, żeby żona się nie dowiedziała. To nie tak, że się wybielałam. Co to, to nie – dodaje. – Cała ta sytuacja... – prześlizguje się spojrzeniem po moim nadal wydatnym brzuchu – to głównie moja wina. Moich kłamstw, ukrywania prawdy przed wszystkimi, przed samą sobą też. Powinnam porozmawiać z Czarkiem, zanim sprawy przybrały dramatyczny obrót, a przede wszystkim powiadomić Jacka, że jesteś jego dzieckiem. Natychmiast, kiedy się o tym dowiedziałam.

– Nie wiedziałaś od razu?

– Nie. Oczywiście zakładałam, że jest taka możliwość, ale pewności nie miałam. Postanowiłam to sprawdzić dopiero po twoich narodzinach.

– Ale nie sprawdziłaś? – Domyślam się po jej minie pełnej skruchy.

– Nie. Gdybym mogła cofnąć czas. – Na moment opuszcza głowę. – Łudziłam się, że jesteś córką Czarka. Wmawiałam to sobie wystarczająco długo i mocno, żeby uwierzyć. Doszukiwałam się wspólnych cech charakteru, bo przecież z wyglądu jesteś podobna do mnie.

- Albo do Jacka.
- Albo do Jacka – powtarza, kiwając głową. – Lecz prawda w końcu wyszła na jaw.
- Ile miałam wtedy lat?
- Niecałe pięć.
- Jak to się stało?
- Czarek miał kolejny romans, ale tym razem trafił na wyjątkowo zdeterminowaną kobietę. Miała dwadzieścia pięć lat i zagięła na niego parol. Oświadczyła mu, że jest w ciąży, i zażądała, żeby się ze mną rozwiódł. Chciała za niego wyjść. Myślę, że w dużej mierze kierowała nią miłość, nie chęć ustawienia się w życiu.
- Dlaczego?
- Ponieważ Czarek od razu zaproponował jej pomoc. Zamierzał kupić jej mieszkanie, nie jakąś klitkę, tylko duży luksusowy apartament gdzieś w centrum. Do tego alimenty, aż dziecko skończy dwadzieścia sześć lat, i wysoką pensję dla niej.
- Pracowała u nas w firmie?
- Tak.
- Nie zgodziła się?
- Nie. Któregoś dnia dopadła mnie, gdy wychodziłam z biura fundacji. Zaprosiła na kawę i wszystko wyznała. Włącznie z tym, że kocha Czarka i nie wyobraża sobie życia bez niego. Uwierzyłam jej. – Mama parska gorzkim śmiechem. – Ależ byłam głupia, ale akurat to sobie wybaczam. Mogłam wtedy nie myśleć rozsądnie. Co innego jakieś krótkie romanse bez zobowiązań, a co innego związek, z którego ma się narodzić dziecko.
- Chciałaś odejść od taty?
- Tak, ale się nie zgodził. Dopiero wtedy Czarek powiedział mi prawdę. Był bezpłodny. Badania zrobił kilka lat po naszym ślubie, bo staraliśmy się o dziecko, a ono się nie pojawiało.
- I nie powiedział ci o tym?
- Nie. Mało tego, gdy naciskałam, zdobył sfalszowane wyniki i przedstawił naszemu lekarzowi. Mnie też przebadano gruntownie i na

wszystkie strony. Ja byłam zdrowa, on był zdrowy, ale nie zachodziłam w ciążę.

– Przyznał się dopiero wtedy, gdy ta dziewczyna postawiła żądania?

– Tak. Wyznał prawdę, bo przyparła go do muru. Ostrzegł ją, że po narodzinach dziecka zleci badania genetyczne, żeby ustalić ojcostwo, ale ona nie odpuszczała. Więc przedstawił jej alternatywę: albo przystaje na jego propozycję z mieszkaniem i alimentami, albo zostanie z kwitkiem, bo dziecko na pewno nie jest jego. Oczywiście nie przedstawił jej żadnych badań, ponieważ wstydził się niepłodności. Na nasze szczęście nie musiał jej tego udowadniać. Za każdym razem, gdy mnie zdradzał, zabezpieczał się prezerwatywą i na tym opierał tezę, że to nie jego potomek. Zaczął się cyrk, ta dziewczyna, Julita, chciała iść z tym do gazet, Czarek szalał, a ja zamiast to wreszcie zakończyć, przeciąć wrzód, wyznać prawdę Jackowi, odejść od Czarka i zacząć uczciwie żyć, razem z nim po uszy tkwiłam w bagnie.

– Jezu... – Zakrywam usta.

– Tak. Żyliśmy w permanentnym kłamstwie. Ja i twój ojciec. Od początku wiedział, że nie jesteś jego dzieckiem. I nawet domyślał się, kto jest twoim prawdziwym biologicznym ojcem, ale nigdy nie dał tego odczuć ani mnie, ani Jackowi. Wychodzi na to, że oboje byliśmy siebie warci. Zakłamanie do szpiku kości, odstawiający jakąś farsę, nie prawdziwe życie – stwierdza z goryczą. – Przegraliśmy je na własne życzenie.

– Zrobiliście straszną krzywdę Jackowi – wykrztuszam. – Straszną.

– Tak, jemu i tobie. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Czarek nie może naprawić swoich błędów, ja też nie, bo to błędy nie do naprawienia, ale mogę błagać cię o wybaczenie. Ciebie i Jacka. Choć nie wiem, czy mam prawo.

– A co stało się z tą dziewczyną? – pytam, żeby choć na chwilę odsunąć od siebie żal do rodziców.

– Julita w końcu przystała na propozycję Czarka. Jego prawnik przygotował dokumenty, notariusz czekał w gotowości, by spisać umowę darowizny mieszkania, ale transakcja nie doszła do skutku.

– Zrozumiała, że tak nie można?

– Julita poroniła dzień przed sfinalizowaniem umów. Trafiała do szpitala, a gdy stamtąd wyszła, wycofała się ze wszystkiego i wyjechała do Niemiec. Nie wiem, co teraz się z nią dzieje ani czy Czarek w jakikolwiek sposób jej pomógł.

Zapada cisza, zakłócana jedynie pokrzykiwaniami mew krążących nieopodal. Odwracam wzrok i patrzę na spokojną toń jeziora. Słońce odbija się od delikatnych fal i błyszczy na nich niczym drobinki brokatu. Jak tu pięknie. Ciągle nie mogę się nadziwić, że Bóg stworzył coś równie pięknego, a jednocześnie ułomnego jak ludzie. To my jesteśmy najbardziej wadliwi. Byle ptak czy kamień jest tysiącokrotnie doskonalszy niż my. Nagle przypominam sobie, co czułam, gdy pierwszy raz dotknęłam maleńkich paluszków mojego synka. Wydały mi się absolutnie doskonałe, perfekcyjnie wykształcone. Idealne. Nie chcę zmarnować tego daru.

– Dziękuję. – Skupiam wzrok na mamie. Siedzi zgarbiona, jakby trzymała na barkach cały świat, ciężar wszystkich ludzkich błędów. – Bardzo ci dziękuję.

– Ale za co... – Otrząsa się z zadumy. – Za co ty mi dziękujesz? To ja powinnam ci podziękować, że mnie wysłuchałaś.

– Za pomoc w podjęciu ostatecznej decyzji – odpowiadam, czując napływające łzy. – Już bez cienia wątpliwości wiem, co powinnam zrobić.

– Nie spytam, jaką decyzję podjęłaś, ale wiedz, że każdą zaakceptuję, zrozumiem i będę cię w niej wspierać.

– Zadzwońię do Jacka. – Ledwie to oznajmiam, a twarz mamy przybiera barwę kredy, robi się blada i spięta. – Chcę, żeby tu przyjechał. Ma prawo.

– Nigdy nie mówiłam, że go nie ma. – Jej głos brzmi ochryple.

– Żałuję, że tak późno podjęłam decyzję, ale jeszcze jest czas. – „Jeszcze nie zdążyłam tak mocno pokochać małego, żebym nie mogła bez niego żyć” – myślę, modląc się, żeby to nie okazało się jedynie pobożnym życzeniem.

– Mam sobie pójść? – pyta.

– Wolałabym zostać sama.

– Oczywiście. Już nie przeszkadzam. – Wstaje i patrzy na mnie. Twarz ma ściągniętą bólem i troską. Może wie, że za chwilę wydarzy się coś, co całkowicie zmieni życie moje i jeszcze kilku osób: mojego synka, Jacka i jej też. Ale trzeba wreszcie zadośćuczynić skrzywdzonym, nawet gdy krzywdę naprawia niewinna osoba. – Milenko... – Wyciąga dłoń i kładzie ją na moim ramieniu. – Kocham cię, bardzo.

Nie odpowiadam. Nie chcę się całkiem rozsypać, a niewiele mi brakuje, żeby wybuchnąć płaczem i paść w opiekuńcze ramiona mamy. Kiedyś pozwolę sobie na rozpacz, ale teraz nie czas na smutek. Chwilę później zostaję sama. Wyjmuję telefon z kieszeni tuniki, biorę kilka głębokich wdechów i drżącymi palcami wybieram numer Jacka. Odbiera po pierwszym sygnale, co trochę zbija mnie z tropu. Nie spodziewałam się, że tak szybko usłyszę jego głos.

– Cześć – mówi.

– Cześć.

Zapada cisza. Przetykam ślinę, bo gula w gardle prawie mnie dusi.

– Coś się stało? Coś z małym?

– Nie. Wszystko w porządku.

– A ty? Jak się czujesz?

– Dobrze. – Wzdycham głęboko, zanim wyartykułuję swoją prośbę.

– Mam do was przyjechać? – upewnia się Jacek.

– Tak, bardzo bym chciała, żebyś tu przyjechał. Chyba że nie masz czasu.

– „Albo chęci” – dopowiadam w głowie. Cała dygoczę, gdy czekam na odzew z drugiej strony słuchawki.

– Przyjadę, jak najszybciej.

– Dziękuję. To do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

Wkładam aparat do kieszeni i kilka razy szybko oddycham. Niewiele brakuje, żebym tu zasłała. Nie mam siły wstać i przejść kilku kroków, dlatego z ulgą zauważam, że od ogrodu idzie w moją stronę siostra Kasia. Macham na nią, a gdy podbiega i widzi, jak wyglądam, łapie się za głowę. Parę minut później leżę w swojej sypialni pod czujnym okiem mamy i

drugiej z naszych pielęgniarek. Mam odpoczywać, tak brzmi polecenie. Odpoczywam więc, ale moje myśli nie pozwalają na sen. Zjadam kolację, karmię małego i czekam...

Nazajutrz przed ósmą rano przyjeżdża Jacek.

Próbowałam się przygotować na nasze spotkanie, ale to niemożliwe. Gdy go widzę, krew wypełnia każdą najmniejszą żyłkę, a ból ściska serce. Tyle miesięcy rozłąki, lecz teraz czuję się, jakbym widziała go wczoraj. Nie zapomniałam.

– Cześć. – Jacek przestępuje z nogi na nogę. Pewnie nie wie, jak się zachować, ja też. W końcu wyciągam dłoń. Ściska ją oburącz, przez chwilę patrzy mi w oczy i w końcu nie wytrzymuje. Bierze mnie w ramiona. – Tęskniłem.

– Ja też. Bardzo – szepczę.

– Gdzie Edyta?

– Powiedziałam mamie, że najpierw chcę sama z tobą pogadać. I pokazać... Chcę, żebyś zobaczył swojego synka – wykrztuszam przez łzy.

– Dziękuję – odpowiada Jacek. W jego głosie drży wzruszenie, a serce bije tak mocno, że słyszę je przez marynarkę.

– A może chcesz coś zjeść? Napić się kawy? – Odsuwam twarz, żeby na niego spojrzeć.

– Później.

– Dobrze.

Jacek zostawia w holu torbę podróżną i idzie za mną. Nie mówimy ani słowa, dopiero pod drzwiami dziecięcego pokoju pyta, czy może wejść w butach.

– Oczywiście, że tak.

Naciskam klamkę i wchodzę do środka. Siostra Marianna wita nas łagodnym uśmiechem. Uprzedziłam, że rano będę miała gościa, więc nie jest zaskoczona.

– Malutki właśnie zasnął – informuje.

Ciągle nie potrafię pojąć tego, że dziecku nie przeszkadza ludzki głos. Zawsze myślałam, że przy takich maleństwach trzeba mówić szeptem i

chodzić na paluszkach, bo zbudzi je każdy najsłabszy hałas. Jest przeciwnie, przynajmniej tak twierdzi siostra Marianna. Mimo to, ostrożnie zbliżam się do łóżeczka i zaglądam do synka. Jest taki słodki. Od razu moje serce wypełnia prawdziwa powódź uczuć. Pragnę wziąć go na ręce, lecz tego nie robię. Stoję, nachylona, i patrzę na małą rumianą buźkę, na białe, prawie niewidoczne rzęski, pomarszczone usteczka, które co pewien czas delikatnie się ruszają, jakby mój synuś właśnie myślał o czymś bardzo smakowitym.

– Chodź tu. – Podnoszę głowę i przywołuję Jacka ruchem ręki.

Stoi jak woskowa figura i ani nie drgnie.

– No chodź.

Zerka na siostrę Mariannę, a ta domyślnie oznajmia, że na moment nas zostawi.

– Nie piłam jeszcze porannej kawy, czas to nadrobić. W razie potrzeby zadzwonie po mnie, kochanieńcy – mówi, wskazując brodą przycisk dzwonnka interkomu.

Zostajemy sami i dopiero wtedy Jacek zdobywa się na odwagę i podchodzi do łóżeczka. Nie spuszczam wzroku z jego twarzy. Nie sposób się oprzeć, choć może chciałby zostać teraz sam na sam z małym. Bezwstydnie podglądam ich pierwsze wspólne chwile, Jacka i jego synka. Karmię się nimi, utwierdzam w przekonaniu, że podjęłam dobrą decyzję. Czuję, że Jacek już kocha to maleństwo, nie muszę pytać. Wiem to, bo odczuwam ich wzajemną miłość sercem matki.

– Jest śliczny, prawda? – pytam cicho, niepomna uwag siostry Marianny.

– Jest doskonały. – Jacek nie spuszcza oka z maleństwa. Po jego policzkach płyną łzy. – Dziękuję.

– Nie dziękuj. To przecież twój syn, twoje dziecko.

– Dziękuję, że pozwoliłaś mi go zobaczyć.

Jestem zbyt wzruszona, żeby zaoponować. Przecież ma takie samo prawo do naszego syna jak ja, a może nawet większe.

– Chcesz wziąć go na ręce?

– A mogę? – Wreszcie odwraca spojrzenie. Ociera naprędce łyzy rękawem marynarki i przelyka ślinę. – Może najpierw je umyję?

– Tu można. – Wskazuję na parawan w kącie pokoju. – Umywalka jest z tyłu.

Jacek wraca. Pachnie mydłem, a jego włosy są wilgotne. Pewnie przeczesał je trochę i obmył twarz wodą. W międzyczasie zdążyłam wyjąć naszego maluszka z łóżeczka i usiąść z nim na szezlongu.

– Mogę się przysiąść?

– Tak, z prawej strony.

Do tej pory jakoś się trzymałam, ale gdy Jacek bierze ode mnie dziecko, a potem zastyga, pełen zachwytu, i prawie wcale nie oddycha przez dobrą minutę, jakby w obliczu piękna i doskonałości naszego syna zapomniał o tej konieczności, ponoszę porażkę. Dławię się szlochem. Zatykam usta dłonią, bezskutecznie próbując nad sobą zapanować.

– Nie płacz, bo nie wytrzymam – chrypi. – Pęknie mi serce.

„Nie może. Masz dziecko, masz dla kogo żyć” – mówię bezgłośnie, bo nie jestem w stanie wypowiedzieć teraz ani jednego słowa. Muszę ochłonać, wstaję i podchodzę do stolika, napełniam szklanekę wodą i wypijam duszkiem. Trochę pomogło. Przynajmniej już nie szarpie mną jak przed chwilą.

– Chcesz? – Pokazuję na dzbanek.

– Nie teraz. – Jacek obdarza mnie łagodnym uśmiechem. – Jak ma na imię? – pyta, gdy z powrotem przysiadam obok nich.

– Nie ma imienia.

– Naprawdę? Taki piękny chłopczyk nie ma imienia? – Jego głos to sama czułość.

– Chcę, żebyś ty je wymyślił.

– Ja? – Drgnął lekko, gdy usłyszał, jakie ma zadanie.

– Tak, ty.

– Nie myślałem o tym. – Patrzy to na dziecko, to na mnie.

– Pomyśl.

– Na razie nie jestem w stanie. Mój mózg... – milknie na moment. – Nie wiem, czy jeszcze go mam. Chyba straciłem właśnie cały rozum.

– To jak ja.

– Może Eryk?

– Eryk?

– Nie podoba ci się? – pyta zachowawczo.

– Podoba.

– Mój dziadek miał tak na imię. Lubilem go. Był najlepszym dziadkiem na świecie.

– Może być Eryk. Pasuje do niego. – Patrzę na synka. – Jest podobny do ciebie, prawda?

– Do mnie? – Jacek przenosi wzrok na naszego maluszka.

– Ma twoje oczy, ale na razie nie widać, bo śpi.

– Nie wiem, czy śpi – odpiera strwożonym głosem.

Rzeczywiście, mały Eryczek chyba ma dość porannej drzemki, bo zaczyna się wiercić, uchyla leniwie powieki i nieprzytomnie spogląda na świat.

– Widzisz? Ten sam kolor. I nawet ma takie same rude kropeczki na tęczęwkach.

– Może i racja – szepcze z fascynacją. – Jest głodny?

– Nie. Jadł godzinę temu. Pewnie zaraz zaśnie z powrotem.

– Może mu niewygodnie?

– Wygodnie. Uwielbia być noszony, tak mówi... – ucinam, bo na razie nie chcę zakłócać naszej małej intymności kimś dodatkowym.

– To najbardziej intensywna chwila w moim życiu – wyznaje Jacek. – Ciągle nie mogę uwierzyć, że jestem tatą.

– Ja też. Że jestem mamą – dodaję naprędce, żeby nie miał wątpliwości.

– Na pewno nic a nic mu nie dolega?

– Nasza lekarka mówi, że jest zdrowy. Dostałeś wyniki badań? – Chcę się upewnić, czy mama spełniła moją prośbę.

– Tak. Mailem. Przeczytałem każdy dokument pięć razy i skonsultowałem z doktor Barlicką.

– Tą neonatolog z Moskwy?

– Uhm. Stwierdziła, że wszystko z nim w porządku. Bogu dzięki – wzdycha. Widzę, że przed czymś się waha, by po chwili pochylić głowę i ostrożnie musnąć ustami łapkę Eryka. – Bogu dzięki. Na razie jest malutki i nie powinien nigdzie podróżować, ale mam prośbę. Będę mógł czasami go zobaczyć? Mogę przyjechać w każdej chwili, bardzo bym chciał. – Podnosi na mnie błagalny wzrok.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać, ale w trójkę, z mamą.

Spodziewałam się, że mama zareaguje nerwowo na obecność Jacka, i miałam rację. Najpierw pobladła niczym ściana, by dość szybko poczerwieniec. Podkład zamaskował placki na policzkach, lecz tych na szyi i dekolcie już nie. Ledwie wykrztusiła kilka słów powitania.

Zamierzałam przedstawić moją decyzję po lunchu, ale Jacek poprosił o wcześniejszy termin. „Miejmy to za sobą” – powiedział. Dodał, że kieruje się intuicją i czuje wyraźnie, że to nie będzie przyjemna rozmowa. Zrobiło mi się go żal. Owszem, nie łudziłam się, że spędzimy mile czas na radosnej i beztroskiej pogawędce o nowym członku rodziny, ale na pewno nie zamierzałam się pastwić nad mamą, a tym bardziej nad Jackiem. Gdyby oszacować, o ile w ogóle można oszacować czyjaś winę, on plasuje się na końcu stawki.

Siadamy w jadalni, lecz gdy pokojówka przynosi dzbanek z kawą i filiżanki, uprzedzam, że nie będę pić kawy, bo przecież nie powinnam ze względu na karmienie, za to proszę mamę o powtórkę tej historii, którą poznałam wczoraj.

– Zostawię was samych, myślę, że pół godziny wystarczy, żebyście wszystko sobie wyjaśnili – mówię drżącym z emocji głosem. – Mamo, uważam, że Jacek zasłużył na całą prawdę, nie tylko na jej część.

Jak dobrze, że mogę stamtąd wyjść chociaż na dwa kwadransy. Spędzam je z Erykiem. Serce mi pęka, gdy pomyślę, że wkrótce muszę się z nim rozstać, lecz teraz nie zamierzam skąpić sobie i jemu wspólnie spędzonych chwil. Już zdążyłam go pokochać, a z każdym kolejnym dniem, godziną, a

nawet minutą, będę go kochać jeszcze mocniej, ale to nie zmienia moich postanowień. Kończę go karmić, potem przewijam i oddaję w ręce siostry Marianny. Ma go ułożyć do snu. Idę do jadalni, ocierając ukradkiem łzy. Jeszcze cała pachnę synkiem, tą specyficzną, najśłodsza na świecie mieszanką zapachów: mlekiem, oliwką i nim samym, moją maleńką kruszynką.

– Milenko, co ty mówisz... – wykrztusza mama, gdy parę minut później ona i Jacek poznają moją decyzję i częściowo plany na przyszłość. – Ale dlaczego? – Patrzy to na mnie, to na jeszcze bardziej wstrząśniętego Jacka.

– Tak postanowiłam i jeśli Jacek się zgodzi, tak właśnie zrobię.

– Ale dlaczego?! – Mama podnosi głos. – Przecież jesteś pełnoletnia, jesteś matką i możesz sama wychowywać swoje dziecko.

– Właśnie dlatego. Bo jestem pełnoletnia – precyzuję. – Mogę decydować o swoim dziecku. I zdecydowałam. Chcę zrzec się praw do niego i scedować je na ojca. Na ojca dziecka – dodaję naprędce, bo zabrzmiało to dwuznacznie. – Jacku, jeszcze nie spytałam, czy się zgadzasz. – Skupiam na nim wzrok. Jest blady jak trup, jego wargi zlały się kolorem z twarzą, a pot pokrył czoło. Coś boleśnie kłuje mnie w sercu, gdy widzę, że strasznie się przejął.

– Ja... – chrypi. Chrząka kilka razy, bierze głęboki wdech jak ktoś, kto zamierza wygłosić coś bardzo ważnego, ale nie daje rady. Wyjmuje chusteczkę z kieszeni marynarki i ociera czoło. – Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedz, co czujesz. Co czułeś w chwili, gdy pierwszy raz zobaczyłeś Eryka? – pytam.

– Eryka? – Powtarza po mnie mama. Najwidoczniej Jacek nie zdążył jej powiedzieć o imieniu dla naszego synka.

– Tak. Syn Jacka będzie miał na imię Eryk – mówię twardo.

– To też twój syn – bez namysłu wypala mama. Widocznie uznała moją decyzję za okropny błąd i próbuje na mnie wpłynąć, ale nie pozwolę jej na to.

– A może brat? – odpowiadam.

Od razu kuli się na krześle, jakby chciała zniknąć.

– Kim dla niego jestem? Mamą czy siostrą?
– Milenko... – Nie jest w stanie dokończyć.
– To syn Jacka. Bezsprzecznie. Dlatego chcę, żeby wychowywał go ojciec. Tak postanowiłam i zdania nie zmienię.
– Jezu Chryste... – wzdycha Jacek. Przykłada do ust dłonie złożone jak do modlitwy i przez chwilę trwa w bezruchu.
– Będziesz tego żałować. – Mama wygląda, jakby miała zaraz umrzeć. – Milenko, poczekaj z tym, przemyśl sobie wszystko, błagam.
– Nie. Już postanowione. Jeśli Jacek się zgodzi, chcę jak najszybciej scedować na niego swoje prawa.
– A ja? – wykrztusza mama.
– A ty? – Lekko unoszę brwi, bo nie bardzo rozumiem, o co pyta.
– Nie będę mogła...
– Chodzi ci o obecność w życiu dziecka?
– Milena, przestań – odzywa się Jacek. – Ty zresztą też. – Obraca głowę, żeby spojrzeć na mamę, zalewa się łzami, które nieudolnie ściera wierzchem dłoni.
– Jaka decyzja? – pytam hardo, starając się nad sobą panować, ale tylko Bóg wie, ile mnie to kosztuje. Bóg i tata, który pewnie patrzy teraz na nas i nie może uwierzyć, ile cierpień zafundowali oboje z mamą wszystkim swoim najbliższym.
– A jaka może być? Oczywiście, że się zgadzam, ale tu trzymam stronę Edyty i mam dokładnie takie samo zdanie. Uważam, że zbyt pochopnie podjęłaś...
– Może i pochopnie, zbyt szybko i pod wpływem chwili, ale podjęłam decyzję. – Nie pozwalam mu skończyć. – Nie wiem, jakim będziesz tatą, ale czuję... tutaj czuję – przykładam pięść do serca – że dobrym. Będziesz go kochał, troszczył się o niego i dbał, i spędzał z nim dużo czasu. Tak właśnie myślę. Chcę, żeby Eryk był twoim synem, rozumiesz? Twoim synem – powtarzam, starannie artykułując każdą głoskę. – Synem. Nie synem i bratem jednocześnie. Chcę, żeby miał twoje nazwisko, mieszkał w twoim domu, pod twoim dachem, czasami uciekał do twojego łóżka, żeby

przytulić się do taty, gdy przyśni mu się zły sen. Chcę, żeby wiedział, na pewno wiedział – podkreślam dobitnie – że to ty jesteś jego tatą, nikt inny. On musi to wiedzieć, czuć od początku, jak najwcześniej. Tego właśnie chcę – mówię.

Z mojej brody skapują łzy, część spływa po szyi, a część pada na dekol. Teraz, gdy powiedziałam te wszystkie słowa, jeszcze mocniej i głębiej czuję, że podjęłam jedyną właściwą decyzję. Rozrywa mi serce, gdy pomyślę, że świadomie zrezygnowałam z własnego udziału w życiu tego maleństwa, które nosiłam tyle miesięcy, ale to jedyne wyjście. Jedyne dobre wyjście dla Eryka i jego taty.

– Milena... – Jacek chyba jeszcze nie przyjął do wiadomości moich słów. Wstaje i robi kilka kroków w stronę mamy, jakby szukał u niej wsparcia, ale szybko wraca na swoje miejsce. Może dlatego, że z nas wszystkich to mama jest najbardziej zdruzgotana. Siedzi, wpatrując się w blat stołu, i w milczeniu połyka łzy. – Dam ci kilka dni czasu. Chcę, żebyś jeszcze raz rozważyła za i przeciw. I nie myśl, że się boję, bo tak nie jest. W najśmielszych snach nie sądziłem, że będę miał dziecko, a teraz, gdy już mam syna, nie przypuszczałem, że to właśnie ja będę mógł mieć go zawsze przy sobie. Nie wierzę. – Potrząsa głową.

– Uwierz. Jak najprędzej, bo nie zmienię zdania. – Patrzę na niego i na mamę i choć serce się kraje, mówię: – Już postanowione.

– A jeśli Eryk spyta, gdzie jego mamusia?

– Na razie nie spyta. Za kilka lat możemy powiedzieć mu część prawdy, a gdy będzie dorosły, resztę. Musi ją poznać – dodaję twardo.

– Ale jak to sobie wyobrażasz? – Jacek stara się dotrzymać mi kroku i zapobiec rozsypce całej naszej trójki, pewnie dlatego pyta o moje plany.

– Już mówiłam. Wynajęłam prawnika od spraw rodzinnych, a dokładnie prawniczkę. Dam ci jej wizytówkę. Nazywa się Katarzyna Piłka, znajdziesz ją bez problemu. Pani mecenas poprowadzi sprawę w moim imieniu, bo dałam jej pełnomocnictwa. Będzie sprawa, kilka spraw – dodaję – w sądzie, w Polsce. Potem wyroki się uprawomocnią i Eryk pełnoprawnie zostanie twoim dzieckiem.

– Nie pytam o to. Litości, to nieważne, te wszystkie pieprzone papiery i formalności. – Jacek przełyka ślinę. – To wy jesteście dla mnie ważni, ty i Eryk, rozumiesz? Chcę wiedzieć, co z tobą, bo przecież... – ucina. – Jesteś dla mnie ważna tak samo jak Eryk. Nie chcę cię stracić – wyznaje z rozpaczą w głosie.

– Nie stracisz. Ja... – Biorę głęboki wdech, myśląc, że zaraz wybuchnę płaczem i nikt i nic mnie nie uspokoi. I będę płakać aż do śmierci. – Ja samą siebie straciłam. Nie wiem, kim jestem. Nie wiem – szepczę. – Muszę się odnaleźć. Stać się kimś na powrót.

– Nie mogę tego słuchać... – łka mama.

Paradoksalnie jej rozpacz, zamiast mnie dobić, wyzwala resztki energii.

– Ale wysłuchasz, a potem to zaakceptujesz – mówię. – Chcę wrócić do Polski – zaczynam, a wtedy mama natychmiast podnosi głowę. W jej oczach widzę iskrę nadziei. Niestety a szybko gaśnie, gdy oznajmiam, że nie wrócę do Anina.

– To gdzie będziesz mieszkać? – pyta jeszcze, ciągle wstrząsana płaczem.

– Kupiłam dom.

– Słucham? – Jacek wytrzeszcza oczy.

– Kupiłam dom od cioci Bogusi.

– Co?! – To mama. W sumie dobrze, że wyskoczyłam z tą informacją, przynajmniej wyrwałam ją z otępienia. – Od Bogusi? Od kuzynki Czarka?

Już mam odburknąć, że nie mam innej ciotki o imieniu Bogusia, ale to byłoby bardzo chamskie, a ja nie chcę mamie dokładać. Jest wystarczająco zgnębiona i nieszczęśliwa.

– Kiedy? Jak? O co tu chodzi?

– Tydzień po urodzinach.

– Chyba oszalałaś!

– Czemu? To, że się nie lubicie i nie rozmawiacie ze sobą, nie znaczy, że ja nie mogę. Miałam numer cioci, a babcia jeszcze w święta powiedziała mi, że ciocia na stałe wyniosła się do Włoch i dom stoi pusty i niszczeje. Dlatego zadzwoniłam, spytałam, ciocia potwierdziła, że już tam nie wróci, i zgodziła się na sprzedaż.

- Masz akt notarialny? – wtrąca Jacek.
- Mam. Mam wszystko. Jedyne, czego jeszcze nie zdołałam załatwić, to prawa jazdy, ale to na miejscu, już w Polsce.
- Zuch dziewczyna – podsumowuje, trochę z przekąsem.
- Jacek, czy ty sobie zdajesz sprawę, gdzie jest ten dom i w jakim stanie?
- Mama chyba nie wyczuła ironii. Spogląda na Jacka, jakby miała ochotę go zamordować. – To wiocha. Mała wiocha pod Bielskiem. Drugi koniec Polski. A dom to skorupa, ma ze sto lat i został zaadaptowany ze stajni.
- Z budynku gospodarczego, a dokładnie ze stodoły. Był rzeczoznawca, pooglądał dom, oszacował wartość, poza tym zrobił listę niezbędnych napraw i...
- Remont w toku? – Poddaje mama, bynajmniej nie radośnie. Raczej złośliwie.
- Już się kończy, z tego, co mi wiadomo. Ciocia pozwoliła na wejście ekipie jeszcze przed sprzedażą. Co kilka dni dostaję maile ze zdjęciami. Całkiem nieźle to wygląda.
- Pięknie! – Mama płaska w dłonie. – Kiedy parapetówka? A co ze studiami? Otworzą uczelnię w tej wiosce? I co ty tam będziesz robić?!
- Najwyraźniej jej żal i rozpacz ewoluowały w gniew, tylko na kogo? Na mnie z pewnością, na Jacka też, bo patrzy na niego oskarżycielsko i w końcu fuka, żeby coś powiedział, do jasnej cholery. Czyli do mnie? Nie jestem cholera, jasną tym bardziej. Poukładałam sobie wszystko, a te przygotowania i załatwiania pozwoliły mi przetrwać ostatnie miesiące.
- Coś wam powiem, a wy posłuchacie spokojnie i uważnie, zwłaszcza ty, mamó – cedzę słowa cicho, ale dobitnie. – Gdy tu przyjechałyśmy, nagle zdałam sobie sprawę, że już nic nie zostało do zrobienia prócz czekania na narodziny Eryka. Myślałam, że zwariuję. Musiałam czymś zająć myśli. I zajęłam. Zaplanowałam swoją przyszłość i choć możecie mieć rację, sądząc, że mój plan jest głupi, i tak zrealizuję go do końca. I być może słusznie przewidujecie, że umrę z tęsknoty za małym, bardzo możliwe, że tak się stanie, ale na razie pozwólcie mi trzymać się tego planu, choćby

zdawał się wam najbardziej kretyńskim pomysłem na życie. Chcę zacząć od nowa.

– A co ze studiami? – Jacek patrzy na mnie wzrokiem przesyconym współczuciem.

Udaję, że tego nie widzę, nie chcę się znów rozkleić. Co to, to nie.

– Miałaś studiować, przecież dostałaś się na SGH, to jedna z najlepszych warszawskich uczelni. Edyta wspominała, że możesz zacząć od lutego. Mileno, rezygnujesz z naprawdę dobrej szkoły, z szansy.

– Nie rezygnuję. Mogę zacząć naukę w przyszłym roku. Jeszcze nie umieram.

– A nie da się tam studiować eksternistycznie? – pyta mama. – Skoro zależy ci na tym, żeby zająć sobie czas i myśli?

– Nie wiem, nie pytałam. Na razie nie chcę studiować.

– To co chcesz robić? – Odchyła się na krześle i zakłada ręce na piersiach.

– Pójdę do pracy.

Zapada cisza. Mama patrzy na Jacka, a Jacek na nią. Nic nie mówią, a ja jestem pewna, że oboje w duchu śmieją się teraz ze mnie. Cóż, mają prawo się śmiać, bo kim jestem? Osiemnastolatką, jeszcze nieopierzoną młodą dziewczyną, chociaż pełnoletnią i ze wszystkimi prawami, ale głupią, naiwną i nieznającą życia, wychowaną pod kloszem, od małości otoczoną zbytkiem i luksusem. W moim przypadku nie do końca tak jest. Przez ostatnie dziewięć miesięcy zdążyłam się sporo nauczyć. Odbyłam ultraszybki, za to bardzo intensywny, kurs bycia dorosłym. Już wiem, co to znaczy zdrada i jak boli, wiem, co czuje kobieta, gdy musi zakończyć związek z kimś, w kim zaczynała widzieć przyszłego męża, i jakie ślady w sercu zostawia zło i krzywda wyrządzone przez innych, często tych najbliższych. Może i byłam głupią naiwną Milenką, ale z tym już koniec. Czas na zmianę.

Jacek chrząka, żebyśmy na nim skupiły uwagę.

– Uważam, że Milena ma prawo decydować o swoim życiu, a nam nic do tego.

– Chyba żartujesz? – prychna mama.

– Nie żartuję. Niech sama decyduje, w końcu jest dorosła.

– Pełnoletnia, nie dorosła.

„Jeśli mamy tyle lat, na ile się czujemy, jestem teraz osiemdziesięcioletnią staruszką” – myślę, obdarzając mamę kwaśnym spojrzeniem.

– A moim zdaniem Milena sobie poradzi. I nie kłóć się ze mną, proszę. – Jacek zwraca się do mamy. – Najważniejsze, żeby wiedziała, że zawsze może zmienić decyzję, wrócić do Anina, podjąć studia, a nawet... – obraca głowę, żeby popatrzeć na mnie – a nawet do Eryka. Przyrzekam, że nigdy ci nie odmówię prawa do zmiany tej decyzji, ale pod jednym warunkiem. Nie możesz odebrać mi syna. Czy tak będzie dobrze?

– Uhm. – Potakuję skwapliwie.

– Mam dla ciebie jeszcze jedną propozycję, ofertę, jak zwał tak zwał, ale najpierw pytanie. Jaki kierunek wybrałaś?

– Zarządzanie. Ogólne, ale głównie dotyczy zarządzania w dużych firmach.

– Tak myślałem. Bardzo trafny wybór.

– Przecież ona nie zamierza studiować, zapomniałeś? – Mama przewraca oczami.

– I dobrze. Na razie niech się przyucza praktycznie. Praktyka zawsze wygra z teorią. Ja i Czarek mamy średnie wykształcenie, a jakoś...

– Masz wyższe.

– Jestem magistrem, ale dyplom kupiony na targu. Wiesz, jak jest. – Zawadiacko zadziera brodę i zerka na mnie.

– Widzę, że świetnie się dogadujecie.

– Więc jaka to propozycja? – Ignoruję złośliwości mamy.

– Już mówię...

PAULA



Myślałam, że skończy się na tym jednym jedynym razie, ale oboje jesteśmy zbyt nienasyчени, żeby wyjść z łóżka, wrzucić na siebie ciuchy i wypić popołudniową kawę albo coś przekąsić. Nie wiem, jak Paweł, lecz ja w ogóle nie czuję głodu, zmęczenia też nie. Leżymy obok siebie w milczeniu. Ciszę przetyka regularny szmer naszych oddechów, a przed chwilą zakłócił ją odgłos pieszczoty, gdy Paweł przytknął do ust moją dłoń i ucałował jej ciepłe wnętrze.

Demony nie wracają. Przynajmniej na razie nie pozwalam im wychylić głowy zza węgła. Jeszcze nie czas. Muszę podładować akumulatory, zasilić bezinteresownym szczerym ciepłem, które ofiarował mi Paweł. Ciepło, czułość, troska. Otulił mnie szczęściem jak kokonem. Jak mam teraz wyjść ze środka? Jeszcze bardziej miękka i bezbronna?

– Bałem się. – Słyszę szept Pawła. – Bałem się o ciebie. I nadal się boję.

– Nie powinienes. – Odwracam twarz, żeby na niego spojrzeć. Leży obok, na wznak, z jedną ręką na brzuchu, a drugą pod głową.

– Paula, ja wiem, że coś jest... – milknie. – Coś jest, o tutaj. – Na moment przykłada zwiniętą pięść do miejsca, gdzie bije jego serce. – Przysięgałem, że nigdy nie spytam, i tak będzie, ale wiedz, że jestem tu z tobą i bez względu na wszystko zostanę z tobą, chyba że każesz mi odejść. – On też zwraca twarz w moją stronę. – Zakochałem się w tobie.

– Proszę, nie mów nic więcej. – Z trudem powstrzymuję szloch. Przełykam wielką gulę żalu i czym prędzej wlepiam wzrok w sufit. Na razie nie chcę wyznać mu prawdy, a jednocześnie cierpię, bo zasłużył na szczerłość. Choćby swoim uporem i wiarą we mnie.

Przysuwa się bliżej i zaczyna obsypywać moją twarz pocałunkami. Znowu chce się kochać. Ja też chcę. Próbuję nie myśleć o świetle nocnej lampki, choć słabym, ale wystarczającym, by obnażyć sekrety, i o oddechu Pawła, kiedy jego wargi docierają w okolice mojego podbrzusza. Ignoruję nieco głośniejszy świst powietrza wciąganego do płuc i odrobinę dłuższą przerwę między jednym a drugim pocałunkiem. Przysięgał, że o nic nie spyta, i tak się dzieje. Tylko na bardzo krótki moment Paweł zastyga w bezruchu, a ja mogę skutecznie zdławić szloch, bo mija zaledwie kilka sekund, gdy jego usta znowu podejmują wędrówkę po moim ciele. Prześlizgują się po wąskiej, lecz jeszcze ciągle poczerwieniałej nitce blizny, a może tak mi się tylko wydaje?

Nasz drugi raz jest równie czuły jak pierwszy, ale dłuższy. Za to trzeci inny. Paweł wychodzi do toalety, wraca i najzwyczajniej w świecie ucina sobie drzemkę. Leżę obok i rozmyślam, przypatruję się jego twarzy, pieścę ją wzrokiem, poznaję z bliska każdy cal skóry, każdy włosik brwi i każdą rzęsę. Zajmuje mi to prawie godzinę. W końcu fizjologia daje znać o sobie, więc na paluszkach opuszczam sypialnię i biegnę do łazienki. Jest ósma wieczór, a mnie zdaje się, że spędziliśmy w łóżku cały tydzień. Biorę szybki prysznic, myję zęby i myślę, czy nie sensownie byłoby przygotować jakąś kolację dla Pawła. Wychodzę z łazienki, a mój ukochany dopada mnie zaraz przy drzwiach. Jest nienasycony i zupełnie inny niż przed godziną. Bierze mnie na ręce, niesie do salonu, rzuca na kanapę i obraca tyłem. Nie bawi się w zdejmowanie ze mnie szlafroka, zarzuca go na plecy, chwytając mocno za moje pośladki i przyciąga ku sobie. Chwilę później uprawiamy naprawdę namiętny seks. Pierwszy tak intensywny w moim życiu. To, co wyprawia ze mną Paweł, śmiało mogę określić ostrym rżnięciem. Jest genialnie, dziko i zwierzęco.

I wyczerpująco. Zwłaszcza dla niego. Pada obok mnie, przez chwilę ciężko dyszy i co rusz ociera pot z czoła.

– Byłaś super. – Jego głos brzmi ochryple. – Jesteś super. Uwielbiam się z tobą pieprzyć. – Prawie natychmiast głupio się uśmiecha i przeprasza za niewybredny język.

– Ja też uwielbiam się z tobą pieprzyć – powtarzam po nim, żeby zrozumiał, że wcale mnie nie uraził.

Pótleżymy na kanapie, oboje nadzy, z twarzami zwróconymi ku sobie, i patrzymy sobie wzajemnie w oczy. Po chwili przesuwam wzrok na prawy bark Pawła. Ma na nim wytatuowaną głowę smoka. Gad wygląda strasznie: otwarta paszcza, ostre zęby i wielkie wyłupiaste gały, brr...

– Musiało okropnie boleć. – Dotykam opuszką smoczego oka.

– Trochę tak.

– Dlaczego smoki? – Liczba mnoga, ponieważ na drugiej ręce ma podobnego stwora, ale ułożonego odwrotnie: łbem przy nadgarstku i z finezyjnie odwzorowanym ogonem sięgającym prawego obojczyka. – Przez twój pseudonim artystyczny?

– Nie. Smoki były najpierw, a dopiero potem wymyśliłem didżeja Dragona.

– Coś znaczą?

– Coś tak. W chińskiej mitologii, ale nie pamiętam dokładnie.

– Wobec tego czemu je zrobiłeś?

– Bo są fajne? – Zerka na tego po lewej i pokazuje mu język. – Lubię je mieć. To jak twój kot, którego nie ma.

– Mają imiona?

– Nie. Jest lewy i prawy.

– Powinieneś wymyślić im jakieś imiona.

– A twoje piersi mają jakieś? – Pochyla się i lekko zagryza brodawkę jednej z nich.

– Głupek! – parskam śmiechem i odpycham jego głowę, bo ileż można.

– Od razu głupek. Wymyśl im imiona, a ja nazwę tak moje smoki.

Powinam zaproponować, bo według mnie imię, które pasuje do smoka, niekoniecznie będzie pasowało do piersi. Poza tym co to za durny pomysł, żeby wymyślać imię biustowi, choć z drugiej strony kiedyś czytałam, że wielu facetów nazywa własnego penisa bardzo osobistym określeniem. No i jest jeszcze uniwersalny Wacek. Już mam spytać, czy jego penis zasłużył na jakieś śliczne i dowcipne miano, ale ktoś, a raczej coś, mi w tym przeszkadza.

- Oj... – Paweł klepie się w okolice żołądka.
- Zrobię kolację.
- Zrobimy kolację.
- Dobrze.

Porozumiewamy się bez słów. Paweł idzie do sypialni, a ja do łazienki. Nie wypada jeść kolacji na golasa. To jeszcze nie ten etap, o ile w ogóle kiedyś taki nastąpi. Czuję coraz większy ciężar na sercu, lecz próbuję go ignorować. Szykuję kanapki i herbatę owocową, a w mojej małej kuchence po raz pierwszy mężczyzna przyrządza jajecznicę. Trochę marudzi, że jajka bardziej pasują do śniadania, ale w lodówce prócz nich mam kostkę twarogu i paczkę z przeterminowaną szynką.

- Kiepska ze mnie pani domu – kwituję, gdy zasiadamy przy skromnym posiłku.
- Nie przesadzaj.

Zjadamy wszystko, nawet ja zostawiam pusty talerz. Przypominam sobie o cieście. Wyjmuję deskę, kroję brownie i nagle odkrywam, że płaczę. Pojedyncze łzy skapują z brody, by po chwili płynąć dwiema strużkami i rozpryskiwać się na szklistej powierzchni niezbyt równo pokrojonych ciastek.

- Paula? Co jest? – Usłyszał, że pociągnęłam nosem. Od razu staje obok, kładzie mi rękę na plecach i przyciąga mnie do siebie. – Nie płacz, proszę.
- Boję się... – bąkam, wtulona w jego tors.
- Ale czego? – Prostuje lekko ramiona, żeby móc spojrzeć mi w twarz. – Coś się stało? Coś ci zrobiłem?

– Nie, nic. – Odwracam wzrok. W końcu musi poznać prawdę, a to nas zniszczy. Całkowicie i na zawsze. – Ja już nie mogę dłużej... – szepczę.

– Możesz mi wszystko powiedzieć. Jeśli tylko chcesz – dodaje.

Nie odpowiadam ani słowem. Paweł bierze mnie za rękę i prowadzi do salonu. Umieram z przerażenia, gdy pomyślę, że każe mi usiąść na fotelu, a sam zajmie miejsce po przeciwnej stronie i podda przesłuchaniu. Nie zniosłabym tego. Na szczęście siadamy razem na kanapie, na naszych nogach ląduje gruby ciepły pled, a Paweł przygasza wszystkie światła do minimum. Zadbął nawet o chusteczki. Z kieszeni spodni wyjmuje wpeł zaczęta paczkę i wciska w moją dłoń.

– Dziękuję – wykrztuszam.

Co teraz? Mam mu wszystko opowiedzieć? Ale jak? Nie potrafię. Umrę, zanim zdradzę całą prawdę.

– Powiedz, czy... – zawahał się. Moje serce na moment przestaje bić, ale tylko na krótką chwilę. – Powiedz, co stało się z dzieckiem. Czy ono zmarło?

Los jest dla mnie wyjątkowo łaskawy, a może to opatrność z nieba postawiła na mojej drodze Pawła? Chociaż jest młody i znamy się bardzo krótko, ufam mu. Potrafi sprawić, by moja spowiedź nie okazała się tak strasznie bolesna, żebym nie mogła jej odbyć.

– Nie. Dziecko żyje. To chłopczyk, na imię ma Eryk. Parę dni temu skończył pół roczku.

– Aha. – Tak zwyczajnie to powiedział. Zwykle krótkie „aha”, lecz tylko ja wiem, ile dla mnie znaczy. To zaledwie pierwsze ogniwo bardzo długiego łańcucha, który skuwa moje serce, ale każda, nawet najdłuższa droga zaczyna się od postawienia pierwszego kroku. Ten już za mną. – Nie byłem pewien, czy to blizna po...

– Miałam cesarskie cięcie. Dziecko źle się ułożyło i lekarze zdecydowali, że tak będzie bezpieczniej dla niego i dla mnie.

– Gdzie on teraz jest?

Biorę głęboki wdech, żeby zebrać myśli. Co mam powiedzieć? W jakim miejscu czy raczej z kim jest mój mały ukochany Eryk?

– Mieszka ze swoim tatą w Aninie pod Warszawą.

– Jeśli mam przestać, powiedz. Nie muszę tego wiedzieć. Powiesz mi, gdy uznasz, że sama tego chcesz. – Paweł kładzie rękę za moimi plecami i mocno mnie przytula. Całuje we włosy i powtarza, że mamy bardzo dużo czasu.

– Ale ja chcę – bąkam cicho. – Chcę wreszcie wszystko powiedzieć.

– Dobrze.

Pewnie wolałby patrzeć mi w oczy, ale to zbyt trudne. Tak jest dobrze. Siedzimy obok siebie, Paweł nie widzi mojej twarzy, a ja nie widzę jego. Wystarczy, że słyszę jego oddech, a prawym ramieniem wyczuwam bicie jego serca. To aż nadto.

– Łatwiej mi, gdy pytasz – mówię.

– Spróbuję nie wejść na minę – odpowiada. – Co z ojcem Eryka? Byliście razem?

– Tak.

– Długo?

– Niecały rok.

– Kto kogo zostawił?

– Nikt. Po prostu się rozstaliśmy, ale to on podjął ostateczną decyzję.

– Już wtedy byłaś w ciąży?

– Uhm.

– Kochałaś go?

– Tak, bardzo. – Na moment zakrywam twarz i biorę głęboki wdech, ale to nie pomaga. Łzy płyną ciurkiem, a w gardle dławi żal. – On też mnie kochał.

– Chryste, Paula, nie płacz, proszę. Łamiesz mi serce. – Paweł prawie miażdży moje kości, tak mocno mnie ściska. – Nie płacz, to nic nie daje. Lepiej powiedz, jak...

– Jak możesz mi pomóc? – Obracam głowę. Muszę go teraz widzieć. – Nie rozumiesz? Już i tak mi pomogłeś, jesteś dla mnie dobry, powiedziałeś, że...

– Zakochałem się w tobie – wyznaje. Jego głos drży. – Tak, to prawda, zakochałem, ale nigdy nie wygram z ojcem twojego dziecka i jeśli ty go kochasz, a on ciebie...

– Nigdy, przenigdy nie wrócę do niego.

– Dlaczego?

– Nie możemy być razem.

– Jest żonaty?

– Poczekaj.

Wstaję z trudem. Moje nogi się trzęsą, cała drzę i najchętniej uciekłabym do sypialni, skryła pod kołdrą i płakała tak długo, że rozpląnęłabym się we łzach, ale zanim to zrobię, powiem Pawłowi prawdę, ponieważ na nią zasłużył. I dlatego, że prawda pozwoli mu odejść bez żalu. Zakochał się we mnie, a gdy pozna fakty, odkocha się jeszcze dzisiaj i nie będzie cierpieł. Tylko to jest dla mnie ważne, żebym go nie skrzywdziła.

Idę do garderoby, pod stosem bielizny znajduję gazetę, zamykam szufladę i wracam do salonu. Czas odkryć karty. Zanim pokażę Pawłowi listę stu najbogatszych Polaków, włączam dużą stojącą lampę i przesuwam klosz nad nasze głowy.

– Co to?

– „Forbes”. Wydanie specjalne. – Przewracam strony, nie mogąc znieść widoku własnej dłoni. Drży jak u alkoholika, nie potrafię uchwycić kartki. Na szczęście znajduję zestawienie i aż mnie skręca, gdy pod tabelką z pierwszą dziesiątką milionerów widzę zdjęcie Jacka. Tuż obok jest drugie, a na nim mama i tata, bo to fotografia sprzed trzech lat, i ja: uśmiechnięta, z pucołowatą buźką szesnastolatki, nieświadomej, że wkrótce zawali się jej świat. – Przeczytaj, kto zajmuje piąte miejsce w rankingu najbogatszych ludzi w Polsce. – Podaję Pawłowi gazetę.

– Paula, ale jaki to ma związek z... – Zerka na zdjęcie i szybko przenosi wzrok na mnie.

– Przeczytaj – nalegam.

– Okej. Milena Kowalik i Jacek Nykiel. Przeczytałem. – Patrzy na mnie pytającym wzrokiem, nagle coś błyska w jego oczach.

Zauważył. Trzy lata temu wyglądałam inaczej, ale zdołał mnie rozpoznać. Na zdjęciu mam długie naturalne blond włosy, a moja twarz jest zdecydowanie pełniejsza i bez śladów trosk i bólu, ale to ja. Radosna dziewczyna ze zdjęcia ma moje oczy, moje usta i mój nos, lecz serce ma inne, bo nienaruszone.

Paweł podnosi gazetę bliżej światła, spogląda na mnie uważnie, jeszcze raz kontrolnie przesuwając wzrok na fotografię i z niedowierzaniem potrząsa głową.

– To ty? – Dotyka palcem zdjęcia.

– Tak. Milena Kowalik, tak się nazywam.

– To twoi rodzice? – Nie odrywa wzroku od gazety. Brzegi stron leciutko drżą, a może tak mi się zdaje, bo przepełnia mnie lęk, co dalej będzie. – Milena Kowalik w towarzystwie rodziców: Edyty Kowalik i nieżyjącego już ojca, Cezarego Kowalika – czyta podpis pod zdjęciem.

– Tata miał wypadek samochodowy.

– Przykro mi. – Paweł zerka na mnie.

– Dziękuję.

Nie potrafię odgadnąć, co się kłębi w jego głowie i sercu. Jest jak dziecko. Przyjmuje prawdę na wiarę i na razie nie powiedział, ani jednym słowem nie zdradził, co myśli. Co sądzi o mnie. Nagle uświadamiam sobie, że zareagowałam podobnie, gdy dowiedziałam się, kim jest i co łączy go z panem Hansem. Nie przeżyłam szoku, kiedy wyszło na jaw, że prócz bycia synem bogatego ojca jest celebrytą, artystą, kimś znanym. Najwyraźniej oboje nie przywiązujemy szczególnej wagi do pieniędzy, może dlatego, że nigdy ich nam nie brakowało.

– A ten człowiek? – Wskazuje palcem na zdjęcie Jacka.

– To wspólnik taty i drugi udziałowiec wszystkich firm.

– Twoja mama nie odziedziczyła majątku po mężu?

– Nie. Tylko ja jestem spadkobierczynią.

– Twój ojciec był bardzo młody. – Zauważa.

– Tak. Zmarł młodo.

– Sorry, mam prośbę. – Paweł odlepia wzrok od gazety. Widzę, że się waha, ale w końcu artykułuje życzenie.

– Coś mam. Przyniosę. – Wracam po niecałej minucie, niosąc na wpół opróżnioną butelkę wódki, karton soku jabłkowego i dwie szklanki. – Nie będzie ci przeszkadzać, gdy dołączę?

– Nie. – Paweł napełnia obie szklanki w jednej trzeciej wysokości, starannie zakręca butelkę i stawia pod ławą, uzupełnia wódkę sokiem i podaje mi drinka.

– Mogłeś rozlać całość.

– Mogłem – odpowiada ze stoickim spokojem i stuka lekko w krawędź mojej szklanki. – Mogę skoczyć do sklepu, bo jeszcze jest czynny, kupić butelkę wódki albo dwie, możemy upić się do nieprzytomności, zapomnieć o wszystkim i pójść spać. Tak chcesz?

– Nie.

– Na zdrowie.

– Na zdrowie – odpowiadam.

Oboje w tym samym momencie odstawiamy puste szklanki. Udzielił mi się jego spokój. Już nie płaczę i nie dygoczę, a moje zęby przestały dzwonić o siebie.

– Przejdź tam. – Paweł wskazuje miejsce w narożniku kanapy. Otula moje nogi kocem, a sam siada naprzeciw mnie po turecku. Jest blisko, jego kolana stykają się z moimi, ale nie dość blisko, żebym rozsypała się w jego opiekuńczych ramionach jak domek z kart. – Więc masz na imię Milena?

– Jeśli chcesz, możesz nadal mówić do mnie Paula.

– Nie. Masz na imię Milena.

– Przepraszam, że cię okłamałam.

– Jesteśmy kwita. – Obdarza mnie uśmiechem podszytym lekką nutką goryczy. Tę samą gorycz usłyszałam w jego głosie. – Co teraz mi powiesz?

– A co chcesz wiedzieć?

– Kto jest ojcem twojego synka?

– Jacek Nykiel.

– Tak myślałem. – Kiwa głową. – Widziałem, jak zareagowałaś, gdy zobaczyłaś jego zdjęcie. To ta przeszkoda? Różnica wieku? Ile on ma lat?

– Prawie pięćdziesiąt.

– Pamiętasz, co ci mówiłem o moich rodzicach?

– Pamiętam, ale... – milknę. Przykładam do skroni dłonie zwinięte w pięści i dociskam je mocno. Ból rozsadza mi czaszkę. – Poczekaj, zaraz ci wyjaśnię. Daj mi chwilę. – Przekładam ręce za kark i splatam na nim palce. Zamykam oczy i na bezdechu wygłaszam: – Mój tata nie mógł mieć dzieci. Kilka lat po ślubie mama zdradziła go z Jackiem.

Już. Powiedziałam to.

POWIEDZIAŁAM TO!

– Chryste... – moich uszu dobiega ciche stęknienie. – Czyli ty i...

– Jacek Nykiel to mój biologiczny ojciec. Mama powiedziała nam o tym, gdy już byłam z nim w ciąży.

– Paula, Jezu...

Znów jestem Paulą. Znów tkwię w mocnym i opiekuńczym uścisku ramion Pawła, tulona aż do utraty tchu i kołysana czule niczym małe dziecko, ale nie jestem tą samą Paulą co przed chwilą. Nie płaczę i nie wyję z żalu. Czekam, aż Paweł zrozumie, kim jestem, pojmie, co mnie spotkało, dotrze do niego, jak bardzo pokancerowana jest moja dusza, i wyobrazi sobie, jak ciężko być z kimś takim jak ja. Daję mu czas. I chociaż to on tuli mnie, tak naprawdę to nie ja potrzebuję teraz wsparcia i pociechy, lecz on. Przekładam dłonie na jego plecy i delikatnie przesuwam palcami. Głaszczę go, chcę chociaż tak pomóc mu pogodzić się z prawdą, a przede wszystkim uspokoić. Chwilę trwa, zanim to zauważy i od razu przestaje mną kołysać.

– Nie wiem, co powiedzieć – szepcze blisko mojego ucha. – Chryste... – Z jego ust wydiera się bolesny jęk. – Chryste, Paula, tak cholernie mi przykro.

– Nie martw się o mnie – chrypię. – Poradziłam sobie.

– Jak mam się nie martwić? – Chyba już nie potrafi trzymać mnie w objęciach, bo prostuje ramiona, ale nadal trzyma dłonie na moich barkach.

– Dziewczyno...

Nie potrafię znieść bólu, który widzę w jego oczach. Cierpienie założyło swoją maskę na twarz Pawła, a mnie pęka serce, bo to przeze mnie. Nie powinnam była do tego dopuścić. Nasze ścieżki miały biec daleko od siebie i nigdy się nie połączyć. To moja wina.

– Wybacz mi.

– Co mam ci wybaczyć?

– Wszystko. Nie powinniśmy byli...

– Czekał. – Bezwiednie zaciska palce na moich barkach. – Czekał, zaraz porozmawiamy o nas, ale najpierw powiedz, czy z twoim dzieckiem...

– Eryk jest zdrowy, nic mu nie dolega. Rodziłam go w Szwajcarii, w bardzo dobrej klinice, a w czasie ciąży prócz lekarza ginekologa opiekował się nami genetyk.

– Boże, co za ulga. – Paweł przełyka ślinę. Jest okropnie przejęty. – Na pewno wszystko z nim okej?

– Tak. Eryk jest zdrowiutki. Zanim się urodził, bardzo się o niego baliś... bałam – poprawiam naprędcę – ale przebadali go najlepsi specjaliści i jest zdrowy. Dziękuję ci – dodaję po namyśle. – Twoja troska dużo dla mnie znaczy.

– To chyba normalne, że martwię się o kogoś, kogo kocham?

Wzruszam ramionami, bo nie wiem, co powiedzieć. Niby się z nim zgodziłam, lecz to wcale nie takie oczywiste. Tym bardziej czuję się rozdarta, bo deklaracja, którą złożył, to nie puste słowa. On naprawdę mnie kocha.

– Dziękuję – bąkam z trudem.

– Opowiedz mi wszystko. Chyba że nie chcesz? – Paweł wyciąga dłoń, żeby złączyć ją z moją. – Najgorsze już za tobą, prawda?

– Tak. Najgorsze już za mną – potwierdzam, nie będąc do końca pewną, co ma na myśli, czy smutną historię mojej pierwszej wielkiej miłości, czy dzisiejsze wyznanie prawdy.

– Więc?

– Będę płakać – uprzedzam, znów czując pieczenie pod powiekami.

– A ja będę podawał ci chusteczki, a kiedy się skończą, przyniosę rolkę papieru toaletowego. W najgorszym wypadku jest jeszcze moja bluza. – Obdarza mnie delikatnym uśmiechem.

Chyba jest delikatny, bo nie widzę wyraźnie przez łyzy. Opowiadam Pawłowi wszystko, zaczynam od pamiętnej domówki u Dawida, tłumaczę, jak to mną szarpnęło, później przychodzi czas na Jacka i naszą wielką miłość. Mówię o wyjeździe do Wiednia, o ciąży, o maturze. Ten ostatni wątek pozwala mi złapać oddech przed najgorszym. Paweł przynosi pachnącą rumiankiem rolkę i co mnie jeszcze bardziej wzrusza, to on odrywa po pięć listków i podaje, gdy są potrzebne. A są potrzebne prawie stale.

Czasami zadaje pytania. Na niektóre banalnie łatwo odpowiedzieć:

– Zmieniłam fryzurę jeszcze w Nyon. Poszłam do salonu, obcięli mi włosy i zmienili kolor na czarny. – Mam dodać, że zrobiłam makijaż permanentny, bo moja naturalna oprawa oczu jest bardzo jasna, ale uznaję to za nieistotny szczegół. – Chciałam wyglądać inaczej, żeby nikt mnie nie rozpoznał. Nie jeździłam samochodem, bo bałam się ewentualnej kontroli. A co do domu, najpierw stanowił moją własność, ale Jacek całkiem sensownie zauważył, że rachunki za media i korespondencja będą przychodziły na moje imię i nazwisko, więc wniosłam dom aportem do jednej z naszych spółek. Czym zająłam myśli? Próbowałam je zająć za wszelką cenę, więc prócz wdrażania się w sprawy firmowe wynajęłam Anitę Szklarz, młodą doktorantkę z uczelni, na której mam studiować od października. Uczymy się przez Skype'a, to znaczy ona mnie uczy. Czego? Zarządzania, rachunkowości, wszystkiego po trosze. Kontakt z mamą i Jackiem? Z mamą tak, dzwoni do mnie w każdą niedzielę. Z Jackiem nie rozmawiałam ponad pół roku. Ze znajomymi też nie.

Są również trudniejsze pytania.

– Kiedy oddałam Eryka? – wzdycham, bo te wspomnienia są wyjątkowo bolesne. – Wkrótce po wizycie Jacka. Zabrał go tydzień później. Chciałam od razu tu przyjechać, ale dom jeszcze nie był wyremontowany. Zostałam w Nyon do końca roku, spędziłam tam z mamą najgorsze święta w moim

życiu, a potem... – przelykam łyzy – a potem w końcu tu przyjechałam. Czy żałowałam? Tak. Milion razy żałowałam i pewnie będę żałować, że oddałam Eryka Jackowi, ale gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym tak samo.

I pytanie, które musiało paść i na które mogłam się przygotować, lecz to niczego nie ułatwia: „Dlaczego oddałam Eryka?”. Paweł nie potrafi zrozumieć. Boję się, że mnie osądził, uznał za wyrodną matkę.

To bardzo boli.

– Jacek niczemu nie zawinił – zaczynam.

– Zdradził przyjaciela – wtrąca Paweł. – Jediną osobą, która nie zawiniła ani trochę, jesteś ty.

– Ukrywałam prawdę przed mamą – mówię. – Prócz Eryka żadne z nas nie jest bez winy. Wszyscy kłamaliśmy, a Jacek został okropnie wykorzystany. Moi rodzice oszukiwali go przez lata, nie widzisz tego? – W moim głosie brzmią nutki irytacji.

– Staram się, ale nie potrafię patrzeć twoimi oczami. I twoim sercem – dodaje po namyśle.

– Przepraszam. Jeszcze nie potrafię mówić o tym bez emocji.

– Przy mnie nie musisz ich skrywać. – Delikatnie ściska moją dłoń.

– Najważniejszy był Eryk. Chciałam jasnej sytuacji. Dla mnie jest i synem i bratem, a dla Jacka? – Chcę, żeby odpowiedział.

– Tylko synem.

– Już rozumiesz?

– Tak.

– Uważasz, że to błąd? – Czekam na odpowiedź z drżącym sercem.

– Uważam, że to dowód wielkiej miłości – odpowiada. – Musiałaś bardzo kochać Jacka.

– Bardzo go kochałam. – Świadomie i z rozmysłem używam czasu przeszłego, jak i on. – Kochałam, dlatego ofiarowałam mu coś, co jest najcenniejsze. I nie myśl, że łatwo mi przyszło podjąć decyzję.

– Nie pomyślałam tak nigdy.

Zapada cisza. Ocieram ostatnie łzy. Już chyba dość ich dzisiaj utoczyłam. Pewnie dlatego czuję się dziwnie pusta i lekka. Zwierzyłam się Pawłowi, padło tyle słów, że można nimi zapełnić książkę, ale nadal tych niewypowiedzianych jest więcej. Czy kiedyś będzie miał okazję je poznać? I czy w ogóle chce? Podnoszę na niego wzrok i czekam na jakikolwiek odzew. Paweł milczy. Wpatruje się we mnie, a ja oddałabym rok życia, żeby poznać jego myśli. Co teraz?

– Muszę to wszystko jakoś sobie poukładać – mówi po dłuższej chwili.

Przełykam ślinę, zdając sobie sprawę, że pierwszy raz, odkąd się znamy, Paweł nie jest pewny swoich uczuć. A może jest pewny, ale nie ma pojęcia, jak to wygląda u mnie. I słusznie. Przywołałam wspomnienia, wywlekłam je wszystkie niczym ciuchy z szafki i usypałam z nich wielki stos na środku pokoju. Teraz powinnam zająć się sortowaniem. Odrzucić stare i niepasujące na mnie – a raczej do mnie – i zostawić tylko te dobre, a powstałe wolne miejsca zastąpić nowymi. Lecz to takie trudne, nawet w przypadku ubrań, bo nieraz ze zbyt ciasną sukienką albo džinsami, z których się wyrosło, wiąże się jakaś historia, moment z naszego życia, coś sentymentalnego. Co dopiero mówić o wspomnieniach. Jak wyrzucić z serca pierwszą miłość? Taką cudowną, dobrą, wzajemną? Jak zapomnieć o kimś, kto nigdy, przenigdy nie zrobił nam krzywdy? Z kim przeżyło się swój najwspanialszy i najczulszy pierwszy raz? Pamiętam każdy dotyk i gest, czułe słowa i to, jak się czułam przy Jacku. Kto da mi gwarancję, że kiedyś naprawdę zapomnę, wyleczę się z niego i zacznę, jak tego pragnął, widzieć w nim wyłącznie ojca? Chciałabym. Najbardziej i najmocniej. Ze wszystkich sił. Czy istnieje na tej ziemi remedium, które sprawi, że zapomnę o Jacku? Jeśli tak, chcę je zdobyć. Poszłabym po nie na drugi koniec świata.

– Dlaczego nic nie mówisz? – pytam cicho.

– Czasami nie ma się nic do powiedzenia, a czasem słów jest za dużo.

– Jesteś zmęczony? – Dopiero teraz pojmuję, że jego również sporo kosztowała moja spowiedź. Cóż, znów okazałam się egoistką. – Przepraszam.

– Nie masz za co przepraszać. – Paweł wstaje, żeby przysiąc się blisko mnie. – Mam z tobą zostać?

– Na noc? – Mój głos jest prawie niesłyszalny.

– Tak.

– A chcesz?

– To nieważne, czego ja chcę.

Myślę inaczej. Wolałabym, żeby Paweł też chciał tu ze mną być, ale przecież nie mam prawa wymagać od niego aż tyle.

– Więc zostań.

I zostaje. Zjadamy bardzo późną kolację, którą stanowi zeschnięte brownie, i idziemy spać, a rano jest zupełnie inaczej, bo przez noc ktoś uprzątnął stos ciuchów. Spakował do worków i upchnął do szafy, żeby poczekały na mnie. To ja muszę zdecydować, czy i które wyrzucić. Tylko ja.

Nie potrafię normalnie funkcjonować. Błądzą myślami, tępo gapię się w ekran albo idiotycznie chichoczę, gdy zauważam Pawła idącego przez dziedziniec. Zatrzymuje się, podnosi rękę i kilka razy macha do mnie. A ja zamiast mu odmachać i wrócić do swoich zajęć, rozmyślam o nim przez następne pięć minut. Istna kretynka. To najgorsze, co może być: pracować u kogoś, kto zna prawie wszystkie nasze najskrytsze tajemnice, kto mówi, że nas kocha, i co gorsza, z kim się poszło do łóżka i pójdzie jeszcze nieraz. Ciekawe, jak on to widzi. Pewnie się nie przejmuje, bo jest prawdziwym mistrzem w tworzeniu kompilacji, jeszcze bardziej dziwacznych niż nasz świeży związek. Na szczęście dzisiaj nie miał czasu, żeby wpaść do mnie do biura i pogadać, jak zawsze. Na marginesie, te przerwy są coraz dłuższe. Od początku tak było i teraz zamiast kwadransa wystarczającego na zjedzenie lunchu i wypicie kawy Paweł potrafi tu siedzieć nawet godzinę. Jest mi głupio, bo to nieuczciwe wobec jego ojca, a z drugiej strony już nie potrafię żyć bez naszych rozmów. Mam głowę w chmurach. Właśnie

dlatego praca idzie mi jak po grudzie i wychodzę z biura dopiero przed piątą. Już z daleka widzę Martynę. Czyżby na mnie czekała?

– Cześć! – wykrzykuje.

– Cześć. Wpadniesz na kawę?

– Kocham twoją kawę, przecież wiesz. Myślałam, że już wróciłaś z pracy.

– Musiałam zostać trochę dłużej.

Wchodzimy do domu, włączam ekspres, w międzyczasie odgrzewam w kuchence mikrofalowej resztki zapiekanki z wczoraj i słucham, co nowego u Martyny. Zasadniczo nic nowego. Adrian pracuje, a ona się nudzi. Jak pies.

– Muszę iść do jakiejś roboty, bo zwariuję w domu. A właśnie, coś ci powiem, tylko to tajemnica. – Zanim zdradzi swój sekret, słodzi kawę, miesza, dmucha i upija maleńki łyżeczek. Stopniuje napięcie. Ech, cała Martyna. – Padniesz, mówię ci.

– Brzmi groźnie. – Nabijam ostatnią rurkę makaronu na widelec i pakuję do ust. Paskudne mi to wyszło, a dzisiaj jest jeszcze gorzej niż wczoraj, bo makaron wysechł.

– Pamiętasz Wąsika? – zniża głos.

– Tego oblecha? Trudno nie pamiętać. – Odkładam sztućce, sięgam po szklankę z wodą i wypijam połowę jej zawartości. Muszę przełknąć makaron. I obrzydzenie. – Co z nim? Umarł? – Mam dzisiaj wisielczy humor.

– Nie umarł, ale za niedługo pójdzie do więzienia – oświadcza, jakby to ona miała go doprowadzić na miejsce skazania.

– Serio? – Wytrzeszczam oczy. – Powiedz, że dostał dożywocie w Guantanamo, a dam ci ten ekspres. – Wskazuję brodą.

– Nie wiem, gdzie go wsadzą ani na jak długo, ale na pewno dostał wyrok. Bez zawiasów.

– O! – Unoszę oba kciuki. – Jedna menda mniej. Szkoda, że nie na zawsze. A za co?

– Za molestowanie seksualne.

– Czemu mnie to nie dziwi?

– Już wcześniej miał kłopoty z prawem, zwolnili go ze spółdzielni, bo molestował pracownice, ale dostał tylko grzywnę. Potem trafiło na nieletnią, uwiódł jakąś młodą dziewczynę i znów mu się upiekło, a teraz pójdzie do paki.

– I niech mu tam...

– Zrobią dobrze. – Martyna kończy za mnie. – A wiesz, kto złożył doniesienie?

– Nie.

– Ponoć ten twój Paul – mówi z lisim uśmieszkiem.

– Po pierwsze nie mój, a po drugie skąd wiesz?

– Siostra mamy zna dobrze Wąsika, bo mieszka kilka domów dalej. Była u nas wczoraj i wszystko nam powiedziała.

– Kiedy to się stało? Chodzi mi o rozprawę.

– Tydzień temu. Wąsik jest załamany. Ciocia mówi, że codziennie chleje do nieprzytomności. Liczył na apelację, ale sąd ją odrzucił i odwiesił poprzedni wyrok.

– I to Paweł złożył doniesienie? Bez sensu.

– Może namówił kogoś, żeby oskarżył Wąsika. Którąś z dziewczyn? Tam pracowało mnóstwo dziewczyn z Grabówka. Zatrudniały się i zwalniały, bo Wąsik potrafił uprzykrzyć życie, zresztą sama wiesz.

– Wiem. – Sięgam po wodę. – Dobrze mu tak, oblechowi jednemu.

Chcę to wyjaśnić. Przy okazji mam doskonały pretekst, żeby zadzwonić do Pawła. Ledwie Martyna wraca do domu, a zabieram telefon i idę na taras. To trochę głupie, że muszę szukać pretekstu, by pogadać z facetem, z którym dwa dni temu uprawiałam seks. Nawet bardzo głupie, idiotyczne wręcz, ale na razie nie potrafię inaczej. Prawdopodobnie sama jestem sobie winna. Długie tygodnie odtrącałam Pawła, oganiałam się od niego jak od natrętnej muchy, aż dziw, że to wytrzymał, i teraz jest mi głupio. Popieprzone to wszystko.

– Cześć. Jak miło, że dzwonicz. – Wita mnie bardzo przyjemnym, niskim tembrem. Na moich ramionach od razu wstają wszystkie włoski, na karku

też, bo jego głos brzmi podobnie jak w czasie naszych łóżkowych zabaw. Niech doda coś we flamandzkim i jestem ugotowana na miękko.

– Cześć, co słysząc? – Zadaję najbardziej durne pytanie świata. Od razu mam ochotę uderzyć głową o blat ogrodowego stolika.

– Wszystko w porządku. Dziękuję! A u ciebie? – odpowiada piskliwym głosem. Wypisz wymaluj, jakby rozmawiały ze sobą dwie infantylne psiapsiółeczki.

– Jesteś okropny.

– Bardzo możliwe. Czemu dzwonisz? Stęskniłaś się?

– Chciałam z tobą o czymś pogadać.

– To co, mam przyjechać?

– Eee...

– Decyduj. Właśnie otworzyłem piwo. Pić? Nie pić?

– Nie pij – mówię cicho, ale na pewno mnie usłyszał. Mimo to Paweł każe mi głośno powtórzyć. Przewracam oczami. – Nie pij.

– Okej, odstawiam piwo.

– I przyjeżdż.

– Okej, już – parska śmiechem i rozłącza rozmowę.

Tak wygląda moje mocne postanowienie, co do spotkań wyłącznie w środy, soboty i niedziele. Poza tymi ustaleniami żadne z nas nie wspomniało o konieczności poważnej rozmowy, co będzie z nami dalej. Szybko układam poduszki na sofie, biegnę do łazienki, poprawiam fryzurę, maluję rzęsy i psikam się kilka razy dezodorantem. Dziesięć minut później Paweł wchodzi do domu, ledwie przekracza próg i bez słowa bierze mnie w ramiona. Całuje tak łapczywie, że boję się o własny język i wargi.

– Ponoć miałaś się uczyć? – wtrąca między pocałunkami.

– A ty kompilować. – Nie jestem mu dłużna.

– Ale wszystko się skom... skop...

– Skomplikowało.

– No właśnie, a teraz idziemy do sypialni... – Ciągnie mnie za rękę.

Jak mam z nim, a właściwie z samą sobą, wytrzymać? Mija godzina, potem druga. Niezauważalnie. Najwidoczniej mam ogromną potrzebę

bliskości czy jak ją zwał. A przecież mieliśmy porozmawiać. W końcu wyłazimy z łóżka, bierzemy razem szybki prysznic, naturalnie nie szczędząc sobie dalszych pieszczot, potem coś przekazujemy i właśnie wtedy mój (?) chłopak wtrąca, że chce mi coś powiedzieć.

- Pamiętasz Marka Wąsika?
- Nie, no skąd. A kto to taki? – fukam.
- Nie pamiętasz? – Marszczy czoło.
- Właśnie dlatego do ciebie dzwoniłam. Chciałam o nim pogadać.
- A ja myślałem, że się stęskniłaś – mówi żartobliwym tonem.
- Czemu ukrywałeś to przede mną? Martyna dziś u mnie była i...
- Sorry, powinienem był wcześniej poruszyć ten temat, ale się bałem.
- Niby czego? – Wzruszam ramionami. – Już dawno mi przeszło.
- Nie miałem pojęcia, że to dla ciebie żaden problem. – Prawie niezauważalnie przymruża oczy. Czyżby sądził, że powinnam nadal go mieć?
- Posłuchaj... – Biorę głębszy oddech, żeby dotlenić mózg i sensownie wyartykułować to, co myślę. – To nie tak, że nie mam z tym problemu. Zwłaszcza wtedy. Czułam się okropnie w towarzystwie tego buca, ale już mi przeszło. Umiałam sobie z tym poradzić. Mnie nie zrobił krzywdy, bo potrafię się obronić, a przynajmniej nie czuję strachu, żeby podjąć walkę. W naszym liceum było sporo zajęć fakultatywnych, między innymi techniki samoobrony. Prócz instruktorów w tych zajęciach uczestniczyła psycholożka. Uczyła nas, głównie dziewczyny, jak sobie radzić w sytuacji zagrożenia. Ja miałam wsparcie, ale jestem w stanie zrozumieć kobiety, które go nie miały. Chyba wiesz, dlaczego nie chciałam zgłosić się na policję? Może to egoistyczne z mojej strony, ale wyobraź sobie, co by się stało, gdyby te informacje wypłynęły do gazet.
- Nie chciałaś sprawiedliwości? Dania mu nauczki?
- Oczywiście, że tak. A jeszcze bardziej chciałam pewności, że ktoś wreszcie skutecznie go powstrzyma.
- Ty go powstrzymałaś. – Paweł wykrzywia usta w gorzkim grymasie mającym przypominać uśmiech.

- Ty. Nie ja. Ja nic nie zrobiłam. Nie mogłeś na mnie liczyć.
- Nie miej do siebie pretensji.
- Trochę mam.
- Postanowiłem zrobić porządek. Nie uwierzysz, ile kobiet napastował ten gnojek.
- Tak samo nie uwierzę, gdy powiesz, że prawie żadna nie chciała tego zgłosić.
- Skąd wiesz? – Paweł patrzy na mnie z podziwem.
- Bo wiem.
- Udało mi się przekonać tylko trzy były pracownice ojca. Dotarłem do nich, wynająłem i opłaciłem dwóch naprawdę dobrych prawników i udało się.
- Dziękuję. W imieniu swoim i wszystkich dziewczyn, którym...
- Nie dziękuj, nie masz za co. Zrobiłem to głównie dla siebie. Wstyd przyznać, ale to zwykły odwet. To główny motyw. Osobisty – wyznaje. – Pewnie spytasz, czemu nie dałem mu w mordę? Nie stłukłem jak psa, chociaż mógłbym to zrobić. – Bezwiednie zaciska zęby. – Chciałem, ale takich jak on to nie powstrzyma. Chciałem go zniszczyć, sprawić, że będzie skończony.
- Bardzo mi przykro. – Przełykam ślinę, bo czuję, że za chwilę Paweł coś mi zdradzi. Coś strasznego.
- Nie powiedziałem ci całej prawdy. Na tym koncercie... – milknie, żeby wziąć głęboki wdech – była moja siostra. Ma na imię Lotte.
- Ile ma lat?
- Piętnaście. Nigdy nie jeździła na moje koncerty. Nasza matka uważała, i słusznie, że to nie miejsce dla dzieciaków. Ale wtedy się zgodziła, bo to był szczególny koncert, miałem zdjąć maskę, ujawnić tożsamość. Lotte była z koleżanką i jej chłopakiem. Zakładałem, że nic im się nie przydarzy. Załatwiłem miejscówki zaraz przy scenie, bo tam jest najbezpieczniej. Nie przewidziałem, że to za mało. Koncert się kończył, a moja siostra postanowiła, że robi mi niespodziankę i poczeka za kulisami. Szła tam i...
- ucina. Przykłada dłonie do ust i przez chwilę oddycha ciężko, a ja

umieram z bezradności, bo w żaden sposób nie potrafię mu pomóc. Jedyne, co mogę, to słuchać. – Zaraz po koncercie – podejmuje po dłuższej chwili – mieliśmy stamtąd wyjeżdżać. Organizator, czyli ktoś z zarządu miasta, załatwił pomoc przy demontażu sceny. Jeden z tych koleś zauważył idącą samotnie dziewczynę i wciągnął ją pod scenę. Tam jest mało miejsca, ciasno, ale masz gwarancję, że nikt, absolutnie nikt cię nie usłyszy. Nikt nie usłyszy wołania o pomoc.

– Boże... tak bardzo mi przykro.

Zapada cisza. Paweł zamknął oczy. Pewnie wraca wspomnieniami do tych chwil, bo jego twarz co chwilę przeszywa spazm bólu. Nie wiem, co mam teraz zrobić. Czekać? Zapytać o coś? A może go przytulić? Co powiedzieć w takim momencie?

– Nie zdążył jej zgwałcić – podejmuje. Unosi powieki i patrzy na mnie szklistym spojrzeniem. – Jakaś parka, dziewczyna i chłopak, miejscowi, też tam weszli i go spłoszyli – mówi, a ja od razu głośno wypuszczam powietrze. Czuję ulgę, chociaż to, co powiedział, to odrobina szczęścia w strasznym nieszczęściu. – Znaleźli Lotte. Była nieprzytomna. Ten śmieć uderzył ją w głowę. Zdjął z niej dzinsy i bieliznę – wykrztusza.

– Ale nie zdążył...

– Natychmiast wezwali pomoc, ktoś tam zaraz przybiegł, bo ten chłopak, Sebastian, wylał spod sceny i zgłosił to ochronie.

– A dziewczyna została z Lotte?

– Tak. Annika próbowała ją ocucić.

– Udało się?

Kiwa głową.

– A co jest najgorsze? – Zwija dłonie w pięści i kilka razy uderza nimi w skronie. – Że w tym samym czasie, kiedy moja siostra błagała o pomoc, krzyczała i wyła ze strachu, ja przeżywałem najlepsze chwile w całej mojej karierze. Zapomniałem o niej! Nie zauważyłem, że zniknęła. Nigdy sobie tego nie wybaczę – mówi.

Dławi mnie w gardle, gdy widzę, że po policzkach Pawła spływają łzy.

– To nie twoja wina. Nie miałeś wpływu...

– I co z tego?! – Przerywa mi gwałtownie. – Co z tego? Zapomniałem o Lotte – powtarza dobitnie.

– Jak ona się teraz czuje?

– Fizycznie nic jej nie dolega. Już na drugi dzień lekarze powiedzieli rodzicom, że można ją zabrać do domu. Poza drobnymi otarciami nic jej nie było. Nie stwierdzili wstrząsu mózgu. Zemdlała, bo się wystraszyła, nie wskutek uderzenia w głowę.

– Bogu dzięki. – Czuję ogromną ulgę, ale nie mogę powiedzieć, że wypełnia całe moje serce. To nie koniec tej strasznej historii.

– Rodzice przyjechali bardzo szybko. Byli tam kilka godzin później. Matka... – zacina się.

– Obwiniła cię? – pytam, a gdy Paweł potakuje, chcę krzyknąć. Chcę wstać i rozwalić coś, zniszczyć, roznieść w pył. – To nie twoja wina – mówię z mocą. – Nie twoja, nie Lotte, tylko tego człowieka, o ile można nazwać go człowiekiem.

– Muszę się napić.

– Chyba nic już nie mam...

– Daj mi cokolwiek. Wodę, colę.

– Aha.

Myślałam, że ma na myśli alkohol, i to jeszcze bardziej mnie przybiło. Na szczęście to nie próba utopienia smutku w wódce, lecz zwykłe pragnienie. Podnoszę się z fotela i idę do kuchni.

– Lotte dostała pomoc psychologa – informuje Paweł zaraz po moim powrocie. Upija łyk wody i zakręca butelkę. Bawi się nią, obraca w dłoniach, ściska. – Nie siedzę w jej głowie, ale chyba już jest okej. Tak mi się wydaje. Mam nadzieję.

– Co mówił psycholog?

– Że bardzo dobrze sobie z tym poradziła.

– A ty?

– Co ja? – Jego ramiona prawie niezauważalnie podnoszą się i opadają. – Nie potrzebowałem psychologa.

Mam inne zdanie, ale zachowuję je dla siebie.

– Jak ty to widzisz? – precyzuję.

– Nie powiedziałem ci wszystkiego. W zasadzie trochę nagiąłem prawdę – mówi, a gdy zauważa mój pytający wzrok, uzupełnia: – Mama mnie wygoniła. Kazała zejść z oczu, tam, w Monachium. Ojciec nie chciał zaognić sytuacji, więc wróciłem z nim do Antwerpii. Tłumaczył, że mama jest okropnie przeczulona na punkcie Lotte i stąd jej głupie, jak wtedy powiedział, oskarżenia. Miałem nie brać ich sobie do serca, ale jak to zrobić, gdy człowiek czuje się tak cholernie winny, a ktoś go jeszcze w tym utwierdza? Właśnie o to się z nim pokłóciłem. Powiedziałem, że matka ma rację. To ja ponoszę winę.

– Nie. Nie zgadzam się – oponuję natychmiast.

– Lotte mówi to samo. Staram się wierzyć, że choć ona mi wybaczyła.

– Wybaczyła? – Przechylałam głowę. – Nie znam twojej siostry, ale zakładam, że ma podobny charakter. Jeśli jest choć w połowie taka jak ty, nie musiała ci wybaczać. Rozumiesz? Nikt nie musiał ci wybaczać. Nie miał czego.

– Żeby to było takie proste. – Paweł ciężko wzdycha.

Opowiada mi bardzo dokładnie przebieg zdarzeń, wspomina o sprawcy, którym okazał się młody chłopak. Pomoc przy obsłudze koncertu była jego pierwszą pracą. Już wiem, po co Paweł pojechał do Antwerpii pod koniec marca. Właśnie wtedy odbywała się tam pierwsza rozprawa sądowa i zeznawał jako świadek. Lotte regularnie dzwoni do niego i pisze, żeby wrócił do Holandii, bo tęskni, a ich matka bardzo szybko zrozumiała, że popełniła straszny błąd, i w lutym przyjechała do Grabówka błagać syna o wybaczenie.

Jedyne, czego nie wiem, to jak pomóc Pawłowi uwierzyć, że jest bez winy.

– Mówiłem ci, że pracuję nad nową kompilacją. – Odstawia butelkę, wspiera łokcie na kolanach, a brodę kładzie na splecionych dłoniach. – To kłamstwo. Nie pracuję. W tym roku nie nagrałem nawet jednego seta. Nic. Czasami myślę, że straciłem serce do muzyki. Tworzenie przestało mnie cieszyć.

- Co mogę zrobić? – pytam cicho.
- Żebym znów zaczął bawić się muzyką? Chyba nic. Zresztą... Jeszcze ci nie podziękowałem.
- Za co?
- Od kiedy cię znam, jest łatwiej, znacznie.
- Sądziłam, że trudniej. Nie wolno porównywać, wyceniać tego, co nas spotkało, licytować się, które z nas ma gorzej. Oboje mamy swój bagaż. Może z kimś, kto go nie ma, byłoby ci lepiej?
- Może tak, ale czy ktoś taki byłby mnie w stanie zrozumieć? Nie sądzę. Wiesz, czego się boję?
- Nie.
- Inaczej to powiem. Daj mi chwilę. – Namyśla się. – Mam nadzieję, że wszystko się kiedyś ułoży. Moja siostra zapomni, ja też. Najpierw sobie wybaczę, a później zapomnę, bo matce wybaczyłem prawie od razu, jeszcze w Monachium, a gdy się mocniej zastanowić, chyba nigdy nie czułem do niej urazy za ten atak. Miała powód.
- Więc czego się boisz?
- Chciałbym, żeby ten gnojek poniósł odpowiednią karę, ale obawiam się, że będzie niesprawiedliwa. Niewystarczająca. Bo jaka kara jest wystarczająca w takiej sytuacji? Boję się, że kiedyś wyjdzie z więzienia, o ile w ogóle go wsadzą, i znów zrobi komuś krzywdę. Że zbyt szybko przestanę czuć tę satysfakcję, którą poczułem kilka dni temu, kiedy przeczytałem mail od Sawickiej informujący o odrzuceniu apelacji Marka Wąsika. Mam sporo obaw, jak widzisz, ale próbuję walczyć.
- To dobrze. Podziwiam cię. I zazdroszczę. – Podnoszę stopy, wspieram je na brzegu siedziska i obejmuję kolana. – Mimo wszystko masz odwagę walczyć ze swoimi demonami.
- Ty nie masz?
- Nie wiem. – Uciekam spojrzeniem, ponieważ mi wstyd. – Są momenty, kiedy jestem z siebie cholernie dumna, a są też takie, kiedy jedyne, co do siebie czuję, to pogarda.

– Wiesz, co zrobiłem, kiedy dostałem ten mail? Zadzwoiłem do Lotte i wszystko jej opowiedziałem, a gdy skończyliśmy rozmawiać, poprosiłem, żeby dała mi do telefonu mamę. Jej przekazałem to samo. Obie płakały, a mnie pękało serce, kiedy Lotte zabrała mamie słuchawkę i powiedziała, że mam natychmiast wracać do Antwerpii. Moja mała kochana siostrzyczka, mała Lotte, którą uwielbiam i za którą oddałbym życie, chce, żebym wrócił do domu.

– Czemu jej nie posłuchasz? – Ocieram łzy i zbieram się na odwagę, żeby spojrzeć na Pawła.

– Znasz powód.

– Bardzo bym chciała być dla ciebie tym powodem, ale czasem... – milknę, żeby przełknąć ślinę. – Czasem, a może zawsze, myślę, że nie zasługuję na ciebie i na twoją miłość. Nie mam prawa cię tu zatrzymywać i jeśli chcesz wrócić...

Brakuje mi tchu w piersiach, gardło ścisza żal i smutek, ale ja naprawdę tak właśnie czuję, że nie zasługuję na Pawła, na jego miłość tym bardziej. Chciałabym się wytłumaczyć, powiedzieć mu, że uprzedzałam, mówiłam o moim potrzaskanym sercu, wspomnieć o chaosie, który nie pozwala poskładać uczuć w sensowny obraz, i o braku wiary w choćby odrobinę szczęścia, lecz brakuje mi siły. Nie chcę go jeszcze bardziej zranić.

– Chciałbym wrócić tam z tobą.

– To niemożliwe – odpowiadam bez namysłu i prawie od razu żałuję tych słów, ale już padły. Trochę mnie zaskakuje, że nie zrobiły na Pawle żadnego wrażenia, a może tak mi się tylko wydaje.

– Niemożliwe, bo twoje miejsce jest tutaj, w Polsce – precyzuje. – Przynajmniej na razie, póki nie zrealizujesz wszystkich tych rzeczy, które kiedyś zaplanowałeś. Musisz iść na studia. Całe pięć lat.

Dziwnie się czuję. W zasadzie powinnam być zadowolona. Wychodzi na to, że Paweł pogodził się ze wszystkim. Pewnie wkrótce spakuje manatki, wyjedzie do Antwerpii i jedyne na co ewentualnie mogę liczyć, to związek na odległość, który skończy się szybko i w miarę bezboleśnie. Emocje między nami spłowieją, zbledną, aż całkiem znikną, a za kilkanaście lat

oboje nie będziemy o sobie pamiętać. I nie pomoże nawet to, że Paweł zakochał się we mnie, i to, że ja zakochałam się w nim, bo tak właśnie jest, choć jeszcze mu tego nie wyznałam. Ludzie zakochują się i odkochują. Tak bywa.

– Czemu nic nie mówisz? – wykrztuszam.

– Ja? A ty?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Myślę, że jednak masz. Powiedz, co do mnie czujesz.

– Zależy mi na tobie.

– Ostrożnie zaczynasz – parska.

– Nie miej do mnie żalu, ale...

– Ale?

– Nieważne.

– A ja myślę, że ważne. Bardzo ważne. Chciałbym wiedzieć, na czym stoję. – Lekko, lecz wyraźnie podnosi głos.

– Ja też bym chciała.

– Pamiętaj, że wybór nie należy do mnie, tylko do ciebie. Nie mogę i nie zamierzam mówić, jak powinnaś postąpić. To ty musisz zdecydować.

– A co, jeśli nie potrafię podjąć decyzji? – Z frustracji zaczynam drżeć.

– Skoro tak, pojedźmy tam. Oboje.

– Dokąd? – Cała się spinam. Chyba nie myśli, że zabiorę go...

– Do Warszawy, do Jacka. Nie sądzisz, że najwyższy czas zmierzyć się z demonami?

A jednak. Wszystko we mnie krzyczy, że nie! Nie pojedę tam. Za wcześniej na konfrontację. Nie ma mowy! Mam mu powiedzieć, że jeszcze niedawno, trzy tygodnie temu, przyśnił mi się Jacek? I mama? Opowiedzieć mu koszmar, który śniłam? Że byliśmy we trójkę, nadzy, w jednym łóżku, ja kochałam się z Jackiem, a mama patrzyła na nas? Obudziłam się z krzykiem, wyłam jak ranne zwierzę, spędziłam godzinę w łazience, wyszłam z niej dopiero wtedy, gdy już nic nie zostało w moim żołądku.

– To za wcześniej – mówię, próbując zapanować nad szczykaniem zębów.

– A kiedy nie będzie za wcześniej?

– Nie wiem.

Zapada cisza. Zdaję sobie sprawę, że w każdej chwili Paweł może wstać, powiedzieć „to koniec” i wyjść, a ja wcale nie poczuję się szczęśliwa, bo nareszcie dał mi spokój. Jest dla mnie zbyt ważny i nie kłamałam, mówiąc, że mi na nim zależy. Nie osądzam go, nawet jeśli postawi teraz ultimatum: albo jedziemy do Anina, albo koniec z nami. Ma prawo tak powiedzieć i wymagać ode mnie jakiejś decyzji. Jednocześnie nie widzę żadnej nadziei, że będę miała siłę ją podjąć.

– Nie chcę z ciebie zrezygnować – odzywa się po chwili. – Rozmawiałem z mamą. Powiedziałem jej o tobie. Lotte też już wie. I ojciec. Zrozumieli. Mogę mieszkać gdziekolwiek, nie potrzebuję dworu w Grabówku ani loftu w Antwerpii. Nie obchodzi mnie miejsce i wygody. Powiedziałem im, że raczej nie wrócę. – Głośno przełyka ślinę. – Nie wrócę, bo moje miejsce jest tutaj. Powiedz, jest tutaj?

Nie mogę dłużej powstrzymać łez. Zatykam usta, żeby nie szlochać, ale to nic nie daje. Coś dusi mnie w gardle, a w głowie kłębią się niewypowiedziane słowa. Jestem okropna. Naprawdę na niego nie zasługuję. Podzielił się ze mną czymś, co złamało mu serce, a zamiast pomocy i wsparcia z mojej strony znów to on ofiaruje mi całego siebie. To niesprawiedliwe.

– Zrozumiem każdą twoją decyzję. Kto chciałby być z osobą, która nie wie, co i do kogo czuje. Kto chciałby inwestować swoją miłość i zaangażowanie, jeśli nie ma pewności, że może liczyć na wzajemność. I wreszcie kto chciałby mieć u swego boku kogoś, kto jeszcze nie zamknął swoich starych spraw? Nie mam prawa mieć pretensji, że chcesz uchronić własne serce przed złamaniem, ale moje... – Biorę oddech. Tak bardzo jest mi teraz żal samej siebie, aż dławi w piersiach. – Drugiej szansy nie będzie i nie powinno być. Nie można bawić się czyimiś uczuciami, ale nie wiem, czy potrafię – wykrztuszam. – Czy mam odwagę tam pojechać i...

– Nie chcesz poznać prawdy?

– Chcę.

– Więc jedź tam, spotkaj się z nim, a potem powiedz, czy mam zostać.

Paweł czeka na odpowiedź. W jego oczach widzę same dobre uczucia: miłość, czułość, nadzieję. Nie mogę go skrzywdzić, nie po tym, czego doświadczyłam. Wiem, jak boli odrzucenie, i gdyby chodziło wyłącznie o mnie, nie pojechałabym spotkać się z Jackiem, ale tu nie chodzi o mnie, lecz o Pawła. Dlatego powoli kiwam głową i mówię:

– Pojadę do Anina.

CAŁA JA



Trochę się bałam ruszać w tę podróż, ale potraktowałam ją jak wyzwanie. Paweł nie chciał puścić mnie samej. Do końca mówił, że mnie zawiezie, a jeśli koniecznie chcę jechać sama, to wyłącznie pociągiem. Uparłam się. Wysłałam mu SMS-a, ledwie minęłam Częstochowę, następnego tuż za Tomaszowem i ostatniego w Aninie. Udało się. Pokonałam prawie czterysta kilometrów i jestem z siebie cholernie dumna. „Cieszę się, że postawiłam na swoim. Wiesz dlaczego? Bo to dodało mi sił. Mały sukces, ale sukces” – dopisuję do wiadomości.

*Wcale nie taki mały. Cieszę się razem z Tobą! Poza tym
lubię ten samochód.*

I tu cię mam, bratku!

Martwiłeś się o samochód?

Czekam dłuższą chwilę, najwidoczniej nie wie, jak zripostować. W końcu odpowiada.

Nie dbam o samochód. Przecież wiesz.

Wiem. Nie musi mnie przekonywać.

*Dojechałam szczęśliwie, a teraz życz mi powodzenia.
Będzie potrzebne.*

Będzie dobrze. Zobacysz. Pamiętaj, że myślę o Tobie.

*Pamiętam.
A teraz jadę. Pa.*

Pa.

Stoję na poboczu, tuż za tablicą informacyjną. Odkładam telefon na siedzenie, biorę kilka głębokich wdechów i ruszam. Kilka minut później przejeżdżam obok mojego domu. Nawet nie zerknę w prawo. Nie mogę i nie chcę się rozpraszać. Mam misję oraz jej plan i konsekwentnie się go trzymam. Jestem ciekawa, czy ochrona Jacka pozwoli mi wjechać na posesję. Może są nowi pracownicy? Minęło sporo czasu, od kiedy tu mieszkałam. Najwyżej pokażę dowód osobisty, przecież już i tak po całej konspiracji.

Niepotrzebnie się bałam. Szeroko otwarta brama wjazdowa zaprasza wszystkich gości, a ochroniarz jedynie podnosi rękę w swojej budce. Przejeżdżam za tył rezydencji i parkuję. Zatrzymałam samochód zaraz obok wozu Jacka. Wsiadam, odchodzę kilka metrów i patrzę na dwa prawie identyczne range rovery. Różnią się tablicami i czystością. Za Katowicami porządnie lało, a Paweł zapomniał dać auto do myjni przed podróżą. Brudny range rover jeździ równie dobrze jak czysty i jest tak samo bezpieczny.

Zresztą to nieważne. Ważne, że prawdopodobnie Jacek jest w domu i za chwilę go zobaczę. Nie wiem, czy jestem na to gotowa, bardzo możliwe, że nie, ale już za późno. Na pewno ktoś zauważył moją obecność, więc rezygnacja równałaby się ucieczce. Obiecałam Pawłowi, że spróbuję, i słowa dotrzymam. Zerkam kontrolnie na zegarek. Parę minut po szóstej. Słońce prześwieca przez liście klonów i maluje zielonymi plamkami kamyczki na podjeździe. Idę w stronę bocznego wejścia, a one cicho

chrzesczą pod podeszwami sportowych butów. Trochę żałuję, że nie wybrałam bardziej eleganckiego stroju. Chodzi mi o szacunek, bo Jacek na niego zasługuje, ale w zwykłych dżinsach, T-shircie i adidasach czuję się pewniej i swobodniej. Poza tym nie wiem, czy potrafiłabym prowadzić w szpilkach.

Staję przed drzwiami, biorę głęboki wdech i dzwonię. Cała zamieniam się w słuch. Kto mi otworzy? Stawiam na kogoś z personelu i tak właśnie jest. W pierwszym momencie pani Justyna mnie nie poznaje, a gdy do niej dociera, że to ja, wytrzeszcza oczy, jakby ujrzała ducha.

– Dzień dobry – mówię, rozbawiona jej miną.

– Dzień dobry. Jejku, ale się zmieniłaś – wypała bez namysłu. Zapomniała, że do końca mojego pobytu pod tym dachem mówiłyśmy sobie per pani, to znaczy ja do niej „pani Justyno”, a ona do mnie „panno Mileno”.

– To tylko inna fryzura. – Przejeżdżam dłonią po włosach i zakładam grzywkę za prawe ucho.

– Bardzo ładnie.

– Proszę nie kłamać. Nie pasują mi ciemne kolory, zwłaszcza czarny.

– Zeszczuplałaś.

– Zrzuciłam prawie piętnaście kilo – chwale się, żeby dodać sobie chociaż odrobinę otuchy.

– Jejku, stoimy tu, a przecież... – Robi nieokreślony ruch ręką. – Proszę, wejdź.

– Dziękuję. Ja bez zapowiedzi – uprzedzam.

– Dobrze, zaraz powiem szefowi, że panienka przyjechała.

O! I już koniec ze spoufalaniem się. Co by nie mówić, pani Justyna jest profesjonalistką. Idzie przede mną, wiedzie korytarzem niczym gościa na audiencję u angielskiej królowej, przemierzamy główny hol, potem schody i jesteśmy na miejscu, czyli przed drzwiami gabinetu Jacka. W ciągu dnia najczęściej tam można go znaleźć. Pani Justyna puka, czeka na wezwanie, ale za drzwiami panuje cisza. Przez te kilka sekund oczekiwania moje serce

z wrażenia fiknęło koziółka, a żołądek przybrał rozmiar laskowego orzeszka.

– Och, zapomniałam – mówi. – SzeF jest w bibliotece, ma wideokonferencję.

– Proszę mu nie przeszkadzać. Poczekam tutaj. – Wskazuję brodą sofę i dwa fotele ustawione w niszy korytarza.

– To ja zapraszam do głównej jadalni. Podam kawę, a może obiad? Jest panienska głodna?

– Nie. Nic nie przełknę. – Potrzęsam głową.

– A może chciałaby panienska porozmawiać z panią Edytą? – pyta po chwili namysłu.

„Mama tu jest?! A jednak! Miałam rację. – Podejrzywałam, że mieszka z Jackiem, ale nigdy jej o to nie spytałam, ponieważ nie starczyło mi odwagi. – Jak mogła? Wszystko chce zawłaszczyć? Kiedyś miała tatę i mnie, a teraz musi mieć i Jacka, i Eryka? Po co tu mieszka?! I czemu Jacek jej na to pozwolił?!” – czuję ogromny zawód, że tak się stało. Najchętniej odwróciłabym się na pięcie i uciekła, ale wtedy ja też kogoś zawiodę. Pawła.

– Gdzie znajdę mamę? – pytam, próbując zapanować nad drżeniem głosu.

– Pani Edyta jest w dziecięcym pokoju. Drzwi naprzeciwko głównej sypialni.

– Dziękuję.

– Pójdę przekazać szefowi, że ma gościa.

Zostaję sama. Zaraz pójdę spotkać się z mamą, ale najpierw muszę ochłonać. Wystarczy mi kilka, kilkanaście sekund. „Dlaczego Jacek nie wziął Eryka do siebie? Czemu?” Byłam pewna, że jego sypialnia będzie pierwszym pokojem Eryka. Czasami wyobrażałam sobie, że leżą razem na wielkim łóżku, Jacek tuli małego i śpiewa mu kołysanki, a potem zasypiają – tata i jego mały ukochany synuś.

Zawiodłam się na nim i jest mi z tym bardzo źle.

Podchodzę cicho i staję między drzwiami. Te od sypialni kuszą. Chciałabym tam wejść i przez chwilę poczuć się jak kiedyś. Biorę

łapczywie wielki haust powietrza, bo zakręciło mi się w głowie od nagłego przyływu wspomnień. Nie. Nie mogę tam wchodzić. To już przeszłość. Bezszelestnie odwracam się tyłem i spoglądam na drugie drzwi. Niczym się nie różnią. Są takie same jak wszystkie drzwi w tym korytarzu. Solidne, piękne, polakierowane na biało i ozdobione finezyjnym fryzem. Nagle zauważam, że ktoś ich nie domknął i wystarczy lekko pchnąć skrzydło, żeby wejść do środka. Mam serce w gardle. Ostrożnie popycham drzwi i wślizguję się do pokoju. Od razu zauważam mamę – półyży na fotelu i śpi w najlepsze. Prawa ręka zwisa bezwładnie, a lewą trzyma jakąś książkę.

Ogarnia mnie złość, lecz także współczucie, bo mama wygląda bardzo mizernie. Opuściła głowę, ale i tak dostrzegam worki pod jej oczami. Podobnie jak ja mocno schudła. Przez cienką skórę dłoni przebijają kostki. Więcej nie widać, bo zakryła się kocem, ale jestem pewna, że ubyło jej co najmniej dziesięć kilogramów. Chciałabym podejść i zajrzeć do łóżeczka, ale to stoi tuż obok fotela i na pewno mama usłyszy. Próbuję oddychać ustami. Przez zapach. Nie zapomniałam go i nie zapomnę, choć minęło tyle czasu. Ta specyficzna, najśłodsza na świecie kompozycja wyryła się w mojej pamięci na zawsze. Muszę natychmiast odwrócić czymś uwagę, więc rozglądam się wokół. Nie wiem, czego się spodziewałam po tym pokoju. Chyba niczego, przecież miało być inaczej. Eryk miał spać z Jackiem, nie tutaj.

Mimo to trzeba powiedzieć, że pokoik naprawdę jest uroczy. Urządzony w angielskim stylu, z białymi mebelkami i ścianami w błękitnym pastelowym odcieniu. Po kilku sekundach zaczyna mi się jeszcze bardziej podobać, a chwilę później uważam, że to najładniejszy dziecięcy pokój, jaki można sobie wymarzyć. Przełykam gulę żalu, bo nie ja go urządziłam, a przecież powinnam, to ja jestem mamą Eryka. Nagle słyszę ciche ni to sapnięcie, ni westchnięcie. Coś poruszyło się w łóżeczku.

W ostatniej chwili tchórzę. Tak, jestem na siebie wściekła, ale brakuje mi odwagi na konfrontację z mamą. Szybko opuszczam pokój, wychodzę na korytarz i przymykam drzwi, jak poprzednio.

„Spokojnie! Wdech-wydech! Wdech-wydech!” – Aż szumi mi w głowie ze zdenerwowania. Oddalam się na paluszkach. Na szczęście cały korytarz na piętrze jest wyłożony grubym i miękkim chodnikiem, który tłumi odgłosy kroków. Zatrzymuję się dopiero przy schodach na parter i zastanawiam, co teraz zrobić. Z dołu dobiegają ciche dźwięki, ktoś rozmawia, a chwilę potem słyszę czyjeś bardzo szybkie i zdecydowane kroki.

Przechylam się przez barierkę i patrzę w dół. Wiem, czyje to kroki. Rozpoznałam je tak samo szybko jak zapach w dziecięcym pokoiku. Obraz coraz bardziej się rozmazuje, a moim ciałem wstrząsa niepowstrzymany szloch. Jacek też mnie widzi. Odruchowo spojrzał w górę i zauważył mnie. Stoimy w bezruchu i patrzymy na siebie. Mam wrażenie, że na mojej piersi ktoś położył stutonowy ciężar. Niewiele mogę dostrzec przez łzy, ale nie muszę widzieć Jacka, żeby wiedzieć, że jego serce, tak samo jak moje, jest ściśnięte z bólu.

Muszę do niego podejść, chciałabym, lecz nie mogę się ruszyć. Jedyne ocieram łzy wierzchem dłoni. Mijają kolejne sekundy i nagle Jacek otrząsa się z bezwładu, szybko pokonuje schody, bierze mnie za rękę i bez słowa prowadzi do prywatnego gabinetu. Półświadomie rejestruję szcęk klucza w zamku i to, że Jacek sadza mnie w fotelu, a sam zajmuje miejsce naprzeciwko. Dopiero gdy patrzę w jego oczy, które tak dobrze pamiętam i znam, gdy widzę seledynowoblękitne tęczówki usiane gęsto rdzawymi plamkami, dociera do mnie, że to mój Jacek, że znów jesteśmy razem, blisko, i sami jak kiedyś.

– Coś się stało? – Nachyla się, bierze moje dłonie w swoje i mocno je ściska. – Milena, co się stało?

– Nic. Przyjechałam – wykrztuszam.

– Dlaczego? Jesteś chora?

– Nie.

– Boże, dziewczyno... – Na chwilę puszcza moje dłonie, żeby energicznie potrzeć policzki, i znów je trzyma. – Wystraszyłaś mnie. Czemu nie uprzedziłaś? Z kim przyjechałaś? Jak? Taksówką?

- Nie. Sama, autem.
- Sama? Taki kawał drogi?
- Nie jechałam długo. Cztery godziny.
- Zaraz oszaleję. – Jacek potrząsa głową. – Przyjechałaś samochodem?
- Tak.
- Ale dlaczego? Wróciłaś? – milknie. – Powiedz, że wróciłaś. Niech to się wreszcie skończy, to ciągle rozmyślanie, co u ciebie i jak sobie radzisz.
- Jego oczy są pełne nadziei i błagania.
- Nie wiem, czy wróciłam. Przyjechałam, bo...
- Nagle jego twarz przeszywa spazm bólu.
- Przyjechałaś po Eryka? – pyta.
- Nie, nigdy ci go nie odbiorę. To twój syn. Nie mogłabym... – ucinam, widząc oczami duszy straszną walkę, która toczy się w jego sercu. – Nigdy nie zabiorę ci Eryka. To twoje dziecko.
- Więc dlaczego?
- Chciałam cię zobaczyć – wykrztuszam.
- Mnie? – powtarza z niedowierzaniem.
- Tak, ciebie.
- Co mam teraz zrobić? Co powiedzieć? – Jego głos jest jedną wielką bezradnością.
- Dlaczego moja mama tu mieszka? – Zaciskam zęby w oczekiwaniu na odpowiedź.
- „Dobrze się zastanów” – ostrzegam go w myślach.
- Nie mieszka. Pomieszkuje.
- Śpi tu?
- Czasami tak.
- Dlaczego? To nie jej dom. I nie jej dziecko.
- Ale jej wnuk.
- Oddałam ci Eryka, bo chciałam, żebyś to ty go wychował. Ty i nikt inny.
- Edyta go nie wychowuje.
- Tak? To dlaczego jest w jego pokoju? Widziałam, śpi w fotelu.

– Mały ząbkuje. Wczoraj w nocy nie przespałem uczciwie ani jednej godziny, więc przyszła mi pomoc.

– Nie możesz nająć niani? Gdzie siostra Marianna? Miałaś ją zatrzymać.
– Moje pytania są jak pociski, wyrzucam je coraz szybciej i głośniej. – Dlaczego nie jest przy małym?

– Siostra Marianna wyjechała na kilka dni do rodziców. Jej matka ciężko choruje. Prawdopodobnie to jej ostatnie dni.

– Aha. – Przetykam ślinę. – Ale wróci?

– Tak, na pewno wróci. Eryk ją uwielbia. Nie martw się, nieprędko stąd odejdzie. – Obdarza mnie bladym uśmiechem. – Chciałaś, żebym ją zatrzymał, i jest zgodnie z twoim życzeniem.

– Przepraszam. – Na moment odwracam wzrok. Jest mi głupio, bo zaatakowałam go, nie mając pojęcia, jak się sprawy mają.

– Jesteś głodna?

– Nie, jadłam po drodze. Za Tomaszowem. – Nieco rozmijam się z prawdą. Rzeczywiście, zatrzymałam się na stacji, ale jedyne, co w siebie wcisnęłam, to mały kęs snickersa, popity wodą.

– Rozmawiałaś z Edytą?

– Nie. Zajrzałam tam tylko na chwilę.

– Mały zasnął pół godziny temu. Pewnie pośpią do ósmej albo dziewiątej i znów się zaczną.

– Co mu jest? – Zagryzam kącik ust, żeby stłumić wyrzuty sumienia. Czuję się jeszcze gorzej niż przed chwilą. Nie dość, że wyskoczyłam na Jacka, to zapomniałam spytać o Eryka. Jestem beznadziejna.

– Mówiłem, ząbki. Od kilku dni jest okropnie marudny, ślini się na potęgę i nie daje mi spać – oznajmia z niefrasobliwym uśmiechem. – Przejdzie, ale na razie jest kiepsko. Edyta została na noc, a teraz z nim siedzi, bo miałem pilną rozmowę.

– Przeszkodziłam ci.

– Nic się nie stało, jutro to załatwię. Już ci lepiej?

– Tak. Zdenerwowałam się, bo...

– Sądziłaś, że Edyta tu mieszka?

– Tak – przyznaję ze wstydem.

– I pomyślałaś, że w trójkę stanowimy cudowną szczęśliwą rodzinę? – pyta z przekąsem.

– Nie jesteś szczęśliwy? – Ściska mi się serce, bo zachowałam się podle i samolubnie. – Jeśli chcesz być z mamą... – Nie potrafię dokończyć, zbyt wiele mnie kosztuje to pytanie. Czyżbym ciągle rościła sobie jakieś prawo do jego uczuć?

– Edyta i ja to przeszłość – mówi z melancholią. – Zbyt wiele się wydarzyło. Lubimy się, rozmawiamy ze sobą, pomaga mi przy Eryku i czasami tu nocuje, ma swoją sypialnię, zaraz obok pokoju małego, ale to wszystko.

– Chciałbyś z nią być?

– Nie wiem. Raczej nie. Wystarczy mi Eryk. I ty.

– Ja?

– Tak, ty. Przecież wiesz, co nas łączy, a teraz powiedz, dlaczego przyjechałaś.

– Mówiłam. Chciałam cię zobaczyć.

– Tylko dlatego? Milenko... – milknie na moment. – Błagam, powiedz, że jest jeszcze jakiś inny powód, bo ja... – waha się, po czym jednak dokańcza – ja nie chcę nim być.

Nie spuszcza oka z jego twarzy. Nawet nie mrugnę. Chcę wiedzieć, czy moje słowa wywołają reakcję, a jeśli tak, to jaką. Co czuje do mnie Jacek, co czuję ja? Czy na pewno mogę uczciwie powiedzieć, że jestem gotowa na nowy związek? Nie mogę skrzywdzić Pawła, jest zbyt dobrym człowiekiem i zasługuje wyłącznie na miłość, i to taką pełną, absolutną, stuprocentową.

– Poznałam kogoś.

Zapada cisza. Jacek nic nie mówi, nawet nie drgnęła mu powieka, ale nie jest w stanie kontrolować wszystkiego. Jego dłonie trochę mocniej ściskają moje, a oddech wyraźnie przyspieszył. „Powiedz coś. Powiedz, że to dobrze. Daj mi swoje błogosławieństwo” – błagam go w duchu.

– Kto to jest? – pyta.

Czuję ucisk w piersiach, bo dla niego to tak samo trudne jak dla mnie.

– Ma dwadzieścia trzy lata, na imię Paweł, a tak naprawdę to Paul. Jest Holendrem, ale jego matka pochodzi z Polski. Jest muzykiem.

– Muzykiem? – Jacek unosi brwi. – Artysta? – Wykrzywia się, jakby zjadł plaster cytryny.

– Uhm. – Potakuję, nieco rozbawiona, lecz także zniesmaczona jego reakcją. Czyżby Jacek uznał, że to ktoś niewłaściwy dla dziedziczki fortuny? Nie mogę uwierzyć, że jest równie małostkowy. Nie znałam go z tej strony. – Poczekaj. Mam zdjęcie w telefonie.

Szybko znajduję aparat, ale wybranie odpowiedniej fotki zajmuje mi kilkanaście sekund. Widzę kątem oka, że Jacek luzuje krawat i rozpiną dwa górne guziki koszuli. Ciekawe, czemu dopiero teraz poczuł dyskomfort. Nie znosi krawatów i eleganckich koszul, marynarek też.

– Powinienem się bać? – Próbuje zachować nonszalancki ton, gdy podaję mu telefon.

– Niby czego?

– Nie czego, a o kogo. O ciebie – precyzuje. – O cholera! – Na moment zakrywa usta.

Zachowuję powagę, ale najchętniej wybuchnęłabym śmiechem. Najwyraźniej udało mi się doskonale wybrać fotkę. To zdjęcie, które kiedyś wysłał mi Paweł. Zrobione za kulisami, tuż po jakimś koncercie. Didżej Dragon siedzi rozwalony niczym basza, ma na sobie czarne obcisłe dżinsy, nieśmiertelną koszulkę bez rękawów, obnażającą w całej okazałości wytatuowane ręce i ramiona, a na nogach czerwone glany. Zdjął kominiarkę, więc widać jego twarz i spocone włosy, tu i ówdzie sterczące, a w innych miejscach całkiem oklapnięte.

– I jak? Podoba ci się? – prowokuję.

– To raper? – Jacek chyba nie może uwierzyć w to, co widzi.

– Didżej.

– Didżej?

– Uhm. Komponuje tak zwane sety, czyli... – Gorączkowo myślę, jak najprzystępniej przekazać, czym właściwie zajmuje się Paweł. – Chodzi o

kompilacje. Didżej zestawia ze sobą fragmenty różnych utworów z gatunku *trance*, miksuje je, dokłada coś od siebie i puszcza na koncertach.

– Bez urazy, ale ten młodzieniec wygląda jak ostatni ćpun. – Jacek jest wstrząśnięty. – Nie żebym łatwo się uprzedzał, zwłaszcza gdy nie znam człowieka, ale... – Spogląda to na zdjęcie, to na mnie, i tak w kółko. – On bierze jakieś narkotyki?

– Nie.

– Nie? Przecież jest z Holandii, a tam...

– Nie bierze żadnych narkotyków, nie pali, rzadko pije. – Przerywam mu stanowczo. – I nie odwiedza różowych dzielnic – dodaję z tupetem.

– I ja mam w to uwierzyć? – unosi głos.

– Nie musisz. – Wzruszam ramionami. – Daj. – Zabieram telefon, wkładam do torebki i patrzę wyzywająco na Jacka. Wkurzył mnie. Jak można ocenić kogoś na podstawie jednego zdjęcia i pochodzenia?

– On wie, kim jesteś?

– Teraz już tak. Powiedziałaś mu kilka dni temu.

– Co mu powiedziałaś?

– Wszystko.

Jacek zakrywa twarz. Tak mocno docisnął dłonie, że gdy je odrywa, na skórze widać białe placki.

– A co, jeśli to jakaś łajza i chce cię wykorzystać? Nie pomyślałaś o tym?! Jak mogłaś być tak nieostrożna?

– To nie żadna łajza – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Nie chce mnie wykorzystać. Jeśli już, to ja wykorzystałam jego, żeby zapomnieć o piekle, które zafundowała nam mama. Nie jest biedakiem, jeśli to cię martwi. Jego ojciec to milioner, nazywa się Hans Edel van Warmerdam, może słyszałaś, a Paul to inaczej didżej Dragon, jeden z najpopularniejszych i najlepiej zarabiających didżejów na świecie i uwierz, ma w nosie mój majątek – wygłaszam na bezdechu.

– Ale...

– To on mnie namówił, żebym tu przyjechała, i nawet pożyczył mi swój samochód – mówię dalej. – Chciał przyjechać ze mną, ale się nie

zgodziłam. Ojciec Paula to szanowany biznesmen, założył fundację, która skupuje zabytkowe nieruchomości, odnawia je i czasami udostępnia, oczywiście bezpłatnie, do zwiedzania. Jednym z takich zabytków jest stary dwór obronny w Grabówku. Zatrudniłam się tam najpierw jako pomoc, a później kierowniczką. Właśnie tam poznałam Paula.

„Szach i mat!” – myślę, widząc minę Jacka. Zatkąło go na amen. Siedzi i gapi się na mnie jak cielę na malowane wrota. „Halo! Jestem tutaj! Tu Ziemia!”

– Chyba muszę się napić – oznajmia po chwili.

– I kto tu pije? – rzucam z przekąsem.

Jacek udaje, że tego nie słyszał. Podchodzi do barku, wyjmując butelkę jakiejś whisky i odwraca się w moją stronę.

– Chcesz jednego?

– Nie.

Zamierzam jeszcze dzisiaj wrócić do Grabówka, ale na razie wolę o tym nie wspominać.

– Dałem cię? – pyta, wracając na swoje miejsce. Upija kilka łyków whisky i odstawia szklanekę na podłogę.

– Trochę.

– Cholera... – Drapie się po podbródku. – A mówili, żeby nie sądzić po pozorach.

– No właśnie.

– Czyli mogę być spokojny?

– A dlaczego masz być niespokojny? – ripostuję.

– Żartujesz? – obrusza się.

– Nie spytasz, czy go kocham? Czy on kocha mnie? Czy jest dla mnie dobry?

– Zakładam, że tak jest, a jeśli zrobi ci jakąś krzywdę, choćby najmniejszą, i dowiem się o tym... – Bezwiednie zaciska szczękę.

– Nie robi. Prędzej ja zrobię jemu. – Odwracam wzrok.

– Coś między wami jest nie tak? – Głos Jacka brzmi ochryple.

– Rzecz w tym, że nie do końca wiem, co jest między nami.

- Nie kochasz go?
- Boję się, że nie kocham go tak bardzo, jak... – waham się czy powiedzieć: „jak kiedyś kochałam ciebie” czy „jak na to zasługuje”. Obie wersje są poprawne. Nie wiem, czy moje serce kiedykolwiek zapomni o Jacku, tak samo jak nie wiem, czy będę mogła kiedyś uczciwie przyznać, że kocham Pawła wystarczająco mocno i bezgranicznie.
- Milena, popatrz na mnie.
- Patrzę. – „I usilnie próbuję widzieć w tobie człowieka, który jest moim ojcem. Tylko moim ojcem. Czy kiedykolwiek mi się to uda?”
- Potrzebujemy czasu, wszyscy. Ty, ja, a nawet Edyta. Jedynie Eryk na razie go nie potrzebuje i oby nigdy nie potrzebował.
- Skąd masz pewność, że kiedyś zapomnimy? – mówię cicho.
- Stąd. – Przykłada pięść do serca. – I stąd. – Dotyka czoła. – Zapominamy o krzywdach, o bólu i cierpieniu. W przeciwnym razie nie moglibyśmy normalnie żyć.
- Zazdroszczę ci tej pewności.
- Poczekaj. Uwierz mi, kiedyś zapomnisz, a jeśli ten Paul czy Paweł ma ci w tym pomóc, już kocham tego chłopaka, choć samolubnie dodam, że nie dbam o jego dobro, a wyłącznie o twoje.
- Samolubnie?
- Jesteś moją córką i to twoje dobro głównie leży mi na sercu.
- Ach, tak... – Wzdycham ciężko.
- Właśnie tak. Jesteś moją córką i ponad wszystko chcę, żebyś była szczęśliwa. I wyznam ci coś jeszcze. Albo nie – dodaje naprędce.
- Powiedz.
- Mam ogromny żal do Edyty – mówi po chwili namysłu.
- Bo mama mnie skrzywdziła? – domyślam się.
- Czekam z nadzieją na dzień, w którym zapomnę. Obudzę się rano i od razu, jeszcze przed otwarciem oczu, nie przypomnę sobie, że Edyta skrzywdziła moje dziecko, moją jedyną córkę. Zapomnę nawet o tym, że wybaczyłem jej tę okrutną krzywdę. Dopiero wtedy będę mógł spojrzeć na nią jak na kogoś, w kim można się zakochać.

– Chcesz zapomnieć?

– Bardzo, ale bardziej chcę, żebyś to ty zapomniała.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Wzruszenie dławi mnie w gardle. Jacek ma rację. Musimy zapomnieć, a ja z całych sił chcę mu uwierzyć, że kiedyś to nastąpi.

– Obiecuj, że zapomnimy.

– Zapomnisz ty, zapomnę ja. Mam prośbę. Za chwilę zobaczysz Eryka. To twój brat. Kochaj go jak brata, nie odtrącaj. Chciałbym, żebyś wróciła do Anina. Bardzo bym chciał. Wróc do nas.

– Mam wrócić? Ale gdzie... – Rozglądam się wokół. – Gdzie mam mieszkać? A co z Pawłem?

– Porozmawiajcie. A może porozmawiajmy? – poprawia się.

– To za szybko. Na razie... – Chcę powiedzieć, że jeszcze nie jestem gotowa na taką zmianę, ale ktoś mi przerywa.

Dobiega nas ciche pukanie i odgłos naciskanej klamki.

– Mama? – Patrzę z trwogą na Jacka.

– Będzie dobrze. Zobaczysz. Jestem z tobą...

Co mogę powiedzieć? Eryk jest najśłodszym dzieckiem na świecie. Tylko Bóg wie, jak mi ciężko ze świadomością, że oddałam go Jackowi. Usilnie próbuję odepchnąć myśl, że popełniłam straszny błąd. Przecież mogłam go wychowywać, mieć blisko siebie, być mamą i po prostu kochać. Kochać najlepszą i najczystsza miłością, jaka jest możliwa. Ale już za późno, a ja muszę z tym żyć.

Obawiałam się spotkania z mamą. Niepotrzebnie. Eryk bardzo szybko zawłaszczył całe nasze zainteresowanie. Od początku, ledwie mama przekroczyła próg gabinetu i weszła do środka, trzymając go na rękach. W pierwszej chwili nie potrafiłam go poznać, tak bardzo się zmienił. Potrzebowałam chwili, żeby dostrzec w nim mojego małego synka. Jacek czyta w moim sercu jak w otwartej księdze. Szóstym zmysłem domyślił się, że wołałabym, żeby to on trzymał małego, nie mama. Dlatego prawie od

razu zabrał Eryka z jej rąk, przytulił, pocałował w małe czółko i z dumą pokazał mi syna.

– Popatrz, jaki kawaler.

– Jest cudny. A jaki duży...

– Ma dobry apetyt i w ogóle nie choruje – wtrąca cicho mama.

– A może się przywitacie? – sugeruje Jacek, przenosząc między nami spojrzenie.

– Milenko, jak dobrze... – Mama nie kończy, podchodzi do mnie, więc wstaję, żeby ją uścisnąć.

To bardzo dziwny uścisk. Sztywny, jak u marionetek, jakby ktoś nas obie wystrugał z drewna, zawiesił na sznureczkach i wręczył lalkarzowi. Ale jest.

– Mówiłem jej, że powinna najpierw zadzwonić, uprzedzić – sarka Jacek, żeby zakłócić pełną skrepowania ciszę, która zapada chwilę później.

– Do końca się wahałam, czy to dobry pomysł – tłumaczę bez przekonania.

„Boże, jakie to wszystko głupie” – myślę, spoglądając to na mamę, to na Jacka i Eryka.

– Usiądźmy – zarządza Jacek.

Siadamy więc. On na fotelu, ja na drugim, a mama przycupnęła naprzeciwko nas na brzeżku niezbyt wygodnej sofy. Jest okropnie speszona, bo co chwilę zmienia ułożenie nóg, poprawia się nerwowo i nie wie, gdzie podziać oczy.

– Może usiądź tutaj? – proponuję jej swoje miejsce.

– Zróbmy inaczej. – Jacek wstaje i z uśmiechem pyta: – Chcesz go wziąć na rękę?

– A nie wystraszy się?

Tak po prawdzie to jestem bardziej przerażona niż Eryk. On zdaje się mieć w nosie wszystko i wszystkich. Co chwilę malowniczo ziewa, a z jego małych usteczek wypływa szeroka struga śliny.

– Czemu miałyby się wystraszyć? Mój syn nie jest strachliwy. To wojownik. – Jacek bez zbędnych ceregieli podaje mi małego, sam siada

obok mamy, a ona od razu dyskretnie dziękuje mu wzrokiem.

Szóstka z empatii. Doskonale to wymyślił. Ja mam Eryka, a mama wsparcie ze strony Jacka. Znow ściska mi serce, gdy pomyślę, ile musiał wycierpieć. I nie narzeka, nie skarży się, próbuje normalnie żyć.

– Chyba już mnie nie... – milknę. Po co mówić, że Eryk już zapomniał o mnie. Przecież właśnie tego chciałam. Usunąć się z ich życia, pozwolić Jackowi nareszcie być ojcem i od początku, od pierwszych dni, zbudować więź między nim a dzieckiem. – Bardzo urósł. I ma dłuższe włoski – dostrzegam z zachwytem.

– Ja też mam dłuższe, ale nie zauważyłaś – żartuje Jacek.

Rzeczywiście ma dłuższe, dopiero teraz widzę. Zapuścił je i zaczesuje do tyłu. Całkiem dobrze to wygląda.

– Ma trzy ząbki, a czwarty właśnie się wyrzyna – odzywa się mama. – Dlatego tak okropnie się ślini.

– I beczy pół nocy.

– Nie można mu czegoś podać? Żeby nie bolało?

– Dostaje syrop z paracetamolem – odpowiada mama.

– Na szczęście w dzień nic mu nie dolega – podkreśla Jacek. – Poprzednio też tak było. Jeszcze dzień, góra dwa i będzie po wszystkim. Do następnego zęba, oczywiście.

– Mogłam umyć ręce – mówię, bo Eryk przekrzywił główkę, oślinioną rączką złapał mój kciuk i próbuje włożyć go do ust.

– Bez obaw, nic mu nie będzie. Wczoraj przeżuwał mój krawat.

– Nie boi się mnie. – Siedzę i jak urzeczona patrzę na Eryka. Wcale mu nie przeszkadza, że to ja mam go na rękach. Co rusz na mnie zerka i obdarza uśmiechem albo próbuje dosięgnąć moich włosów. Jest absolutnie i bezapelacyjnie najśłodszym bobasem świata. – Jakiś ty kochany... – Wzdycham. Podnoszę twarz, żeby spojrzeć na Jacka. Złagodniał, rozpromienia go szczęście. – Dziękuję.

– Mnie? Za co? – Odchyła lekko głowę.

– Tobie też, mamó. – Przenoszę na nią wzrok. – Dobrze się nim opiekujecie. Jest radosny i zdrowy. – Znow patrzę na Eryka. – Widać, że

niczego mu nie brakuje. Będzie miał cudowne dzieciństwo. Takie jak moje – dodaję po chwili.

Trochę mi lżej na duszy. Żałuję, że nie przyjechałam tu wcześniej, ale jeszcze nie jest za późno. Odzyskałam odrobinę wiary, że kiedyś wszystko się ułoży. Przyszłość zaczyna jawić się w nieco jaśniejszych barwach, nabiera kolorów. Pragnę ją poznać. Patrzę na Eryka i myślę, że moje postanowienie, żeby już nigdy nie mieć dzieci, jest warte funta kłaków. Chcę mieć dzieci. To najlepsze, co może spotkać człowieka, mieć przy sercu taką małą ufną kruszynkę, czystą i nieskalaną miłość. Nagle uświadamiam sobie, że okropnie brakuje mi Pawła. Czemu zabroniłam mu tu przyjechać? Powinien być ze mną w tym momencie. Nie dlatego, że jest mi ciężko, bo już nie jest, tylko żeby poznał Eryka. Chciałabym przedstawić Pawła Jackowi i mamie i powiedzieć, że to mój chłopak.

Mężczyzna, który mnie kocha.

Nie dość, że zostaję w Aninie do jutra, to jeszcze chcę zrobić coś szalonego. Zjadamy kolację, przepraszam mamę i Jacka i idę skryć się w pokoju gościnnym. Tu będę spała. Mama zapraszała do naszego domu, chciała ze mną tam wrócić, a Jacek przyklasnął tej propozycji, lecz odmówiłam. Wolę być blisko Eryka. Choćby ten jeden dzień.

Wpełzam do łóżka w ubraniu, zrzucam jedynie buty. Wyjmuję telefon i dzwonię do Pawła. Wprawdzie jest już prawie ósma, ale nadal jasno i to daje złudne wrażenie, że dzień się jeszcze nie kończy.

– Hej – wita się ze mną. – I co tam u ciebie?

Nie wiem czemu, ale gdy słyszę jego głos, nagle uświadamiam sobie, że strasznie za nim tęsknię. Gdy pomyślę, że jest tak bardzo daleko i za dziesięć minut nie zapuka do moich drzwi, nie wejdzie i nie zamknie w swoich ramionach, czuję pustkę.

– Wszystko dobrze – odpowiadam.

– Marudna jesteś.

– Markotna – poprawiam.

– Nie bądź, bo nie mogę cię teraz przytulić.
– Paweł...
– Tak?
– Mam prośbę. Mógłbyś tu jutro przyjechać? – Zaciskam wargi w oczekiwaniu.
– Jutro?
– Wiem, to kłopot. Tym bardziej że wzięłam twój samochód.
– To nie kłopot. Jest jeszcze audi ojca.
– Więc mógłbyś? – Zniżam głos niemalże do szeptu.
– Jutro?
– Tak.
– A mógłbym dzisiaj? – pada pytanie, a mnie aż kręci się w głowie ze szczęścia.
– Dzisiaj? Ale jak? – Odruchowo zerkam w stronę okna. – Już późno.
– Dla mnie nigdy nie jest za późno. Będę za trzy, góra cztery godziny. Co ty na to?
– Naprawdę? Przyjedziesz? – Nie mogę uwierzyć, że jeszcze dzisiaj go zobaczę. – Przepraszam, mogłam cię posłuchać.
– Gdybyś mnie posłuchała, nie byłoby sukcesu. Sama dotarłaś do Warszawy.
– Do Anina.
– To ja odstawiam piwo i zaraz będę. – Śmieje się. – Wyślij mi adres SMS-em. Nie załatwiał dla mnie noclegu, prześpię się w samochodzie.
– A ja z tobą.
– Doskonale. To do zoba...
– Poczekaj. – Zatrzymuję go.
– Coś jeszcze?
– Dziękuję.
– Podziękujesz mi na miejscu, a teraz się rozłączam.
Przyciskam telefon do serca i przez chwilę tkwię z nim na łóżku. Nagle wpada mi do głowy pewien pomysł. To taki pomysł, który też ma swój

początek w sercu. Wysyłam wiadomość do Pawła i pytam, czy mógłby na chwilę wpaść do mojego domu.

Chciałam, żebyś coś stamtąd zabrał. Broszkę z białych kwiatuszków. Leży na biurku, w małym pokoju, tym obok sypialni.

Z przyjemnością podejmę się roli kuriera, ale najpierw musiałbym zostać włamywaczem.

Zapasowy klucz znajdziesz na dnie donicy. Zaraz przy wejściu. Biała wysoka donica, a w niej jest mniejsza, z begonią. Wystarczy ją wyjąć.

Mało rozważne z Twojej strony.

Ale jak się przydało. Widzisz?

Okej. Przyjąłem zlecenie.

Może to głupi pomysł, ale chcę w pewnym sensie wyciągnąć rękę do mamy. Złazę z łóżka i wychodzę z pokoju. Wypada poinformować Jacka, że będzie miał jeszcze jednego gościa, niech chociaż ten będzie zapowiedziany. Mimo to liczę się z jego odmową. Ma prawo nie zgodzić się na przyjazd Pawła, wtedy powiem mamie, że przenocujemy w naszym domu. Znajduję Jacka w pokoju Eryka.

– O! Jesteś! – Od razu się rozpromienia. – Dobrze, że przyszłaś. Trzeba uśpić tego gagatka, a nic tak nie pomaga jak rozmowa. Siądziemy, pogadamy, a kawaler uśnie. – Pokazuje mi brodą fotel.

– A gdzie mama?

– Pojechała na chwilę do siebie po jakieś ciuchy na zmianę. Wróci do pół godziny.

– Aha.

Siadam i trochę skrępowana, patrzę, jak Jacek bardzo sprawnie przewija małego, kładzie go do łóżeczka i prawie natychmiast bierze z powrotem na ręce, bo Eryk najwyraźniej ma inne plany na ten wieczór.

– A niech to! – Parska śmiechem. – Myślałem, że da się nabrać.

– Nie zaśnie?

– Nie ma mowy, trzeba go nosić. Inaczej zmienia się w syrenę okrętową.

– Krąży po pokoju z Erykiem na rękach.

– To trochę kłopotliwe.

– Trochę? – Mruga do mnie porozumiewawczo. – Niech będzie, że trochę.

– Chciałam ci o czymś powiedzieć... – ucinam, myśląc, że dokładam mu właśnie problemów. Na pewno będzie chciał jeszcze dzisiaj przywitać Pawła. Spuszczam wzrok na telefon, bo zabrałam go ze sobą, i myślę, czy nie wysłać Pawłowi wiadomości, żeby jednak został w Grabówku.

– A o czym? Zgłaszasz się na dyżur nocny?

– Mogę dyżurować – odpowiadam. Nagle mój telefon zaczyna buczeć, a po sekundzie włącza się intro jednego z największych hitów didżeja Dragona. – Przepraszam – mówię i szybko wychodzę z sypialni Eryka. Staję tuż za drzwiami, ale ich nie zamykam, bo jakoś mi głupio jawnie okazywać Jackowi brak zaufania.

– Dobry wieczór. Tu firma kurierska Dragonfly – mówi Paweł. Kąciki moich ust natychmiast unoszą się w górę. – Mamy problem z pani zleceniem, a mianowicie na dnie doniczki nie ma kluczy.

– Serio?

– Serio.

– Ups. – Już mam zacząć panikować, że ktoś je zwinął, gdy przypominam sobie, że sama je stamtąd zabrałam. – Boże... co za gapa ze mnie. Są w kaloszu.

– Gdzie?

– W lewym kaloszu. Kalosze stoją pod schodami, na których stoisz.

– Aha.

– Sorki.

– Nie ma problemu, doliczymy dodatkową opłatę za grzebanie w lewym kaloszu szanownej pani.

– Znalazłeś?

– Tak. – Lekko dzwoni kluczami do głośnika aparatu. – Może się nie rozłączajmy? A nuż broszka zamiast leżeć na biurku ostatecznie znajdzie się w zamrażalniku.

– Może tak być – chichoczę. – Kiedyś schowałam tam pilota.

– Zaraz się przekonamy...

I nagle słyszę coś, co mnie ogłusza.

Huk.

A zaraz potem cisza.

Nic.

– Paweł? – Szybko przykładam aparat do drugiego ucha. – Paweł?! Halo! Cisza spływa na mnie wraz ze swoją martwością. Nie oddycham. Na próżno wsłuchuję się w telefon. Odrywam go od ucha i patrzę na ekran. Drżącymi palcami stukam na zieloną słuchawkę, ale nie łączy. Jeszcze raz. Zgłasza się automat. Mówi coś, ale ja nie rozumiem.

Nie rozumiem!

Stukam bezsilnie w telefon, próbuję, ale...

– Co się dzieje? – Jacek staje przy mnie. Odruchowo rejestruję, że Eryk śpi, a z jego buzi znów cieknie ślina. Nie wiem, dlaczego właśnie to w tym momencie przyciąga moją uwagę. – Milena, słyszysz co do ciebie mówię?

– Ja... – bąkam, znów patrząc na aparat. – Rozmawiałam z Pawłem.

– I co się stało?

– Nie wiem. – Podnoszę wzrok na Jacka. – Nie wiem. Coś huknęło. Coś tak strasznie huknęło – skrzeczę.

– Poczekaj. – Jacek znika w pokoju i prawie natychmiast zjawia się z powrotem, ale już bez małego. – Daj. – Zabiera mi aparat. Widzę, że próbuje się połączyć z Pawłem, tak samo jak ja przykładam aparat do ucha i nie spuszcza w tym czasie ze mnie wzroku. – Abonent niedostępny. Może telefon się rozładował?

– Coś huknęło – mówię. – Coś okropnie huknęło.

– Chodź. – Bierze mnie za rękę i prowadzi do niszy, gdzie stoi mała sofa. Siadamy. – Nie denerwuj się. Może to coś z głośnikiem. Zaraz zobaczymy.
– Wyjmuje swój telefon i każe podać numer do Pawła.

Efekt ten sam.

Zaczynam dygotać ze strachu. Intuicyjnie czuję, że stało się coś bardzo złego. Nagle wpadam na pomysł, żeby zadzwonić do Martyny. Już prawie znalazłam ostatnie połączenie, gdy ona dzwoni do mnie.

Boże...

Strach zaciska swoje łapy na moim gardle, nie potrafię wykrztusić z siebie ani słowa. Drżącą ręką podaję Jackowi telefon.

– Halo...

Nie muszę rozumieć ani słowa, żeby wiedzieć, że stało się coś strasznego. Martyna nie mówi, ona przeraźliwie krzyczy. Nawet nie zauważyła, że to nie ja z nią rozmawiam. Odebrał ktoś inny. Odebrał Jacek, który blednie na twarzy z sekundy na sekundę, a jego czoło pokrywa się kroplami potu. To się dzieje zauważalnie i jak w przyspieszonym tempie.

– Halo! Niech pani mnie posłucha! – Nagle wcina się ostro w krzyki Martyny. – Niech mnie pani słucha, do jasnej cholery! – wrzeszczy. – Tak, Milena jest ze mną! Paula? Jaka Paula?! A, wiem! Tak, Paula. Proszę się uspokoić! Paula jest tu, siedzi obok mnie. Nie, nie dam jej na razie do słuchawki. Jacek Nykiel. Jestem z rodziny! Tak, z najbliższej. Czy ktoś wezwał pomoc? Słyszysz pani?! Czy ktoś wezwał pomoc?!

Prócz jego głosu i krzyków Martyny słyszę coś jeszcze. W pierwszej chwili myślę, że to Eryk tak kwili, dopiero po jakimś czasie dociera do mnie, że to ja. Duszę się strachem. Umieram. Chcę się obudzić z koszmaru, którego nie znam, ale wiem na pewno, że jest straszny. Najgorszy.

– Kto przyjechał? Straż? Niech pani się nie rozłącza. Proszę iść i spytać, czy wezwano pomoc! – Jacek wstaje i zaczyna krążyć po korytarzu. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Pięć kroków. Obrót. I znów: raz, dwa, trzy, cztery, pięć. Jego buty skrzypią. Skóra skrzypi. – I co? Wezwali ambulans? Tak? Proszę powtórzyć! Nie zrozumiałem. Wybuch gazu?

Wybuch gazu...

Boże...

Znów jest tak jak wtedy, gdy podsłuchiwałam mamę i Jacka.

Coś piszczy, coraz głośniejsze. A potem opada na mnie czerń.

W ubiegły piątek w godzinach wieczornych doszło do wybuchu gazu i pożaru w budynku mieszkalnym usytuowanym przy ul. Nadziei 8 w miejscowości Grabówek. W wyniku wybuchu budynek został całkowicie zniszczony, a siła eksplozji sprawiła, że kilka pobliskich zabudowań zostało uszkodzonych. Teren zdarzenia natychmiast został zabezpieczony przez policję i straż. Ratownicy pracujący na miejscu odnaleźli w ruinach budynku częściowo zwęglone zwłoki mężczyzny. To Marek W., lat 38, mieszkaniec pobliskiej wsi. Prócz niego w obrębie zniszczonego domu nie odnaleziono innych ofiar. W wypadku ucierpiał również obywatel Holandii, Paul E. van W. lat 23, tymczasowo przebywający w Polsce. Ciężko rannego mężczyznę odtransportowano śmigłowcem ratunkowym do szpitala w Piekarach Śląskich. Właścicielem zniszczonej nieruchomości jest firma JAMI sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie, a jedyna mieszkanka w czasie tragedii przebywała poza Grabówkiem. Jak oświadczyła straż, skala zniszczeń od razu wskazywała na wybuch gazu. Te wnioski zostały potwierdzone, gdy ratownicy odkryli rozszczelnione elementy sieci gazowej. Według niepotwierdzonych jak dotąd informacji to właśnie Marek W. prawdopodobnie rozszczelnił układ. Przy jego zwłokach odnaleziono list, z którego wynika, że działał z zamiarem doprowadzenia do śmierci własnej oraz mieszkanki domu. Marek W. zmarł w wyniku zatrucia gazem, jeszcze zanim eksplozja rozerwała budynek. Co do stanu zdrowia drugiej ofiary wiadomym jest tylko tyle, że rodzina odmówiła wszelkich komentarzy, a ciężko poszkodowany Paul E. van W. znajduje się obecnie w klinice poza granicami kraju.

To były dwa tygodnie, które zwały się w jeden bardzo długi i koszmaryny dzień. Niektóre chwile pamiętam bardzo dobrze, a innych nie ma, jakby

ktoś wymazał je gumką. Lecieliśmy śmigłowcem. Tak było najszybciej. I rzeczywiście, znaleźliśmy się na miejscu niecałą godzinę po przetransportowaniu rannego Pawła. Z samego lotu nie kojarzę zbyt wiele. Tylko to, że tata cały czas z kimś rozmawiał przez telefon. Z wieloma osobami. Do dziś nie znam pełnej listy jego rozmówców, ale to musieli być jacyś bardzo ważni ludzie, skoro na miejscu, w Piekarach, już na nas czekali. Około drugiej w nocy dołączyli do nas rodzice Pawła. Ktoś z Grabówka ich poinformował, prawdopodobnie któryś z moich współpracowników. Tam wszyscy się znają.

Ledwie ujrzałam mamę Pawła, a poczułam się, jakbym znała ją długie lata. Złapałyśmy kontakt, jeszcze zanim przytuliła mnie i pocałowała w napuchnięty od płaczu policzek. Ona dobrze się trzymała. Zero łez. Była trochę blada, a jej idealnie gładką twarz co chwilę przeszywał nerwowy skurcz, ale nie uroniła ani jednej łzy. Ojciec? Starszy mężczyzna z surową miną, postawny, małomówny i... Nie wiem, jak to ująć. Chyba czuł się nieco zagubiony, ale mógł liczyć na swojego tatę. Tylko z nim rozmawiał, a gdy lekarz przyszedł, żeby przekazać nam pierwsze informacje, to u niego szukał wzrokiem otuchy.

Płakałam. To też pamiętam. Siedziałam obok mamy Pawła i płakałam, a kiedy przestałam płakać, zaczęłam w kółko, niczym zepsuta katarynka, powtarzać, że to moja wina. To ja nie chciałam, żeby Paweł ze mną jechał. To ja napisałam mu, że jednak zmieniłam zdanie. I to ja poprosiłam go o przysługę. Trzy decyzje. Miałam trzy szanse, by to wszystko się nie wydarzyło. Mogłam nie odmawiać i pozwolić mu jechać ze mną, skoro zdecydowałam inaczej, dlaczego zachciało mi się mieć go przy sobie, a co najgorsze, po co kazałam mu iść po tę przeklętą broszkę?! I tak jej już nie ma. Nie ma też mojego domu w Grabówku. Zamiast niego ziele wielki krater. Powtarzałam, że to moja wina, a wtedy mama Pawła objęła mnie, mocno przytuliła i powiedziała, że mam się uspokoić. Nie poskutkowało, bynajmniej. Jeszcze mocniej się nakręciłam. Biedna pani Małgosia nie dość, że szalała z niepokoju, bo Pawła właśnie operowano, to jeszcze ja siedziałam jej na głowie. Dopiero tata huknął na mnie, aż podskoczyłam.

„Dość tego! Przestań! To nie twoja wina! Nie wolno ci tak myśleć, rozumiesz? Zabraniam!”.

Tata.

Kiedy przestałam myśleć o nim Jacek i zaczęłam określać go tatą? Właśnie tam, gdy czekaliśmy na wynik operacji. Ojciec Pawła jako jedyny mógł przebywać w sali przedoperacyjnej, a naszej trójce udostępniono małą prywatną salkę. Tata krążył pośrodku i co pewien czas wychodził, żeby do kogoś zadzwonić lub przynieść nam coś do picia. Wszyscy byliśmy podminowani i nerwowi, on też. Pewnie dlatego nie mógł już wytrzymać mojego marudzenia i solidnie mnie ochrzanił. I tak stał się moim tatą. Śmieszne i dziwne, ale tak było.

A co z Pawłem? Bo przecież to on jest najważniejszy.

Jeśli miałam jakieś wątpliwości, co do niego czuję, pozbyłam się ich zupełnie. Gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że może kogoś bezpowrotnie stracić, jest mu łatwiej wszystko zrozumieć. Zrozumiałam więc, tam wtedy, w szpitalu, że kocham Pawła z całego serca i umrę z żalu, bo nie zdążyłam mu tego powiedzieć, i z rozpacz, gdy go zabraknie. Modliłam się o szansę. Wówczas byłam skłonna przystać na każde zakończenie, oczywiście prócz śmierci Pawła. Kiedy pozwolono nam wreszcie go zobaczyć i gdy na krótką chwilę zostałam z nim sama, obiecałam mu, że będę zawsze obok niego. Zawsze. Nigdy go nie opuszczę. Powiedziałam mu wtedy, że go kocham, choć nie mógł mnie usłyszeć.

Przez długie pięć dni, najdłuższe w moim życiu, Paweł balansował między życiem a śmiercią. Bez przytomności, ale podejmował decyzję, czy zostać z nami, czy odejść gdzieś, gdzie ponoć jest lepiej. W szóstym dniu nastąpiła niewielka, ale dla nas absolutnie cudowna, poprawa. Nadal był utrzymywany w stanie śpiączki farmakologicznej i nie wiedzieliśmy, co będzie po wyprowadzeniu Pawła z tego stanu, ale było lepiej. A później go obudzili. Wtedy jeszcze nikt nie mówił o tym, czy Paweł wróci do pełnego zdrowia. Czy będzie mógł chodzić, funkcjonować samodzielnie, żyć normalnie jak kiedyś. Czy zniknie obrzęk mózgu, a organy wewnętrzne

zaczną działać. Ale znów było LEPIEJ. Tylko to się liczyło. Na tyle, by móc przetransportować Pawła śmigłowcem do Szwajcarii.

Jak jest teraz?

Kończy się wrzesień. Za tydzień zaczynam studia. Zostało nam siedem dni cudownych tak jak poprzednie trzy miesiące. Spędzamy je w domu mojego taty. Kupił go niedawno. Jest piękny, duży, wygodny i w miejscu, które zdaje się prawdziwym rajem.

Zdążyłam milion razy powiedzieć Pawłowi, że go kocham. W planach drugi milion, trzeci, czwarty, aż w końcu ryknie na mnie jak tata: „Dość tego!”. Wcale się nie obrażę, bo każdemu może się znudzić taka dziewczyna jak ja – natrętna, nachalna i z tendencją, żeby zagłaskać z miłości na śmierć. I nie przestanę. Nadal będę mu mówić, że go kocham, przy każdej możliwej okazji.

Odwracam się, bo słyszę, że nadchodzi. Jeszcze ciągle używa kul, lecz wkrótce nie będzie ich potrzebował. W zasadzie już mógłby nimi rzucić, bo najczęściej, zamiast iść normalnie, Paweł robi sobie żarty. Podnosi kule i udaje Larę Croft, strzela do wymyślanego przeciwnika, a wczoraj próbował grać jedną z nich w golfa.

– I co tam? – pyta, stając przede mną. Cypryjskie słońce wisi nad naszymi głowami i razi w oczy, gdy podnoszę twarz.

– Czemu nie odpoczywasz? – sarkam. Miał się zdrzemnąć po lunchu.

– Bo mi się nie chce – odpiera.

Pomagam mu usiąść na szezlongu, całuję policzek szorstki od kilkudniowego zarostu i oczywiście mówię, że go kocham.

– Mam prośbę. Idź do sypialni i przynieś mój laptop. I słuchawki! – Słyszę zza pleców, bo już zdążyłam odejść kilka metrów.

„Pięknie!” Biorę się pod boki. Miał spać, a co robił? I jak? Jak zdołał sam przynieść tu dwa laptopy? Po co mu aż dwa? I który mam zabrać? Na wszelki wypadek biorę oba. Oczywiście słuchawki też. Wychodzę z domu i od razu oblewają mnie palące promienie słońca. Na szczęście taras jest

zacieniony, a na wprost foteli i szeslongu stoi duży wentylator i odrobinę schładza powietrze.

– Daj. – Paweł zabiera macbooka, wpina słuchawki, przez chwilę klika touchpadem i tryumfalnie się uśmiecha. – Mam.

Minutę później siedzę z słuchawkami na uszach, a on spogląda na mnie pytającym wzrokiem. Moje serce wariuje. Wprawdzie krótko, bo ledwie wydostaną się spod powiek, a osusza je ciepłe powietrze, ale są. Łzy szczęścia. „Paweł komponuje!” – mam ochotę wykrzyknąć to całemu światu. Mija minuta, może dwie. To niezbyt długie nagranie, ale już wiem, że jest piękne. Zdejmuję słuchawki i patrzę na Pawła z zachwytem. Też czasami coś tworzyłam, ale muzykę? Nigdy. Dla mnie to coś o niemalże boskim wymiarze.

– I jak?

– Świetne, po prostu super.

– To draft. Fragment setu, ale taka mniej więcej będzie główna linia melodyczna – tłumaczy.

– Łapie za serce.

– Naprawdę?

– Tak. Znów tworzysz – ochryłam ze wzruszenia.

– Zacząłem, ale nie wiem, czy to jest dobre.

– Czy dobre? – Patrzę na niego z niedowierzaniem. – To jest świetne. Kiedy słuchałam tego kawałka, czułam, że to cały ty. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? To cały ty.

– Nie, to cała ty i cały ja. Taki będzie tytuł.

– Cała ty i cały ja? – Marszczę czoło, bo to trochę dziwny tytuł jak na utwór muzyki *trance*.

– Inny. – Paweł szczyrzy zęby.

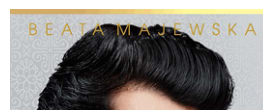
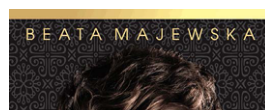
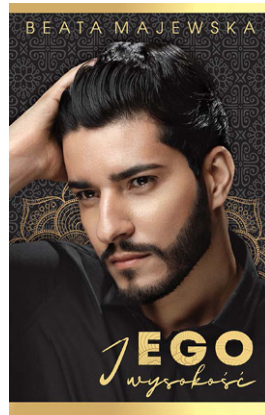
– Czyli jaki? No powiedz! – Szturcham go w ramię.

– Zaraz zobaczysz. – Sięga do kieszeni spodni i wyjmuje pierścionek. Od razu widzę, że to pierścionek, bo podstawią mi go pod nos. – Tytuł jest w środku. Wygrewaro... – zaczyna się. – *Fuck*, co za głupie słowo.

– Wygrawerowany. – Zabieram pierścionek i zaglądam do środka. –
Milenopaulo – czytam.
– Tak. Fajny?
– Tytuł? – Podnoszę wzrok. Słyszę moje serce, bo wali jak oszalałe.
– Uhm.
– Bardzo fajny. Pierścionek też. – Naprawdę mi się podoba. Jest z białego
złota, dosyć szeroki i ozdobiony trzema diamentami.
– Można dopisać datę.
– Aha.
– To co? Założysz?
– Sama mam sobie założyć pierścionek? – prychnam, udając oburzenie.
– Mogę ja, ale wiesz, co to oznacza? – Puszczam do mnie oko.
Odruchowo zagryzam wargę. To chyba najbardziej nietypowe zaręczyny,
jakie można wymyślić, ale właśnie taki jest Paweł. Nietypowy.
– Jaka decyzja? Zakładać? Nie zakładać? – pyta takim tonem, jakby
mówił o otwieraniu puszek z piwem.
– Zakładać...
KONIEC

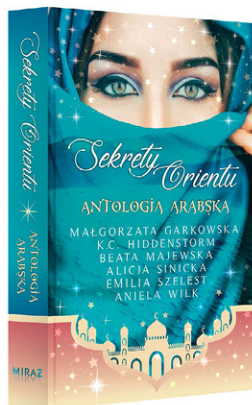
Polecamy bestsellerową serię

Beaty Majewskiej





Antologia arabska



Dzieło zbiorowe autorstwa: Małgorzaty Garkowskiej, K.C. Hiddenstorm, Beaty Majewskiej, Alicji Sinickiej, Emilii Szelest oraz Anieli Wilk.

Sześć autorek, sześć niesamowitych opowiadań prosto z Bliskiego Wschodu. Choć łączy je klimat, każde z nich jest wyjątkowe – jak wyjątkowy styl mają ich autorki. Miłość, duma, pożądanie, sława, ryzykowne misje... Pozwól się ponieść arabskim namiętnościom, odkryj

„Asystentka” – Karolina



Czy wizyta w księgarni może odmienić całe życie?

Maya Sanders nigdy nie przypuszczałyby, że zwykła wyprawa po pikantny romans dla dorosłych może się zmienić w krępującą sytuację. A wszystko za sprawą pewnego przystojniaka, który postanowił ją zaczepić. Lecz to dopiero początek kłopotów... Dziewczyna ma wyjątkowego pecha, bo kiedy jak co dzień pojawia się w biurze, odkrywa, że

SPIS TREŚCI

PAUL

MILENA

PAULA

MILENA

PAULA

MILENA

PAULA

MILENA

PAULA

MILENA

PAULA

MILENA

PAULA

MILENA

PAULA

MILENA

PAULA

MILENA I JEJ SERCE

PAULA

CAŁA JA